

— ANNA STRYJEWSKA —



• SAGA KLONOWEGO LIŚCIA •

# ŁÓDZKA PRZYSTAŃ

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



ANNA STRYJEWSKA

• SAGA KLONOWEGO LIŚCIA •

ŁÓDZKA  
PRZYSTAŃ



SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

## CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Podziękowania

Przypisy

Redakcja  
*Agnieszka Czapczyk*

Korekta  
*Bożena Sigismund*

Skład i łamanie  
*Marcin Labus*

Projekt okładki  
*Anna Slotorsz*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

©*Jessica Truscott/AdobeStock; Freshidea/AdobeStock; Narodowe Archiwum Cyfrowe (1-A-3247, 1-G-7067-2, 2-8552)*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Anna Stryjewska, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83290-80-5



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)





Konwersja: [eLitera s.c.](#)



*Pamięci Stefani*

# CZĘŚĆ PIERWSZA



# Rozdział 1

Od kilku godzin stała w trzęsącej się grupie kobiet, zgonionej tuż po kolacji na plac przed drewnianym barakiem. Prószyć z wolna śnieg mieszał się z błotem, w którym grzęzły, przestępując z nogi na nogę, przenosząc resztką sił ciężar wycieńczonych ciał. Przejmujące zimno lizało po plecach, kłując do bólu i utraty czucia. Niekończące się minuty grozy pogłębiał wrzask nieustannie drących się blokowych. Te za najmniejszy ruch tłukły pałkami po ramionach, po głowach, nie bacząc na nic, nawet nie szukając usprawiedliwienia swych czynów, zrozumienia, niczego. Jedna z nich – gruba, poczwarkowata Berta – nie lubiła chyba samej siebie. Nieawisz tryskała z jej oczu, a kiedy biła – uchodziło z niej całe zło. Krążyły plotki, że jeszcze przed wojną dostała wyrok śmierci za dzieciobójstwo. Sama zgłosiła się do obozu na funkcijną, najwyraźniej ta rola była w jej mniemaniu powołaniem. Brzydka, niska Niemra nie miała złudzeń, że za uchybienie w swoich obowiązkach grozi jej stryczek. Toczyła walkę o swoje własne być albo nie być. Tymczasem jej ofiarą padła stojąca z brzegu wątda dziewczyna w pasiaku, która nagle osunęła się na ziemię. Od kilku dni ledwo dawała radę zwlec się z pryczy i pójść do roboty. Gorączka trawiła bezlitośnie jej ciało, a brak odpowiedniej opieki medycznej, podstawowego wyżywienia sprawił, że już się poddała. Tamta dopadła do niej, kiedy starsza, silniejsza koleżanka próbowała przytrzymać chorą za ramię.

– Halt! Halt!<sup>[1]</sup> – wydarła się w niebogłosy blokowa, odpychając kopniakiem nieszczęsną dziewczynę, potęgując w pozostałych uczucie bezradności, gniewu i goryczy. Potem tłukła biedaczkę po barkach, plecach, kościastych ramionach, w których odruchowo tamta chowała głowę. Kuląc się,

zasłaniając chudymi ramionami twarz, usiłowała jeszcze cokolwiek ocalić. Dwa ogromne ujadające wilczury, uwolnione ze smyczy, dopadły do niej, wyszczerzyły lśniące kły. Jeden z nich chwycił ją za nogę i potrząsnął, drugi wtopił w jej wychudzone ciało zęby, nie zważając na jej śmiertelny krzyk. Gruba Berta nie powstrzymała bestii, przez jej szpetną gębę przemknął cień niezrozumiałej satysfakcji. Chrząst, łamanie kości wstrząsnął więźniarkami po raz kolejny. Niemra zaczęła, aż ofiara przestanie się ruszać, aż pozostanie po niej krwawa miazga, dopiero wtedy warknęła na psy, które w kilku sekundach znalazły się przy jej nodze. Stojąca w środku komanda Stefka zadrżała na całym ciele. Jednocześnie odruch wymiotny sprawił, że zgięła się wpół. „Co jeszcze może nas spotkać?” – myślała, wstrząśnięta tym, co zobaczyła, chwytając się za podbrzusze. Wydawało jej się, że w tym okropnym miejscu widziała już wszystko, a tymczasem wciąż coś ją zaskakiwało.

– Już nie mogę... – szepnęła Kazia, osuwając się na jej ramieniu.

– Dasz radę! – Dziewczyna zacisnęła zęby i powstrzymała ją od upadku. – Musisz! – syknęła zaciekle.

W pewnej chwili rozległ się krzyk, dwóch wychudzonych więźniów z innego bloku przybiegło z wózkiem, na którym ułożonych było niestarannie kilka martwych ciał. Ramiona zwisały bezradnie, otwarte, wystraszone oczy patrzyły na pierwszy rząd więźniarek. Mężczyźni, a właściwie dwie zgarbione, pałakowate sylwetki zebrały pokrwawione szczątki dziewczyny i wrzuciły na wierzch stosiku. Ich ruchy były sprawne, krótkie, zdecydowane, pomimo wkładanego w te czynności ogromnego wysiłku. Stefka wiedziała, że tuż obok na okrągłym, otoczonym ogrodzeniem placyku czeka na swój pochówek kopiec nagich ciał. Będzie dobrze, jak zostaną zakopane w rowie tuż za drutami obozu, jednakże miała świadomość, że mogą być pochłonięte przez ogromnego smoka z rozżarzoną brzuchem i długą szyją wystającą ponad czarne wstęgi dachów innych budynków, z którego raz po raz wydobywał się dym o słodkawym, dławiącym zapachu.

Zmrok zaczął zapadać, niebo rozświetliła soczysta, purpurowa luna, kiedy podjechał jakiś elegancki pojazd, z którego wyłonił się esesman

w czarnych błyszczących oficerkach. Jego mundur wyglądał nieskazitelnie, od ciemnego materiału odbijały się lśniąco nowością guziki z wybitą na nich znienawidzoną przez wszystkich swastyką. Wyprostowany jak struna, podał funkcyjnej jakiś papier i odjechał. Ta rzuciła okiem na dokument, jakiś nieznaczny uśmiech przebiegł przez jej brzydką, chropowatą twarz.

– Auseinander!<sup>[2]</sup> – zaszczekała po niemiecku. – Jutro o czwartej pobudka!

Kobiety odetchnęły z ulgą, odwróciły się na rozkaz i pędem, potrącając się jedna o drugą, ruszyły do baraku, uważając jeszcze, aby nie otrzymać po drodze bolesnych razów. Przez te kilka godzin o niczym innym nie marzyły, jak tylko o tym, aby gdzieś ułożyć swoje wyczerpane do granic ciała, skulić się w sobie, okryć kocem i zasnąć.

Stefka dopadła do swojej pryczy, która znajdowała się na samej górze trzypoziomowej konstrukcji, przypominającej piętrowe łózko. Wąska, twarda, zawazona, z materacem wypchanym słomą. W zasadzie słoma się wykruszyła i zostało po niej jedynie wspomnienie. Nie tak dawno udało jej się za porcję suchego chleba zdobyć koc. Płaszcz już miała, wołała nie myśleć, w jakich okolicznościach go zdobyła. Aiszy i tak już nie było wśród żywych, a przynajmniej jej odzież w pewien sposób uchroniła ją przed śmiercią. Pomogła Kazi wgramolić się na półkę niżej. Ta resztką sił legła wśród brudnych, zarobaczywionych, śmierdzących szmat. Zwinęła się w embrion.

– Wytrzymamy, Kaziu – szepnęła Stefka do ucha przyjaciółki. – Uciekniemy stąd... – Poglądziła ją po tysej, rozpalonej głowie.

– Tylko jak? – jęknęła tamta.

– Jeszcze nie wiem do końca, ale mam pomysł...

– Nie zwracaj sobie mną głowy... Ja i tak niedługo... – Zacisnęła zęby, zakrywając twarz dłonią.

– Nie mów tak. Jesteś twarda, niezniszczalna – powtórzyła to, co mówiła zawsze, gdy towarzyszka miała momenty zwątpienia. – Śpij, nabierz sił, a jutro coś wymyślimy.

Wspięła się wyżej, chwilę myślała nad czymś. Potem, nie zastanawiając się dłużej, zdjęła z siebie koc i okryła nim przyjaciółkę.

– Co robisz? – zareagowała Kazia, lecz zaraz jej głowa opadła bezwiednie. Dziewczyna przymknęła powieki i zapadła w głęboki, aczkolwiek niespokojny sen.

– Cii... Śpij i śnij słodko o swoim ukochanym.

Otuliła ją pod samą szyję, a sama wdrapała się na pryczę i owinęła ciało wełnianym, przepoconym płaszczem. Zapamiętała początki, dzień, kiedy tu przyjechały. Było ciemno, barak nieoświetlony, a jej kazano zająć górną półkę. Nie miała pojęcia, jak się tam dostać, poza tym sparaliżował ją odór niemytych, chorych, gnijących ciał. To było straszne. Jakaś kobieta poinstruowała ją, co ma zrobić, powiedziała Stefie, że wciąż pachnie wolnością. Jak to dziwnie wówczas zabrzmiało, dopiero po pewnym czasie zrozumiała sens tych słów.

Mimo ogromnego zmęczenia nie mogła zasnąć. Chrapanie, głośnie jęki, zgrzyty wypełniały ciszę ciemnego wnętrza. Smród panował tu niemiłosierny. Mieszał się fetor niemytych ciał, odchodów, starej krwi, ropiejących ran, potu, zepsutych zębów i wiele innych. Przez szparę w ścianie widziała czarne kontury wieży strażniczej i granatowe sklepienie nieba, na którym jak gdyby nigdy nic połyskiwały gwiazdy. Bez trudu rozpoznała charakterystyczny gwiazdozbiór, nazywany od wieków Wielkim Wozem. Smutek szarpnął jej ciałem, kiedy przypomniała sobie, jak z bratem wiele razy stali na podwórzu, zadzierając głowy do góry. Za każdym razem wyciągał ramię i wskazywał na dyszel. „Patrz, Stefcia. Złamał się”. „To przez Lucypera!” – odpowiadała wówczas ze śmiechem. „Mlecznym gościńcem pędząc cwał w niebieskie progi, aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi” – recytowała ósmą księgę *Pana Tadeusza*, a jej brat kończył: „Teraz popsuty między gwiazdami się wala, naprawiać Archanioł Michał nie pozwala”... Zaciśnęła powieki, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. Tak bardzo tęskniła.

Tarczę księżyca do połowy zasłaniały chmury, które wraz z upływającym czasem zmieniały swoją konfigurację i kształty. Ten widok również przy-

wołał wspomnienia rodzinnego domu, który z każdym miesiącem pobytu w tym okropnym miejscu stawał się jakimś osobliwym obrazkiem z innej bajki. Co robi teraz mama, czy martwi się o nią? Czy wie, gdzie jest? A ojciec, a brat? Co by było, gdyby tego feralnego dnia nie wyszła na spotkanie z Feliksem?

Tatuś właśnie kończył zlecenie, nabijając ostatnią parę fleków na buty sąsiadki, w mieszkaniu unosił się zapach skóry i kauczuku, matka kręciła się po kuchni, przygotowując kolację, a piętnastoletni brat Staszek wdrapał się na ostatnie piętro, aby ze swoim kolegą Tadkiem, równolatkiem, skleić z papieru samolot.

– Tylko wróc przed godziną policyjną! – upomniała ją rodzicielka, kiedy Stefka stała w lustrze, mizdrząc się do swojego odbicia. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, odruchowo jednak poprawiła kruczoczarne włosy spięte w kok tuż nad karkiem, pośliniła palec i przyglądała nim gęste, szerokie brwi, biegnące dwoma zgrabnymi łukami nad wielkimi oczami w kolorze ciemnego orzecha. Zwilżyła językiem pełne, malinowe usta. Podobała się sobie, w znoszonym nieco prochowcu, sukience w groszki zawiązywanej pod szyją na dwie atłasowe wstążki, w skórzanych czółenkach ozdobionych srebrną klamerką, wykonanych przez tatkę.

– Dobrze, mamó! – zdążyła rzucić przez ramię, wysyłając im w pośpiechu krótkiego całusa. Drzwi do warsztatu były otwarte na oścież. Ojciec tylko łypnął okiem znad imadła, ciepły, troskliwy uśmiech rozjaśnił jego szczupłą twarz z sumiastym wąsem. Strzepnął z fartucha popiół z papierosa, którego trzymał w kąciku zaciśniętych ust.

Ulice, mimo środka tygodnia, były zaludnione, choć jakiś złowrogi lęk czał się z każdego zaułka bramy. Do umówionego miejsca miała całkiem niedaleko, bo zaledwie dwie przecznice. Było tuż przed siedemnastą, pierwsze dni wiosny czterdziestego czwartego roku, kiedy szybkim krokiem przemieszczała się poboczem ulicy Konopnickiej, w czasie wojny przemianowanej na Schirrmeisterstrasse. Odgłos stukających o bruk obcasów wzbijał się w powietrze, miesząc się z innymi dźwiękami toczącego się życia. W bramie obok dostrzegła dwóch bijących się wyrostków, nato-

miast w oknie piętro wyżej poruszyła się firanka. Czyjeś czujne oko monitorowało teren, zniknęła doniczka paprotki z parapetu, zastąpił ją wazon bez kwiatów. Miała wrażenie, że ktoś zrobił to celowo, zupełnie jakby chciał ją ostrzec. Do dziś zastanawia się, dlaczego nie posłuchała wewnętrznego głosu, który kazał jej zawrócić. Uczucie było jednak silniejsze. Felek przyjechał na jeden dzień, aby się zobaczyć z matką i z nią. Nie mogła mu odmówić, poza tym tak bardzo za nim tęskniła. Następnego dnia miał wracać do Warszawy, tam zaangażowany był w walkę z okupantem, szykowała się jakaś grubsza sprawa. Tyle się dowiedziała od jego rodzicielki, którą przypadkiem spotkała. Podobno nie chciał zdradzać więcej szczegółów, więc nie wypytywała. Imponowała jej odwaga ukochanego, niezłomność i charakter.

Nie wiadomo, kiedy i skąd u zbiegu Hamburger Strasse i Schirrmeisterstrasse pojawiła się ciężarówka z kipą przykrytą plandeką. Wskoczyło z niej kilku uzbrojonych niemieckich żołnierzy w długich płaszczach i hełmach na głowach. Zygzakiem przecięli skrzyżowanie i wykierowali lufy w stronę przechodniów.

– Łapanka! – krzyknął ktoś za jej plecami, zanim powietrze przeszył głośny wystrzał z karabinu. Jakaś kobieta padła na chodnik z rozłożonymi ramiionami, twarzą do dołu, a pod jej roztrzaskaną głową wykwitła czerwono-brunatna plama krwi. Siatka z ziemniakami upadła na bruk, bulwy potoczyły się po jezdni.

Strach śmignął w powietrzu ostrym jak brzytwa ostrzem, ludzie rozpierzchli się po bramach, podwórkach, klatkach schodowych, szukając drogi ucieczki.

Stefka, sparaliżowana strachem, zatrzymała się na rogu w małej grupce osób usiłujących niepostrzeżenie przebrnąć na drugą stronę jezdni. W tym samym czasie zauważyła, że na pakę ciężarówki wpychane są przypadkowe osoby, które nie zdążyły się ukryć.

Panika odebrała jej rozum, chciała zawrócić i biec w stronę domu, kiedy poczuła na plecach ciężar czyjś ramienia. Mocna ręka szarpnęła ją gwałtownie, zawracając z drogi:



– Halt! – Zatrzymał ją niszczycielski głos.

Jej zdrowa, oliwkowa cera zrobiła się biała jak papier, oczy zaszyły łzami, a w piersiach załomotało ze strachu. Popychana przez niemieckiego żołnierza, ruszyła w stronę ciężarówki. Jakieś ramię wysunęło się ze środka, kiedy zmuszono ją do wdrapania się wyżej. Wkrótce znalazła się wśród ściśniętej, wystraszonej gromadki. Starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety, nawet dzieci. Połączyła ich ta jedna przypadkowa chwila, która zdecydowała o ich losie. Towarzysze podróży, doli i niedoli. Śmierci lub życia. To się dopiero miało okazać. Niewidzialny śmiertcionośny żniwiarz stanął nad ich głowami, zastanawiając się, kogo oszczędzić, a kogo zabrać do krainy wieczności.

– Dokąd nas wywiozą? – szepnęła trwożnie jakaś dziewczyna, mająca na oko może dziewiętnaście lat.

– A kto to wie? – odezwał się z głębi jakiś zduszony, zrezygnowany głos.

Nie liczyła upływających minut, oczyma wyobraźni widziała Feliksa siedzącego na ławce obok skwerku, gdzie się umówili. Pewnie odpalał kolejnego papierosa i niecierpliwie spoglądał na zegarek. W swoim czarnym, skórzanym płaszczu, kapeluszu i popielatej koszuli. „Mój kochany!” – pomyślała o nim, czując w środku dławiący, rozsadzający ból bezradności. „Czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy?”

Na ciężarówce tymczasem zaczęło się robić tłoczno, trzeba było wstać, aby zrobić więcej miejsca. Wrzaski, krzyki, pojedyncze wystrzały nie ustały. W pewnym momencie ktoś zaciągnął plandekę, wszystko wokół na moment zamarło. Po chwili tę błogosławioną ciszę przerwał warkot silnika. Auto szarpnęło i ruszyło z impetem w nieznaną. Przez szparę w dziurawej plandece widziała uciekające znajome zakątki, uliczki, skwerki, kamienice. Chłonęła ten widok, pragnąc zapamiętać jak najwięcej. Bezwiednie zacisnęła pięści. O łapankach słyszała dużo, miała świadomość, że niewiele osób wracało szczęśliwie do domów. Czy ona będzie tą szczęściarą? Przecież nic złego nie zrobiła. Może jednak wszystko zakończy się dobrze? Rozejrzała się niepewnie dookoła, z trudem wykonując ruch, dostrzegając na kamiennych z przerażenia twarzach strach i zwątpienie. Ciasnota

i duszność dopełniały uczucia bezradności i strachu wypełniającego każdą komórkę ciała.

Obóz, w którym się znalazła, nazywano koncentracyjnym, niedawno zwieziono tutaj więźniów z innych, mniejszych podobozów z okolicy Bremy. Wtedy jeszcze nie miała pojęcia, że najgorsze dopiero przed nią.

\*\*\*

Ciężką ciszę przerwał przeraźliwy gwizd. Dołączył do niego znajomy krzyk blokowej.

– Raus, raus!<sup>[3]</sup>

Barak się ożywił. Kobiety zbierały w pośpiechu swoje niedożywione, zmęczone ciała, narzucały na siebie co popadło, wsuwały poranione stopy w drewniane chodaki i gromadziły się przed budynkiem. Przyszedł czas na poranną toaletę. Szły więc jedna za drugą do wydłubanego rowu i tam załatwiały swoje potrzeby. Funkcyjne pośpieszały, nie szcędząc razów i wyzwisk. Nie było czasu na roztkliwianie się nad sobą. Każda z nich była wyposażona w blaszaną miskę, która służyła do mycia i jedzenia. Teraz należało nałapać trochę wody i choć odrobinę przemyć śmierdzące ludzkimi wyziewami ciało. A potem wreszcie upragniona błotnista kawa i ćwiartka czegoś, co nazywano tutaj chlebem. Coś, co miało smak trocin, ale choć na chwilę wypełniało pusty żołądek i na krótki moment dawało poczucie sytości. Jeśli udało się zwalczyć pokusę, aby nie zjeść od razu całej racji, do obiadu było łatwiej wytrzymać. Do obrzydliwej zupy buraczanej, która smakowała jak pomyje. Ale innej, na przemian z kapuścianą, nie było. Należało więc jeść te ścieki, mając nadzieję, że znajdzie się w nich coś gęstszego, może nawet kawałek mięsa. „Jakie życie potrafi być przewrotne” – rozmyślała nieraz, wybierając łapczywie zupę z miski. Z nadzieją, że trafi jej się jakiś smaczny kąsek. A wtedy jej oczy zaśmieją się, a serce zakwili z radości. Każdy taki kawałek to nadzieja na przetrwanie. Czy kiedyś, będąc na wolności, zastanawiała się nad tym? Wciąż wydawała się sobie za gruba. A teraz? Czy po tych kilku miesiącach pracy w obozie rozpoznałaby ją rodzona matka? Ile to już czasu? Pół roku? A może więcej? Obozowe

drzewa zaczęły już gubić liście, a kiedy tu przyjechała, na gałęziach były pąki kwiatów.

– Jak się czujesz, Kaziu? – szepnęła w stronę przyjaciółki, która kawałkiem chleba wycierała dno blaszanego naczynia.

– Chyba wrócił mi apetyt – odparła lekko ożywionym głosem. – Dziękuję za koc. Nie trzeba było...

– Daj spokój, kochana.

Chciała coś jeszcze dodać na pocieszenie, ale w tej samej chwili gruba, szpetna Niemra zakomenderowała jazgotliwie:

– Arbeit! Raus!<sup>[4]</sup>

Znów posypały się ciężkie razy, powietrze przeszyły krzyki i jęki. Jazgot psów wypełnił resztę przestrzeni.

Ciemne niebo zaczynało się przecierać. Nad głowami więźniarek ukazały się jasne pasma chmur na przemian z ognistymi przebłyskami wstającego słońca. Zebrały się piątkami przed barakiem, tworząc na czarnym, błotnistym placu szarą płachtę. Gotowe do kolejnego wyczerpującego dnia pracy, ruszyły znaną im drogą w towarzystwie wykrzykujących blokowych. Podążyły wijącą się do bramy obozu aleją, mijając po drodze wieże strażnicze, rząd ciągnących się w dal drewnianych baraków, kilometry okalających plac drutów, długą, czerwoną szyję pieca, pojedyncze drzewa, wystające zupełnie przypadkiem dla uciechy oka, do rachuby czasu, który miał wypełniony ciężką, ponadludzką pracą, strachem i wszechobecnym widokiem śmierci.

Ta tutaj powszedniała, nabierała całkiem innego wymiaru. Dla jednych była wybawieniem, ucieczką, kresem cierpienia, w oczach innych wciąż budziła przerażenie. Stosy nagich, nieludzko chudych ciał, szkieletów obciążniętych wałkami skóry nie były już czymś szokującym. Unoszący się nad dachami obozowiska gryzący dym uświadamiał tylko, że życie jest czymś tak ulotnym jak ta sunąca wolno, szara chmura na niebie. Oby tylko jak najmniej bolało, oby nie cierpieć zbyt długo – zdawały się mówić lęklonie zaciśnięte w kreskę usta i wpatrzone w to cmentarzysko pary żywych

jeszcze oczu. Jeszcze tłących się nadzieją, jeszcze wypatrujących za obozowe ogrodzenie, za którym ubita szosa biegła radośnie w stronę wolności. A może? A może warto zawalczyć o kolejny dzień, może któregoś dnia przyjdzie wybawienie, może jeszcze zjemy syty obiad złożony z mielonego kotleta z buraczkami, może napijemy się wina z ukochanym i doświadczymy pierwszego cielesnego zbliżenia?

Stefka zacisnęła zęby, bo kotłujące w jej głowie myśli aż rozsadały od środka.

– Uciekniemy stąd! – odważyła się powiedzieć swoim wewnętrznym głosem. – Uciekniemy z tego piekła!

\*\*\*

Miały do pokonania jakieś osiem kilometrów. Korowód szarych, wycieńczonych cieni włókł się noga za nogą, potykając o siebie, kaszłąc, chrypiąc, jęcząc, mijając po drodze niemieckie domostwa, gdzie powoli budziło się życie. Psy dobiegały do ogrodzeń, instynktownie broniąc swojego terenu, warcząc i obszczekując intruzów, w oknach zapalały się światła. Oczyma wyobraźni widziały krągłe kobiece ciała pod rozgrzaną pierzyną, przytulone do czyichś szerokich ramion obleczonych w bawełniane, czyste koszule. Gorąca herbata, jajecznica na bekonie, kromka świeżego chleba z masłem marzyła się teraz każdej z nich, a snujący się cienką strużką dym z kominów budził jeszcze większą tęsknotę za rodzinnym domem. Wczorajszy śnieg zapadł się w mokrych grudach ziemi, niemal tyse drzewa torowały im drogę po obu stronach drogi, przyglądając się maszerującym kobietom w grobowym milczeniu.

Zaraz też ich oczom ukazały się bure o tej porze paski pól, zaś w oddali dostrzegły kopiących rowy mężczyzn, ubranych podobnie jak one w pasiaki, z naszytym na plecach znakiem oznaczającym narodowość, pochylających się nad ciężką, wilgotną ziemią, grzęznących w glinie, błocie, w mokrych, ulepionych ubraniach, zziębniętych i wycieńczonych. Stefka pomyślała, że mimo wszystko jej i tym obok współtowarzyszkom niedoli poszczęściło się, bo zostały przydzielone do pracy do niemieckiego bauera –

właściciela okazałej posiadłości i ogromnego gospodarstwa, które należało obrobić. Wcześniej zatrudniał w nim mężczyzn, kiedy jednak Hitler zmusił ich do wstąpienia do armii, brakowało rąk do pracy. Zostało kilku niedobitków, ale to wciąż za mało. Więźniarki z oddalonego kilka kilometrów obozu okazały się doskonałym rozwiązaniem. Ta gałąź niemieckiej gospodarki nie mogła przecież upaść, dzięki niej żołnierze mieli co jeść i naród niemiecki nie tracił nadziei na zwycięstwo. Teraz szły posłusznie, poganiane przez kapo i pokrzykujące blokowe, by po chwili znaleźć się na ogromnym, uporządkowanym terenie pełnym murowanych z czerwonej cegły, solidnie zbudowanych budynków. O tej porze roku, czyli wtedy, kiedy wszystkie zbiory zostały zwiezione, pola zorane i zasiane, obory, chlewnie, stodoły zapewniały robotę od wczesnego rana do późnego wieczora. Sam właściciel – stary obleśny Niemiec o imieniu Franc – nie został zwerbowany do wojska. Może z powodu podeszłego wieku, może z powodu trawiących go chorób. Wszakże wiadomo było, że jego dwóch dorosłych synów walczyło teraz na froncie, a ich młode żony oraz matka drżały o ich życie. Stary Franc był wstrętnym, okrutnym człowiekiem. Nie miał litości dla uchybień, opuszczania się w pracy, lenistwa czy nieróbstwa. Potrafił podejść i bez ostrzeżenia złożyć plecy grubym nahajem tak, by zrobić z nich krwawą miazgę. Po takiej karze szanse na wyzdrowienie były raczej nikłe, dlatego każda z nich uważała, aby nie narazić się na jego gniew. Dla niego więźniarki z obozu nie miały twarzy, ciała, duszy. Były podludźmi, którzy narodzili się po to, aby służyć niemieckiej, dumnej rasie.

Stefka z Kazią zostały przydzielone do chlewu. Karmiły świnie, czyściły kojce, koryta, wymieniały słomę, wywoziły gnój do gnojownika. Czasem w ciągu dnia udało im się zamienić kilka słów, spojrzeń czy gestów. Wszystko w porządku? Jak się czujesz? Wytrzymasz? Każdy z tych sygnałów dawał im poczucie wspólnoty, wzajemnego oparcia i zrozumienia. Tego teraz potrzebowały.

– Niedługo obiad, zobaczymy, co nam dzisiaj dadzą. – Próbowwała się uśmiechnąć do koleżanki, która pochylona nad kojcem odgarniała widłami gnój. Na plecach miała naszyty kawałek materiału z literą P – oznakowanie

piętnujące pochodzenie. Ludzi wywożonych z Polski i Związku Sowieckiego w nazistowskim żargonie określano jako „Ostarbeiter”. Nie tylko podlegali dyskryminującym dekretem specjalnym, ale skazani byli także na całkowitą samowolę gestapo i innych funkcyjnych. Zupełnie tak samo jak ona.

– Pewnie buraczana, jak zawsze. Na moje chore kiszki w sam raz – zapkiła w przelocie, rozglądając się jednocześnie bacznie wokół siebie. Nie chciała teraz trafić pod czujne, uważne oko kapo, które monitorowało cały czas pracę więźniów.

Kazię poznała podczas transportu do obozu. Stały obok siebie w wagonie bydłowym, najpierw zupełnie sobie obce, a później, w miarę upływu godzin, coraz bardziej otwarte i bliskie. Dziewczyna miała piękne blond loki, alabastrową cerę i błękitne jak ocean źrenice. Teraz, kiedy Stefka patrzyła na jej łysą głowę zasłoniętą szarą chustką, zapadnięte policzki i na oczy, w których już dawno zgasł ogień, ogarniał ją żal. Cały czas mówiła jej o tym, próbując podtrzymać na duchu. Tamta jednak zdawała się nie rozumieć tych drobnych powodów do radości.

Dni pracy w gospodarstwie zimą były podobne jeden do drugiego. Karmienie zwierząt, dojenie krów dwa razy dziennie, przygotowywanie mleka do transportu, wywożenie gnoju, przebieranie kartofli, młócka, odplewianie, nawożenie kiszzonek i wiele innych. Stefka była wdzięczna losowi za to błogosławieństwo. Przecież mogła trafić gorzej. Do kopania rowów, nie daj Boże, albo do produkcji broni. Wiedziała od innych, że warunki pracy w fabryce były straszne. Większa kontrola, nacisk na efektywność, uprzedzenia wobec Słowian, które były źródłem dodatkowych zniewag i prześladowań. Praca w niemieckim gospodarstwie stanowiła przywilej. Wiązała się z ciepłem oddawanym przez zwierzęta, mniejszym głodem, mniejszą częstotliwością razów na plecach. Jedzenie też było lepsze. Czasem nawet mogły liczyć na pajdę chleba czy kubek mleka prosto od krowy. To był już luksus, który rzadko miał miejsce, a jednak się zdarzał.

Posiłek wjeżdżał w kotłach na podwórko około godziny czternastej. Wyciągały wtedy metalowe miski przytroczone do ciała, z którymi zwykle się

nie rozstawały, łyżki zatknięte w kieszeń fartucha, i stały w kolejce po swoją porcję. Po zjedzeniu wszystkiego do ostatniego okruszka zwykle miały kilkanaście minut na odpoczynek. Opierały plecy o cokolwiek i zasypiały ze zwieszoną na piersi głową. Chwilowo napelniony żołądek rozleniwiał się, zwalniał, powodował błogość i pewną nostalgię. Śniły wówczas o swoich domach, o ukochanych, dzieciach, rodzicach, znajomych. Mogły choć na kilka minut ulec złudzeniu, że gdzieś daleko stąd istnieje normalny świat, gdzie nie ma przemocy, zła i śmierci, gdzie dobro zwycięża i ludzie potrafią się uśmiechać. Budził je dopiero krzyk. Stawały na baczność w sekundzie, a już w drugiej znajdowały się na swoich stanowiskach pracy. Czasem przychodził sam gospodarz, rzucał okiem na pracujące, poczuł, krzyczał po niemiecku, budząc w każdej strach. Oddychały z ulgą, widząc, jak wraca do swojego czystego, pachnącego ciepłą strawą domu, do pulchnej żony i stadka wnucząt, które rozkrzyczane biegały po ogrodzie.

Kilka razy zdarzyło się, że kiedy więźniarki pracowały na podwórku, nadlatywały alianckie bombowce. Kobiety wiedziały, że nasilone ataki spowodowane są znajdującą się nieopodal fabryką amunicji – obrywały bowiem miasta, na terenie których Niemcy zlokalizowali ważne obiekty – a one mimo woli zostały wciągnięte w wir tych katastrofalnych wydarzeń. Gospodarz z rodziną i kilku esesmanów kryli się wówczas w piwnicach budynku mieszkalnego, a więźniarki i funkcyjni szukali schronienia na oślep. Podczas jednego z takich nalotów Stefka z Kazią i kilkoma innymi ukryły się w szopie z narzędziami. Nie było to rozsądne, ale każda z nich szukała po prostu ocalenia. Kiedy ryk samolotów stał się nie do zniesienia, a z nieba zaczęły spadać niszczycielskie bomby, wydawało się, że ich los jest już przesądzony. Żarliwe modlitwy współtowarzyszek tylko potęgowały strach.

Raz Stefka była świadkiem, jak Maria Zięba, kobieta z Polski, schowała się pod wozem stojącym na środku posesji. Wóz był załadowany workami zboża i czekał na transport do młyna. W pewnej chwili bomba runęła w centrum podwórza, w sam środek wozu, zostawiając w ziemi ogromny,

kilkumetrowy lej. Jeszcze długo złote ziarenka pszenicy wirowały w powietrzu, a krew i części rozerwanego ciała widać było na sztachetach drewnianego płotu. Znów śmierć. Niby spowszedniała, a jednak nie ta, nie taka, nie teraz, nie w tej chwili, nie dziś i nie jutro. Kilka minut po nalocie wszystko wracało do normy, funkcyjni szli na swoje pozycje, a kobiety zmuszone były zebrać szczątki ciała w jedno miejsce. To ciało musiało powrócić do obozu, liczba w bloku powinna się zgadzać, nie inaczej.

Stefka dużo myślała o tym, jak wydostać się z obozu. Pragnienie wolności towarzyszyło jej każdego dnia, od przyjazdu tutaj. Nie mogła już znieść tych wszystkich potworności, zatem ucieczka wydawała się jedynym rozwiązaniem. Planowała ją już od dawna. W tym celu przekupiła lagerkapo z bloku numer osiem, w którym segregowano rzeczy wszystkich aresztowanych. Oddała mu swój chleb, żeby zdobyć cywilne ubranie. Wtedy akurat umierała dwudziestoletnia dziewczyna znad Wisły, która do obozu trafiła zaledwie kilka tygodni wcześniej. Kiedy zaczęła trawić ją gorączka, Regina straciła apetyt. Podarowała więc swoją rację Stefce, a sama odeszła cicho kolejnej nocy. Żadna z więźniarek nie spodziewała się tej śmierci, dlatego nad ranem widok młodziutkiej, bladej i nieruchomej współtowarzyszki do i niedoli wstrząsnął ich sercem do granic możliwości. Chciały ją jakoś pochować, choć wiedziały, że to niemożliwe. Odmówiły więc tylko koronkę nad jej ciałem i przymknęły powieki dziewczyny, które w jakimś ostatnim odruchu rozwarły się, by ukazać przerażone źrenice. Gdy tylko rozeszła się wieść, szpetna Berta zarządziła czyszczenie pryczy. Przyszły cztery kobiety z innego bloku i zabrały Reginę. Zdarły z niej ostatnie pocerowane szmaty i taką zupełnie nagusieńką rzuciły na stertę innych ciał leżących na okrągłym placyku pod płotem. Kazia zdążyła tylko chwycić koc, którym przykryta była dziewczyna, i ukryła go pod swoim płaszczem. Jej już nie będzie potrzebny, a im mógł uratować życie. Ona już była wolna, jej dusza unosi się teraz nad dachami baraków, nad wstęgą ciągnącego się w nieskończoność kolczastego ogrodzenia, nad wieżyczkami strażniczymi. Już nie sięgnie jej żadna kula, nie porazi prąd, nie zaboli uderzenie pałką, nie wbije się w jej nogę psi kiel. Regina była już poza zasięgiem tych potworności.



Powrót komanda po dwunastu godzinach harówki był kolejną gehenną. Zmęczone, na skraju wytrzymałości, zziębnięte, marzyły już tylko o kolacji i położeniu ciała gdziekolwiek. Wiedziały jednak, że najpierw czeka je apel, liczenie, a jeśli okazałoby się, że którejś brakuje, będą znów stały na dworze w nieskończoność, a blokowe dadzą im popalić, wyladowując złość na przypadkowych osobach. Co gorsza, ucieczka jednej mogła oznaczać wyrok śmierci dla innych.

Tym razem nikogo nie brakowało, wszystkie się odliczyły, odetchnęły z ulgą i mogły rozejść się do bloków, ustawić się w kolejce po ćwiartkę razowego chleba, kostkę marmolady i zjełczalej margaryny. Jak dobrze pójdzie, żadna z nich do rana nie umrze. Martwiły się wprawdzie o Małgoškę. Jej ciąża była coraz bardziej widoczna. Bały się, że jak blokowa coś zauważy, natychmiast przeniesie ją do innego baraku. Tam mogłaby sobie już nie poradzić. Tutaj miała przynajmniej pomoc. W baraku były niemal same Polki, oprócz dwóch Rumunek i jednej Czeszki. Te trzy nie czuły się jednak wyeliminowane, porozumiewały się trochę na migi, a trochę po niemiecku. Czasem któraś z nich wtrącała coś we własnym języku, ale wspólna niedola sprawiła, że zaczęły rozumieć się niemal bez słów. Wystarczyło czasem spojrzenie, drobny gest, a już wiedziały, co robić i jak się zachować, aby nie stwarzać zagrożenia dla innych.

Wieczory poświęcały zwykle na iskanie. Plagą obozu były wszy. Dzieliły się na dwa rodzaje: wszy odzieżowe i wszy roznoszące tyfus. Ta choroba oznaczało jedno – śmierć. Niemcy osoby chore natychmiast rozstrzeliwali, chyba że pielęgniarka przekłamała diagnozę. Tak się kiedyś zdarzyło. Stefka pracowała wówczas w innym komandzie. Była to praca niezwykle uciążliwa, polegająca na oczyszczaniu pola pod budowę nowych torów kolejowych. Więźniarki przez kilkanaście godzin dziennie zbierały ogromne, ciężkie kamienie i przenosiły je w fartuchach na taczki. Potem z tymi załadowanymi taczkami trzeba było pokonać spory odcinek drogi i dotrzeć do ogromnego kopca po drugiej stronie rzeczki, nad którą biegła drewniana kładka. Ta stanowiła największy problem, ponieważ była wąska i chybliwa. Przejście po niej z tawką załadowaną kamieniami bez najmniej-

szego uszczerbku graniczyło z cudem. Tymczasem nad pracami czuwały strażniczki. Uzbrojone w pejczy i kije, często w towarzystwie specjalnie szkolonych wilczurów – nie znały litości. Każda, która wywróciła się po drodze, dostawała baty, te zaś lądowały najczęściej na głowie, ramionach, plecach. Po takich razach trudno było dojść do siebie, niektórym z kobiet, tym delikatniejszym, nie udawało się przeżyć.

Wycieńczone ciała pozbawione podstawowej higieny, wygłodzone i przemarznięte, bardziej niż inne narażone były na zarażenia. Stefania po kilku tygodniach takiej harówki zachorowała. Jeszcze wtedy funkcyjną była inna Niemra – Helga, która wysłała ją na blok numer pięć. Tam pracowała węgierska pielęgniarka o imieniu Eszter. Dziewczyna popatrzyła wówczas na ledwie stojącą o własnych siłach Stefkę, niemal zieloną na twarzy, i mrugnęła do niej porozumiewawczo. Wtedy właśnie do baraku wszedł niemiecki oficer. Zapytał, co dolega więźniarce, na co Eszter odważnie powiedziała: *grippe*. Tym przesądziła o losie młodej Polki, pozostałych więźniów, u których zdiagnozowano tyfus, jeszcze tej samej nocy wysłano do gazu. Kolejnym cudem było to, że po wyleczeniu Stefkę przydzielono do innego komanda i tam znów spotkała Kazię. Tak trafiła do niemieckiego bauera.

\*\*\*

Parobek Johann opuszczał teren gospodarstwa w czwartki krótko po czter-nastej trzydziści. Był wysokim barczystym Niemcem z płową głową i ja-snymi oczami. Gdyby nie wojna, uprzedzenia, kto wie... Niejedna za nim wypatrywała, kiedy krzątał się po podwórzu, zajęty swoją robotą. Zabierał worki wymłóconego, oddzielonego od plew zboża i zawoził je do młyna, który znajdował się jakieś dziesięć kilometrów od wioski. Stamtąd zmie-lone na mąkę ziarno wędrowało do piekarni, ta z kolei zaopatrywała nie-mieckie oddziały wojska w chleb. Dokładnie wtedy, kiedy zaraz po obiedzie każda z nich zapadała w krótką drzemkę, blokowe też stawały się jakieś niemrawe, siadały we własnym gronie, na uboczu, niektóre drzemały, a niektóre świergotały po swojemu. To był najwłaściwszy czas na ukrycie

się w aucie pod plandeką między wypchanymi, ciężkimi workami. Były na tę ewentualność przygotowane, miały bowiem na sobie zakryte pasiakami szare sukienki, które Stefce udało się załatwić za rację żywności. Plan wydawał się prosty, choć zawsze ktoś mógł zobaczyć, jak wdrapują się na pakę, zwłaszcza gospodarz, który o tej porze wychodził przed dom na papierosa. Psy, jazgotliwe kundle, dały się już trochę oswoić, dziewczyny rzucały im od czasu do czasu resztki karmy dla świń, zwykle był to kawałek uparowanego kartofla, który wygrzebywały z koryta, błyskawicznie zamykały w dłoni, następnie chowały w kieszeni fartucha.

Tym razem Johann postawił ciężarówkę tuż za świniarnią, obszedł samochód dookoła, pozamykał szczelnie burty, po czym poszedł zagadywać gospodarza. Poprosił o papierosa i ogień. Chwilę porozmawiali, wreszcie chłopak się pożegnał, wyciągając energicznie ramię w stronę bauera, by w ten sposób oddać hołd Rzeszy.

Moment wydawał się idealny, wiedziały, że kierowca pójdzie jeszcze do ustępu, gdzie załatwi swoje fizjologiczne potrzeby, potem obmyje ręce w wiadrze pod oborą i zamieni kilka słów z blokowymi. Wszystkie próbowały go uwieść, zwłaszcza szpetna Berta, która posyłała mu co jakiś czas porozumiewawcze spojrzenia. Wyglądało na to, że mężczyzna nie jest zainteresowany bliższą relacją z brzydką Niemrą, jednak miłe usposobienie nie pozwalało mu na obcesowe zachowanie, dlatego za każdym razem przystępował do grupki odpoczywających kobiet i ucinał sobie z nimi niezobowiązującą pogawędkę. Zanim to jednak nastąpiło, Kazia mrugnęła w stronę przyjaciółki, dając jej dyskretny znak, że już czas. Stefka skinęła twierdząco i zrobiła kilka kroków w tył. Kazia wiedziała, że przyjaciółka chce jeszcze chwycić coś na przynętę, w razie gdyby psy zaczęły nieoczekiwanie jazgotać.

Ale właśnie wtedy stało się coś strasznego. Do Stefki dopadła Anita – funkcyjna, która w poczuciu wyższości swojej rasy nad inną w niczym nie odbiegała od Berty. Bezpośrednio z tą fanfaronadą łączyło się też okrucieństwo i wszelkie zło. Zupełnie jakby poprzez znęcanie się nad słabszymi

chciała wyleczyć wszystkie swoje kompleksy. Brzydotę nie tylko duszy, ale i ciała.

– Dieb, dieb!<sup>[5]</sup> – zaczęła wrzeszczeć.

Przylapała więźniarkę, gdy ta próbowała schować w kieszeń kawałek uparowanego kartofla. Stefka myślała, że nikt jej nie widzi, każdy był czymś zajęty, jedni drzemką, inni gadaniem, a jeszcze inni wizytą w ustępie. Nie miała pojęcia, że ryżawa ją od jakiegoś czasu obserwuje. Najpierw zdzieliła ją nahaem przez plecy, aż ta upadła, uderzając się o kamienny bruk, rozcinając sobie łuk brwiowy, potem zaczęła ją kopać i okładać kijem. Stefka bronila się przed razami, bezradnie krzyżując przed sobą przedramiona i ręce. Kawałek kartofla, dowód zbrodni, wypadł z fartucha i potoczył się po bruku. Wtedy podbiegł kundel, capnął go w sekundzie i nie było już po nim śladu. Niemra jednak nadal okładała więźniarkę, a pozostałe patrzyły z boku przerażone, nie mogąc nic zrobić. Kazia stała nieopodal z opuszczonymi ramionami, trzęsąc brodą i dzwoniąc zębami. Wiedziała, że jedno niewłaściwe posunięcie zgubi nie tylko Stefkę, karę mogą ponieść pozostałe. Anita wciąż nie przestawała. Leżąca się strumieniem krew jeszcze bardziej ją rozochociła, ponadto miała doping, spod surowej ściany wyłożonej snopami słomy niósł się bowiem rozbawiony, ociekający okrutną drwiną głos kapowych:

– Tote diesen kadavar! Weiter! Weiter!<sup>[6]</sup>

Na to wszystko wszedł Johann. Ściągnął go nie tylko rozpaczliwy krzyk, ale i ciekawość. Scena, którą zobaczył, najwyraźniej nim wstrząsnęła, bo zaniemówił na chwilę. Wreszcie nie wytrzymał, jednym susem znalazł się przy Anicie i zdecydowanym ruchem przytrzymał jej ramię.

– Genug jetzt!<sup>[7]</sup>

Oczy ryżawej zrobiły się okrągłe ze zdumienia, czerwona, brzydka twarz skrzywiła się, szpecąc ją jeszcze mocniej. Szarpnęła ręką, w której tkwił zakrwawiony kij.

– Tote nutzen nichts!<sup>[8]</sup> – warknął chłopak, nie zwalniając uścisku.

Chwilę szamotali się, próbując przeciwważyć siły, kiedy niespodziewanie dobiegł do ich uszu warkot nadlatujących bombowców. Ryk pracujących maszyn z sekundy na sekundę stawał się nie do zniesienia.

– Nalot, kryć się! – krzyknęła jedna z więźniarek, na co inne zerwały się ze swoich dotychczasowych miejsc i w panice chowały, gdzie popadło. Funkcyjne też skoczyły jak oparzone i ruszyły biegiem w stronę betonowej ziemianki, którą wybudowano na te nieszczęśliwe okoliczności.

Mężczyzna puścił rękę ryżawej Anity, a ta rzuciła się pędem za kolegami, zapominając o bitej więźniarce i sprzecznie młodego Niemca. Liczyło się dla niej własne życie, nic ponadto. Niemalże w tym samym momencie gruchnęło, ziemia się zatrzęsła, zajęczała, a potem rozdarła, wyrzucając ze swoich wnętrzności twarde grudy, tworząc przed oczami widzów istny pokaz fajerwerków. Fruwało w powietrzu confetti ze słomy, fragmentów desek, kawałków cegieł i dachówek. W uszach Stefki zadzwoniło, mocniej przyłgnęła do klepiska, nie patrząc w stronę szeroko rozwartych wrót stodoły. Zrobiło się ciemno, gryzący dym wypełnił nozdrza, gardło zakleszczyło się z suchości. Bała się poruszyć, choć rozsądek kazał jej podnieść głowę i rozejrzeć dookoła.

– Kazia! – wyjęczała, nie widząc przyjaciółki.

Jej wzrok zdążył tylko zarejestrować wyrwany fragment ściany budynku, rozsypane worki z mąką, rozrzucone snopy słomy i spoglądające na nią upiornie oczy zwierzęcej głowy, która wylądowała nieopodal. Dziewczyną wstrząsnęło przerażenie, skóra kolejny raz ścierpła na plecach. W pierwszym odruchu chciała krzyczeć, ale w drugim powstrzymała się od tego zamiaru, dostrzegając leżącego obok na brzuchu Johanna.

Wyciągnęła rękę, szturchając go lekko. Tamto niedawne zdarzenie dodało jej odwagi, by to zrobić. Poczwała, że z mężczyzną łączy ją teraz jakaś nierozzerwalna nić porozumienia.

Podniósł głowę, podparł się łokciami, spojrział w jej stronę. Potem z trudem podciągnął resztę ciała i klęknął. Przetarł uszy, w których wciąż dzwoniło, potrząsnął głową, strzepując z niej źdźbła słomy i siana. Jego twarz

i ubranie było całe ubielone od mąki. Następnie pomógł jej wstać i pchnął lekko w stronę uchylonych wrót.

W tej samej chwili rozległ się głośny lament. Jedna Niemra darła się wniebogłosy, klęcząc nad drugą. W rannej rozpoznała ryżawą, leżała na rozprutej ziemi pod rozdartą na strzępy szopą i ledwie dychała. Jedno jej ramię pozbawione dolnej części drgało otwartym krwawiącym kikutem, masą żywego mięsa i płątaniną przerwanych naczyń. Nad nią pochyliły się inne, otoczyły poszkodowaną w kółeczku i biadoliły coś w zniechęconym języku. Ocalałe więźniarki, które wyszły ze swoich kryjówek, przyglądały się temu wszystkiemu bez odrobiny współczucia. „Ma to, na co zasłużyła, Bóg ją wreszcie pokarał!” – pomstowały w duchu.

Stefka tymczasem dostrzegła kryjącą się za chlewem Kazię, ta przerażona przecierała zasypane ziemią, kłujące pod powiekami oczy.

– Żyje! – Stefania na widok przyjaciółki wydała z siebie jęk, jednocześnie zalała ją fala niespodziewanej radości. Sama już nie czuła bólu związanego z pobiciem, adrenalina robiła swoje. Wtedy też dostrzegła kierowcę, który nagle wskoczył do auta i uruchomił silnik. Miała nieodparte wrażenie, że dawał jej wzrokiem znak, aby ukryła się pod plandeką. „To jest ten moment!” – rozbłysła w jej głowie odkrywczą myśl. „Drugiej takiej chwili już nie będzie!” Nie zastanawiając się dłużej, poderwała się z miejsca. W sekundzie była przy Kazi, chwyciła ją za poły fartucha i pchnęła zdecydowanie w stronę ciężarówki.

– Wskakuj, szybko!

– Stefka? Co ty robisz? – Tamta spanikowała.

– Wskakuj! – powtórzyła zacięcie. – Nie ma czasu na zastanawianie się!

Na podwórzu pod ziemianką gromadziło się coraz więcej ludzi, przybiegł też gospodarz i jego rodzina. Lamenty były coraz głośniejsze. Johann spoglądał na więźniarki z bocznego lusterka, czekając, aż obie bezpiecznie wylądują we wnętrzu ciężarówki.

Kazia podała Stefce rękę i obie wskoczyły na pakę. Ukryły się w samym końcu, tuż przy kabinie kierowcy, nakryły plandeką, wcisnęły się za worki ze zbożem. Johann ruszył ociężale, po czym zatrzymał się jeszcze przy wy-

jeździe. Jedna z więźniarek otworzyła bramę, nikt nie sprawdził zawartości ładunku, wszyscy zaabsorbowani byli ranną, drącą się wniebogłosy funkcyjną. Ciężarówka opuściła teren gospodarstwa i potoczyła nierówną, ubitą drogą w stronę młyna.

\*\*\*

Samochód podskakiwał na wybojach, a worki ze zbożem przyciskały ich wątłe, niedożywione ciała do twardej powierzchni naczepy. Nad ich głowami drgał rytmicznie sufit z derek. Stefa czuła, że dłużej tego nie zniesie. Tej szalonej jazdy, nerwówki, niepewności. Turkot kół sprawiał, że nie słyszały nic ponadto. A powinny.

Auto toczyło się po nierównej drodze jakiś czas, dopiero po kilkunastu minutach Stefka podniosła lekko plandekę, chcąc zlustrować teren, który mijaly. Przed nimi rozpościerał się widok na gołe o tej porze roku pola, z rzadka porośnięte drzewami. Chwilę później podrygujący na wybojach samochód wjechał w szutrową drogę, po której po obu stronach ciągnął się pas lasu. Przyjazny tej sytuacji zmierzch otulił okolicę.

Zastukała w kabinę kierowcy, ten zrozumiał sygnał, bo nagle zwolnił.

– Teraz! – postanowiła i szarpnęła koleżankę za ramię. – Wyskakujemy!

– Nie dam rady! – sprzeciwiła się przerażona Kazia. – Połamamy sobie nogi!

– Wolę połamać nogi, niż zostać w tym piekle! – syknęła Stefka. – Szybko! Nie mamy czasu!

– Ty pierwsza! – rzuciła Kazia lękliwie.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała Stefka. – Jeszcze ci coś przyjdzie do głowy.

Ciężarówka akurat zawinęła na zakręcie, przechyliła się na jedną stronę, gdy dziewczyna zdecydowała się zeskoczyć z paki. Runęła w zaśnieżone krzaki, powstrzymując się od jęku. Poczwała, że skręciła kostkę. Skuliła się, patrząc bezradnie, jak samochód niebezpiecznie się oddala. W tym momencie z przeciwka nadjechał drugi pojazd. Mrugnęły porozumiewawczo

światła, zatrzymały się na tej samej wysokości. Uchyliły się szyby od strony kierowcy w obu pojazdach, mężczyźni wymienili kilka grzecznościowych zdań.

– Zdrajca! – syknęła Kazia, nie mogąc opanować przerażonych myśli. W głowie układał jej się najbardziej czarny scenariusz. Zaraz wyciągną z naczepy Stefkę i odeślą ją do obozu... Zdradził je, dla pochwał, pieniędzy, niemieckiej dumy... i czego jeszcze?

Zanim dokończyła tę strasliwą myśl, dostrzegła, że furgon jadący z przeciwka ruszył, potoczył się po nawierzchni drogi i minął ją, ukrytą w krzakach. Odetchnęła, kiedy zniknął jej z oczu za zakrętem.

W tym momencie zobaczyła Stefkę, która uchyliła plandekę i zdecydowanie skoczyła w zakole ubitej szosy. Zrobiła kilka fikołków, zanim wylądowała w kępie oszroniałych krzaków. Widziała, jak zwinięta kulka przetacza się po poboczu. Samochód ruszył przed siebie, mrugając na pożegnanie wstecznymi światłami. Kazia podniosła się z trudem i zaczęła czołgać w jej stronę. Kostka cały czas dawała o sobie znać.

– Nic ci nie jest? – rzuciła zdyszana, kiedy już zbliżyła się dostatecznie blisko do przyjaciółki.

– Nie, na szczęście nie – wyjęczała Stefa, masując obolałe ramię. – Już wszystko w porządku.

– To dobrze. Tylko co teraz? Co my zrobimy w tym obcym lesie?

– Jak to co? Pobiegniemy dalej, wstawaj! Nie traćmy chwili czasu!

– Skręciłam kostkę.

– Trudno. Nie mamy wyjścia! Idziemy! – zakomenderowała stanowczo. – Później będziemy się nad sobą użalać. Musimy gdzieś się przebrać i ukryć te cholerne pasiaki!

– Ty to jesteś miła, wiesz? – rzuciła Kazia w jej stronę. – Ani odrobiny liwości.

– Nie czas na współczucie, idziemy!

Wstała niechętnie, wsunęła drewniak na obolałą stopę i ruszyła do przodu, utykając na prawą nogę.



– Będzie dobrze, Kaziu, zobaczysz – sapnęła Stefka do jej pleców, kiedy już pokonały spory odcinek drogi. – Jak tylko skończy się las, znajdziemy jakąś wieś i może ktoś nam pomoże.

– Może – odparła chmurnie Kazia, zachłystując się ciężkim, mroźnym powietrzem.

\*\*\*

Szczekanie gospodarskich psów z jednej strony rzuciło cień nadziei, z drugiej wprowadziło w stan ogromnego zdenerwowania. „A jeśli już nas szukają?” – przemknęło Stefce przez myśl. „Jeśli zorientowali się wcześniej?”

Według jej szacunków miały jakieś pięć godzin, zanim blokowe zorientują się, że kogoś brakuje. Pięć godzin. Wciąż parły do przodu, a jednak nie opuszczało jej przekonanie, że to za mało. Tamci mieli samochody, psy, broń. A one? Tylko wolę życia i coraz mniej sił. Nic ponadto.

– Jest rzeka i mostek – rzuciła zdyszana Kazia. – Zostawmy tu te cholerne rzeczy. Psy nie wyczują, a my pozbędziemy się dowodów.

Po chwili zanurzyły pasiaki w wodzie i przycisnęły kamieniami.

– Tutaj nikt ich nie odkryje – uznały z nadzieją.

I znów szły dalej. Mijały prostokąty pól, właściwie wlokły się, grzęznąc w na poły zamarznętej ziemi. Bały się zatrzymać i prosić o pomoc. Wycie gospodarskich psów tylko potęgowało strach, mrok gęstniał, głód dawał o sobie znać coraz silniejszymi skurczami żołądka. Okruchy suchego chleba, który zgromadziła Stefka jeszcze przed ucieczką, kończyły się. Wyjęła ostatni i dała przyjaciółce.

– Weź! Doda ci sił.

– A ty?

– Ja już jadłam. – Zacisnęła zęby. – Musimy iść dalej. Wytrzymaj, Kaziu, jeszcze trochę.

– Nie mam już siły! Nie dam rady! – jęknęła dziewczyna, kładąc się na pokrytym szronem poboczu ścieżki. – Dalej idź sama.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała Stefa. – Wstawaj! – pochyliła się, szarpnęła przyjaciółkę za ramię. Chcesz się zobaczyć ze swoim Władkiem? Z rodzicami, z siostrami?

Kazia podniosła się na te słowa, jej liche odzienie nie chroniło przed zimnem. Drewniane chodaki zsuwały się z nóg, stopy zdawały się jedną wielką żywą raną.

– Błagam! Jeszcze trochę! Widzisz tam, w oddali? Pałą się światła, są zabudowania. Pójdziemy i poprosimy o pomoc. Przeczucie mi mówi, że tam na pewno ktoś nam udzieli schronienia, powiemy, że się zgubiłyśmy. Albo że szukamy pracy. Może gdzieś tutaj mieszkają dobrzy ludzie... – rzuciła z nadzieją w głosie. – Musimy iść dalej. Wytrzymaj!

Kazia powlokła się za nią, oddychając z coraz większym trudem i mocniej utykając na nogę. Noc zapadła niepostrzeżenie, zatapiając okolicę w ciemności, kładąc się na jasne, spowite białą poświatą pola, tworząc przed oczami niezwykle kontrast. Szuranie nie ustawało, szły, zostawiając za sobą zygzakowate ślady. Nim spostrzegły, znalazły się na powierzchni wodnego zbiornika pokrytego o tej porze niebezpiecznie cienkim lodem. Chciały go ominąć, iść brzegiem, kiedy do ich uszu dotarło głośnie ujadanie psów. Towarzyszyły temu krzyki i nawoływania.

„Już po nas!” – przemknęło Stefci przez głowę, ale obie resztką zdrowego rozsądku rzuciły się w stronę głębin jeziora. Położyły na cienkiej krze i zaczęły sunąć na drugą stronę, licząc, że lód się pod nimi nie zapadnie.

Po chwili coś zaskrzypiało złowrogo i grunt się pod nimi usunął. Najpierw wpadła Kazia, wydając z siebie słaby okrzyk, za nią Stefa. W pierwszej chwili poczuły dżganie tysięcy igieł, w drugiej śmiertelny chłód. Chwytyły się naderwanej kry i próbowały wyjść, ale bez skutku. Lód pękał i nie dawał żadnej podpory.

Na szczęście pod nogami poczuły grunt. Zbiornik okazał się płytki. Najgorsze jednak miało dopiero przyjść. Szczekanie wilczurów nie ustawało, z upływem czasu stawało się coraz głośniejsze. Wyjące echo niosło się po polach, wywołując obezwładniający strach. Dostrzegły też w oddali migoczące światła latarek przeczesujących teren.

– Szukają nas! – jęknęła Kazia, dzwoniąc zębami. – Co teraz?

– Musimy wytrzymać. Nie możemy stąd wyjść. Tylko tutaj jesteśmy bezpieczne – podjęła decyzję Stefa, dygocząc z przejmującego zimna, sama powątpiewając w to co mówi.

Tymczasem ujadające głośno wilczury dobiegły do stawu, za nimi niczym anioły śmierci – postacie w czarnych płaszczach. Słupy świateł przeczesywały ciemność. Uciekinierki zanurzyły się w wodzie po samą szyję. Wiedziały, że jeden ruch, najmniejszy dźwięk może okazać się zdradziecki. Trwające krzyki i nawoływania wydawały się wiecznością. Niemcy obeszlili teren, spluwając i bluźniąc w swoim języku. Wreszcie przywołali psy. Naradzali się jeszcze przez moment i poszli w przeciwną stronę. Po kilku minutach głosy umilkły, odpłynęły wraz z echem, które jeszcze jakiś czas tłuło się z jękiem po polach.

Stefa i Kazia wynurzyły się z wody i rozejrzały dookoła. Upewniwszy się, że pościg jest daleko stąd, zdecydowały na wyjście. Jedna ciągnęła drugą, parły do przodu, łamiąc cienki lód. Obie miały wrażenie, że stały się bryłami lodu, każdy krok do przodu kosztował je niewyobrażalny wysiłek.

Ostatkiem sił doczołgały się do brzegu, wypełzły na powierzchnię i tam padły bez tchu.

## Rozdział 2

Z apach skoszonej trawy, suszonej mięty i rumianku unosił się w pomieszczeniu ze skośnym dachem, opartym na drewnianych krokwiach. Przez małeńki otwór w szczycie wpadał do środka nieśmiały promień słońca. Pełził po równo ułożonych snopkach, jutowych workach ustawionych w rzędzie pod ścianą, stogiem ułożonego siana, do derki, którą były okryte aż po samą szyć. Pisk harcujących myszy zakłócił ciszę, która wypełniała przestrzeń.

Stefa otworzyła oczy i patrzyła przed siebie, nie wiedząc, co się dzieje. Czowała, że jej ciało jest rozpalone, a jednocześnie potwornie słabe i bezwolne. Nie miała siły, aby ruszyć ręką, nogą, nawet powiekami. Docierały do niej jakieś mgliste obrazy, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Głowa była ciężka, zbyt ciężka, aby ją odwrócić i zobaczyć, kto śpi obok. Czowała jednak przejmujące gorąco bijące od ciała przylepionego do jej pleców, wręcz parzyła ją skóra, zupełnie jakby ktoś przyłożył do niej rozgrzane żelazko. Każdy najmniejszy ruch zdawał się czynnością ponad jej siły, upiorne zmęczenie dawało o sobie znać, zaciemniając ostrość widzenia i zabierając ponownie tę resztkę sił, na którą się przed chwilą zdobyła, próbując przekręcić kark i podnieść powieki. Teraz już tylko marzyła o tym, aby znów popłynąć daleko. Kochana mama i brat siedzieli przy stole, ojciec spoglądał na nią znad imadła. Obraz uśmiechniętego Felka migrował w jej zakamarkach pamięci, kiedy szedł w jej stronę i machał ręką. Chciała mu coś powiedzieć, ale nie mogła. Usta odmawiały posłuszeństwa, głowa osuwała się na bok, a ręce były zbyt ciężkie, aby je podnieść.

Spać, spać, spać...

\*\*\*

Obudził ją dotyk. Czyjaś szorstka ręka smarowała jej czoło, plecy, piersi. Zmysł węchu zarejestrował zapach octu, zwierzęcego sadła, próbowała otworzyć oczy, ale powieki podniosły się zaledwie na chwilę, potem opadły, odmawiając posłuszeństwa.

Pochylająca się nad nią twarz nie miała rysów, była obła, bez oczu, ust i nosa, ginęła w oparach otaczającej ją mgły.

Stefa słyszała własny oddech, świszczący i płytki, czuła ogromny ciężar na piersiach. Mówił do niej jakiś głos, obcy, ale spokojny i miękki. Chciała coś zrozumieć, ale nie mogła. Zanurzała się w toni nocy, coraz głębiej i mocniej, potem czuła, jak spada z ogromnej wysokości. Wzdrygnęła się resztką sił, aby uchronić się od upadku, lecz po chwili płynęła w przestworzach ponad dachami domostw, nurkowała w ciepłym powietrzu, nie czując bólu i wagi własnego ciała. Jakaś lekkość niosła ją w dal, jakaś beztroska i radość. Świat w dole stawał się coraz bardziej odległy, zostawiała go za sobą, unosząc się coraz wyżej ponad pierzaste obłoki chmur, coraz bliżej bram niebios, ku szczęściu i miłości, coraz dalej od złego, bezkarnego świata, gdzie rodziły się nienawiść i cierpienie.

\*\*\*

Napady gorąca na przemian z przejmującymi falami zimna minęły. Ciało przestało topnieć, wylewając z siebie strumienie wody, torsje ustąpiły, wróciła pamięć. „Kazia” – przyszło jej na myśl zaraz po przebudzeniu. „Gdzie jest Kazia?” Wydawało jej się dotychczas, że przyjaciółka leży przy niej, że grzeje ją swoim rozpalonym ciałem, była pewna, że słyszała jej ciężki oddech. Teraz odwróciła głowę, która nagle przestała być ołowiana, pomacała ręką. Miejsce obok było puste. Suchość w ustach sprawiła, że zamiast wołania z jej gardła wydobyło się zaledwie skrzypiące brzmienie.

– Kazia! – powtórzyła bezgłośnie.

W odpowiedzi dotarły do niej dźwięki szurania dochodzące z dołu. Ktoś wszedł do pomieszczenia i wdrapywał się na górę, słyszała odgłosy sapania

i krótkie pokasywania. W pierwszym odruchu chciała uciekać, w drugim przekonała się, że siły jej na to nie pozwolą. Była nadal zbyt słaba. Drabina drgała, stękała pod czyimś ciężarem, nagle czyjeś wielkie dłonie sięgnęły ostatniego szczebla i wysunęły się ponad płaszczyznę stropu. Wraz z nimi wychyliła się nakryta futrzaną czapką głowa. Szczupła, zapadnięta twarz z jasnym zarostem i parą niebieskich oczu, które teraz omiotły ją troskliwym, czułym spojrzeniem. Znieruchomiała.

– Obudziłaś się, dziecino – odezwał się mężczyzna, pełzając w jej kierunku na czworakach po rozrzuconej na betonowym stropie słomie. W rękach trzymał torbę z wiktuałami. – Chwała Bogu! – dodał głosem ociekającym radością.

Odruchowo podkurczyła nogi, wsparła się na łokciach.

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy – powiedział, kucając przy niej i uśmiechając się nieznacznie. – Nazywam się Will Ritter. Znalazłem was nad stawem, obie byłyście już ledwo żywe. Nie sądziłem, że któraś z was przeżyje. Jesteś twarda, dziecino, nieśpieszno ci jeszcze na tamten świat – mruknął zawadiacko.

– A co z Kazią? – wymamrotała, kuląc się dalej ze strachu.

W odpowiedzi posmutniał i westchnął głośno.

– Była cały czas nieprzytomna, gorączkowała. Miałem nadzieję, że jest tak silna jak ty... Niestety, nie udało mi się jej uratować, przykro mi, dziecino...

– Nie! – wyrwał się z jej gardła krzyk protestu. – To nieprawda!

Zwiesił głowę na piersi, nie mówiąc nic, potem przemieścił się kilka metrów dalej, robiąc to wciąż na czworakach. Podniósł się, by sięgnąć po coś schowanego pod belką stropową. Było to maleńkie zawiniątko, które zaraz jej przyniósł i podał. Z trudem, sztywnymi palcami rozsuptała siną, poplamioną szmatkę, w której złożona była bawełniana chustka – jedyne świadectwo istnienia obozowej przyjaciółki.

– Nie! – załkała, wtulając się w nią policzkiem. – To niemożliwe!

– Później pokażę ci jej grób – oznajmił cicho i spokojnie. – A teraz zjedz. Przyniosłem ci trochę gorącego krupniku. Musisz nabrać sił. Skoro ocalałaś, to pewnie w jakimś celu. Bóg dał ci misję do wypełnienia, jedz, dziecko, jedz! – powtórzył, podstawiając jej pod nos blaszaną miskę z pachnącym wywarem.

Nabrał odrobinę na aluminiową łyżkę. Otworzyła usta, nie protestując. Poczula na języku smak warzyw: lubczyku, pietruszki i marchwi.

– Smaczny – bąknęła, połykając kolejny łyk.

Jeszcze tego samego dnia dowiedziała się, że została uratowana przez Niemca, któremu wojna zabrała ukochaną żonę – Polkę żydowskiego pochodzenia. W dodatku Will Ritter doskonale porozumiewał się z nią w jej ojczystym języku.

\*\*\*

Świeżo usypany kopczyk, oddalony od gospodarskich zabudowań, obłożony był z trzech stron kamieniami. Nie miał nawet wbitego krzyża, co Stefkę zabolalo najbardziej. Gdyby pan Will nie wskazał go jako grobu Kazi, nigdy nie sądziłaby, że może być miejscem pochówku. Kontur mogiły ledwie rysował się na tle czarnej nocy, która spowijała uśpioną o tej porze wieś. Za ich plecami odbijały się posępnie sylwetki sędziwych drzew, których pochylone pnie oraz rozwarte szeroko konary wyrażały jakąś rozpacz i tragizm zarazem. Raz po raz od wsi szło ujadanie psa, które momentami przeradzało się w przejmujące wycie, co z kolei potęgowało poczucie zagrożenia i samotności.

– Przynajmniej nie cierpiała... umarła we śnie... – powiedział wolno mężczyzna, który stał obok ze zwieszoną na piersi głową. Co chwila zerkał na nieludzko wychudzoną dziewczynę ubraną w jego kufajkę i długie filcowe buty, opatuloną wełnianą chustką jego ukochanej Sary. Ta zaś stała tylko i stała, kołysząc się jak sierota, z bezradności zaciskając palce w drobne piąstki i szepcząc po cichu żarliwe słowa modlitwy.

– Nie wbilem krzyża, aby nie ściągać podejrzeń... – Urwał, zastanawiając się, co powiedzieć, wreszcie dodał: – Byli tu już dwa razy, pytali o was, węc-

szyli... Gdyby zobaczyli świeży grób... Albo sąsiedzi, nie daj Boże... Czasy są takie, że nikomu nie można ufać.

Potrząsnęła na potwierdzenie głową, po czym znów zaczęła szlochać. Cicho, tłumiąc w sobie ból, który rozsadzał jej piersi do tego stopnia, że nie mogła złapać tchu.

Właśnie przypomniała sobie, jak ściśnięte w bydlęcym wagonie próbowały nie zemdleć. Duchota i potęgujący z każdą minutą smród stawały się nie do zniesienia. Suchość w ustach i brak wody do picia to kolejna zmora tej podróży, którą postanowiły przetrwać wbrew wszystkiemu. Opowiadały sobie o swoim życiu, karmiły się nadzieją, rysowały przed oczami przepiękne wizje nowej, lepszej przyszłości. Udawały, że nie słyszą stęków, jęków, modlitw, szlochu i płaczu dzieci, uwierzyły, że przejdą przez to razem, we dwie, że są silniejsze od tych, którzy zapędzili je do ciasnej przestrzeni i kazali im znosić to wszystko, nie zważając na młodość, urodę, pragnienie życia. Przysięgły sobie wówczas przyjaźń do grobowej deski, a ta wspólna niedola złączyła je nierozzerwalną nicią.

A później, gdy gnający dotąd pociąg zatrzymał się na wyznaczonej stacji, gdy żelazna zasuwą zgrzytnęła, gdy drewniane drzwi drgnęły i czyjaś mocna ręka odciągnęła je na bok, gdy przed oczyma tych, co przeżyli, ukazał się rozległy plac, uwierzyły, że oto nastąpił koniec tej strasznej drogi.

Jak bardzo się wtedy myliły.

Stefania drgnęła, czując na ramieniu ciężar. To Will Ritter położył dłoń, aby dodać dziewczynie otuchy i pokrzepić drobnym gestem.

– Gdyby nie pan... pewnie zamarzyłybyśmy tam, przy tym stawie. Do tej pory panu nie podziękowałam. Kazia pewnie też chciałaby to zrobić, gdyby żyła... Dziękuję – powiedziała cicho.

– Chodź do domu, dziecko, zmarzłaś. Ugrzejemy się przy piecu, napijemy herbaty. Jesteś jeszcze za słaba na takie wyprawy.

\*\*\*



Ogień pod płytą skwierczał, ciepło buchało od nagrzanego kaflowego pieca. Ciemność nocy rozświetlało kilka palących się, stojących na stole świec. Trzymała w ręku metalowy kubek z mocną herbatą osłodzoną kostką cukru. Dawno takiej nie piła, nie miała pojęcia, że herbata może tak dobrze smakować. Pomieszczenie było schludne, obielone, wyposażone w drewniane, proste meble. Zwróciła uwagę na stojącą w rogu skrzynię z wiekiem pokrytym malowidłami. Okna zdobiły zazdrostki i krótkie zasłonki w kratkę. Na parapetach stały mosiężne przedmioty domowego użytku, doniczki z kwiatami, na ścianach wisiały malowane w kwiaty różnej wielkości talerze.

– Przytulnie tutaj – zdecydowała się powiedzieć, rozglądając dyskretnie dookoła. – Widać rękę kobiety.

– Taak... – przyznał ponuro. – Sara dbała o dom, ale odkąd jej nie ma.. już nic nie wygląda tak samo...

– Dawno ją zabrali?

– Ponad trzy lata temu, doszukali się w papierach, że była Żydówką. Nie pomogło to, że wyszła za Niemca. Czystość aryjskiej rasy przesądziła o wszystkim.

Wstał z krzesła, podszedł do okna i zaciągnął szczelniej zasłonki. Był wysokim, barczystym mężczyzną z jasnymi włosami, pociągłą twarzą i silnie zarysowaną szczęką. Mógł być dobrze po sześćdziesiątce. Wyraźnie utykał na jedną nogę. Po chwili usiadł na krześle obok.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała.

– Przyjechali wcześniej rano, wyciągnęli nas z łóżka. Kazali jej się spakować, potem załadowali na ciężarówkę. Sara zachowywała się spokojnie, ale ja zacząłem się burzyć, szarpać z nimi, krzyczeć... Chciałem jechać razem z nią, wtedy jeden z gestapowców uderzył mnie kolbą karabinu. Kiedy się ocknąłem, nikogo już nie było... Dowiedziałem się, że prawdopodobnie wywieźli ją do okupowanej przez Niemcy Polski. Utworzyli tam obozy koncentracyjne, do których masowo wywozili Żydów. Z Czech, Słowacji, Węgier... Aż trudno uwierzyć w te wszystkie doniesienia, ale to, co mówili lu-

dzie, brzmiało strasznie. Sara nie była już taka młoda jak ty, ale wierzę, że znajdzie się ktoś, kto jej pomoże... Może jakimś cudem uniknie śmierci.

– Nie należy tracić nadziei, ja przez niezwykley przypadek trafiłam na pana... – bąknęła poruszona tym, co usłyszała.

W oczach Willa Rittera błysnęły łzy. Zakrył twarz dłońmi i oparł łokcie na kolanach.

– Nie zabrali pana na front? – spytała.

– To przez nogę – odparł powoli. – Byłem ranny, leżałem kilka godzin w okopach, zanim mnie opatrzone i przetransportowano do szpitala polowego. Przeżyłem, więc kazali mi wrócić do domu. W takim stanie jestem dla nich mało pożyteczny.

– I co teraz? – odważyła się zapytać. – A jeśli wrócą tu po mnie? Jeśli ktoś z sąsiadów zauważy moją obecność? Poza tym... nie chcę pana narażać...

Poruszył się na krześle i chrząknął.

– Musimy być ostrożni. Tak jak do tej pory. W takim stanie nie możesz jeszcze wracać do swoich. Wciąż jesteś za słaba.

Przytaknęła. Gospodarz miał rację. Na razie z trudem przebierała nogami, w głowie wciąż miała mroczki, za to apetyt powoli wracał. Gorączka wprawdzie ustąpiła i wszystko wskazywało na to, że zdrowiała. „Tylko Kazia nie miała tyle szczęścia co ja” – podsumowała gorzko w myślach.

\*\*\*

– Johann? – powtórzył gospodarz, drapiąc się po brodzie po wysłuchaniu jej relacji. – Nie znam takiego.

– Wiele mu zawdzięczam... Boję się, że mógł mieć przez nas kłopoty...

Siedzieli przy stole, jedząc zupę kartoflaną, którą Will specjalnie dla niej ugotował. Stefka smakowała ją powoli, próbując w ten sposób zaspokoić niewielki głód. Odkąd znalazła się w tym domu, jedzenie, a właściwie jego brak, przestało stanowić problem. Jadała już w miarę regularnie, nie tak jak tuż po odzyskaniu przytomności, kiedy to po powrocie apetytu wręcz rzucała się na przygotowywane przez gospodarza posiłki, pochłaniając

wszystko w okamgnieniu. Potem skręcała się z bólu, ściśnięty żołądek nie mógł strawić takiej ilości jedzenia. Mimo że próbowała się powstrzymać, tłumacząc sobie, że przecież jest kulturalną osobą, a nie dzikusiem z lasu, trudno było zwalczyć w sobie ten odruch przetrwania, zrodzony w warunkach obozowych.

Kiedy już zjadła, podziękowała, po czym odstawiła talerz do miski z zamiarem umycia go.

– Zostaw, dziecko, ja to zrobię, nadal jesteś zbyt słaba.

To prawda, wciąż kręciło jej się w głowie, ale miała już dość leżenia i nicnierobienia.

Zmyła talerz i zabrała drugi od gospodarza. Chrząknął coś na kształt dziękuję i odsunął krzesło. Wstał, aby wyciągnąć papierosa z paczki i wypalić go na zewnątrz. Tymczasem dziewczyna podeszła do ściany, na której wisiało ślubne zdjęcie Ritterów. Sara była kobietą o wyjątkowej urodzie, Stefa musiała przyznać, że nawet w Polsce uchodziłaby za piękność. Z portretu uśmiechała się promieniejąca szczęściem twarz, z upiętymi nad czołem włosami, ozdobionymi stroikiem i welonem. Młody mężczyzna obok miał płowe włosy i szczerze oczy. Wyglądali na bardzo zakochanych.

– Popytam o niego – zaczął Will, wchodząc do domu. – Ale jak skończy się wojna. Boję się, że teraz mógłbym mu tylko zaszkodzić...

– Proszę mu też podziękować. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Gospodarz podszedł bliżej i położył dłoń na jej ramieniu. Jednocześnie, patrząc na wizerunek żony, dodał w zamyśleniu:

– Ja też mam taką nadzieję.

\*\*\*

Minęły kolejne tygodnie, wiosna nieśmiało pukała do wioski, roztopiła płachty śniegu, wypełniła wodą rowy, wgłębienia w drodze, tchnęła cieplejszym powietrzem od południa. Wraz z nią wróciła nadzieja na rychłe zakończenie wojny. Will Ritter niemal codziennie przynosił z okolicy coraz to świeższe nowiny. Jeździł do miasta z mlekiem, którym zaopatrywał nie-

mieckie wojska. Żołnierze musieli jeść, żołnierze musieli walczyć. Alianci chcieli zdobyć wschodni i zachodni brzeg Renu, znajdowali się już coraz bliżej, nasilały się ataki bombowców. Wszystkiemu winna była znajdująca się nieopodal fabryka broni, którą za wszelką cenę próbowali wysadzić. Ludność niemiecka wpadała w coraz większą panikę. W bombardowaniach ginęło bardzo wielu cywilów, wojna wciąż niosła za sobą śmiertelne żniwo, w dodatku bitwa o Ardeny na przełomie roku przyniosła armii niemieckiej ogromne straty w sprzęcie i żołnierzach, co przyczyniło się do kolejnych zwycięstw aliantów. Potężne, niepokonane Niemcy stały w obliczu kapitulacji. Ritter zdawał sobie sprawę z tego, że większość jego rodaków wciąż jest po stronie Hitlera, który wyniósł ich ojczyznę w ostatnim czasie na wyżyny bogactwa i potęgi. On wiedział, jakim kosztem, nie przyglądał się tym wydarzeniom tak bezrefleksyjnie i bezkrytycznie jak jego sąsiedzi. Wolał jednak swoich opinii nie wyrażać głośno, za coś takiego groziłoby rozstrzelanie. A on wciąż wierzył, że pewnego dnia jego ukochana Sara wróci do domu, stanie w drzwiach, uśmiechnie się i zawoła: „Wróciłam, kochany!”. Może znajdzie się ktoś, kto jej pomoże, jakiś dobry anioł, który stanie na jej drodze. Tak jak on stanął na drodze tych dwóch młodych kobiet. Może Pan Bóg mu to kiedyś wynagrodzi? Może odda mu jego Sarę? „Dobro powraca” – myślał, pocieszając się każdego wieczora, kiedy kładł się sam spać do ich wspólnego, małżeńskiego łóżka. Jak bardzo brakowało mu żony, jak bardzo niepokoił się o jej życie, tylko on wiedział. Relacje zbiegłej z pobliskiego obozu więźniarki tylko potwierdziły jego przypuszczenia o systemach stworzonych przez nazistów. Drżał na samą myśl, co przeżywa teraz jego ukochana żona.

Stefania całe dni spędzała w stodole na sąsiedku, za to nocą przenosiła się do ciepłego domu. Za szafą stało przygotowane dla niej łóżko, aby się tam przedostać, trzeba było wejść do wnętrza trzydrzwiowego mebla. Mało kto mógł się domyślać takiego sprytnego rozwiązania. Pomimo że miejsce wydawało się bezpieczne, ona i tak wciąż się bała. Zanim zasnęła, za każdym razem nasłuchiwała wszystkich dźwięków: jęku wiatru, zawodzenia okiennic, ujadania psów, dobiegających z okolicy ludzkich głosów. Z biegiem czasu nauczyła się je w jakiś sposób odróżniać, najbardziej przerażał

ją jednak warkot silnika samochodu. Ten mógł zwiastować tylko jedno – śmierć. Szczekanie psów też budziło w niej strach, wciąż miała w pamięci tamta scenę przed barakiem, kiedy to rozwścieczone bestie rozszarpały jedną z więźniarek. Już na samą myśl wzdrygała się z przerażenia.

Coraz częściej myślała o powrocie do kraju. Tęskniła za swoimi, tak bardzo tęskniła. Za mamą, ojcem, bratem, ale chyba najbardziej za Felkiem. Mieli być razem, tak sobie kiedyś obiecali. Na dobre i na złe, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

– Nie powinnaś jeszcze teraz myśleć o powrocie – uznał Will, odwiedzając ją w południe na poddaszu stodoły. Przyniósł jej pajdę świeżo upieczonego chleba, kostkę margaryny i marmolady. Usiadł obok dziewczyny, wyciągając przed siebie długie nogi obute w gumofilce. – Jest jeszcze niespokojnie.

Stefka podniosła głowę znad zwojów sznurków. Dla zabicia nudy plotła je w grube linki. Miała nadzieję, że chociaż w taki sposób zapracuje na swój pobyt w tym domu.

– Uważam, że powinnaś jeszcze poczekać. Jesteś wciąż słaba, poza tym... nie masz żadnych dokumentów. Muszę pomyśleć o załatwieniu jakichś papierów dla ciebie.

Przytaknęła krótkim ruchem głowy. Gospodarz chyba miał rację. Zaledwie wczoraj odwiedzili go kuzyni z sąsiedniej wsi, dwaj stryjeczni bracia od strony siostry babki. Przyjechali wozem ciągniętym przez ciemnej masy klacz, którą potem przykryli derką, bo cała się zgrzała. Mieli ze sobą butelkę gorzałki i kawał wędzonej słoniny na zakąskę. Ona w tym czasie ukryła się w stodole na górze i obserwowała przez maleńki lufcik w szczycie, jakie zamieszanie zrobiło się na podwórzu. Siedziała cicho jak myszka, bojąc się wykonać najmniejszy ruch. Nie miała pojęcia, kim są ci ludzie, ale ze sposobu powitania ich przez Ritтера można było wywnioskować, że łączą ich bliskie relacje. Po tym jak nastąpiło rzewne powitanie w języku niemieckim, trzech mężczyzn zniknęli we wnętrzu domu. Mijały godziny, zrobiło się już całkowicie ciemno. Chłód w stodole robił się coraz bardziej dotkliwy. Owinęła się więc szczelnie derkami, zagrzebała w słomie i zasnęła.

Tymczasem dwaj kuzyni, siedząc przy stole w kuchni, snuli szeptem różne opowieści. Konfidencyjnym tonem opowiadali o zbliżającym się froncie armii radzieckiej, a także nadchodzącym od zachodu naporze wojsk alianckich. Wszyscy trzej rokowali rychły kres wojny. Jeden z nich wspominał też o ewakuacji więźniów z pobliskiego obozu. Twierdził, że ponad miesiąc wcześniej widział całe kolumny mężczyzn i kobiet ubranych jedynie w pasiaki, eskortowanych przez uzbrojonych esesmanów i nadzorczyńnię. Szli, pokonując dziennie ponad dwadzieścia kilometrów, w nocy spali na poboczach drogi, w tych samych ubraniach, przemarznięci i wyczerpani do granic możliwości. Podobno wielu z nich nie przetrwało tej drogi, brnąc w śniegu przy dwudziestostopniowych mrozach, braku żywności i okrutnym traktowaniu przez strażników. Wszystkie te informacje wydawały się wręcz niewiarygodne, a Will, usłyszawszy opowieści Stefanii o panujących w obozie warunkach, a teraz relacje kuzynów, coraz mniej liczył na szczęśliwy powrót jego żony. Już tyle razy próbował dowiedzieć się czegoś o niej, wciąż był jednak zbywany i odsyłany do innych instytucji. Od jakiegoś czasu gdzieś pod skórą czuł, że jego Sary nie ma już wśród żywych. Nie potrafił tego racjonalnie wytłumaczyć, ale tak było. Jak jeszcze niedawno żywił nadzieję, tak teraz dopadało go coraz większe zwątpienie, a wiara w to, że ujrzy jeszcze ukochaną żywą, gdzieś się ulotniła. Słyszał z wielu źródeł, co też potwierdziła Stefania, że Żydzi traktowani byli w obozach najgorzej, esesmani oraz funkcjonjani nie przebierali w okrutnych metodach ich unicestwienia, traktując ich jak półludzi, tłumacząc się wyższością swojej rasy nad innymi. Poza tym niespodziewanie zdechła ich suka o imieniu Lola. Ukochany zwierzak jego Sary, biały owczarek górski. Kiedy wstał wcześnie rano, aby wydoić krowy, leżała martwa przed budą. Pogrzebał ją za domem, pod drzewem akacji. Ból po jej stracie rozrywał mu piersi, z trudem wykopał dół, aby następnie umieścić w nim jej ciężkie, sztywne już ciało. Stefania płakała razem z nim, zdążyła już pokochać tego psiaka, który od początku potraktował ją jak domownika. Nie obszczał ani razu, okazywał radość wymachiwaniem ogona za każdym razem, kiedy przemykała przez podwórze.

Wtedy pierwszy raz pomyślał o tym, że jego żona odeszła razem z Lolą.

– Niech te straszne czasy się wreszcie zakończą – podsumował te rozważania, wznosząc cichy, pożegnalny toast. Mężczyźni podnieśli się ze swoich miejsc, chwycili kufajki, czapki, uściskali się serdecznie, zaprzęgli konia do wozu i odjechali, pozostawiając go w samotności i żalu nad własnym losem.

\*\*\*

Następnego dnia była niedziela, gospodarz, zachowując wpojona sobie ostrożność, udał się do stodoły. Zaniósł na górę słoik gorącej herbaty osłodzonej kostką cukru i dwie pajdy chleba ze smalcem. Wspiął się po drabinie, taszcząc ze sobą torbę z prowiantem. Stefka już nie spała, zdążyła skorzystać z wychodka przy oborze i obmyć się deszczówką z wiadra. Przeczesła też odrośnięte na kilka centymetrów włosy grzebieniem podarowanym przez gospodarza. Wyglądała świeżo i zdrowo.

– Przepraszam za wczoraj, kuzyni zasiedzieli się trochę – powitał ją, uśmiechając się życzliwie. – Dobrze wyglądasz, dziecino, coraz lepiej...

– Ależ nie ma za co przepraszać, nie chcę pana narażać swoją obecnością, nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi.

– Tutaj możemy być spokojni. Oni są normalni. – Mrugnął porozumiewawczo, patrząc, jak dziewczyna łapczywie pochłania przyniesione śniadanie. Musiała porządnie zgłodnieć, poza tym najwyraźniej czuła się coraz lepiej. Świadczył o tym powracający z każdym dniem apetyt.

– Nie spiesz się z tym powrotem, zaczekajmy, aż wszystko się uspokoi – nalegał, kiedy znów wspomniała o podróży. Opowiedział jej o tym, co słyszał, i przestrzegł przed możliwością wpadki. – Tyle już się udało. Nie ma sensu ryzykować.

Tym ją przekonał. Była mu wdzięczna za wszystko, co dla niej robił, współczuła z powodu żony, której los pozostawał w dalszym ciągu nieznanym. A kiedy myślała o marszach śmierci, jej współtowarzyszkach z baraku, którym przyszło przechodzić jeszcze przez coś takiego, dopadała ją coraz większa rezygnacja. „Pan Will ma rację” – myślała pogodzona z losem. „Trzeba jeszcze poczekać”.

\*\*\*

W nocy z ósmego na dziewiątego maja czterdziestego piątego roku w imieniu niemieckiej rzeszy feldmarszałek Wilhelm Keitel i generał Jürgen Stumpf podpisali akt kapitulacji Niemiec. Na jego mocy siły niemieckie zaprzestały działań wojennych, a tym samym trwająca niemal sześć koszmarnych lat wojna w Europie zakończyła się. Gdy tylko ogłoszono w radiu komunikat, Stefka po raz pierwszy wybiegła na podwórze i zaczerpnęła powietrze pełną piersią. Za ogrodzeniem niczym śliczne panny bielity się kwitnące jabłonie i bzy.

Była wolna, nareszcie! Będąc w obozie, wielokrotnie traciła nadzieję na to, że kiedykolwiek ujrzy swoich najbliższych i ukochanego Felka, a tymczasem stała tu, na niemieckiej ziemi, w obecności niemieckiego gospodarza, który oparty o framugę drzwi patrzył tak jakoś smutno, jak dziewczyna w szalonym tańcu unosi ramiona, obraca się wokół własnej osi, śmieje się pełną buzią i zdaje się krzyczeć ze szczęścia.

– Nie cieszy się pan? – W pewnej chwili zatrzymała się i podeszła do zamysłonego mężczyzny.

– Cieszę się, bardzo. Zastanawiam się tylko, czy kiedykolwiek odnajdę grób Sary... Poza tym... żał mi, że wkrótce wyjedziesz. Przyzwyczaiłem się do ciebie, dzieciно... Jesteś dla mnie jak córka, której nigdy nie miałem.

W spontanicznym odruchu przywarła się do niego i objęła ciasno ramionami.

– Mnie też będzie żał, panie Will. Jestem panu dozgonnie wdzięczna za wszystko. To, co pan dla mnie zrobił, jest niezwykle. Nigdy o tym nie zapomnę. Myślę, że jeszcze się zobaczymy. Na pewno tu przyjadę albo pan przyjedzie do mnie – paplała, podniecona myślą o zobaczeniu bliskich. – Ale teraz... muszę wracać, tak bardzo tęsknię za rodziną! Poza tym... może pani Sara wróci, nie wolno tracić nadziei. Na pewno znalazła na swojej drodze takie osoby jak pan...

– Rozumiem... – Mężczyzna chrząknął, usiłując za wszelką cenę ukryć ogromne wzruszenie, które naznaczyło mu podłużną, pokrytą kilkudnio-



wym zarostem twarz. – Będę musiał się wreszcie ogolić! – mruknął znacząco, oswobadzając się z silnego uścisku dziewczyny. Przygotuję ci też wyprawkę do podróży. Musisz się jakoś porządnie ubrać, zaraz poszukam czegoś w szafie. Sara miała kilka sukienek, pewnie będą trochę za duże, ale wystarczy ścisnąć się porządnie paskiem... – Zaśmiał się gorzko.

Stefania przyglądała mu się z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, chciałaby zostać, ten człowiek okazał jej tyle serca. Z drugiej, trawiła ją nieustanna tęsknota za rodziną. Podjęła decyzję. Musiała wracać.

\*\*\*

Kilka dni później Will Ritter zaprzągnął konia do wozu, wyłożył ławkę derką, po czym pomógł Stefce wsiąść. Była już gotowa do drogi. W przydużej sukience ściśniętej w talii skórzanym paskiem, w butach Sary, które wypchała w czubkach sianem, z torbą wypełnioną jedzeniem i piciem.

– Zawiozę cię na dworzec – oznajmił.

Zgodziła się bez słowa protestu. W środku rozsadzały ją radość i podniecenie. Bała się trudów podróży, nieznanego, lecz zarazem szalała ze szczęścia. Entuzjazmu nie studził nawet smutny, zrezygnowany wzrok gospodarza.

– Do zobaczenia w lepszych czasach, dziecino! – powiedział na pożegnanie, przygarniając ją do siebie mocno. Potem oderwał się od jej wychudzonego ciała, złożył na jej czole ojcowskiego całusa i zajrzał głęboko w oczy.

– Dbaj o siebie, napisz, gdy szczęśliwie dotrzesz! Będę wyczekiwał listu od ciebie. Adres masz napisany na karteczce.

– Tak, panie Will, będę pisała! – zaszczebiotała, podniecona myślą o powrocie do domu.

Za jej plecami, szykując się do drogi, sapał wypełniony podróżnymi pociąg. Głośne krzyki, nawoływania, gwar stacji kolejowej wybrzmiewały w powietrzu.

– Jeszcze raz dziękuję za wszystko, panie Will, nigdy tego nie zapomnę. Uratował mi pan życie.

– Ach, dziecino! Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo – zachnął się kolejny raz, kryjąc pod powiekami oznaki wzruszenia.

Potem pomógł jej wsiąść do wagonu, trzymając mocno za łokieć. Wkręciła się w ciasny tłum zalegający przejścia i przedziały, duchota stała się nie do zniesienia. Pan Ritter nadal stał na peronie z podniesioną ręką i szklącymi się oczami. Teraz ona pomachała mu ostatni raz, czując coraz większy smutek z powodu rozstania. Łzy same popłynęły po policzkach, kiedy rozległ się gwizd, drzwi zatrzasnęły się z hukiem, pociąg stęknął i ruszył ociężale po metalowych szynach.

## Rozdział 3

Pociąg, którym dotarła do Łodzi, wypełniony był do granic możliwości. Niektórzy uczeplieni otwartych drzwi wystawali na zewnątrz. Nie był to jednak ten sam ścisk co wtedy, kiedy wywożono ją do Niemiec. Tym razem podróżującym towarzyszyły radość i entuzjazm. Ludzie śmiali się zmęczonymi, wymizerowanymi twarzami, często bezzębnym uśmiechem, w podartych łachach i brudni. Tu i tam płynęły pełne grozy opowieści, ktoś popłakiwał, wspominając bliskich, którzy nie przeżyli wojennej zawieruchy, ktoś inny jęczał. W tę całą kakofonię dźwięków wplątywał się niekiedy dziewczęcy, niewinny chichot i głośny śmiech chłopców naładowanych energią. Wesołym dźwiękom organków, który płynął z drugiego końca wagonu, wtórowało rubaszne wibrowanie grzebienia. Grajek co jakiś czas przerywał, nabierał w płuca powietrza, a potem znów wygrywał skoczne melodie. Wracali pełni wiary i nadziei w to, że wszystko, co złe, jest już za nimi. Łódź miała być ich przystanią, miejscem gdzie całe ich życie odrodzi się na nowo. Niektórzy pozbawieni dolnej lub górnej kończyny, z kulą pod ramieniem, ale szczęśliwi, natchnieni wiarą.

Większość przybyłych miała ze sobą liche bagaże: zniszczone papierowe walizki albo dla odmiany szmaciane torby czy jutowe plecaki. Wracali z różnych stron, ze wschodu, zachodu, z północy i południa, także ze zbombardowanej Warszawy, która po dramatycznym powstaniu legła całkowicie w gruzach. Jej odbudowanie wydawało się żmudnym, wieloletnim procesem, nic więc dziwnego, że wielu warszawiaków postanowiło osiedlić się w Łodzi. Ta ucierpiała znacznie mniej, wyszła z wojny względnie cała, w dodatku jej robotniczy charakter obiecywał wiele miejsc pracy. Po osta-

tecznej likwidacji getta w sierpniu czterdziestego czwartego roku i ewakuacji tysięcy Żydów zostało wiele pustych lokali, kolejne opustoszały po tym, jak Niemcy pośpiesznie opuszczali miasto na przełomie czterdziestego czwartego i czterdziestego piątego roku. Liczba pustostanów kurczyła się jednak błyskawicznie, sporą część ładniejszych mieszkań zajęli komuniści, którzy zjechali do miasta, gdy pojawił się pomysł, aby Łódź pełnić przejściowo rolę miasta stołecznego. To tutaj zaczęli więc napływać artyści, dziennikarze i literaci, mając nadzieję, że ten administracyjny awans dawnej ziemi obiecanej przyniesie wiele korzystnych zmian.

Stefka nie mogła się już doczekać, długie godziny podróżowania w ścisku, zaduchu, oparach potu doprowadzały ją do mdłości. Pęcherz niemal co chwila domagał się opróżnienia, musiała więc przepychać się między ludźmi, aby dostać się do śmierdzącej uryną, obleganej wiecznie toalety. Warunki obozowe, a potem zamarznięty staw przyczyniły się do wielu zdrowotnych problemów, które mimo wyzdrowienia nadal istniały. Bolący pęcherz był jedną z takich zmór.

Na szczęście miał jej kto przypilnować miejsca, wiele godzin jazdy przysporzyło kilka kontaktów i nowych znajomości. Jadzia wracająca podobnie jak ona z obozu pracy, Czesław poszukający swoich rodziców, Róża – ocalała z Holocaustu Żydówka. Poznała też Mirka, który wciąż ją zagadywał. Miała nawet podstawy sądzić, że ją podrywa. Był miły, częstował ją krówkami, podobno domowej roboty, pilnował również jej miejsca. Dzięki niemu udało jej się też zdrzemnąć na jakiś czas, sen dobrze jej robił. Wciąż śnił jej się Will Ritter, który po tym jak ją przetransportował do najbliższej kolei, nie ukrywał już smutku z powodu rychłego rozstania. Stał jeszcze i czekał, aż zapchany pociąg ruszy. Miała wciąż przed oczami swojego wybawiciela, podobnie jak i tych, którzy zaraz po wyzwoleniu przez aliantów wracali pieszo z tak zwanych obozów pracy.

Śniła też o Kazi. Za każdym razem widziała ją uśmiechniętą, stojącą na łące pełnej kwitnącego rumianku. Zwykle w wianku na głowie, rozwianych blond włosach i z rozpostartymi ramionami. Kiedy Stefa ją poznała, dziewczyna miała jeszcze włosy. Były takie piękne, lśniące, ech! Będzie musiała

pojechać do Kalisza, będzie musiała przekazać rodzinie tę straszną wiadomość. Obiecała to kiedyś przyjaciółce. Jeszcze w obozie przysięgły sobie, że jeżeli któraś z nich przeżyje, powiadomi rodzinę tej drugiej. Opowie o tym wszystkim, co się działo za drutami, o ostatnich chwilach życia, o momentach zwątpienia, a także o niegasnącej wierze. Ku pamięci, ku przestrodze, aby te okropne czasy nigdy już nie wróciły. Teraz zdała sobie sprawę z tego, że to niezwykle trudne zadanie przypadło w udziale właśnie jej. Zapamiętała adres: Rzeźnicza numer pięć. Tam czekali na wiadomość o Kazi jej rodzice, babcia, bracia i dwie młodsze siostry. Jej narzeczony mieszkał dwie ulice dalej, na pewno jego adres otrzyma od rodziny.

Pociąg zahamował, zgrzytając nieprzyjemnie na torach. Drgnęła, wybudzając się ze snu.

– Łódź! – zawołał Mirek, który zerwał się z siedzenia i wepchnął w tłumek przy otwartym szeroko oknie.

– Łódź? – wymamrotała zaspana, przecierając oczy dłońmi zwiniętymi w kułak. – Naprawdę?

Większość pasażerów rzuciła się w tej chwili do drzwi, ludzie zeskakiwali ze stopni wagonu, rozglądając się dookoła, wydając z siebie okrzyki radości. Niektórzy krzyczeli, wśród nich tacy, którzy nie wierzyli w to, że jeszcze kiedykolwiek tu wrócą. Stefka była jedną z nich.

– Zaczekaj, niech wszyscy wysiądą. – Towarzysz podróży powstrzymał ją. – Nie ma sensu się pchać. Pociąg i tak dalej nie pojedzie! – zakpił.

Stojąc wyprostowana w zakurzonej, brudnej przedziale, omiotła go pierwszy raz zaciekawionym spojrzeniem. Wysoki, postawny blondyn z szarymi oczami i pociągłą twarzą, pokrytą rzadkim, lekko rudawym zarostem. Uśmiechnęła się w jego stronę.

– Dziękuję, Mirku, pewnie jeszcze się zobaczymy.

– Mam taką nadzieję, gdzie mieszkasz?

Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, co zastanie, wróciwszy do rodzinnego domu, poza tym znajomość z tym chłopakiem nie stanowiła dla niej większego znaczenia.

– Przyjechałam do ciotki na kilka dni, mieszkam w Kaliszu – skłamała.

– W Kaliszu? Gdzie?

„Najwyraźniej nie ma zamiaru się odczepić” – pomyślała lekko poirytowana.

– Rzeźnicza pięć – wypaliła. Był to jedyny adres jaki знаła w Kaliszu. Miała wrażenie, że zanotował go skwapliwie w pamięci, potem pomógł jej wysiąść z pociągu i precyzyjnie przeczesał przez tłum ludzi usiłujących opuścić dworzec. Do ich uszu raz po raz docierały głośne lamenty, krzyki, płacz. Jakaś szczupła, wymizerowana kobieta wydarła się na widok młodego chłopca z temblakiem na przedramieniu. Podbiegła do niego, zanim zdążył postawić na betonie sfatygowany worek i wyprostować plecy. Stefa obserwowała, jak matka czule dotyka policzków dziecka, odgarnia zmierzwiłone włosy.

– Janku, mój synku! Nareszcie! – chlipała, głaszcząc zniszczonymi dłońmi jego pochyloną głowę.

Scena wywołała u dziewczyny ścisk w krtani. Sama też upadła na kolana i pochyliła się, aby spieczonymi wargami pocałować ziemię.

– Wróciłam – szepnęła wzruszona. – Dzięki ci, Boże!

Takich sytuacji widziała jeszcze kilka, zanim wydostali się z dworca i podążyli w stronę parku Kolejowego. Tu pożegnali się mocnym uściskiem ręki.

– Oby nam się działo! Wszystkiego dobrego, Mirku! – rzuciła wesoło.

– I do zobaczenia wkrótce! – odparł, uśmiechając się chytrze.

Cokolwiek miałyby to oznaczać, chłopak najwyraźniej snuł jakieś plany. Pomyślała, że w kilka dni zapomni o niej i wkrótce nie będzie pamiętał jej imienia. Dowiedziała się, że mieszkał pod miastem, w małej wsi o nazwie Modlica. Wojna zabrała mu brata, który zginął niemal na początku, zaciągnąwszy się do partyzantki. W domu czekała na Mirka młodsza siostra i starsi, schorowani rodzice oraz gospodarka, którą należało obrobić. Pomachała mu jeszcze ostatni raz, zanim odwróciła się w drugą stronę i po-

maszerowała ochoczo, naładowana nową energią w dobrze jej znanym kierunku.

Tu i tam, wciśnięte pomiędzy szare budynki, zakwitały nieśmiało krzewy lilaków. Ich słodkawy, duszący zapach roznosił się z wiatrem w powietrzu nasiąkniętym niedawnym deszczem. Mijały ją furmanki zaprzężone w konie, których podkute kopyta odbijały się soczystym echem po bruku. Plaskały, uderzając o wybrzuszone kamienie, których powierzchnia lśniła w popołudniowych promieniach słońca. Woźnicy cmokali na zwierzęta, popędzając je dla odmiany tęgim smagnięciem batów. „Jak swojsko maluje się ten obraz, jak swojsko!” – krzychało radośnie jej serce. Raz po raz perlisty dźwięk dzwonka przy rowerze kazał jej zejść na bok i ustąpić miejsca jednośladowi. Przechodnie tręcali ją, kiedy usiłowała przeciąć ulicę Piotrkowską, w czasie okupacji niemieckiej przemianowanej na Adolf-Hitler-Strasse. Z ciekawością zatoczyła wzrokiem po murze narożnika, ślad po tabliczce z nazwą ulicy widniał na nim w postaci dwóch głębokich dziur. Widocznie nie było jeszcze nowych, a stare mieszkańcy miasta z radością zerwali zaraz po wyzwoleniu. Secesyjne kamienice, spuścizna po dawnych łódzkich fabrykantach, nie uległy na szczęście wielkiemu zniszczeniu. Nadal trwały, stojąc ciasno obok siebie, kryjąc w swoich wnętrzach niejedną ludzką tragedię. Tu i tam widać było poszarpane bombami mury, z wybitymi szybami w oknach bądź usianymi gęsto otworami po ostrzałach. To i tak było niczym w porównaniu ze stratami, jakie poniosła Warszawa. Tak przynajmniej Stefa słyszała od wielu osób, które spotkała w powrotnej drodze. Od ludzi, którzy brali również czynny udział w powstaniu, choć tych podobno została mała garstka.

Zastanowiła się, czy wsiąść do tramwaju, którego czerwoną sylwetkę zauważyła kątem oka. Na pewno skróciłaby czas powrotu, choć z drugiej strony pozbawiłaby się możliwości nacieszenia oczu kochanymi zaułkami miasta. „To już niedaleko!” – pomyślała uradowana, przyspieszając kroku, ściskając w ręku szmacianą torbę. Niewygodne buty uwierały ją w palce, choć teraz wydało jej się to najmniejszym zmartwieniem. „Będzie jeszcze niejedna okazja do spaceru”.

\*\*\*

Kamienica przy ulicy Schirrmeisterstrasse, po wojnie przemianowanej na Sprawiedliwą, pozostała nienaruszona. Od frontu witało ją prostokątne wejście, z szeroko rozwartą drewnianą bramą, u wylotu której krzątał się starszy, siwiuteński pan w ciemnej koszuli, przepoconej na zgarbionych plecach. Trzymał w ręku miotłę na długim kiju i omiatał nią miejsce przy rurze ściekowej. Obok jego nogi płątał się rudy kundel, który raz po raz chwycił mężczyznę za wygniecioną nogawkę czarnych spodni. Warczał przy tym, domagając się zainteresowania, tymczasem mężczyzna odganiał psiaka końcówką miotły, choć najwyraźniej te amory wcale mu nie przeszkadzały.

– Dasz mi dziś popracować? – zwracał się do zwierzaka pieszczotliwie. – Bo jak nie, to zapomnij o misce! Ja nie żartuję!

Stefka przyglądała im się przez chwilę, stojąc zaledwie kilka kroków dalej, wreszcie zdecydowała się podejść.

– Dzień dobry! – rzuciła, uśmiechając się powściągliwie. Starszy pan na dźwięk pozdrowienia podniósł głowę. Nie do wiary! Rozpoznała Antoniego Gila, dawnego dozorcę. „Ale się postarzał!” – przemknęło jej lotem błyskawicy przez głowę. – To pan, panie Antoni? Nie poznałam!

– A pani do kogo? – zapytał, prostując plecy. Stara, pomarszczona twarz zadrgała, w małych szparach oczu pod opadniętymi powiekami rozblęskło zaciekawienie.

– To ja, nie poznaje mnie pan? Stefania Rudzka spod dwójki.

Jego wargi w sekundzie rozciągnęły się w niedowierzaniu.

– Święty Duch Pana Boga chwali! – zawołał. – Stefka! A to się dopiero wszyscy ucieszą! Gdzieś ty się podziewała? Wszyscyśmy tu umierali z niepokoju o ciebie, a matka niemal posiwała ze zmartwienia.

– A więc są w domu?

– Krystyna nie wróciła jeszcze z miasta, a Broniek pewnie przy imadle... Roboty ma co niemiara! – zawołał poruszony.

– A brat?



– Stasik pobiegł do Nawrockich z butami. Jakies pół godziny temu będzie, pewnie mu zejdzie jeszcze trochę, bo gałgan lubi się poobijać, pozagładać tu i tam... Jak to młody. Wszędzie szuka wrażeń.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. A więc wszyscy żyją. Dzięki Bogu!

– A pańska żona, zdrowa? Pamiętam, że narzekała na bóle brzucha...

Antoni pochylił głowę i zamarł. Potem machnął ręką w odpowiedzi i zamilkł. Następnie wrócił do zamiatania chodnika. Nie pytała o nic więcej, tylko wbiegła w czeluść bramy, stukając niskimi obcasami, czując znajomą, starą woń zwilgotniałych murów.

Już przed drzwiami z maleńką tabliczką z napisem „SZEWC” wyczuła zapach gumy i kauczuku, z głębi mieszkania dochodziło do jej uszu rytmiczne, równomierne stukanie młotkiem. Brązowe, z szerokim obramowaniem skrzydło wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy tamtego feralnego wieczora biegła na umówioną randkę. Odrapane, z łysiejącymi brzegami wzdłuż rantów, wyglądało tak znajomo. Drżącą ręką zapukała, jednocześnie nasłuchując. Po drugiej stronie rozległy się czyjeś ciężkie, wolne kroki.

– Proszę! – usłyszała głos, na którego dźwięk serce radośnie podskoczyło do góry.

Niemal w tej samej chwili klamka drgnęła, drzwi rozwarły się na całą szerokość, a w oświetlonym leniwym słońcem otworze pojawiła się ogromna sylwetka ojca. Najpierw stał nieruchomo, patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem, wydając z siebie cichy okrzyk, porwał ją zachłannie w ramiona.

– Tatuś! – wyszeptała, czując, jak gardło zaciska jej wzruszenie. – Wróciłam, tatulku.

– Córuś! Moja najdroższa córuś... – jęknął przez zdławione gardło. – Wróciłaś!

\*\*\*

Kilka godzin później siedzieli przy okrągłym stole nakrytym bawełnianym obrusem w malowane maki, zastawionym kilkoma talerzami, jakie zostały

z wojennej zawieruchy. Parował kopiec dopiero co ugotowanych kartofli, skwierczała stopiona, gorąca jeszcze słonina. Matka przyniosła z kuchni słoje zsiadłego mleka. Rozlała go drżącymi palcami do wyszczerbionych kubków. Posiwiiała od tamtego czasu, włosy jej zrzedły, twarz się zapadła. Tylko brat wydorósł, zmężniał, broda pokryła się pierwszymi kępkami włosów. Pokój się nie zmienił, dalej stał w nim ten sam kredens z nadstawką z przesuwanymi szybkami, w którym rodzicielka trzymała zwykle szkło i porcelanę. Przynajmniej zanim wybuchła wojna. Zbita z desek, pomalowana emalią podłoga, kaflowy piec w rogu mieszkania, drewniana szafa po jednej stronie, a po drugiej obita gobelinem sofa i dwa fotele. Malowane w motywy roślinne ściany zdobiły obrazy i wizerunki świętych. Maryja z otwartym sercem, z dzieciątkiem na rękach w pięknej, bogato zdobionej, złoczonej ramie spoglądała na nią z miłością. Lubiła ten obraz, patrząc na niego, nigdy nie czuła się samotna, jej obecność dodawała otuchy i pokrzepienia.

Rodzina tymczasem milczała, czekając, aż ojciec pierwszy zacznie jeść, najpierw jednak podziękuje Panu Bogu za ten posiłek, ale przede wszystkim za szczęśliwy powrót ich ukochanej córki. Od kolegi Staszka wiedzieli, co się stało. Widział łapankę, strzelaninę, Stefkę wpychaną na pakę ciężarówki. Niemal stracili nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ujrzą ją żywą, dlatego teraz wdzięczni Bogu za ten cenny dar, przyłączyli się do wspólnej, żarliwej modlitwy. Matka nie spuszczała oczu z córki, której wymizowana twarz i krótkie włosy powodowały jeszcze mocniejszy ucisk w żołądku. Kiedy po powrocie do domu zobaczyła Stefkę, omal nie zemdląła. Rzuciła się na nią, zaczęła dotykać, całować i płakać. Nawet osunęła się na podłogę, trzymając ją za chude kolana, szlochając coraz mocniej i głośniej. Tylko Stasiak zachował równowagę, nie będąc tak wylewnym jak jego rodzice, choć jego drżące wargi i łamiący się głos zdradzały głębokie emocje.

– A reszta z kamienicy? Wszyscy ocaleli? – dopytywała Stefka, próbując sobie uporządkować nową rzeczywistość. Zdążyła już oględnie zdać relację ze swoich przeżyć, uznała, że na dziś wystarczy tych okropnych opowieści.

– Gilowie stracili syna. Został zlikwidowany przez Niemców... Miał chłopak potwornego pecha. Wpadł przy rutynowej kontroli, znaleźli przy nim jakieś ulotki, broszurki... – Ojciec westchnął, nie kryjąc żalu. – Ciężko to zniosła, biedaczka, załamała się – dokończył swoją ponurą relację.

– To dlatego pan Antoni nie był taki rozmowny... – skonkludowała cicho. – Teraz rozumiem...

– Ale może opowiemy coś weselszego! – wtrąciła szybko pani Krystyna. – Córka Wrockich wychodzi za mąż.

– Za mąż? Teraz, w tych niepewnych czasach? – zdziwiła się głośno dziewczyna. – Po co ten pośpiech? Przecież ona jest prawie taka jak ja.

– Ponad dwadzieścia wiosenek na karku! – kontynuowała matka. – To już wcale nie taka młoda. – Poza tym brzuch już widać, nie ma na co czekać – uzasadniła rzeczowo.

– Chyba że tak... – przyznała, kiwając głową. – A kim jest jej szczęśliwy wybranek?

– Nie znasz go! – ucięła Krystyna. – Jego rodzice mają pralnię na Śródmieściu. Mówi się, że to dobra partia.

– Aaa... – mruknęła w zamyśleniu. – A wiecie może, co z Felkiem? Wrócił do Łodzi?

Zapadła cisza.

– Niestety, nie – mruknął Staszek dopijając zsiadłe mleko, siorbiąc przy tym głośno, wręcz demonstracyjnie. – Nikt go nie widział od tamtego czasu. Ale nie martw się, pewnie niedługo wróci!

Serce Stefki zamarło w tej chwili, zawód ścisnął jej krtań.

– Nie wrócił? – powtórzyła cicho, jeszcze niedowierzając. – Ja to? Żadnych wieści? Rodzina też nic nie wie?

Matka spojrzała na nią ukradkiem i wyczuwając jej niepokój, dodała:

– Nie przejmuj się, córeczko, na pewno wróci lada moment. Każdy tu na kogoś czeka i nie traci nadziei. Tak ja my... do dzisiejszego dnia...

Wzruszenie kolejny raz załaziło jej twarz, uściskała drobną rękę Stefki, pochyliła się i pocałowała przelotnie w policzek.

Dziewczyna objęła rodzicielkę ramieniem i zawisała przez chwilę na jej barkach. Otulił ją znajomy zapach olejku waniliowego, którego mama używała zamiast perfum, naftaliny i szarego mydła. Mieszanka woni, która od zawsze kojarzyła jej się z ciepłem, bezpieczeństwem i rodzinnym domem.

\*\*\*

Zatrzymała się przed uchyloną, drewnianą furtką. Przed nią rozpościerał się widok na niewielki prostokąt podwórza otoczonego z trzech stron poszarpanymi murami budynków. Porośnięty był trawą, wydeptaną w kilku miejscach, ozdobioną tu i tam kępami poźółkłych mleczy. Między oddalonymi od siebie dwoma kasztanowcami rozciągnięte były sznurki z praniem. Kilku chłopców w krótkich spodenkach na szelkach, rozprawiając głośno, celowało z procy w stronę skośnego dachu, który okupowało stado wron. Jeden z nich właśnie wystrzelił, ptactwo wrzasnęło i oderwało się od powierzchni szopy.

– Marek, do domu! Szybko! – Z okna parteru dał się słyszeć mocny, gardłowy głos kobiety. Pofrunęła drewniana okiennica, a w otworze pojawiła się zaczerwieniona, zalana potem twarz. – Pranie trzeba rozwiesić!

– Już idę, mamó! – zawołał jeden z urwisów i niechętnie odsunął się od grupki kolegów. – Zaczekajcie tu na mnie! – rzucił w biegu, przeskakując przewrócone do góry dnem wiadro. – Rozwieszę pranie i wrócę!

Tamci wzruszyli tylko ramionami, pogrzebali w trawie, szukając kamieni, po czym wrócili do strzelania z procy.

Tymczasem Stefa pchnęła furtkę na całą szerokość, podniosła do góry głowę i weszła do środka.

– Hej, chłopaki! Możecie mi pomóc? – zapytała, nadając głosowi swobodny ton.

Odwrócili się prawie jednocześnie. Niemal wszyscy spleonęli na widok ładnej dziewczyny, z ułożonymi gładko nad czołem czarnymi włosami, w sukience w groszki z nieskazitelnie białym kołnierzykiem. Przyglądali jej się przez moment, nie mogąc oderwać wzroku.

– Szukam Felka. Mieszka tutaj... – Urwała.

– Aaa... Stroiński? – upewnił się jeden z nich, odzyskawszy głos.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Jeszcze nie wrócił, ale na pierwszym piętrze pod czwórką mieszka jego matka. Ją proszę zapytać.

– Dziękuję, chłopcy. – Posłała im na odchodne lekki, kokieteryjny uśmiech i oddaliła się szybkim krokiem.

Niecierpliwie, z bijącym sercem pokonała skrzypiące starością schody, te zaś zaprowadziły ją do ponurego korytarza wypełnionego jakimś gratami, zupełnie jakby ktoś szykował się do wielkiej przeprowadzki.

Drzwi otworzyła jej szczupła, niewysoka kobieta, na oko czterdziestokilkuletnia. W spiętych w kok brązowych włosach dostrzec można było siwe nitki. Pociągła, blada twarz, para szarych smutnych oczu, zgrabny nos i pełne usta, które na jej widok wygięły się w szczerym zdumieniu.

– Stefania? Wróciłaś? Kiedy?

Wzięła ją w ramiona i tuliła długo.

Dziewczyna widziała matkę Felka tylko kilka razy. Spotkali się kiedyś na pogrzebie jego wuja. Nie była to najlepsza okazja do poznania się, ale czasy były, jakie były. Potem kilka słów zamieniły u znajomych Felka. Kobieta wydawała się sympatyczna i bardzo przystępna. Podały sobie wtedy dłonie, wymieniły imiona, uściski. Helena Stroińska. Stefania Rudzka. I na tym koniec. Matka ukochanego wyglądała wówczas inaczej. Wydawała jej się wyższa, pełniejsza, ładniejsza. Na pewno była bardzo elegancka. Ta kobieta, która ją tak serdecznie powitała, zupełnie nie przypominała tamtej. A przecież to było całkiem niedawno...

– Siadaj, córko! Napijesz się herbaty?

„Zabawne” – pomyślała Stefania. „Nazwała mnie córką”.

Helena wykonała ramieniem zapraszający gest, wskazując stojący pod oknem, nakryty koronkowym obrusem stół. Stefa usiadła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Pokój był niewielki, schludny, z dwoma wysokimi oknami

wychodzącymi na ulicę, ubitą z desek podłogą, wyposażony w skromne, drewniane meble.

Drzwi do kuchni były otwarte, zadziergnięte na sznurku dwa szale lnianych zasłonek stanowiły dodatkową ich ozdobę. Dostrzegła też kilka kremowych szafek, wiadro z wodą i fragment szamotówki, na której stał metalowy czajnik.

Jednak jej uwagę ściągnął natychmiast portret wiszący na ścianie. Wizerunek ukochanego mężczyzny w wojskowym mundurze, białej koszuli, pofalowanych, ułożonych blond włosach. Ciepły uśmiech zalewał ładną twarz, z prostym nosem i pełnymi ustami. W jasnych oczach migotały tajemnicze błyski. Zupełnie jak wtedy, kiedy widzieli się ostatni raz. Pod bramą jej kamienicy, kiedy po spotkaniu odprowadził ją do domu. Całowali się jak szaleńcy, zupełnie jakby przeczuwali, że los ich wkrótce rozdzieli. Jeszcze dziś czuła to mrowienie na plecach, kiedy ją dotykał. I te iskry w oczach, mimo mroku zalewającego ulicę. Podeszła bliżej i wpatrywała się w portret. Felek uśmiechał się do niej, patrząc jej prosto w oczy.

– Prawda, że ładnie się tutaj prezentuje? – wytrąciła ją z zamyślenia Strońska, która weszła do pokoju z niedużą metalową tacą i dwiema szklanekami zaparzonej herbaty.

– Tak, to prawda... – szepnęła, czując dławiący gardło ścisk.

– Przystojny ten mój syn... Mówią, że urodę odziedziczył po mamie! – dodała nieco pogodniej, próbując rozładować ciężką atmosferę. – Mówią też, że synowie są zawsze podobni do matek.

– Tak, to prawda. Też tak słyszałam. A córki do ojców... – Zgodziła się. – Ja jestem podobna do taty, wszyscy tak mówią.

– A teraz siadaj, córko, i opowiadaj! Słyszałam o twoim zaginięciu, ludziska mówili, że wywieźli cię na roboty. To prawda?

Stefania potwierdziła, kiwając z wolną głową. Pochwyciła uchwyt metalowego koszyka i zaczerpnęła łyk. Zaspokoiwszy pierwsze pragnienie, zaczęła mówić.

Helena słuchała z przejęciem, drżały jej wargi, mrugały powieki, a brwi ściągnęły się nad czołem w jeden punkt. Kiedy dziewczyna skończyła, milczała długo, nie mogąc opanować targających nią emocji. Chwyliła ją za rękę i długo trzymała.

Stefania z kolei dowiedziała się od Stroińskiej, że Feliks zaciągnął się do oddziałów AK. Wysłał do matki kilka listów, w których donosił, że żyje i ma się dobrze. W jednym z nich opisywał:

*Noc z czternastego na piętnastego stycznia czterdziestego piątego roku huczała od grzmotów, łuny pożarów rozjaśniały niebo, zewsząd rozchodził się klekot broni maszynowej. Była to ostatnia noc okupacyjna, Niemcy uciekali na zachód, a za nimi podążały radzieckie opancerzone transportery, polowe łaziki, motocykle, samochody ciężarowe. W ślad za wojskiem frontowym szły niosące postrach oddziały radzieckiej NKWD. Ale nie martw się, mamo, jestem cały i zdrowy, jak dobrze pójdzie, wkrótce wrócę.*

Za każdym razem pytał w listach o Stefanię. Jakie to było urocze. Ona też otrzymała jeden list, który przekazali jej rodzice. Pisał w nim o tym, jak tęskni, jak bardzo ją kocha i jak nie może się już doczekać powrotu do domu. Było to raczej wyznanie miłości, a nie sprawozdanie, co się u niego dzieje. List był krótki, poplamiony, widać, że pisany naprędce, w niesprzyjających okolicznościach, dlatego pojawiła się tutaj w nadziei, że dowie się czegoś więcej.

Okazało się jednak, że tuż przed ostateczną kapitulacją Niemiec korespondencja się urwała. Helena chodziła do urzędów, dopytywała, ale nikt nie potrafił jej w tej kwestii pomóc. Ślad po jej synu zaginął, choć ona wciąż czekała i nie traciła nadziei.

Od teraz były dwie. Dwie kobiety kochające tego samego mężczyznę i czekające z utęsknieniem na jego powrót.

## Rozdział 4

Popołudnie było ciepłe i parne. Niebo spowijała ołowiana masa chmur, przez które nie przebijał się nawet jeden promyk słońca. Pociemniało, kiedy przemieszczała się poboczem mała uczęszczanej, wyboistej uliczki biegnącej w stronę szerokiego pasa Zachodniej. Z obu stron otaczały ją drewniane domy pokryte gontem, na którym z oddali zieleniły się plamy mchu. Ściany domostw oplatały gęste zwoje winobluszczu, wspinały się pod sam szczyt, zaglądały do małych okienek, z okiennicami otwartymi na oścież. Na jednym z podwórek dostrzegła kołujące nisko nad ziemią jaskółki. Leniwie kreśliły ósemki, zwiastując rychłą zmianę pogody. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń poszarzałe niebo przecięła błyskawica, ryk grzmotu rozdarł ciszę. Zadarła głowę do góry i niewiele myśląc, przyspieszyła kroku.

Naraz ujrzała maszerującą rażno liczną grupkę ubranych prząśnie dzieciaków. Zeszła więc na bok, ustępując im miejsca. Na samym początku kolumny szła młoda, szczupła kobieta, trzymając za rękę jedną z podopiecznych, za nią pary dziewcząt, a następnie chłopców. Grupę zamykała na końcu druga opiekunka, która co jakiś czas zwracała uwagę tym najbardziej niesfornym, nieumiejącym podporządkować się łobuziakom. Wzrok Stefki mimo woli ślizgał się po mijającej ją żwawo gromadce. W pewnej chwili zatrzymał się na jednej z kobiet.

– To niemożliwe! – wyrwało jej się z ust. – Józia?!

W jednej z opiekunek rozpoznała swoją dawną przyjaciółkę ze szkoły. Dziewczyna miała na sobie bawełnianą, prostą sukienkę z bezlitośnie sprawnym kołnierzykiem w kolorze szarego mydła, ale jej wyjątkowa uroda prze-



bijała się nawet przez ten mało twarzowy strój. Wysoka, smukła, z jasnymi włosami upiętymi w kok, ciemną karnacją skóry, gęstymi brwiami stykającymi się pod wysokim sklepieniem czoła.

– Józia, to naprawdę ty? – nie dowierzała, omiatając wzrokiem piękną znajomą.

– Stefcia? Ojej, co się stało z twoimi włosami?

– A, to? – mruknęła, chwytając się odruchowo za ucho, za które zgarnęła niesforny kosmyk. – Eee... To nic.

Niewiele myśląc, rzuciły się sobie w ramiona. Połały się łzy, popłynęły słodko-gorzkie słowa. Opiekunka stojąca z przodu szeregu musiała upomnieć dzieciaki, bo te od razu wyczuły rozluźnienie, zaczęły się kręcić i przechodzić z miejsca na miejsce. Wymieniały się uwagami, szarpały za uszy, piszczwały, dokazywały. Byle jakie ubrania okrywały ich chude, niedożywione sylwetki, a blade, wydłużone twarze nosiły jeszcze ślad dawno zagubionej bez troski dzieciństwa. Tymczasem grube, pojedyncze krople deszczu zaczęły z wolna opadać na ich odkryte plecy i ramiona, zostawiając na koszulkach pojedyncze, wilgotne plamki. Zmiana pogody wywołała wśród dzieciaków niemałe ożywienie. Zdawała się czymś w rodzaju miłego przerywnika podczas podobnych do siebie dni w sierocińcu.

– Jejku! Jak to cudownie, że żyjesz! – jęknęła Rudzka, dotykając utlenionych włosów koleżanki. – Rozjaśniłaś. – Zauważyła mimochodem.

Tamta westchnęła ciężko.

– Długa historia, musimy koniecznie pogadać. Wpadnij do Jagódki jutro po osiemnastej. Wiesz, gdzie to jest?

– No pewnie, że wiem – odparła uradowana.

Deszcz w tym momencie zaczął zacinać coraz mocniej i bezlitośniej.

– Musimy wracać! – oznajmiła Józka, dając podopiecznym znak do dalszego marszu. – Przemokniemy jak nic. Jeszcze nam się któreś rozchoruje!

– Pracujesz z tymi dziećmiakami? – Stefka nie kryła ciekawości.

– Tak, od zakończenia wojny... Ktoś musi się zająć sierotami... – dodała szeptem z ubolewaniem, nachylając się jej do ucha.

– W takim razie jesteśmy umówione! Nie zatrzymuję was! – rzuciła Stefka, zrobiła dwa kroki w tył i pomachała wszystkim na pożegnanie. Grupka po kilku chwilach znów uformowała się w zgrabny rząd i wysłuchawszy kilku stanowczych poleceń, pomaszerowała rażno przed siebie.

\*\*\*

Było duszne, sierpniowe popołudnie. Dziewczyny miały się spotkać w Jagódce, ale wpadły na siebie już po drodze. Szły więc razem od placu Wolności, który od zakończenia wojny czekał na powrót Tadeusza Kościuszki. Niemcy zburzyli pomnik już w trzydziestym dziewiątym. Z relacji naocznego świadka wynikało, że był to jedenasty listopada. Początkowo chcieli go usunąć poprzez podcięcie podstawy, założenie stalowych lin, które miały być podpięte do samochodów. Okazało się, że ta operacja tylko lekko go pochyliła, dlatego zapadła decyzja o podłożeniu ładunków wybuchowych. Zostały ulokowane przy cokole, jednakże i one okazały się zbyt słabe. Akcję powtarzano wielokrotnie bez większego sukcesu. Dopiero zapędzenie do tych czynności łodzian żydowskiego pochodzenia, którzy rozbili pomnik ciężkimi młotami, przyniosło oczekiwany efekt. Całkowite wyburzenie trwało około tygodnia.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku na miejscu Naczelnika Niemcy ustawili obelisk ozdobiony wizerunkiem swastyki, ze stylizowanym orłem na jego szczycie.

Idąc dalej, po prawej stronie mijały pustą, odgrodzoną przestrzeń. Kiedyś znajdowało się tutaj żydowskie targowisko, gdzie handlowano głównie śledziem. Mieściły się w tym miejscu przeróżnej maści sklepiki, warsztaty, browar, kamieniczki zamieszkiwane przez społeczność żydowską, a nad ciasnym skupiskiem budynków królowała przepiękna, wybudowana w stylu mauretańskim synagoga. Zburzona została wraz z innymi synagogami w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

– Tutaj mój ojciec miał swój warsztat i sklep. Garbarnię. W jednym pomieszczeniu śmierdziało padliną i chemikaliami, a w drugim pachniało świeżo wyprawioną skórą – odezwała się Józia. – Ile ja się wybiegałam zauł-

kami tych uliczek! Ileż tu się działo! Rzeka ludzi, nieustający gwar, to były czasy... Tatko wysyłał mnie to tu, to tam. Wciąż gdzieś nosiłam zamówienia. To do szewca, to do kaletnika... Pamiętam jak dziś Icka, który woził mnie taczka. Miał takie ładne, długie pejsy, oczy w kolorze gorzkiej czekolady. Mówił, że jak dorośnie, wyśle do mojego ojca rabina, aby ten prosił o moją rękę. – Zaśmiała się gorzko. – Widziałam go jeszcze kilka razy na terenie getta, bardzo ciężko pracował, nie wyglądał dobrze. Kiedy wybuchła epidemia, zachorował na tyfus. Został zastrzelony przez Niemców... – Urwała.

Dalej szły w milczeniu, zatrzymały się dopiero na rogu Zgierskiej i Podrzecznej.

– Tutaj mieściła się komenda gestapo, a tam dalej, między Lutomierską a kościołem, została wybudowana kładka. Pamiętasz? – znów jako pierwsza odezwała się Józka.

Stefka skinęła bez słowa. Oczywiście, że pamiętała.

– Kiedy się weszło po stromych stopniach na samą górę, widać było biegnącą w stronę placu Wolności ulicę Nowomiejską, a dalej Piotrkowską z przyległymi uliczkami. Tam jeszcze przed wojną znajdowało się nasze piękne mieszkanie, które Niemcy w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku kazali nam opuścić.

– Pamiętam – powtórzyła głucho Rudzka, słuchając ze ściśniętym gardłem słów koleżanki. Tyle razy docierały do niej informacje o tym, co się działo w getcie. Głód, smród, choroby, ciężka, ponad siły praca. Jak bardzo im wszystkim wtedy współczuła. Kilka razy przyniosła Józki chleb, przepychała go przez otwór w ogrodzeniu. Wielu Polaków tak robiło, choć Niemcy strzegli wyznaczonej granicy, próbując unicestwić ten proceder.

– Tyle razy zastanawiałam się, czym różnię się od innej rasy, pytałam moją koleżankę Rózię, co we mnie jest nie tak. Co takiego zrobiłam ja i moi bliscy, że zgotowano nam taki los.

Stefania ścisnęła mocniej jej ramię i spojrzała w twarz.

– Nie mów tak, dobrze wiesz, że to nie jest tak. Najważniejsze, że żyjemy, a to szaleństwo już minęło.

– Szaleństwo – powtórzyła Józka gorzkim, ironicznym tonem. – Inaczej chyba nie można nazwać Holokaustu, który pochłonął tyle milionów ofiar... Czy historia kiedyś to rozliczy? Jak myślisz?

– Mam nadzieję – mruknęła Stefa, patrząc pod nogi, aby nie wpaść w dziurę, których nie brakowało po drodze.

Kamienica, przed którą stanęły, wydawała się nienaruszona. Trzypiętrowa, ze skromną fasadą, balkonikami i kwadratowym wejściem. Józia wskazała rząd okien na górze, po czym przeniosła wzrok na drugą stronę ulicy.

– Mieszkaliśmy na trzecim piętrze, z okien mieliśmy widok na wieżę kościoła, w którym Niemcy urządzili najpierw magazyn naszych zrabowanych rzeczy, a później sortownię pierza. Pracowałam tam wraz z siostrami, to było okropne segregować mienie, które należało do Żydów. Ale nie miałyśmy wyjścia. Na dziedziniec kościoła przyjeżdżały ciężarówki, a te całymi tonami wywoziły nasz dorobek życia do Rzeszy.

Podniosła ramię.

– Tam, w głębi, był czerwony domek, Rote Haus. Tak go nazywaliśmy. Mieściła się tu siedziba komisariatu policji kryminalnej, tak zwane kripo. Inaczej mówiąc – katownia. Ci, którzy tam trafiali, zwykle nie wychodzili żywi. Baliśmy się tego miejsca jak najczarniejszego piekła. A trafić tam można było za wszystko, choć najbardziej zależało im na naszym złocie.

Wstrzymała oddech.

– Zabrali tam naszego tatkę... – dodała szybko, jakby bała się własnych słów.

– To straszne! – wykrztusiła Rudzka, odwracając odruchowo wzrok od budynku plebanii.

– Zatrudnionych tam było około dwudziestu funkcjonariuszy, którzy współpracowali z żydowskim konfidentami. Ci dostarczali informacje, kto jeszcze ukrywa jakieś kosztowności. Niemcy potrafili wpadać o każdej porze dnia i nocy i rewidować mieszkania. Grabić, mordować, poniewierać! – syknęła przez zęby. – Podejrzanego o zbrodnię, czyli ukrycie czegokolwiek

wartościowego, najpierw aresztowano, potem tak długo bito, torturowano, aż przyznawał się i wskazywał miejsce. Nawet jeśli niczego nie schował ani nie oddał komuś na przechowanie – z kripo i tak nie wychodził żywy. Tatko już do nas nie wrócił. Po jego śmierci głód zajrzał do naszego domu tak straszliwy, że gdyby nie ty...

– Ja? No co ty mówisz?

Józia zamyśliła się na chwilę.

– Najgorsze jednak przyszło potem, kiedy likwidowali getto.

– Jak ci się więc udało przetrwać? – spytała zdumiona Stefa. – Nie było mnie przy likwidacji getta, bo wcześniej trafiłam do obozu. Jednak wiele słyszałam na ten temat...

– Sama nie wiem... To jakiś cud – odparła koleżanka drżącymi wargami. – Kiedy likwidowano żydowską dzielnicę, utworzono złożone z naszych specjalne oddziały porządkowe. Mieli za zadanie oczyścić każde mieszkanie i doprowadzić wszystkich do rampy na stacji Radegast. Stamtąd wywozili nas jak bydło, wagonami z jednym zakratowanym oknem, bez miejsca na opróżnienie się i wody do picia. Nie mieliśmy złudzeń, że wywożą wszystkich na śmierć, choć Niemcy obiecywali nam domy i dobre życie.

Gdy tylko rozniosła się wieść o ostatecznej likwidacji getta, skupiliśmy całe nasze siły, aby zorganizować zapasy żywnościowe. Niektórzy z naszych zgłosili się do wywózki dobrowolnie, uwierzyli faszystom, a także naszemu rodakowi, przewodniczącemu starszyzny – Rumkowskiemu. Znaleźli się jednak tacy niedowiarkowie jak ja i mnie podobni. Zorganizowano więc liczne łapanki, przeprowadzono czyszczenie dzielnicy, aby siłą zaciągnąć na rampę tych, którzy postanowili się sprzeciwić rozkazom. Miasto niemal już opustoszało, a oddziały porządkowe przeczesywały nadal każdy zakątek. Ukryci w piwnicach budynku – ja, moja mama, siostry i zaprzyjaźniona rodzina – czekaliśmy z nadzieją, że to wszystko się kiedyś zakończy. Siedzieliśmy jak wypłoszone stadko szczurów, brudni, zawszeni, głodni... A kiedy zaczynało nam już brakować jedzenia, typowaliśmy po kolei jedną osobę, która miała za zadanie coś zorganizować. Zwykle

udawaliśmy się do opuszczonych mieszkań w nadziei, że tam coś jeszcze znajdziemy. Tym sposobem zginęły obie moje siostry, Róża i Malka. Znałaś je przecież.

Rudzka przytaknęła w milczeniu, chwytając z bólem każde słowo.

– Do dziś nie wiem, co się z nimi stało, czy wpadły w ręce czyścicieli, czy stały się ofiarami łapanki, czy przeszły na drugą stronę ogrodzenia. Po wojnie próbowałam je odszukać, ale wszelki ślad po nich zaginął. Mama nie wytrzymała tego napięcia, rozchorowała się i zmarła. Leżała z nami kilka dni, zanim udało nam się przenieść ją w inne miejsce. Straszne! Nawet nie mogłam jej pochować! Zrobiłam to dopiero po wyzwoleniu, ale to już inna historia... – Urwała, głośno przelękając ślinę. Po chwili kontynuowała: – Siedzieliśmy w naszym więzieniu i nasłuchiwaliliśmy odgłosów. Niekiedy wydawało nam się, że nad miastem wyje z rozpaczony wiatr. Kiedy ostatecznie skończyło nam się jedzenie, garstka, która ocalała, zmuszona była do wyjścia. Aby nie ściągać na siebie uwagi, rozproszyliśmy się. Zostałam sama. Ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie. Byłam przeraźliwie głodna, brudna, słaba, cuchnąca, czułam się jak szczur wyslizgujący się z otchłani kanałów.

Józka znów urwała, zachłystując się powietrzem. Ramiona jej drżały, pod powiekami nagromadziły się łzy.

– Chodźmy stąd! – zaproponowała Stefka. – Widzę, ile cię te wspomnienia kosztują. Może już na dziś wystarczy.

– Nie! – przerwała jej Józia. – Muszę to wreszcie z siebie wyrzucić. A potem będzie tylko lepiej... Chciałabym jeszcze wejść do naszego mieszkania. Pójdiesz tam ze mną?

– No pewnie! – zgodziła się bez wahania. – W takim razie powiedz, co było dalej...

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, a potem znów popłynęły gorzkie słowa.

– Postanowiłam wydostać się z getta i błagać kogoś o pomoc. Wtedy trafiłam na jednego z czyścicieli. Na szczęście był sam. Reszta jego grupy przeczesywała kamienicę obok. Był niewiele ode mnie starszy, patrzył na

mnie długo, nie wiedząc, co ze mną zrobić. Nie miał sumienia mnie aresztować, dlatego wskazał mi miejsce, gdzie mogłabym się ukryć. Był to bunkier, ciemny, wilgotny i zimny. Przyniósł mi też jedzenie, świece, zapalki, koc i płaszcz. Mówił, że wkrótce do mnie dołączy, bo Niemcy będą chcieli zlikwidować oddział, w którym pracuje. Na pewno zechcą zatrzeć ślady. Miałam nadzieję, że tak się stanie. Nie przyszedł jednak. Byłam zmuszona po pewnym czasie wyjść z kryjówki, a nie mając innego pomysłu, będąc zdeterminowaną i zdesperowaną, przedostałam się na polską stronę. Tam trafiłam do zaprzyjaźnionej z moją rodziną pani Ludmiły. Ukryła mnie w spiżarni za regałem. Wytrzymałam tam kilka tygodni. Na wieść o zbliżającym się froncie Niemcy w popłochu zaczęli opuszczać miasto. Wyzwolenie było tuż, tuż. Tak dotrwałam.

– Miałaś dużo szczęścia – skonkludowała cicho Stefka. – Zupełnie jak ja.

– To prawda – przytaknęła Józka. – Jeśli to wszystko, co przeżyliśmy, możemy nazwać szczęściem.

Zamilkły po tych słowach, wspinały się skrzypiącymi schodami w górę. Farba na ścianach była nieludzko złuszczone, odrywała się płatami, zwisając smętnie nad ich głowami. Ponura otchłań klatki wciąż jeszcze nasyciona była zapachami strachu i przemocy, milczący świadek tylu ludzkich tragedii.

– To tutaj! – Józefa zatrzymała się przed odrapanymi, lekko uchylonymi drzwiami. – Jej ręka zawisała w powietrzu, kiedy zastanowiła się, czy powinna zapukać. Zrezygnowała jednak z tego zamiaru. – Wygląda na to, że jest puste... Dziwne...

Weszły do środka. Pod ich stopami zadudniła drewniana, oparta na legarach podłoga. Przywołała echem lawinę dobrych i złych wspomnień. Przyjaciółka Stefki drgnęła na ten odgłos, potem cofnęła się przerażona na widok zdewastowanych, znajomych sprzętów. Leżące na podłodze garnki, pozbijane naczynia z gliny, wypatroszone pierzyny, poduszki, potrzaskane krzesła i meble. To wszystko pokryte białym puchem w postaci ptasich piór.

W tym całym rozgardiaszu zaplątała się też menora. Pokrzywiona, z ułamanym ramieniem przedstawiała żalostny widok. Józia pochyliła się, aby podnieść z podłogi mosiężny świecznik.

– Światło naszego życia... – szepnęła, odzyskując głos. – Towarzyszył nam przez tyle lat... Podczas uroczystych kolacji, szabatu, spotkań rodzinnych... – Głos jej utknął w krtani, Stefka chwyciła ją mocno za ramię.

– Chodźmy stąd! – rzuciła zdecydowanie.

– Nie! – Józia szarpnęła się całym ciałem. – Muszę to zrobić, muszę to sprawdzić!

– Czyli co? – Dziewczyna patrzyła na nią wielkimi, zdziwionymi oczami. – Chcesz się dobić? To już nie ma sensu. Trzeba zacząć nowe życie, Józka! Nie oglądaj się za siebie! Inaczej oszalejesz!

W odpowiedzi potrząsnęła głową.

– Mama krótko przed śmiercią wyznała, gdzie tatko ukrył nasze ostatnie oszczędności. Dasz wiarę? Poza nim tylko ona wiedziała... Przeszukiwali to mieszkanie wiele razy, ale nigdy nic nie znaleźli.

– To dlaczego nie zabrała ich, gdy uciekłyście stąd, aby się ukryć w piwnicach?

– Właśnie! – przytaknęła kwaśno Józefa. – Uznała, że to nadal zbyt niebezpieczne. Bo jeśli nas znajdą, to i tak zabiorą. Powiedziała, że jeżeli któraś z nas przeżyje, to ma obowiązek wrócić tu i odzyskać to, co należało do naszego pokolenia.

– Ale dlaczego dopiero teraz? – wykrztusiła zdumiona Stefka. – Nie bałaś się, że mogłaby się tu wprowadzić jakaś rodzina?

W odpowiedzi wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Mama była wówczas w gorączce, pomyślałam, że to jakieś chorobowe majaki... Poza tym... nie miałam jeszcze odwagi. Dopiero jak spotkałam ciebie, uwierzyłam, że mogę to zrobić.

– W takim razie... przekonajmy się, czy mówiła prawdę – rzuciła Stefka zachęcająco.



Józia przytaknęła, podeszła do okna, za którym rozpościerał się widok na dwie strzeliste wieże kościoła zatopione w błękitnym, niczym niezmaczonym niebie.

– Nawet dzwony przestały bić, kiedy zasypano je pierzem... – mruknęła, spoglądając w zamyśleniu przed siebie. – Wiele razy zastanawiałam się wówczas, gdzie jest ten nasz i wasz Bóg. Bo gdyby był, pozwoliłby na takie barbarzyństwo?

– Ach! – jęknęła Stefka w odpowiedzi. – Ileż razy ja zwątpiłam... Któż byłby to w stanie zrozumieć? Słońce wschodziło, zachodziło, zmieniały się pory roku, zupełnie jakby się nic nie stało... – mruknęła gorzko, spoglądając ze zrozumieniem na przyjaciółkę.

Ta kucnęła, zaglądając pod szeroki, drewniany parapet. Podniosła rękę w górę, usiłując wybadać wszystkie nierówności.

– Potrzebuję czegoś ostrego i długiego. Pomożesz mi?

Dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła w głąb kuchni. Długo krążyła po zdewastowanym pomieszczeniu, pełnym fruwającego pierza. Przeglądała szafki, szuflady, miejsce za rozbebeszonym piecem i rozsypanym wokół popiołem. „Tutaj też musieli szukać” – przemknęło jej mimo woli przez myśl.

– Mam! – oświadczyła po chwili, niosąc w ręku długi nóż z drewnianą, popękaną nasadką. Podała go zdenerwowanej przyjaciółce, która na klęczkach wsunęła się pod okno. Dłubała pod nim jakiś czas, wykrzywiając twarz w zaciekłym grymasie. Co chwila odruchowo mrużyła oczy, bo spod parapetu wypadały jakieś śmiecie i resztki skamieniałej zaprawy. Na jej czoło wystąpiły grube krople potu, które co jakiś czas ocierała wolnym przedramieniem.

– Ja chyba też – wymamrotała, nagle robiąc się blada jak papier. Sapnęła, opadając całym ciałem na podłogę. Jej ubranie było zakurzone, jedną ręką oparła się o ścianę, podczas kiedy druga zawisła nieporadnie w powietrzu. Trzymała w niej mały, ubrudzony w suchej zaprawie, owinięty starą szmatą pakunek.

\*\*\*

Jedli kolację we czworo, napawając się swoją obecnością niczym starym, dobrym winem. Matka wzięła pod pachę okrągły, spieczony od spodu chleb, długi, wyszczerbiony nóż, po czym energicznie nakreśliła na nim znak krzyża. Dopiero potem rozkroiła go na grube pajdy, które zaczęli ochoczo smarować. Okna były otwarte na oścież, bo duchota panowała nie-miłosierna, mimo chwilowej burzy i rozładowania atmosfery. W pojemniku, w którym zanurzona była kostka świeżo ubitego masła, utopiła się mucha. Krystyna wyłowiła ją palcem, wstała i wrzuciła do doniczki z paprotką. Przechodząc obok okna, poprawiła zasłonki, rozprostowując je na całej szerokości parapetu, zasłaniając jeszcze szczelniej widok od drugiej strony. Z pomieszczenia obok, przeznaczonego na pracownię, dobiegał znajomy zapach gumy i kauczuku, dlatego domknęła lekko uchylone drzwi.

– Kupiłam rano na rynku śmietanę. Handluje tam taka pani Marcelina. Przyjeżdża dwa razy w tygodniu ze wsi. Masełko z niej palce lizać – pochwaliła swoją robotę rodzicielka, siadając na powrót przy stole. – Z miodem smakuje wybornie. Miód kupiłam od zaprzyjaźnionego gospodarza. Jeszcze przed wojną miał ogromną pasiekę, niestety w czterdziestym trzecim zniszczyli ją Niemcy. Nie bacząc na nic, naprawił ule, bo te pszczoły do niego wróciły. Uwierzycie? Jedzcie, moi kochani!

– Takich rarytasów dawno nie kosztowałem. – Senior rodziny ciężko westchnął. – Ostatnio tylko chleb, topiona słonina i kartofle. To i tak cud, że mamy co jeść. Krysia jest taka zaradna... – Zerknął na żonę z czułością, a potem zatopił nóż w świeżutkim maśle.

– Pyszny, dawno takiego nie jadłam – przyznała Stefka, oblizując łyżkę. – Jak niewiele do szczęścia potrzeba... – dodała, zamyślając się na moment.

Bronisław podniósł głowę, przyglądając się córce uważniej. Wciąż się o nią martwił. Każde jej wyjście z domu przyplacał zdenerwowaniem. Tak już mu zostało od pamiętnego popołudnia.

– Nie uwierzycie, spotkałam Józję – zaczęła dziewczyna, chcąc wytłumaczyć swoje ostatnie zniknięcie. – Pracuje w sierocińcu, opiekuje się tymi wszystkim niebożętami, którym wojna zabrała rodzinę. Chce w ten sposób spłacić dług wobec tych, którzy jej pomogli przetrwać. A nie było łatwo. Ryzykowali życiem, a mimo to...

– To prawda... – przytaknęła matka, kiwając z ubolewaniem głową. – Jak sobie o tym wszystkim pomyślę...

Mucha zakołowała nad stołem i usiadła na krawędzi naczynia. Rodzicielka odgoniła ją krótkim, zdecydowanym ruchem ręki. Tymczasem Stefka kontynuowała:

– W trakcie ostatecznej likwidacji getta udało jej się ukryć w piwnicach. Koczowała tam wiele tygodni wraz dwiema siostrami, matką i sąsiadami. Aż zabrakło im jedzenia i zmuszeni zostali wydostać się na zewnątrz. W ten sposób obie siostry, jedna po drugiej, gdzieś się zawieruszyły, a matka po kilku dniach zmarła ze zgryzoty. Biedna Józja została sama... Kiedy usiłowała znaleźć coś do jedzenia i poszukać nowej kryjówki, natrafiła na jednego z policjantów. Był takim samym Żydem jak ona, tylko Niemcy zrobili z niego swego pacholka. Kogoś do wykonywania brudnej roboty, czyli zabijania, ścigania, oczyszczania miasta. Ten jednak ulitował się i nie wydał Józki. Sprowadził ją do jakiegoś bunkra, przyniósł szmaty i jedzenie na przetrwanie. Kazał jej tam siedzieć i nie ruszać się. Czekać, aż wszystko się uspokoi. Miał przeczucia, że i jego spotka podobny los, że na samym końcu sam stanie się jedną z ofiar całego niszczycielskiego systemu. Nie miał co do tego złudzeń.

– I co było dalej? – Brat nie krył ciekawości. – Opowieść mocno go zainteresowała.

Siostra posmarowała miodem kolejną pajkę chleba, ugryzła chrupiącą skórkę i żuła ją z lubością w ustach.

– Kiedy skończyły jej się zapasy, będąc już u kresu sił i wytrzymałości, znów musiała wyjść na powierzchnię. Kręciła się w panice po opustoszałym getcie, napotykając nieustannie na rozstrzelane, rozkładające się ciała. Wśród nich rozpoznała zaprzyjaźnionego z ojcem rymarza, a także męża

sąsiadki z dołu, poczciwego Joszę. Najbardziej jednak przerażał i ranił serce widok zabitych bestialsko dzieci, po których prześlizgiwały się wygłodzone koty. Z każdym najmniejszym odgłosem zamierała, chowała się do wnętrza bram, kamienic, splądrowanych mieszkań. Wreszcie znalazła dziurę w siatce i przeszła na naszą stronę. Tutaj strach nie był wcale mniejszy, bała się, że ktoś ją wyda, dlatego szła ostrożnie i omijała wszelkie ludzkie skupiska. Dostrzegła panią Ludmiłę Toporską wracającą z targu. Nie miała odwagi, aby podejść do niej bliżej. Kochana pani profesor i tak by jej nie poznała. Bardziej przypominała wygłodniałą bestię niż jej dawną uczennicę. Skradała się za nią w pewnej odległości, kobieta co jakiś czas zatrzymywała się, stawiała torby na ziemi i poprawiała chustkę zawiązaną wokół szyi. Wreszcie zginęła w czeluści jakiejś bramy.

Józia postanowiła zaryzykować, nie miała pojęcia, co ją tam może spotkać, ale poszła za nią. Wówczas okazało się, że poczciwa pani Ludmiła zauważyła ją już dużo wcześniej. Rozpoznała bez trudu, mimo chudości, brudnych ubrań, posklejanych włosów. Trudno było nie zwrócić uwagi na jej charakterystyczną urodę. Czekala na nią tuż za rogiem, przy wejściu na klatkę. Przyłożyła palec do ust i kazała szybko ukryć się w schowku pod schodami. Przyszła po nią późnym wieczorem, kiedy już wszyscy spali. Ukrywała ją u siebie aż do wyzwolenia.

– Odważna kobieta! – skwitował Bronisław.

– Ale to jeszcze nie koniec historii! – prychnęła tajemniczo Stefka. – Chcecie posłuchać, co było dalej?

– No pewnie! – stwierdził rozemocjonowany Staszek.

– Do pani Ludmiły przychodził w odwiedziny przyjaciel, Kazimierz Wróblewski, przed wojną znany muzyk i artysta. Prowadził kursy tańca, udzielał lekcji gry na fortepianie, śpiewał... Józka od początku wpadła mu w oko, wręcz zauroczyła, choć w środowisku znany był jako zadeklarowany stary kawaler. Prawie czterdziątka na karku i żadnych zobowiązań. Przedwojenna Łódź zapamiętała go z licznych romansów, niejednej dzierlatce zламаł serce, niejedno małżeństwo wisiało przez niego na włosku. Dzielili ich spora różnica wieku, ale Józia uznała, że w miłości nie ma żadnych granic.

Pewnie niedługo zostanie panią Wróblewską. Dobre polskie nazwisko. Myślę, że to idealne posunięcie z jej strony, choć twierdzi, że naprawdę się zakochała. Rozjaśniła włosy, zmieniła wygląd, w niczym nie przypomina tamtej zahukanej dziewczyny.

Matka pokiwała głową.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda, córeczko? Oby im się tylko dobrze działo!

Stefka milczała chwilę, ugryzła kęs chleba, przełknęła, po czym omiotła wszystkich kolejno wzrokiem.

– Byłyśmy wczoraj w jej dawnym mieszkaniu na terenie getta. Okazało się, że ojciec ukrył pod parapetem kosztowności, wiedziała o tym tylko matka. Zanim umarła, wyznała prawdę. Początkowo Józia myślała, że rodzicielka mówiła od rzeczy, że to przez gorączkę. Ale po pewnym czasie postanowiła się o tym przekonać sama. Poprosiła, abym jej towarzyszyła. Na szczęście do lokalu jeszcze nikt się nie wprowadził. Nadal stoi pusty i przeraża. Ogołocony, z powybijanymi szybami, porwanymi pierzynami, roztrzaskanymi meblami! – Stefka otrząsnęła się, próbując w ten sposób wyrzucić z pamięci tamten obraz. – To miejsce nadal źle się wszystkim kojarzy. – Zaczerpnęła głęboko haust powietrza. – Wszystko tam było takie straszne... widać, że ktoś plądrował każdy kąt... – Urwała. – I wszędzie pełno pierza...

– I co? – dopytywał zainteresowany Staszek. – Znalazła?

– Tak, były schowane w dziurze pod parapetem. Otwór zasłonięty był zaprawą, dlatego nikt tej skrytki nie znalazł. A jej tatko przypłacił to życiem.

– I co tam było? – Krystyna też nie kryła ciekawości.

– Pieniądze i biżuteria... sporo tego.

– Przynajmniej dziewczyna stanie na nogi! – wtrącił ojciec. – Po tym, co przeżyła, zasługuje na to.

– Owszem – przytaknęła Stefka, uśmiechając się kącikami ust. – Tylko że Józia chce te pieniądze przeznaczyć na dom dziecka. Pragnie w ten sposób pomóc sierotom...

Najpierw zapadła cisza, potem odezwał się ponownie senior rodziny. Pokiwał głową z ubolewaniem.

– Noo, owszem... to zbożny cel...

– Próbowałam jej ten pomysł wyperswadować z głowy. Przecież zaraz wszystko upaństwowią, nie będzie już prywatnej własności. Po co jej to, dla kogo? Lepiej adoptować jedno z nich i zapewnić mu opiekę i wykształcenie. Tak jej doradziłam, ale co z tego wyniknie, to się dopiero okaże.

– Dobrze jej doradziłaś! – potwierdził brat, mrugając porozumiewawczo. – Znacznie więcej korzyści dla kogoś, kto potrzebuje miłości i rodziny! – Mlasnął siarczyście na potwierdzenie własnych słów.

Tatko wziął tymczasem kolejną pajdę chleba i posmarował ją grubo masłem. Żona podsunęła mu pod nos słoik z miodem.

– Jedzcie, kochani moi. Póki z ojcem mamy pracę, to i na jedzenie jakoś starczy. Musimy jednak zastanowić się, co dalej... Stasiek powinien wrócić do szkoły, a Stefka... Niedawno otworzyli w okolicy dwie szkoły, kawiarnię, nawet kino...

Dziewczyna zamrugała powiekami na dźwięk własnego imienia. Lekki, ledwie widoczny uśmiech na jej twarzy zgasł.

– Będę musiała coś zrobić... – oznajmiła cicho. – Mam jeszcze jedno zobowiązanie, bardzo ważne.

– Co takiego? – zdenerwował się ojciec, wąż na jego wardze zdradziecko zadrżał.

– Muszę wyjechać na kilka dni do Kalisza. Obiecałam Kazi, że powiadomię jej rodzinę. Zaslugują na to, żeby wiedzieć, co się stało z ich córką. A tylko ja wiem, co się wtedy wydarzyło i gdzie znajduje się jej grób. Mam jej chustkę, którą nosiła krótko przed śmiercią. Muszę to zrobić, inaczej nie zaznam spokoju... Dopiero jak wrócę, rozejrzę się za jakąś robotą dla siebie.

– Nie podoba mi się ten pomysł! – zaproponowała pani Krystyna Rudzka. – Czasy nadal są niebezpieczne!

– Mamo, wojna się już skończyła! O czym ty mówisz?

– Jedna okupacja się zakończyła, a zaczęła się druga – oświadczył gorzko rodzic. – Mamy teraz władzę ludową. Wpadli tu i szarogęszą się jak u siebie, jeszcze gorzej jak za Hitlera – warknął wściekle.

Rudzka przyłożyła natychmiast palec do ust.

– Ciii, na Boga. Zamilcz, głupcze! Okna są pootwierane, jeszcze ktoś usłyszy.

– A niech słyszą! – sarknął głośno. – Po tym, co zrobili Malewskiej i wielu innym...

– Malewskiej? – zdumiała się Stefka. – Tej z Mariampola? Od jajek?

– Nie słyszałaś? – wtrącił się brat.

Potrząsnęła głową.

– Co takiego?

Staszek popatrzył najpierw na matkę, potem na ojca, zanim odważył się powiedzieć.

Ściszył jednak głos na tyle, aby mogli go usłyszeć najbliżsi.

– Zaraz po wyzwoleniu żołnierze czerwonej armii zalali wsie niczym szarańcza. Wyglodniali, dzicy wpadali do domów, wyciągali z nich kobiety i gwałcili na oczach całych rodzin. Żadnego zmiłuj się! Żadnego przebacz! Stado zwyrodnialców i potworów. Zajmowali ludziom mieszkania, panoszyli się, niszczyli, grabili... dopóki nie ogołocili wszystkiego. A potem szli dalej uprawiać ten niszczycielski proceder. To samo spotkało panią Malewską. Biedny jej mąż nie zdążył nic zrobić, nie miał szans. Dostał obuchem przez łeb i leżał, kiedy oni chędożyli mu żonę... Biedaczka, postradała rozum od tego wszystkiego. Już nigdy nie będzie w pełni zdrowa... To samo zrobili z sąsiadkami. Niektóre chociaż zdążyły ukryć swoje córki w piwnicy pod podłogą...

– Straszne, potworne! – jęknęła Stefka, zakrywając twarz. – Ile jeszcze spotka nas nieszczęść, zanim ten świat powie sobie: dość?

– A kto to raczy wiedzieć? – mruknął żałośnie ojciec.

– Tak wyglądała ta wspaniała, okrzyczana sławą armia wyzwoleńcza – dokończył gorzko Staszek. – Dlatego jeśli koniecznie chcesz, pojedę z tobą.

Nigdzie cię już samej nie puszcę. Zrozumiano?

Ojciec spojrział z dumą na syna i uśmiechnął się kącikami ust. Matka kiwnęła głową na znak aprobaty.

– Skoro tak, zgadzam się, braciszku – odparła, głaszcząc go pieszczotliwie po policzku. – Matuszka wojna każdemu z nas dopisała niezłą historię. Ale bez względu na wszystko żyć trzeba dalej... – dodała cicho, ze smutkiem i nadzieją w pięknych, orzechowych oczach.

\*\*\*

W czasie okupacji ulica Rzeźnicza nosiła nazwę Maikowski-Strasse. Oprócz Fabryki Pierników i Biskoptów działała tu rzeźnia, kaliskie młyny, a także mleczarnia. Kazia twierdziła, że jeszcze wcześniej, na początku dziewiętnastego wieku, ulica nosiła nazwę Skockiej. Słowo „skot” oznaczało bydło, a więc nazywana była ulicą Bydlęcą. Stefa zapamiętała, że relacja przyjaciółki ją wtedy rozśmieszyła, tym bardziej była więc ciekawa tego miejsca, ciągnącego się od Głównego Rynku do ulicy Sukienniczej. Miała okazję być w samym centrum miasta, które zawsze ją intrygowało. Z miastem tym związana była również jej ulubiona, ukochana poetka i pisarka Maria Konopnicka. Wiele razy rozprawiły o tym z Kazią, wtedy kiedy leżały na pryczach, niemiłosiernie zmęczone i głodne. Zawsze jednak znajdowały chwilę, aby wspominać, pomarzyć, poopowiadać ciekawe historie. „Tyle nas ze sobą łączyło, ech!” – pomyślała, chwytając się odruchowo za wypukłe miejsce pod sukienką, pod którą zakłuło ją z żalu. Staszek nie odstępował jej na krok. Miał na sobie białą koszulę z zawiniętymi nad łokcie rękawami i brązowe spodnie, nieco przyduże, ściśnięte w pasie skórzanym, wytartym paskiem. Nie był już małym, płaczącym się nieustannie przy jej spódniczce smarkaczem, ale niemal już dorosłym mężczyzną. W dodatku z ujmującym wyrazem twarzy i niekończącym się entuzjazmem w piwnych, okolonych ciemną oprawą oczach.

– Opowiedz mi o niej! – rzucił do jej pleców, kiedy przemierzali jedną z uliczek zabudowaną kamienicami w stylu secesyjnym z bogato zdobnymi fasadami. – Jaka była ta Kazia?



– Dobra, ciepła... śliczna – wypowiedziała trzy słowa, które jako pierwsze przyszyły jej do głowy. – Dopóki była zdrowa, to ona mnie wspierała. Wciąż powtarzała, że wyjdziemy z tego, że jeszcze kiedyś będziemy wspólnie odwiedzać nasze ulubione zakątki Łodzi i Kalisza. Było w niej tyle wiary i optymizmu! Zarazała mnie nadzieją, i nie tylko mnie! Współwięźniarki też jej wierzyły, dopóki nie zachorowała... Wtedy siły ją opuściły, straciła wiarę, przestała walczyć...

– Nie była pierwsza, którą złamała wojenna rzeczywistość – skomentował kwaśno.

Dalej już nic nie mówił, widząc, ile te wspomnienia kosztują jego siostrę. Szli obok siebie burym, zakurzonym chodnikiem, mijając po drodze pierwsze polskie kawiarnie i sklepy. Widok ten mimo wszystko napawał radością. Gdzieniegdzie powiewały białoczerwone flagi, miejsce niemieckich nazw ulic zajęły polskie. Na Głównym Rynku panował gwar i rozluźnienie. Placem przechadzały się wolno kobiety z dziećmi, nastolatki z włosami zaplecionymi w warkocze okupowały wolne ławki, wystawiały do słońca zarumienione twarze i wymieniały uwagi, chichocząc nieustannie. Handlarze lodów nawoływali, kulawy katarzyniarz kręcił korbką, a wielkie sfatygowane pudło wydawało z siebie rzewne, już dawno zapomniane dźwięki. Kwiaciarka z wiadrem czerwonych róż okupowała narożnik ulic, lokalny nieletni pucybut w sfatygowanej czapce z daszkiem rozłożył gazetę, szmaty i narzędzia do pracy. Ustawił stołek, gwizdząc co jakiś czas, próbując w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Zatrzymał się koło niego gość w garniturze palący demonstracyjnie papierosa, wyciągnął nogę obutą w przykurzony mokasyn. Chłopak ochoczo rzucił się do pracy. Miasto odżywało, zniknął wreszcie strach z twarzy większości ludzi i ta czujność tak potrzebna w wielu podbramkowych sytuacjach. Ciepły wiatr swawolił zuchwale, zdmuchując z trotuarów płatki przekwitniętych drzew i drobne śmiecie. Tak dotarli pod wskazany adres.

Otworzyła im niewysoka, krągła kobieta w opiętym fartuchu w groszki, rozpinanym na przodzie, z niedługimi włosami skręconymi w gęste blond loki. Jej twarz była pełna, z jasną, lekko zaróżowioną cerą, zadartym nosem

i ziemistymi oczami. Wyglądała na niewiele ponad czterdzieści lat. Stefka od razu zauważyła uderzające podobieństwo do Kazi. „Pewnie matka” – skonkludowała w duchu.

– Państwo do kogo? – zdziwiła się kobieta, wydymając pulchne wargi, przecierając wierzchem przedramienia spocone czoło.

– Myślę, że właśnie do pani... – bąknęła niespiesznie Rudzka.

– My się znamy? – rzuciła matka Kazi, nie kryjąc zdziwienia, jednocześnie w jej szarych szparach oczu błysnął cień nieufności.

„Na swój sposób, w pewnym sensie” – chciała powiedzieć Stefka, ale szybko ugryzła się w język. „Nie tak powinna wyglądać ta rozmowa” – skarciła się w duchu.

– Możemy wejść? – wtrącił się Staszek. – Nie zajmiemy dużo czasu, mamy do przekazania ważną wiadomość. Proszę się nie bać – dodał szybko, widząc jej wystraszoną twarz.

Kobieta się zawahała. Dwoje młodych ludzi stojących pod drzwiami czekało na jej decyzję przestępując z nogi na nogę. Stefania marzyła o napiciu się herbaty i skorzystaniu z toalety.

– Przyjechaliśmy tutaj z Łodzi... – wydukała nieśmiało, gdy wtem zza pleców gospodyni, z czeluści długiego ciemnego korytarza wyłonił się mężczyzna.

– Helka, co się tutaj dzieje? – krzyknął, podchodząc bliżej i zerkając podejrzliwie w stronę intruzów. – Czego chcą ci ludzie?

Był wysokim, szczudłowatym mężczyzną z zapadłą twarzą przeciętą dwoma pionowymi bruzdami, wąsem na górnej wardze i strzechą przeplecionych siwizną włosów.

– Państwo przyjechali z Łodzi... – pośpieszyła z odpowiedzią kobieta – Mają do nas sprawę...

– Do nas? A niby jaką? – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Kazia Zabłocka to państwa córka? – Stefka nie wytrzymała. – Byłam z nią razem w obozie... udało nam się nawet zbiec... – dodała, czując natychmiastowy ścisk w gardle.

Kobieta zbladła w jednej sekundzie, przewróciła oczami i chwyciła dziewczynę za rękę.

– Znałaś Kazię, wejdz, proszę! – jęknęła wręcz błagalnie, wpychając ją do środka. Stasiek, mnąc w dłoniach czapkę, podreptał długim korytarzem za siostrą.

Kilka minut później nad stołem, przy którym wszyscy czworo siedzieli, zawisła grobowa cisza. Tylko Helena, matka Kazi, łkała, dusząc w sobie ból, ściskając kurczowo chustkę córki i przytykając ją zachłannie do nosa, zupełnie jakby w tych drobnych splotach tkaniny tkwiło jeszcze kilka okrucichów życia.

Zabłocki milczał, jego twarz zgasła niczym wyłączona żarówka, zapadła się w sobie jeszcze bardziej, emocje zdradzał jedynie drgający nad górną wargą wąs. Przełknął głośno ślinę, zanim zdecydował się zapytać.

– Wiesz, gdzie została pochowana?

Stefka przytaknęła.

– Dlatego tu przyjechałam, przyjechaliśmy... – dodała, spoglądając z wdzięcznością w stronę brata. – Nie mogłam tego tak zostawić. Poza tym... przyrzekliśmy to sobie...

– Dziękuję – odparł sucho, nie mogąc w dalszym ciągu opanować żalu. – Do tej pory łudziliśmy się, że któregoś dnia... wróci. – Zamilkł, nie mogąc nic z siebie wydusić. – Ale teraz wiem, że lepsza jest prawda od daremnej nadziei... Przynajmniej będziemy mogli zmówić modlitwę nad jej grobem.

Ledwie skończył, rozległ się głośny szloch. Matka Kazi nie wytrzymała dłużej i wybuchła niepohamowanym płaczem.

Rudzka pochyliła się nad stołem i podanym przez gospodarza ołówkiem nakreśliła na szarej kartce papieru adres Willa Rittera.

– To dobry człowiek, proszę się go nie obawiać. Jest po naszej stronie.

Mówiąc to, upiła jeszcze ostatni łyk herbaty, rzuciła ku Staszкови porozumiewawcze spojrzenie i wstała.

– Proszę pozdrowić pana Willa ode mnie! – dodała na odchodnym.

Podziękowali szybko za gościnę, rzucili kilka nieporadnych słów na pożegnanie i wyszli na ulicę, zaciągając się głęboko suchym powietrzem.

## Rozdział 5

**N**a targu wrzało i kipiało. Było tu niemal wszystko. Ludzie pozbywali się kosztowności, ubrań, drobnego wyposażenia domu, aby tylko kupić jedzenie. Nie brakowało też w tym miejscu szabrowników, drobnych oszustów, złodziejasków i całego tego szemranego towarzystwa, któremu nawet w zwykły biały dzień należało schodzić z drogi. Na rozciągniętych szmatach, rzuconych na rozpulchnioną mokrym śniegiem ziemię, leżały wyroby ze srebra, szczątki porcelanowej zastawy, zniszczone książki, albumy, miniatury, obrazy. Większość tych rzeczy pochodziła z szabrownictwa, które w ostatnim czasie stało się zmorą mieszkańców Łodzi. Nic więc dziwnego, że raz na jakiś czas ktoś rozpoznawał w sprzedawanych towarach swoje własne rzeczy, co było przyczyną wielu dzikich awantur. Wśród towarów nie brakowało również mąki, cukru, warzyw, mięsa, a także części do maszyn, rowerów, domowego ptactwa. Handlarze, grzęznąc w błocie, przydeptywali z nogi na nogę, niektórzy dla lepszego samopoczucia raczyli się bimbrem, serwując go, w czym popadło. Na łysym, wydeptanym placyku okutana w szmaty kobiecina sprzedawała pączki. Były polane lukrem, dobrze wypieczone, brązowa skórka zdawała się chrupiąca i niebiańska w smaku.

Staszek kątem oka dostrzegł, jak siostra oblizuje wargi, dlatego zatrzymał się przy handlarce i spytał:

– Po ile macie te pączki?

– Czterdzieści pięć groszy za sztukę – odparła babina, wyciągając przed siebie dwie spracowane, zniszczone ręce – Z nadzieniem z róży, palce lizać! Wczoraj smażone!

Chłopak zamieszał w kieszeni spodni, wyciągnął jej zawartość i skrupulatnie przeliczył.

– To poproszę jednego. – I wręczył Stefce.

– Dla mnie? – Dziewczyna otrząsnęła się z zadumy. – Nie ma mowy!

– Jedz! – nalegał brat. – Ja nie lubię pączków!

– Od kiedy? – zadrwiła.

– Od dzisiaj!

– W takim razie zjemy na pół – oświadczyła i przełamała wypiek na dwie równe części. Ze środka wylało się gęste, aromatyczne nadzienie. Pobrudziło palce, które natychmiast oblizała.

– Ale dobre! – wymruczała z zadowoleniem.

– A widzisz? Kiedy ostatnio takie jadłaś?

– Jeszcze przed łapanką, w tłusty czwartek, zdaje się. – Zaśmiała się gorzko.

– Ach, siostra! – rzucił czule i objął ją ramieniem. – Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy.

– Chodźmy kupić mąkę dla mamy! – ponagliła go, rozglądając się dookoła. – Bez mąki nie będzie chleba i ciasta.

– Ruszmy się w takim razie! – przyznał jej rację.

Wkroczyli w rozwrzeszczaną gromadę ludzi, ubraną przeważnie w serdaki, kożuchy, pocerowane kapoty, gumki, czapki i wełniane chusty. Wśród nich kroczyły dumnie lokalne elegantki w pachnących naftaliną sukienkach, w zawijanych nad czołem lokach, z umalowanymi wargami i w bucikach na obcasach, które niczym niestrudzone grzęzły w błocie. Temu wszystkiemu wtórowały zwierzęta: konie przy wozach rżały, świnię kwiczały, owce beczały. Nie zabrakło też kur i kaczek. W tym całym rozgardiaszu znaleźli wreszcie znajomego handlarza mąki i zakupiwszy cały worek, ruszyli w stronę domu, trzymając go za rogi z obu stron.

\*\*\*

– Będzie piękny chleb! – zawołała uradowana matka. – Może jeszcze drożdżowe upiekę. Pani Maria też chciała pół bochenka, więc roboty nie zabraknie! Stefka, pomożesz mi?

– No pewnie!

– Słyszałaś, że wrócił syn Marii?

– Naprawdę? – Dziewczyna wstrzymała oddech. – Kiedy?

– W nocy.

– Skąd wrócił? – Nie kryła ciekawości.

– Z Treblinki, cudem uszedł śmierci – wysapała rodzicielka, wysypując mąkę na drewnianą stolnicę. – Kiedyś chłop jak dąb, a teraz waży niecałe czterdzieści kilo... Ale dopasujemy go, dojdzie do siebie... Jeszcze trochę...

Stefania zadrżała na dźwięk tych słów, wspomnienia jak żywe stanęły jej przed oczami. Twarz schorowanej Kazi, innych współwięźniarek, blokowej Berty i kopce niehumanitarnie wychudzonych ciał. A do tego ten nieznośny fetor, który prześladowuje ją do dziś.

Matka tymczasem podwinęła rękawy koszuli, założyła fartuch, który związała z tyłu na dwa troki, i zabrała się do wyrabiania masy. Kuchnia z dużym stołem, kafłowym piecem i oknem wychodzącym na podwórko rozjaśniła się na moment dzięki nieśmiałym promieniom słońca, które zajrzały tu, wpadając ukośnie przez otwarte okiennice. Rozpełzły po stole, oświetlając jej oblepione rozrobioną mąką z wodą ręce, potem spadły na drewnianą podłogę, zajrzały w grube szpary i tam przepadły, nurkując w przestrzeni ciemnej piwnicy.

– Dolej wody, Stefa! – mruknęła Krystyna, pochylając się nad ogromną kulą ciasta. – O czym tak znów myślisz?

– Ach, nic... – wymamrotała cicho, a potem dodała łamiącym się głosem: – Bo jest coś, czego nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz, dziecko?

– Że jeden człowiek drugiemu może zgotować takie piekło.

– Oj, może! Oj, może... – Matka westchnęła w odpowiedzi i przetarła spocone czoło wierzchem przedramienia. Z pomieszczenia obok docho-

dziło miarowe, jednostajne pukanie młotkiem, zapach rozrobionego kleju wkradł się do kuchni. – Przymknij drzwi od warsztatu! Ojciec jak zwykle zostawił otwarte, choć tyle razy go proszę! – rzuciła przez ramię, kiedy córka stanęła przy cynkowym wiadrze i próbowała zaczerpnąć z niego blaszonym kubkiem wodę. Znowu zawiesiła wzrok nad szafką, nad którą na lnianej makatce wyszyte były dwa pływające po stawie łabędzie. Patrzyła na Stefkę spod ściągniętych brwi, wiedziała, co dziewczyna przeszła, już na samą myśl jej matczyne serce ścisnęło się z bólu, ale przecież, na Boga, życie trwało dalej!

\*\*\*

Stefania zatrzymała się na środku podwórka z miednicą pełną świeżego prania. Lekki mróz oszronił gałęzie drzew, które teraz połyskiwały w południowych promieniach słońca. Rozciągnięte między drzewami sznurki były wolne, za to na drzwiach drewnianych komórek Józwiakowa rozpiniała świeżo wykrochmalone obrusy i firany. Jeszcze przed wojną zajmowała się ramowaniem, dlatego też bez żalu wróciła do zajęcia, na którym знаła się jak mało kto i które przynosiło jej niewielkie dochody. Mogła dzięki temu wyżywić gromadkę dzieci. Te młodsze nieustannie się przy niej kręciły. Dwóch wyrostków w pocerowanych swetrach i przykrótkich spodniach na szelkach targało wodę w wiadrach z hydrantu usytuowanego tuż przy ulicy. Mogli mieć po jakieś dziesięć, dwanaście lat. Obaj byli wyrośnięci jak na swój wiek i chudzi. Tymczasem dziewczynki, Hania i Romka, pomagały jej naciągać ażurowy, robiony na szydełku obrus w kształcie dużego koła. Szło im coraz lepiej, choć matka raz po raz sarkała z niezadowoleniem, że nadziewają nie w tym miejscu.

– Jak naciągasz? Nierówno będzie! – strofowała bez litości mimo starań latorośli, które mogły mieć jakieś osiem i dziewięć lat.

– Dzień dobry, pani Katarzyno! – zawołała z daleka, po czym postawiła pranie na ziemi, aby je następnie rozwiesić. Słońce tego dnia przygrzewało mocno, mimo zimy w pełni i coraz silniejszych mrozów. Oblepione szro-



nem drzewa, dachy szop i ustępów mieniające się srebrem ożywiały w niezwykły sposób obskurny prostokąt podwórka.

– Dzień dobry, panno Stefanio! – odparła pogodnie kobieta, a jej szczupła, odziana w podomkę naciągniętą na gruby sweter sylwetka pochyliła się znów nad balią z krochmałem. Sprawnymi ruchami wyciągnęła kolejną serwetę i wyżeła ją starannie, strzepując na koniec z resztek naturalnego kleju. – Ładnie panienka wygląda, włosy już odrosły, zaczynają się pięknie układać! – zawołała donośnym głosem, nawet nie patrząc w jej stronę. – Ino patrzeć, jak kawalery zaczną się schodzić.

Rudzka rozwiesiła pranie bez słowa, zajmując trzy rozciągnięte między drzewami sznury. Przyglądała rękawy ojcowskiej koszuli, matczynej fartuch z szarego płótna starannie rozłożyła, a następnie podeszła do Józwiakowej. Dziewczynki, obie były chude, niewysokie, podobne do matki, choć ładniejsze i miłsze, kończąc naciąganie obrusa, zerkały na nią z ukosa. Przeżycia córki szewca budziły w nich ciekawość.

– Dziękuję – odparła, przyglądając się pracy Hani i Romki. – Włosy, owszem, odrosną, ale oczy nie zapomną nigdy – bąknęła w odpowiedzi, a potem zaraz dodała głośniej: – Pracowite ma pani te dzieci, tylko pozazdrościć i pogratulować!

– Hej, że robotne? – zdziwiła się tamta, prostując plecy. – Jakbym sama nie zagoniła, to by spały do południa. A jak wychowałam, tak mam – ujęła filozoficznie. Potem zadarła głowę, zmrużyła oczy, przyłożyła rękę do czoła osłaniając się przed natarczywym słońcem. Stefania mimo woli zwróciła uwagę na brzydką twarz z zapadniętymi policzkami i osadzone blisko nosa szare, wszędobylskie oczy sąsiadki. – To po co dałaś się złapać? Trzeba było siedzieć w domu i nie latać. On i tak nie wróci, pewnie za granicę gdzieś pojechał, znalazł sobie nową i już dawno o tobie zapomniał. A ty, głupia, omal życia przez niego nie straciłaś – prychnęła lekceważąco i niespodziewanie, czym wprawiła Stefkę w osłupienie.

– A skąd to pani może wiedzieć? – sarknęła Rudzka lodowatym tonem.

– A bo to tylko ja wiem? Cała kamienica o tym huczy. Wszyscy domniemają, że tak właśnie jest. Ciesz się, że wróciłaś. Matka i ojciec wariowali ze

zgryzoty, dobrze, że Bóg się ulitował. Zapomnij o nim, dziecko, jak najszybciej! Ułóż sobie życie, a na niego się nie oglądaj!

– Swojej matce też nie dał znaku życia. Czy to znaczy, że nie ma serca? – warknęła, podnosząc dumnie głowę, omiatając wzrokiem tę mało taktowną kobietę, której najwyraźniej brakowało empatii.

– Nie obrażaj się, moja droga! – Józwiakowa nawet na nią nie patrzyła, zajęta wyżymaniem kolejnej serwety. – Zawsze mówię to, co myślę! Taka już jestem, co zrobić... Niektórzy mnie za to bardzo szanują, a inni nie. Komu się nie podoba, trudno. Wszyscy już prawie powracali... – dodała jakoś markotnie i bez przekonania.

Dziewczyna poczerwieniała ze złości, chwyciła miednicę i odwróciła się na pięcie. Nie miała już ochoty na dalszą dyskusję z sąsiadką. To wścibskie, wredne babsko popsło jej cały, nagromadzony przez pół dnia pozytywny nastrój. „Nic dziwnego, że chłop ją zostawił i poszedł do innej” – podsumowała z goryczą w myślach. „Nikt by z taką nie wytrzymał!”

\*\*\*

Za oknem rozgościł się wieczór. Na niebie rozbłysła pierwsza gwiazda. Był dwudziesty czwarty grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Świeżo ścięte, zielone drzewko stało w rogu między łóżkiem a kredensem. Obwieszona jabłkami, orzechami, papierowymi ozdobami, łańcuchami i anielskim włosem, przypominało strojną pannę szykującą się na wiejską zabawę. Na stole pokrytym białym obrusem stało już pięć płaskich i głębokich talerzy, jeden dodatkowy na wypadek zabłąkanego gościa. Pałała się też świeca w mosiężnym, wysokim świeczniku, który królował na środku, roztaczając wokół siebie magiczną aurę. Z kuchni dolatywał zapach smażonej ryby, pieczonych ciast, chleba i kapusty z grochem. Była też zupa śledziowa zrobiona z gnecionego mleczka, z dodatkiem octu, cukru, śmietany i wody. Do tego kopiec obranych ze skórki kartofli i pocięte w równe kawałki solone śledzie. Tej potrawy Staszek nie cierpiał, nie mógł się za to doczekać pierogów z kapustą i grzybami oraz karpia.

– Siadajmy już! Wszystko gotowe! – zawołała matka, wnosząc kolejne dania. Pomagała jej Stefka ubrana w granatową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Pan domu właśnie zapinał ostatnie guziki białej koszuli i męczył się z krawatem.

– Pomożesz mi, Krysiu? – skapitulował.

Kobieta odłożyła półmisek z pierogami, sapnęła, przetarła ręką spocone czoło, po czym osuszyła dłonie końcem fartucha.

– No, chodź! Pokaż!

Staszek w tym czasie podkładał prezenty pod choinkę. Stefka zerkała na niego przez ramię.

To były pierwsze święta po wojnie, dlatego wszyscy czworo przeżywali je w szczególny sposób, każde po swojemu. Jednak dla wszystkich stanowiły początek czegoś nowego.

Niedługo potem zasiedli do kolacji, Bronisław podzielił się ze wszystkimi opłatkiem i zaczęli sobie wzajemnie składać życzenia. Nie obyło się bez łez, wzruszeń, gorączkowej ekscytacji i ciepłych słów, napawających radością i nadzieją.

Ktoś zapukał do drzwi. Okazało się, że przyszli Gilowie z opłatkiem, ćwiartką świeżo pieczonego chleba i salaterką śledzi w cebuli.

– Wchodźcie, zapraszamy! – zawołała poruszona tym faktem Krystyna i zerwała się od stołu, aby powitać gości.

– My tylko na chwilę, ale chętnie usiądziemy – zgodził się pan Antoni. Ubrany w odświętny garnitur, prezentował się niezwykle elegancko. Pani Wanda z kolei miała na sobie fioletową sukienkę z krepy z okrągłym kołnierzykiem i sznurkiem pereł wokół szyi. Gilowa elegancko ułożyła włosy, lekko umalowała usta, brwi podkreśliła ciemnym ołówkiem. Oboje pachnieli naftaliną, którą ludzie zwykle wykładali do szafy, walcząc w ten sposób z molami.

– Pójdziemy na pasterkę? – zaproponował Staszek, łypiąc znad talerza w stronę siostry. Wreszcie doczekał się ryby i kapusty, nie mógł się więc opanować i niemal połykał wszystko wygłodzony dwudniowym postem.

– Bardzo chętnie – odparła cicho, kierując w jego stronę siostrzane, czułe spojrzenie.

W tym momencie znów ktoś zapukał do drzwi, Stefka drgnęła jak oparzona. Podniosła się z krzesła i ruszyła w stronę korytarza. Nagle pomyślała o ukochanym. Jakież było jej rozczarowanie, kiedy zamiast niego zobaczyła sąsiadkę z góry.

– Można?

W sieni pojawiła się pani Maria Kawka. Ona również nie przyszła z niczym. Trzymała w rękach półmisek z pierogami.

– Chciałam się z wami podzielić opłatkiem... – oznajmiła, usprawiedliwiając swoje najście. – Tak ciężko w taki dzień samemu w domu... Syn dziś pracuje na noc... – bąknęła.

– Ależ proszę wchodzić, pani Mario! Dla pani zawsze miejsce się znajdzie. – Stefka otrząsnęła się z przykrych myśli i zachęciła kobietę serdecznym gestem.

Krawcowa weszła do środka, znów posypały się serdeczne, pełne nadziei na przyszłość życzenia. Następnie usiedli na dostawionych krzesłach i przystąpili do ponownej konsumpcji. Rozmowy trwały, goście nie opuszczali mieszkania, najwyraźniej wszyscy pragnęli tego wieczora towarzystwa.

## Rozdział 6

**D**ruga wojna światowa zmęczyła społeczeństwo polskie, które pragnęło odbudowy kraju i nowego porządku, gdyż stary moralny ład upadł bezpowrotnie. Władza ludowa miała przynieść te zmiany i dać równość społeczną, w którą ludzie naiwnie wierzyli, nieustannie epatowani propagandowymi hasłami o odbudowie państwa, odzyskaniu potęgi gospodarczej, dobrobycie każdego obywatela. Socjalistyczny kult pracy miał się przyczynić do zrealizowania wszystkich założeń polityczno-gospodarczych, tymczasem nowa władza całkowicie podporządkowała się terrorowi Stalina. Pod koniec lat czterdziestych zaczęto wprowadzać gospodarkę centralną, której celem było zniszczenie własności prywatnej. Nastąpił proces upaństwowienia nazwany nacjonalizacją. Na czele rządu polskiego w wyniku sfałszowania wyborów w czterdziestym siódmym roku stanął Bolesław Bierut. Działacz polityczny, były pracownik NKWD, posłuszny wobec Kremla i zwolennik ustroju socjalistycznego na wzór radziecki. Był bezwzględny w zwalczaniu antykomunistycznej opozycji i Kościoła, odpowiadał za prześladowania żołnierzy Armii Krajowej.

\*\*\*

Szła ulicą Główną w stronę Piotrkowskiej, uważając na śliski, oblodzony bruk. Grudniowy wieczór zapadł się w melancholijnej, zimowej zadumie. Stefka wstrzymała na chwilę oddech, zachwycając się prószącym wolno śniegiem, połyskującym radośnie w świetle palących się gdzieś lamp. Wtuliła szyję w ciepły kołnierz, poprawiła pasek torebki ześlizgujący się jej nieustannie z ramienia i przyspieszyła kroku.

Przestronne, słynące z elegancji mieszkanie państwa Wróblewskich mieściło się we frontowej secesyjnej kamienicy przy samej Piotrkowskiej. Brama była na szczęście otwarta, dozorca nie zdążył jej jeszcze zamknąć, dlatego bez przeszkód dostała się na pierwsze piętro. Klatka schodowa była tutaj imponująca, ozdobiona licznymi gzymsami, rozetami i malowidłami. Za każdym razem, będąc w tym miejscu nie mogła oderwać oczu od tych wspaniałości. Na szczęście wojna nie odcisnęła na nich tak wielkiego piętna jak w innych budynkach, ponadto ten dom zamieszkiwali sami znamienici ludzie, artyści, doktorzy, adwokaci. „Józi się poszczęściło” – skonkludowała w myślach, zatrzymując się przed drzwiami i ściągając z kwiatów szary papier.

Z wnętrza dochodziły śpiewy i muzyka. Nie zdziwiło jej to. Dom Wróblewskich był niezwykle otwarty, słychać z licznych przyjęć i potańcówek.

Po kilku naciśnięciach dzwonka usłyszała wreszcie kroki, zamek w drzwiach zaskrzeczał i po chwili ukazała się w nich gospodyni w całej okazałości. W czarnej sukience ściągniętej w talii szerokim paskiem, z dekoltem w kształcie łódki odsłaniającym jej kształtne ramiona wyglądała niezwykle seksownie. Biżuteria na szyi w postaci bogato zdobionej kolii była jedyną ozdobą tego niezwykle prostego, ale jakże szykownego stroju.

– Jesteś! Nareszcie! – Józia rozłożyła szeroko ramiona i z radością przytuliła przyjaciółkę. – Wchodź, wszyscy już są!

Stefka znalazła się w obszernym korytarzu z drewnianą podłogą i ścianami pokrytymi wzorzystą tapetą, odłożyła na stolik kwiaty, po czym odpięła haftki futerka. Ściągnęła z głowy skórzany toczek, odwiązała z szyi chustkę, oddając wszystko Józii, która czekała niecierpliwie, paplając nieustannie i spoglądając raz po raz na swoje odbicie w lustrze, by sprawdzić stan swojej fryzury – zakręconych, jasnych loków, spiętych po bokach ozdobnymi wsuwkami. Wyglądała na szczęśliwą, jej piękna, wypoczęta twarz promieniała. Po chwili ucichły dźwięki pianina i w pomieszczeniu pojawił się sam gospodarz. Stefka musiała przyznać, że mimo siedemnaścieletniej różnicy wieku pasowali do siebie jak ulał. Pan Kazimierz był wysokim, postawnym mężczyzną, z interesującą twarzą i elektryzującym

spojrzeniem oczu w kolorze ołowiu. Kilka zmarszczek, kiedy się uśmiechał, dodawało mu tylko uroku. Ubrany był elegancko, w czarny smoking, białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, mankietami zapiętymi na kolorowe spinki i błyszczące buty.

– Witamy w naszych skromnych progach! – zawołał, po czym nonszalancko cmoknął ją w rękę. – Pięknie wyglądasz, Stefanio! – dodał kurtuazyjnie.

– Dziękuję – odparła lekko onieśmielona, czując, jak jej przemarznięte policzki zaczynają nabierać kolorów. Roztarła dłonie i po raz pierwszy kątem oka uchwyciła swoje odbicie. „Nawet nieźle” – skwitowała w myślach, widząc siebie w granatowej sukience, plisowanej od bioder, z zarzuconym przez szyję sznurem pereł. Ta rodzinna pamiątka leżała w ich szafie od pokoleń. Wiele razy ratowała życie, oddawana w zastaw w zamian za żywność, jednakże jakimś niewyjaśnionym cudem zawsze do nich wracała. Była zastrzeżona tylko na wyjątkowe okazje, dlatego Stefania czuła się dumna i wyróżniona, że wreszcie dostała tego zaszczytu i mogła je założyć. Kreację uszyła specjalnie na tę okazję przemiła pani Maria Kawka.

Józia odebrała kwiaty i pobiegła do kuchni w poszukiwaniu wazonu, tymczasem gospodarz zaprowadził przyjaciółkę żony do salonu. Goście siedzieli na sofie, fotelach, parapecie okna. Na widok nowej twarzy niektórzy z nich zerwali się z miejsc i przystąpili do ceremonii powitalnej. Mnóstwo imion i ksywek nowych osób, których dotychczas nie miała okazji bliżej poznać. Kilka z nich widziała wprawdzie u Wróblewskich już wcześniej, jednak wówczas nie zrodziło się z tej krótkiej znajomości nic więcej. Zresztą i teraz po tym trochę wymuszonym rytuale wszyscy wrócili jak gdyby nigdy nic do kontynuowania zaciętych dyskusji.

W powietrzu unosiły się opary dymu z papierosów, które większość paliła w nadmiarze. Pokój był duży, wysoki, wyposażony w ciężkie, stylowe meble, znaczone licznymi rzeźbieniami. Ściany zdobiła zachwycająca kolekcja olejnych obrazów, jednak największe wrażenie za każdym razem robił na Stefie żyrandol. Spływał z sufitu na grubym, złotym łańcuchu niczym okazały, błyszczący kwiat.

Rudzka czuła się nadal nieswojo, jej przyjaciółka zniknęła w kuchni, dołączył do niej mąż, a ona stała jak wazon na środku pokoju, nie wiedząc, co ze sobą począć.

– Socjalizm to utopia, moi kochani! – wyrwał się z głębi ściśniętej, zajętej głośnie rozmową grupki donośny męski głos. – Równości nie było i nie będzie! Włóżcie sobie te mrzonki między bajki!

– Kapitalista się odezwał! – zakpił ktoś z boku.

– Realista raczej! – zripostował pierwszy.

– Panowie, przestańcie! Nie przyszliśmy tutaj, aby się kłócić! – wtrącił się łagodniejszy kobiecy głos.

Stefka mimo woli skierowała wzrok w stronę, skąd dochodziła rozmowa, czyli pod ścianę przy wysokim kwietniku z paprotką. Musiała przyznać, że mężczyzna, który protestował przeciwko władzy ludowej, należał do wyjątkowo urodziwych. Nie dość, że wysoki, barczysty, to jeszcze ładny. Twarz miał owalną, gładko ogoloną, z niezwykle kształtnym nosem, niebieskimi jak niebo oczami i gęstwiną ciemnych brązowych włosów. Musiała go ściągnąć wzrokiem, bo w kilka sekund znalazł się przy niej i wyciągnął rękę w ramach powitania.

– Tadeusz – przedstawił się, pochylając nad nią i całując z pietyzmem wierzch jej dłoni.

– Stefania – odpowiedziała zalotnie, czując nadal rozognione policzki. Wymienili spojrzenia, uśmiechy. Nowo poznany miał w sobie coś szlachetnego i niepospolitego zarazem.

W tym momencie do salonu wróciła Józia.

– To co zagramy tym razem? – rzuciła rozemocjonowana, zerkając w stronę towarzyszącego jej męża. Oboje mieli uroczyste miny, zupełnie jakby chcieli obwieścić światu jakąś niezwykle wiadomość.

– *Tango Apaszowskie!* – odezwały się zgodne głosy, na co oboje Kazimierz i Józia, zachęceni ekscytacją zebranych, podeszli do pianina. Mężczyzna rozsiadł się na okrągłym stołku, rozprostował długie palce i z rozmysłem zaczął uderzać w czarno-białe klawisze instrumentu. Spod jego rąk wypły-



nęła rzewna, tragiczna pieśń o miłości. Tymczasem jego żona stała dumna i wyprostowana, trzymając dłoń na ramieniu męża. W pewnej chwili zaczęła śpiewać. Dojrzały, mocny głos popłynął aż pod sam sufit, wprowadzając towarzystwo w niemały zachwyty.

– Józia cudownie śpiewa, prawda? – stwierdziła raczej niż zapytała Rudzka, spoglądając z ukosa na nowo poznanego mężczyznę, który najwyraźniej nie miał zamiaru sobie pójść.

– Zgadza się, w zupełności. To prawdziwy talent. Czego się napijesz, piękności moja?

Roześmiała się na te słowa. Jeszcze nigdy nikt się tak do niej nie zwracał. Nawet Feliks. Tym bardziej Feliks, bo przecież on mówił do niej zupełnie inaczej... Po prostu Stefcia. Już na samo wspomnienie jej serce ścisnął głód miłości wymieszany z żalem i tęsknotą. Minęło tyle lat, a jej ukochany nie wrócił. Poszukiwania podjęte przez Czerwony Krzyż nie przyniosły żadnych rezultatów. Dziewczyna regularnie odwiedzała jego matkę, stwierdzając za każdym razem ze smutkiem, że Helena Stroińska pogodziła się z jego śmiercią. Przestała wypatrywać, zrywać się na każdy dźwięk, biec do drzwi, by zamiast ukochanego syna ujrzeć... sąsiada. Nawet pojawienie się listonosza przestało mieć dla niej znaczenie. W dodatku odwiedziny mieszkańca kamienicy, jurnego zgrywusa o imieniu Wacek, nabrały jakiejś niezwyklej mocy uzdrawiania. Kobieta przestała płakać, zamartwiać się, a zaczęła się lepiej ubierać, malować i z utęsknieniem wypatrywać jego wizyt. Stefka poczuła się osamotniona w swoim wyczekiwaniu i tęsknocie, lekko rozczarowana zachowaniem matki Felka, choć z drugiej strony nie mogła jej odmówić prawa do szczęścia. Zaslugiwała na nie tak samo jak każdy, bez wyjątku.

– Nie odpowiedziałas na pytanie, piękności moja! – Jej rozmyślenia przerwał męski, zdecydowany głos. Niemal w tej samej chwili z grupki pod oknem odłączyła się niewysoka, pulchna, jasnowłosa dziewczyna i podeszła, obejmując Tadeusza w pasie.

– Gdzie się podziewasz, mój drogi? Zatańczymy?

Sytuacja w pierwszej chwili zaskoczyła młodzieńca, ale już w drugiej roześmiał się od ucha do ucha i oznajmił wesoło:

– Przed chwilą zostałem zaproszony do tańca przez tę oto osobkę! Pozwolisz, że najpierw obsłużę gościa, a później do was dołączę?

Dziewczyna przystała na to niechętnie, zrobiła obrót i z kwaśną miną wróciła pod okno. Muzyka płynęła dalej. Tym razem śpiewano *Mały biały domek*, więc część towarzystwa ruszyła w tany.

Stefka wyduła wargi, unosząc lekko brwi.

– Gościa? – powtórzyła kpiąco. – Bawisz się w kelnera? To może zatrudnisz się ze mną w kawiarni, co?

– Niezły pomysł! – wycedził. – Czemu nie?

– W takim razie... wino poproszę! – rzuciła chłodno, bez dodatkowych emocji.

– Już się robi, piękności moja!

Chciała zapytać „Jaka twoja”, ale chłopak zrobił wymowny ruch ręką, zakręcił się i wskoczył w sam środek wywijających na parkiecie par.

\*\*\*

– Kto to? – spytała Józję, kiedy przeniosły się do kuchni, aby przygotować kolejne zakąski. – Zachowuje się jak jakiś donżuan, co on sobie w ogóle wyobraża? – sarknęła przez ramię.

– Mówisz o Tadku? – upewniła się Wróblewska, krojąc w ukośne paski pęto suszonej kiełbasy. – Aaa... przyjechał tutaj niedawno do pracy, ale na stałe mieszka w Kaliszu. Jego rodzina wyjechała z samego Lwowa zaraz na początku wojny. Raczej uciekli, bali się czystek i represji. Przed wojną dorobili się olbrzymiego majątku, ojciec prowadził kasyno, był też współwłaścicielem odcinka linii kolejowej... Bardzo źle tam się działo, więc uciekli. Podobno ich okradli czy coś takiego... W każdym razie to jakaś zacna, zamożna rodzina. Ten Tadeusz to nie byle kto! Zakręć się koło niego! Dobrze ci radzę! I to szybko, zanim inna sprzątnie ci go sprzed nosa!

– Też mi coś! – fuknęła z niechęcią. – Wiesz przecież, że kocham innego...

Józia zamilkła na chwilę.

– No cóż... – dodała po dłuższym zastanowieniu się. – Może czas już pomyśleć o przyszłości? Nie wolno czekać w nieskończoność, minęło już ponad pięć lat...

Stefka westchnęła ciężko, przytrzymując się dębowego blatu stołu. – Wciąż nie tracę nadziei... Przecież nie zapadł się pod ziemię, do jasnej cholery!

– No, chyba nie... Ale spójrz na fakty.

– A ty? Jesteś szczęśliwa?

– Ja? – zdumiała się gospodyni domu. – Bardzo! Kazimierz to wspaniały, mądry człowiek. A odkąd adoptowaliśmy Rozalię, czuję się po stokroć spełniona. To dziecko daje nam tyle siły! Przypomina mi moją młodszą siostrę. Kiedy miała tyle lat, też była przemyślana i na wszystko miała swoją odpowiedź. Kocham tę łobuzicę jak własną córkę – dodała rozpromieniona. – Ujęła mnie za serce, jak tylko zaczęłam pracować w sierocińcu. Była wtedy taka smutna i lgnęła do mnie jak mucha do miodu. Spragniona miłości i zainteresowania jak każde dziecko w tym wieku... Tak bardzo brakowało jej rodziców, którzy nie przeżyli Holokaustu. Na szczęście, zanim zabrano ich do Chełmna, zdążyli małą córeczkę wcisnąć pewnej rodzinie, z którą przed wybuchem wojny utrzymywali bardzo bliskie relacje. Tamci na początku bardzo się wzbraniali, wiadomo dlaczego! – prychnęła wymownie. – A kiedy się ostatecznie zgodzili, wytrzymali z nią pod jednym dachem tylko miesiąc. Oddali ją zaprzyjaźnionemu księdzu, który przekazał przerażoną dziecinę siostrze zakonnej. W klasztorze doczekała końca wojny, potem została oddana do domu dziecka. Zobacz, ile to małeństwo już przeszło!

Stefania pokiwała głową ze smutkiem.

– To prawda – przyznała.

– Cieszę się, że cię posłuchałam. Adopcja Rozalii była najlepszą rzeczą, jaką mogłam zrobić, i Kazik jest taki zachwycony! Musiałam jednak zrezygnować z pracy w sierocińcu, nawet nie wiesz, ile potrzeba czasu na wychowanie dziecka. A przecież pani Ludmiła pomaga mi, jak może. Ona też straciła dla niej głowę. Ta mała kradnie wszystkim serca, jest cudowna! Wreszcie mam kompletną rodzinę, o której zawsze marzyłam. Tamtej już nigdy nie odzyskam, pogodziłam się z tym. I tobie też radzę to zrobić, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem – przytaknęła krótko Stefania i spojrzała w okno, za którym śnieg prószył leniwie i jednostajnie. Młoda, wtulona w siebie para przemknęła chodnikiem i znikła za rogiem. Obraz ten natychmiast przywiódł jej wspomnienie jednego ze spacerów, kiedy to wracała z Felkiem z kina. Grali *Umówiłem się z nią na dziewiątą* z Eugeniuszem Bodo w roli głównej. Trzymał ją pod ramię i niemal przez całą drogę podśpiewywał słynny szlagier. Potem zaciągnął do przypadkowej bramy i całował zapamiętałe, namiętnie. Jego usta były gorące i takie miękkie, a pocałunki wywoływały słodkie drgania w dole brzucha. Czowała się wtedy taka szczęśliwa, myślała, że nic i nikt ich nigdy nie rozdzieli, choć już wtedy docierały do nich słuchy o zbliżającej się wojnie. Oboje mieli jednak nadzieję, że nic złego się nie stanie, że to tylko zwykłe plotki, zwykłe ludzkie gadanie. Jak bardzo się mylili, jak bardzo.

– Wszystko w porządku? – Józia położyła koleżance rękę na ramieniu. – Masz taki dziwny wyraz twarzy.

Dziewczyna oderwała wzrok od okna.

– Tak – wymamrotała przez ściśnięte z żalu gardło. Potem odwróciła się przodem do Józii, objęła ją ramionami. – Jak dobrze, że ciebie mam! – szepnęła. – Niekiedy odnoszę wrażenie, że tylko ty jesteś w stanie mnie zrozumieć. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Zaslugujesz na to jak nikt inny.

– Dziękuję, kochana. Każdy zasługuje na szczęście, ty też – oznajmiła z naciskiem na ostatnie słowa. – Czasem jednak nie mogę się opędzić od myśli o swoich siostrach, nie potrafię pogodzić się z tym, co się stało. Co wtedy przeżywały, dlaczego nie mogłam im pomóc?

– Przecież wiesz, że nic nie mogłaś... – skwitowała Stefka.

Głośnie westchnienie wybrzmiało w ciszy.

– Róża była taka śliczna, a Mała taka zdolna... Mogłyby tyle osiągnąć..

– Przestań, proszę! Nie mów tak! Wtedy boli jeszcze bardziej...

– Chyba masz rację – przytaknęła Józka. – Lepiej chodźmy do gości! Zabawimy się i zapomnimy o wszystkim! Niech wino nigdy się nie kończy, niech woda leje się strumieniami! – dodała wesoło, na przekór przygnębiającym myślom.

\*\*\*

W Łodziance wrzało jak w ulu. Wszystkie stoliki były zajęte, a przy drzwiach tłoczyło się jeszcze kilka osób chętnych do skorzystania z dobrodziejstw kawiarni. Miejsce to miało swoją wyjątkową historię, zaczynającą się już w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim roku, kiedy to cukiernik francuskiego pochodzenia – Reymond – otworzył tu kawiarnię na miarę europejską. Następnie, na początku lat dziewięćdziesiątych, sprzedał ją pochodzącemu z ziemiańskiej rodziny z Kujaw Aleksandrowi Roszkowskiemu. Ten uczył się sztuki cukiernictwa u największych, takich jak Blikle, Semadeni i Lourse. Przeprowadził też gruntowny remont lokalu, postawił na secesyjny wystrój, dlatego ściany zdobiły czerwone, połączone tapety, a także wykonane przez artystów malarzy karykatury znanych łódzkich osobistości. Gospodarz lokalu cieszył się ogromną sympatią u stałych bywalców, a jego kawiarnia, potocznie nazywana „U Roszka”, ściągała wszystkich, którzy w mieście coś znaczyli. Swoje stałe stoliki mieli tu aktorzy, dziennikarze, adwokaci i inni. Życie toczyło się tutaj od godzin wczesnopółdniowych aż do samej północy. Klienci zajmowali sofę, krzesła, fotele i w oparach kawy dyskutowali, plotkowali, planowali. Rozmawiano w języku polskim, niemieckim, rosyjskim, jidysz. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku kawiarnia znów zmieniła właściciela, tym razem przejął ją Bolesław Gostomski, i przeszła gruntowny remont. Kolejna zmiana nastąpiła w trzydziestym trzecim, gdy lokal trafił w ręce Józefa Piątkowskiego. W czasie okupacji natomiast kawiarnia pod nową nazwą Corso,

z nowoczesnym wnętrzem i ścianami ozdobionymi portretami niemieckich notabli, stała się dla mieszkańców miasta tylko rzewnym wspomnieniem o dawnym, klimatycznym miejscu.

Po drugiej wojnie cukiernia została upaństwowiona i nosiła teraz nazwę Łodzianka. Zmieniła swój wystrój, klientelę, choć dalej cieszyła się popularnością. Pracę tutaj załatwiła Stefci Józia. Wykorzystała w tym celu liczne znajomości męża, który zaraz po wojnie zaczął koncertować i udzielać się towarzysko. W soboty i w niedzielę odbywały się w tym miejscu recitale i koncerty. Często gościł mąż Józii, a także i ona, prezentując swoje wokalne umiejętności.

Stefka czuła się tutaj dobrze, dużo się działo, schodzili się znani ludzie. Zwykle ubrana w biały fartuszek z falbanką, który zakrywał ładne sukienki poprzerabiane ze starej, babcinej garderoby. Miała tych rzeczy jeszcze całą szafę, a dzięki zdolnościom sąsiadki – dawała im drugie życie. Dbała o swój wygląd, nadal miała szczupłą sylwetkę, choć już nie przeraźliwie chudą, tylko tu i ówdzie lekko zaokrągloną. Włosy upinała wysoko, odsłaniały jej kształtne czoło, dwa ciemne łuki brwiowe i parę brązowych oczu. W tym roku skończyła dwadzieścia pięć lat. Mama w jej wieku była już dawno żoną, i to z przychówkiem, tymczasem Stefce nie spieszyło się do ołtarza. W jej sercu wrył się na zawsze obraz Feliksa i mimo ostatnich starań nie umiała o nim zapomnieć. A może nie pojawił się dotąd nikt, kto by to zmienił? Tymczasem adoratorów nie brakowało. Niektórzy bywalcy kawiarni przychodzili tu specjalnie dla niej. Ściągali do stolika, namawiali na łakocie, kieliszek wina, przynosili drobne upominki, których nie przyjmowała, proponowali małżeństwo. Było to nawet miłe, ale dziewczyna pozostawała nieugięta w swych postanowieniach. Reagowała śmiechem bądź krótkim zdaniem, że nie wybiera się jeszcze za mąż, zostawiając swoich niedoszłych kawalerów rozczarowanych jej reakcją. Potem wracała na swoje miejsce pracy. Zwykle stała za wysokim barem obok przeszklonej witryny pełnej smakowitych deserów. Królowały tu wuzetki, kremówki, galaretki z bitą śmietaną, bezy, eklerki i inne. Wiele razy musiała się wystrzegać pokus, których w tym miejscu nie brakowało.

Tego dnia śnieg padał obficie, za oknem raz po raz, turkocząc głośno, przemieszczały się furmanki z zaopatrzeniem, człapiące konie dźwięczały podkownikami. Jakiś chłop ciągnął wózek załadowany szmatami, kilka tęgich kobiet stało po drugiej stronie przy narożniku schodzących się ulic i rozprawiało o czymś, gestykulując obficie. Dzień dłużył się Stefce pomimo sporego ruchu i natłoku obowiązków, wdała się więc w rozmowę z chłopakiem w szarym swetrze i błękitnej koszuli, który przypominał jej znanego aktora. Często tu bywał, spotykał się z ludźmi, załatwiał jakieś szemrane interesy, ale z filmem raczej nie miał nic wspólnego.

– Wrócę za jakieś dwie godziny, idę do fryzjera. To tutaj niedaleko, choć trwała ondulacja trochę zajmuje – oświadczyła w pewnej chwili kierowniczka, pełna energii i rubensowskich kształtów pani Teresa. Kobieta po czterdziestce z wieloletnim doświadczeniem w branży cukierniczej. Jeszcze przed wojną pracowała u Roszka, dlatego wszyscy ją tutaj znali i szanowali.

Stefka przytaknęła, uśmiechając się do przełożonej. Nigdy jeszcze nie robiła sobie trwałej, ale wiedziała, że taki zabieg wiąże się z długim siedzeniem pod suszarką.

– Proszę się nie martwić, poradzę sobie! – zawołała do jej krągłych pleców, kiedy tamta opuszczała lokal. Stefka znalazła się tutaj od niedawna, wcześniej pracowała w piekarni. Nie miała wielkiego doświadczenia, choć szybko się uczyła i kierowniczka coraz częściej powierzała jej nowe obowiązki. Ostatnio kazała jej zrobić przyjęcie towaru, co dla Rudzkiej okazało się nie lada wyzwaniem. Słupki cyfr przyprawiały ją o zawrót głowy, a przecież wszystko musiało się zgadzać. Butelki z winem, likierem, sztuki ciasta, kawa, herbata... Trudno było, ale poradziła sobie. Kilka razy stłukła szklankę, raz wypadł jej talerzyk z zawartością, kiedy wyciągała go z witryny. Pani Teresa na szczęście przymknęła oko na te jej niezręczności. Od początku okazywała jej niezwykłą wyrozumiałość.

Do kawiarni schodziły się nie tylko zakochane pary, ale też artyści, przedstawiciele nowych władz, lekarze, dziennikarze. Panował tu dość

przyjemny nastrój, choć z tą sławną przedwojenną, iście europejską atmosferą nie miał już nic wspólnego.

Za oknem zapaliły się latarnie. W spływającym świetle wirowały srebrne płatki. Najpierw zobaczyła go w drzwiach, strzepującego śnieg, wszedł w towarzystwie tej samej blondynki, którą poznała na wieczorze u Wróblewskich. Kobieta, wpatrzona w mężczyznę, nie spuszczała zeń oka. Znalazł wolny stolik, pomógł rozebrać się partnerce, odwiesił jej płaszcz, usadowił na krześle, po czym sam usiadł i skinął na kelnerkę wychodzącą z zaplecza. Ta właśnie wykorzystała moment pod nieobecność pani Teresy i paliła tam papierosa, o co kierowniczka często suszyła jej głowę. „Kto to słyszał, żeby kobieta paliła papierosy?” – zżymała się. „Nie pani sprawa!” – odcinała się Kryśka, za każdym razem wykrzywając pogardliwie wargi i demonstracyjnie wypuszczając z ust chmurę dymu. „Co za pyskate dziewczysko – gderała szefowa. – Gdybyś była moją córką, stłukłabym ci tyłek na kwaśne jabłko”. „Na szczęście nią pani nie jest!” – syczała tamta, nie kryjąc złości.

Widząc jednak teraz nowych gości, dających jej sygnały, Krystyna poprawiła fartuch i opieszale ruszyła w ich stronę.

Stefka spoglądała na tych dwoje spod ściągniętych brwi. Mężczyzna miał w sobie coś wyjątkowego, nie tylko w ruchach, ale też w pozie i rysach twarzy. Pochylona nad pulpitem lady, podliczała utarg z całego dnia, jednocześnie próbowała sobie przypomnieć jego imię. Roman? Mateusz? Tadeusz? Tak, chyba Tadeusz... Józia tak wiele o nim mówiła, o jego rodzinie, manierach, hrabiowskich korzeniach...

Niespodziewanie stanął przy barze i uśmiechnął się zawadiacko.

– Panna Stefania? Co pani tutaj robi?

Podniosła głowę, mierząc go zdziwionym spojrzeniem. Nie wiedzieć czemu, jej policzki natychmiast spłonęły.

– Pracuję, nie widać?

– Widzę, oj, widzę... Nie spodziewałem się jednak zastać tutaj takiej piękności.



– A pan znów swoje! – skwitowała szorstko. – Proszę wracać do narzeczonej, bo bardzo się biedaczka niecierpliwi. Już wypatruje oczy za panem...

– To nie jest moja narzeczona.

– To już pańska sprawa! – prychnęła, udając obojętność, jednocześnie uśmiechnęła się nieznacznie. Jakoś nie wierzyła w te zapewnienia. – To może po kieliszku wina? Mamy dobre, deserowe, polecam – zaproponowała.

– Bardzo chętnie – odparł, nie spuszczać z niej wzroku. Miał w sobie coś ujmującego, serce Stefki zadrżało przez moment.

– W takim razie zapraszam pana do stolika, kelnerka zaraz przyniesie – powiedziała sztywnym głosem, próbując opanować drzenie rąk i kielkujące w niej nowe nieznane uczucie.

\*\*\*

Następnego dnia czekał na nią pod kawiarnią. Było już późno, Piotrkowska opustoszała, zionęła czarnymi otworami bram. Latarnie paliły się tylko gdzieś tam, nierzadko całe odcinki drogi były nieoświetlone.

– To znowu pan? – rzuciła nieco rozdrażnionym tonem. – Co pan tutaj robi?

– Pomyślałem, że zaproponuję wieczorny spacer.

– Spacer? O tej porze? Padam już z nóg!

– W takim razie... poniosę panią! – Zaśmiał się i zdecydowanym ruchem chwycił w pól. Zanim zdążyła krzyknąć bądź zaprotestować, już wisiała nad ziemią, nogi dyndały bezradnie w powietrzu, usiłując znaleźć stały grunt.

– Niech pan mnie puści, do diabła! – wymamrotała oburzona. – Co pan wyprawia, na miłość boską?

Jego uścisk był tak mocny, że aż się przeraziła. W dodatku ta nagła bliskość wytrąciła ją z równowagi.

– Albo diabeł, albo Bóg. Proszę się zdecydować!

– Niech mnie pan puści, bo zacznę krzyczeć! – pisnęła w akcie protestu.

Przewyższał ją o głowę, był silnym, barczystym mężczyzną. W płaszczu o szerokich ramionach i futrzanym kołnierzu wyglądał jeszcze bardziej kanciasto, choć elegancko i pysznie. Postawił ją delikatnie na chodniku i zwolnił uścisk. Zachwiała się, tracąc równowagę.

– W głowie mi się zakręciło od tego wszystkiego – rzuciła z lekkim wyrzutem.

– Mam nadzieję, że zaraz pani przejdzie.

– Ja też! – odparła, ruszając energicznie do przodu.

– Odprowadzę panią, jestem ogromnie ciekaw, gdzie mieszkają takie śliczne panny.

– Na Sprawiedliwej! – warknęła przez ramię.

Zaśmiał się.

– Coś niebywałego. Dziewczyna z ulicy Sprawiedliwej!

– A co w tym niebywałego? – sarknęła z ironią. – Ulica jak każda inna.

– Ulica może tak, ale dziewczyna już nie – zawołał wesoło do jej pleców, kiedy wyprzedziła go o kilka kroków i niczym huragan parła do przodu.

## Rozdział 7

Ślub pani Heleny zaplanowany został na najbliższą sobotę, w pierwszym tygodniu stycznia pięćdziesiątego pierwszego roku. Zeszli się na tę uroczystość przyjaciele, znajomi, najbliższa rodzina i sąsiedzi. Po państwa młodych zajechała bryczka zaprzęzona w dwa siwe konie, wystrojone w czerwone pióropusze i lśniącą, pobrzękującą uprząż. Pani Helena miała na sobie szarą sukienkę z połyskującej tkaniny, na którą narzuciła futerko z tchórzofretek. Jej głowę zdobił małeńki toczek z przezroczystą woalką zasłaniającą oczy, w ręku trzymała zaś bukiet z czerwonych goździków. Nieco niższy partner swoim nieco zawadiackim wyglądem stanowił zupełne przeciwieństwo kobiety, w baranim kozuchu z mięsistymi klapami kołnierza, spod którego wystawała wykrochmalona świeżutka koszula i poły czarnej marynarki. Policzki miał mocno zaczerwienione, ni to od mrozu, ni to od wódeczki, którą z sąsiadem zaciągnął dla tak zwanego kurażu. Oczywiście tylko kilka kieliszków, jednakże gęba mu się śmiała od ucha do ucha, rozanielone oczy błyszczały i wciąż powtarzał tylko:

– Moja ty duszyczko kochana, jedyna na świecie.

Kilkustopniowy mróz ściał kałuże na drogach, śnieg prószył nieustannie, kiedy młodzi przy akompaniamencie harmoszki wsiedli do bryczki i z turkotem kół po kocich łbach, plaskaniem podkutych kopyt potoczyli się rażno w stronę urzędu. Jeszcze w bramie zegnali ich tłumnie goście, potem część z nich pojechała przed nimi, a kilka kobiet zostało, aby przygotować i dopiąć przyjęcie na ostatni guzik.

Stefania, uczestnicząc w całym tym zamieszaniu, czuła się jakoś dziwnie skrępowana. Została zaproszona nie tylko na uroczystość zaślubin, ale

również na samo wesele, które miało się odbyć w mieszkaniu jej niedoszłej teściowej. Stały tam już nakryte białymi obrusami stoły, uginające się pod stertą talerzy, szklanek oraz baterią butelek samogonu. Na piecu grzały się zaś ogromne gary z rosółem, bigosem i flakami, zatrudnione kucharki, siedząc w rozkroku na krzesłach, obierały do wiadra kartofle, chichocząc jedna do drugiej. Błat w kuchni zalegały blachy drożdżowego ciasta, a na rozłożonych płachtach „Trybuny Robotniczej” suszył się pocięty w wąskie paski makaron. Na podłodze stały wiklinowe kosze z jajami, obok wiadro ze skorupkami, a w drugim i kolejnym łupiny oraz zlewki. Wszędzie panował nieopisany wręcz rozgardiasz. Dziewczyna patrzyła na to wszystko z mieszanymi uczuciami, nigdy nie sądziła, że pani Helena zapomni o przeszłości, zaprzeda swoje ideały, w które kiedyś tak mocno wierzyła. A może niepotrzebnie tak myśli? Może szczęście należy się każdemu po równo bez względu na przeszłość i uprzedzenia?

Kiedy świeżo zaślubiona para wróciła, najpierw przywitano ich chlebem i solą, a potem pan młody chwycił żonę i rześko przeniósł przez próg mieszkania. Zerwały się brawa i głośne okrzyki rozochoczonych gości. Pani Helena dostała pąsów na policzkach, upodabniając się do nowo poślubionego. Muzykanci nie przestali przygrywać. Wreszcie zaproszono gości do stołu na gorący rosół z makaronem własnej roboty.

Rozwrzeszczane dzieci plątały się pod nogami, mężczyźni przechylali kieliszek za kieliszkiem. Wznoszono toast za toastem, skrzypek w kącie na ławie zawodził cicho. Kiedy zaśpiewano: „Gorzka wódka, gorzka wódka” i młodzi zostali nakłonieni do pocałunku, Stefka odruchowo chwyciła się za serce i odwróciła twarz. Rozbawiona gawiedź śpiewała, przeciągając zgłoski, z czerwonych twarzy lał się pot, a tymczasem ona napotkała obiecujące, pełne nadziei spojrzenie Felka z portretu na ścianie, które zdawało się mówić: „Nie martw się, kochanie, jeszcze kiedyś wypijemy za nasze szczęście, a ludzie zaśpiewają na naszym weselu”.

\*\*\*

– Przynieś jeszcze wody! – krzyknęła w kierunku Staszka, który ślęczał przy oknie nad otwartym podręcznikiem do matematyki. Na dworze już się ściemniło, chłopak zapalił więc światło, które popłynęło z zawieszanej żarówki pod sufitem.

– W poniedziałek mam klasówkę z matmy – mruknął niezadowolony. – Profesor jest na mnie cięty. Jeżeli nie wezmę się w garść, postawi mi dwóję na półrocze.

– A koszule chcesz mieć czyste? – warknęła ze złością. – Samo się nie wypierze! Sobota to jedyny dzień, kiedy to mogę zrobić!

Pochylona głęboko nad balią z gorącą wodą z mydlinami, w kłębach wznoszącej się pary pocierała o metalową, sfałdowaną powierzchnię tarki fartuch ojca. Z nim było najgorzej. Trudno było sprać tłuste po oleju plamy, którym ludzie bardzo często smarowali obuwie. Do tego jeszcze pasty, kleje i inne smarowidła.

– No, dobra... – zgodził się bez entuzjazmu. – Ile jeszcze wiader?

– Jakieś pięć na pewno! Dwa muszę jeszcze zagrzać, dwa do płukania... jedno trzeba zostawić.

– Coo? To już dla równowagi przyniosę sześć. Szkoda kursa.

– Ooo! Widzę, że nauka matmy wychodzi ci tylko na dobre! Zaczynasz liczyć! – Zaśmiała się, podnosząc spoconą twarz oblepioną wysuniętymi ze spinek kosmykami włosów. Przetarła ją wierzchem przedramienia, które po chwili zanurzyła w ciepłej spienionej w szarym mydle wodzie.

Chłopak zerwał się z krzesła na równe nogi, założył kaptotę wiszącą w drzwiach na gwoździu, po czym chwycił dwa puste wiadra. Tępy dźwięk obijanej o futrynę blachy poniósł się po pomieszczeniu.

– A jak wrócisz, pójdiesz rozwiesić pranie! Nie ma lekko! – Sapnęła, wyciągając z balii ramię i podwijając mokrą ręką rękaw wysoko nad łokieć.

Rozejrzała się po kuchni. Panował w niej niezły bałagan. Rodzice poszli do kina na popołudniowy seans. W Zachęcie grali *Czy Lucyna to dziewczyna* z Eugeniuszem Bodo, Jadwigą Smosarską i Mieczysławą Ćwiklińską. Ludzie nadal uwielbiali tę słynną, przedwojenną komedię, która swoją ofi-

cialną premierę miała dziewiętnastego września trzydziestego czwartego roku. Miała nadzieję, że do ich powrotu upora się ze wszystkim. Dobrze, że zalewajkę nastawiła jeszcze przed południem. Zupa była już gotowa, wystarczyło podgrzać. Zapach czosnku i wędzonej kiełbasy roznosił się w gęstym, zaparowanym powietrzu.

Nagle rozległo się pukanie.

– Wchodź! – wrzasnęła – Co to za wyglupy?

Drzwi skrzypnęły i ukazała się w nich postawna, wysoka sylwetka Tadeusza. W długim płaszczu, kapeluszu, futrzanym kołnierzu, białym szalu zawadiacko przerzuconym przez ramię i białych rękawiczkach. Gdyby nie policzki zaczerwienione od mrozu, pewnie by pomyślała, że to postać z innej rzeczywistości. Chciała zapytać, jak tutaj trafił, ale uprzedził ją.

– Szukałem cię, pytałem po sąsiadach, wreszcie się udało! – oznajmił radośnie.

Nie było jej do śmiechu.

– Wybacz... jestem nieprzygotowana – mruknęła, prostując plecy. – Nie spodziewałam się takiego gościa w naszych skromnych progach.

– Nie szkodzi. Nie przeszkadzaj sobie! Ja tylko na chwilę. Chciałem cię zaprosić na potańcówkę. Chyba że wolisz kino?

– Mogłeś to zrobić w kawiarni... – bąknęła lekko zawstydzona. – Tam przynajmniej jest odpowiedni czas i miejsce.

– Byłem dzisiaj, ale okazało się, że masz wolne. Nie mogłem dłużej czekać – odrzekł bez odrobiny zmieszania.

– Nie? – spytała, ocierając dłonią twarz. – A to czemu?

W tym momencie, taszcząc dwa ciężkie wiadra wody, chlapiąc nimi na boki, do mieszkania wszedł Staszek. Omiótł przybysza zdumionym wzrokiem, po czym postawił naczynia obok balii. Jego pytający wzrok mówił sam za siebie.

– Staszek, to Tadeusz. Bliski znajomy Józi i Kazimierza. Poznaliśmy się jakiś czas temu... A to mój brat – rzuciła na poły lekko zmieszana, na poły lekko zdenerwowana.

Chłopak wytarł ręce o nogawki spodni, po czym wyciągnął ramię do powitania. Wymienili uściski.

– Stefka, zostaw to pranie! – zwrócił się do niej z naganą w głosie. – Ugość kolegę! Pewnie chętnie się czegoś napije!

Dziewczyna poczerwieniała ze złości i wyprostowała plecy, rzucając w kierunku brata wściekłe spojrzenie.

– W takim razie ja zrobię herbaty, a ty pójdziesz z panem do pokoju. Tam zaczekacie, aż skończę. Może pan Tadeusz poćwicy w tym czasie z tobą zadania z matematyki? To podobno tęgi umysł, studiował w samym Lwowie – zadrwiła.

Twarz mężczyzny ściągnęła się w lekkim grymasie zakłopotania, po czym uśmiechnął się szeroko i zawołał:

– Bardzo dobry pomysł! To pokaż, Staszku, te zadania!

Poszli razem do drugiego pomieszczenia, Tadeusz za namową brata Stefki zdjął płaszcz i rozgościł się przy okrągłym stole. Dziewczyna podeszła do pieca i nastawiła na rozgrzanej blasze czajnik z wodą. Wyjęła z kredensu paczkę herbaty i nasypała do szklanek. Kiedy weszła do pokoju, obaj pochylali się nad podręcznikiem, jeden z nich wodził palcem po słupkach cyferek, tłumacząc drugiemu, co trzeba zrobić, aby uzyskać prawidłowy wynik.

– Tadeusz naprawdę ma matkę w jednym palcu! – oświadczył brat, kiedy rozstawiała szklanki z wrzątkiem.

– Pamiętaj, że trzeba rozwiesić pranie na strychu! – ostrzegła, zanim ostatecznie zrobiła pełny zwrot i ruszyła do kuchni dokończyć robotę. – I przynieś mi ze spiżarni tytkę z mąką kartoflaną. Tylko się pośpiesz!

\*\*\*

Skończyła pisać list do Willa Rittera, następnie ubrała się i wyszła z mieszkania. Zamierzała pójść na pocztę, która mieściła się w budynku dwie przecznice dalej. Wtedy zauważyła panią Wandę. Siedziała na prowizorycznej ławce w głębi podwórka, wystawiając odsłonięte spod grubej chusty blade

policzki w stronę słońca. Nieśmiałe promienie oświetlały dwa rzędkie drewnianych ubikacji oraz mały fragment przed komórkami, gdzie mieszkańcy kamienicy położyli na bloczkach z cegły kładkę z deski. U jej stóp, na wytartym kawałku ziemi stadko gołębi wyjadało okruchy chleba.

– Dzień dobry, pani Wando! – zawołała, kierując się w stronę sąsiadki.

Kobieta była schludnie ubrana w wełniany płaszcz z kołnierzem z futra, a jej twarz wyglądała na wypoczętą. Jedyne puste, zawieszony w próżni wzrok zdradzał nieustanne cierpienie z powodu straty jedynego syna. Drgnęła na dźwięk jej głosu.

– Dzień dobry, panno Stefciu – odparła, zadzierając do góry głowę i przyglądając jej się uważnie przez moment. – Wyładniałaś, dziecino, to już nie to samo, co wtedy, kiedy wróciłaś z obozu...

– To prawda... – przytaknęła, sadowiąc się bez pytania na ławce. – Przytyło mi się, nie powiem...

– Aaa tam! – mruknęła kobieta, rzucając pod nogi kolejne okruszki. W odpowiedzi na ten akt ptactwo zagruchało głośniejsze, zbiło ciasniej wokół jej stóp.

– Potrzebuje pani czegoś? Koca, książki? – zapytała.

– Niee, dziękuję. Wszystko mam.

– Męża nie ma? – Stefka rozejrzała się po pustym podwórku, po którym zwykle krzątał się pan Antoni. To zamiatał podwórze, to majsterkował, to czyścił rynsztokowe koryta.

– Poszedł do miasta załatwiać jakieś urzędowe sprawy – odparła wolno, odwracając spojrzenie w drugą stronę. – Mają nam podobno wodę podłączyć czy coś...

– Byłoby cudownie! – zawołała głosem pełnym entuzjazmu. – To w takim razie ja już pójdę.

– Pisziesz do tego człowieka? – Sąsiadka zerknęła na list, który Stefka usilnie ścisnęła w palcach. Całkiem o nim zapomniała, aż do tej chwili.

– Tak, pan Will uratował mi życie, tyle mu zawdzięczam. To wspaniały człowiek, chociaż Niemiec. – Urwała, zastanawiając się w duchu, czy nie



powiedziała zbyt dużo. Jak można było o znenawidzonym wrogu powiedzieć, że był dobry?

– To miłe, że o nim pamiętasz... – westchnęła cicho.

– Nigdy o nim nie zapomnę, tym bardziej żal mi, że pani Sara nie wróciła.

– Sara to jego żona?

– Tak, Żydówka. Prawdopodobnie trafiła do obozu... nikt nie wie, co się naprawdę wydarzyło. Po tym, co przeszedł Roman w Treblince, z czym zetknął się i co widział, śmiem twierdzić, że spotkał ją podobny los co większość. Mam tylko nadzieję, że nie cierpiała zbyt długo...

– Może to i lepiej... – sarknęła głucho Gilowa. Rzuciła urwany kawałek chleba pod nogi i patrzyła zrezygowana, jak ptactwo się o niego bije.

– Dlaczego tak pani mówi? – Wzdrygnęła się na dźwięk tych słów.

– Z takim brzemieniem, z takimi wspomnieniami niełatwo jest żyć. Czasem lepiej umrzeć niż nosić w sobie to wszystko. Młoda jeszcze jesteś, to nie rozumiesz.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Kobieta tym stwierdzeniem wprowadziła ją w stan zakłopotania.

– A jeśli Bóg każe nam żyć mimo wszystko? To co wtedy?

– Wierzysz w Boga, drogie dziecko? – prychnęła lekceważąco. Rzuciła kolejny okruszek i zaczęła coś nucić pod nosem. Ptactwo furkało, omiatając aksamitnymi, nastroszonymi piórami jej nogi ubrane w grube, wełniane rajtuzy, zrolowane tuż nad kostką, gdzie kończyła się cholewka jej skórzanych bucików. Zauważyła, że kobieta straciła ochotę na dalszą rozmowę.

– To ja już pójdę, do widzenia, pani Wando. – Szarpnęła się, robiąc obrót, potem skierowała kroki w stronę bramy.

\*\*\*

Ciche takty walca rozbrzmiewały w lokalu, w którym śmiechy i podniesione głosy mieszały się z dźwiękami stukających kieliszków i brzęczących

szklanek. Nad stolikami unosiła się chmura papierosowego dymu i opary parzonej kawy, kelnerka biegła jak w ukropie, roznosząc zamówienia i klnąc pod nosem z oburzenia. Jakiś tłuścioch klepnął ją w pośladek, obscenicznie oblizał wargi, na co ona zagroziła, że go więcej nie obsłuży. Wezwano panią Teresę, która miała za zadanie rozstrzygnąć spór. Najpierw jednak zawołała dziewczynę na zaplecze i kazała jej pozapinać bluzkę, która ukazywała spory fragment zaokrąglonego biustu.

– Nie możesz prowokować golizną, a później mieć pretensji! – strofowała. – Poza tym zakładaj dłuższe sukienki, ta spódnica ledwie zakrywa ci pośladki! – Potem poszła do stolika i wymieniła z rozochoconym klientem kilka grzecznościowych zdań. Okazało się, że podchmielonym amantem jest nikt inny, tylko sam zastępca dyrektora zakładów włókienniczych Bawełna. – Dyrektor, nie dyrektor, zasady muszą być – burknęła pod nosem, wracając do swoich zajęć.

Mężczyzna w towarzystwie kilku kumpli bawił się dalej, sytuacją niewiele się przejął. Odeszła mu jednak ochota na podrywanie pracownicy kawiarni w taki niewybredny sposób.

Było to jedno z wielu sobotnich popołudni, Stefka stała przy barze, wydając zamówienia. Rozlewała do kieliszków likier, parzyła herbaty, kawy, kroїła ciasta. Potem nabijała kwoty na wielką maszynę do liczenia, która tylko na początku wydawała jej się co najmniej jakąś puszką Pandory. A skoro umiała ją już obsłużyć, nic już nie wydawało się straszne.

W pewnym momencie do pomieszczenia wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w prochowcu i kapeluszu. Towarzyszyła mu kobieta w jasnym płaszczu, małym fikuśnym nakryciu głowy, z zawiązaną pod szyją fantazyjnie apaszką.

Zrobiło się nagle cicho, rozmowy ustały, pianino przestało grać, wszystkie pary oczy zwróciły się w stronę wejścia.

– To przecież sam Julian Tuwim! – wymamrotała zaskoczona kierowniczką, biegnąc w kierunku przybyłych.

– Tuwim? – powtórzyła Stefka, blednąc z wrażenia. – Ten Tuwim?

Tymczasem pani Teresa szerokim gestem już zapraszała przybyłych do środka, nakazała się rozgościć, rozebrać, a Kryśce znaczącym ruchem ręki zleciła szybkie uporządkowanie stolika.

Rudzka nigdy na własne oczy nie widziała osoby, o której się tyle mówi i pisze w gazetach, której wiersze znają dzieci i dorośli w całym kraju. Teraz chłonęła ten widok, rejestrując każdy ruch i mimikę twarzy. Towarzysząca Tuwimowi kobieta była z pewnością jego żoną, Stefania z domu Marchew. Wyjątkowo elegancka, ubrana zgodnie z najnowszymi trendami mody. Kilka osób poderwało się z miejsc, aby złożyć z daleka ukłon. Tuwimowie zachowywali się naturalnie, wymieniali pozdrowienia, uśmiechy, a następnie zajęli stolik i rozsiedli się przy nim wygodnie.

– Wrócili ze Stanów po sześciu latach, dokładnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym – szepnęła jej do ucha pani Teresa. – Przyłynęli statkiem Śląsk... To tam z tęsknoty za ojczyzną napisał poemat *Kwiaty polskie* – kontynuowała rozemocjonowana.

Stefka słuchała z zapartym tchem.

– Władze podarowały Tuwimom willę w Aninie, uhonorowali wieloma nagrodami...

Dziewczyna otworzyła usta, te wiadomości były takie niesamowite!

– Adoptowali też córkę, Ewę...

– Dużo pani wie...

– Oj, tak... – przyznała śpiewnie, a potem dodała: – Naszykuj wszystko, ustaw ładnie, a ja osobiście obsłużę tych wyjątkowych ludzi.

– Dobrze, pani Tereso. Postaram się, żeby wszystko było jak trzeba.

Musiała przyznać, że odwiedziny tak znamienitych gości wywarły na innych niemalże wrażenie. Ucichły śmiechy i podniesione głosy, a ich miejsce wypełniły subtelne dźwięki pianina. Do Tuwimów dołączyła jeszcze jedna para, równie elegancka, zamówiono butelkę likieru.

– On nie pije dużo, zaledwie kilka kieliszków – szepnęła znów pani Teresa, wracając do baru.

– Ciekawe, co robi w Łodzi? – rzuciła Stefka, wydymając wargi.

– Jak to co? Przecież tutaj się urodził. To jego miasto, choć przed wojną wyglądał dużo lepiej. Wychudł ostatnimi czasy... postarzał się... – skonkludowała cicho, ze smutkiem. – Na pewno tego nie wiesz – rzuciła przez ramię konfidencyjnym tonem – ale przed wojną smalił cholewy do mojej przyjaciółki. Mieszkała przy Zgierskiej, blisko kościoła. Ładna była ta Hania, ale cóż... Wolała innego. Na swoje szczęście wyjechała do Stanów, zanim to wszystko się zaczęło...

– Była Żydówką?

– No tak – przytaknęła, jakby ten fakt był czymś oczywistym.

– Z jego bliskich pewnie nie ma już nikogo, naziści wykończyli wszystkich.

– Ma przyjaciół, znajomych i stare miejsca, do których lubi wracać – odparła szefowa, spoglądając z nostalgią w stronę stolika, przy którym trwała gorączkowa rozmowa.

– Jaka elegancka ta pani Stefania! – westchnęła Rudzka, nie kryjąc podziwu. – Jakby zeszła z okładki żurnala! No i... moja imienniczka. – Mówiąc to, zarumieniła się, nie wiedzieć czemu.

Pani Teresa przytaknęła, zamyślając się nad czymś, po chwili chwyciła tacę z zamówieniem i pospieszyła w wiadomym kierunku.

\*\*\*

Szły Piotrkowską do placu Wolności, a dalej Nowomiejską w kierunku Zgierskiej. Mimo protestów i zdumienia Stefanii znów zbliżały się do terenów dawnego getta, czyli miejsca budzącego tak okropne wspomnienia. Józia jednak parła do przodu, a mijając powstający park Staromiejski, zatrzymała się, wznosząc ramię w kierunku, gdzie jeszcze niedawno toczyło się handlowe i towarzyskie życie.

– Kawalek mojego istnienia... jeszcze chwila i nie będzie po nim śladu...

– Za to zapach śledzi po dawnych składach rybnych prześladowuje wszystkich robotników! – prychnęła żartobliwie Rudzka, licząc na uśmiech przyjaciółki.

– Tak, były w piwnicach... z tego słychać ten targ. Śledź był wówczas najtańszą rybą, cieszył się sporym wzięciem. A do tego hałas, gwar... Ech! – Wzruszyła ramionami i spojrzała na córkę, która nagle zboczyła z drogi, bo zauważyła kulącego się w zaroślach kota.

– Rozalia, uważaj na wykopy! Nie wchodzi tam, jeszcze skreślisz nogę!

– Mamusiu, spójrz, jaki ładny! – zawołała mała. – Weźmy go do domu!

Dziewczynka miała na sobie czerwony płaszczyk w kratę i wełniany beret z ogromnym pomponem, spod którego wystawały dwa długie, ciemne warkocze ozdobione wstążkami. Mając osiem lat, zapowiadała się na ładną, bystrą pannicę. Adopcja odmieniła jej życie, dziś mogła się poszczycić nie tylko wyjątkowo gustowną garderobą, ale ciepłym domem, kochającymi, dbającymi o nią rodzicami, a także edukacją.

– Nie ma mowy! – zaprzeczyła kategorycznie Józia. – On jest brudny i zapchlony!

– Ciociu, błagam! Powiedz coś mamie! On jest taki biedny!

Mała podbiegła do Stefki i objęła ją w pół.

– Cwana bestyjka! – syknęła Józka, wzruszając bezradnie ramionami, kiedy przyjaciółka wymownie spojrzała w jej stronę.

– On naprawdę chyba nikogo nie ma... – potwierdziła ciotka, kucając obok kociaka. Ten ani myślał uciekać. Patrzył na nie wielkimi, spłoszonymi oczami, a od tego spojrzenia aż kroilo się serce. Sierść miał rudą, przemokniętą, gdzieś pokrytą białymi plamkami, boki zapadnięte.

– Wygląda jak półtora nieszczęścia. Jak ja, kiedy uciekłam z obozu...

– No wiesz, Stefciu, tego się po tobie nie spodziewałam... Grasz na moich najprostszych instynktach.

– Ojej, nie chciałam! – odparła miękko Rudzka. – Nie złość się! Tak po prostu od razu mi się skojarzyło...

Józka kucnęła obok. Wyciągnęła rękę ubraną w cieką rękawiczkę i przesunęła nią po mokrym grzbiecie zwierzęcia.

– Wcale nie wyglądałam lepiej od niego... – jęknęła głucho. – Albo jeszcze gorzej. Miałam wszy, świerzbi i tylko jedno pragnienie... – Urwała, jakby

bała się o nim głośno powiedzieć.

– Jakie, mamó? – zapytała Rozalia, nieświadoma przeżyć przybranej matki. Jej wspomnienia z dzieciństwa dawno się już rozmyły. Stały się jakąś niewyraźną plamą z dwojgiem cieni znikających w półmroku, których w myślach nazywała odlatującymi ptakami.

– Aby się najeść.

Rudzka westchnęła cicho. Rozumiała to uczucie jak mało kto, dlatego postanowiła pomóc Rozalce. Kociak potrzebował pomocy tak samo jak one wtedy.

– Tylko co powie Kazik? Nie lubi takich niespodzianek...

– Musisz go jakoś przekonać! – Stefka puściła w jej kierunku konspiracyjne oko i uśmiechnęła się kącikami ust. – Masz pewnie na to swoje sposoby.

– No, nie wiem... – bąknęła bez przekonania. – Zwierzak w domu to obowiązek, a ja i Kazimierz nie lubimy mieć dodatkowych problemów. Prowadzimy otwarty dom... wspólnie koncertujemy...

– To może pani Ludmiła będzie go chciała przygarnąć?

– Co to, to nie! – zaprotestowała. – Jeszcze tego brakuje! Już i tak tyle dla nas zrobiła!

– Mami, proszę! – Mała stanęła przed elegancko ubraną kobietą i złożyła błagalnie małe rączki. – Ja się będę nim opiekowała, obiecuję! Tylko nie zostawiajmy go tutaj!

Stefania zdążyła pochwycić zwierzaka, jedną ręką przytuliła go do piersi, a drugą głaskała po małej, rudej główce.

– Jest słodki, tylko spójrz!

– Tutaj jest tak niebezpiecznie – błagała płaczliwie mała. – Trwa budowa, wysadzają domy, jeszcze coś mu się stanie...

Wróblewska westchnęła ciężko, wyjęła z torebki materiałową chusteczkę i wyczyściła nią umorusany policzek córki.

– Tylko pamiętaj, co mi przed chwilą obiecałaś! Będziesz się nim zajmowała!

– Dziękuję, mamusiu! – krzyknęła Rozalka i z radością rzuciła się matce na szyję. – Obiecuję!

## Rozdział 8

**P**rzez dwa lata spotykali się dość regularnie. Tadeusz nie tylko odwiedzał rodzinę Rudzkich w ich mieszkaniu, przynosił kartki na mięso, które zdobywał tylko sobie znanym sposobem, ale był również częstym gościem w kawiarni. Zapraszał ją do kina, na pączki, lody, przynosił czasami upominki, jakieś pudełko czekoladek, butelkę wina, a kiedy ich odwiedzał, za każdym razem pochylał się głęboko przed jej matką, trzymając z szacunkiem jej spracowaną dłoń, mówiąc to swoje: „Całuję rączki, pani Krysiu”.

– A to ci uroczy nicpoń i chłystek! – chrząkała wesoło pod nosem, kiedy już sobie poszedł i zostawały na powrót same. – Nie zamierzasz za niego wyjść?

\*\*\*

Tadeusz uchodził za niezwykle atrakcyjną partię, w dodatku nosił się jak książę, był uroczy, szarmancki, niezwykle przystojny. Wiedziała, że zdobył dyplom inżyniera kolei, dlatego bez trudu otrzymał tam zatrudnienie na stanowisku inspektora organizacji ruchu. Przebywanie w jego towarzystwie mogło uchodzić za przywilej, jednakże za każdym razem, kiedy próbował przekroczyć granice przyjaźni, robiła odruchowo krok w tył. Raz chciał ją pocałować, raz zapatrzył się w jej twarz dłużej niż powinien, raz objął mocno, aż poczuła jego męskość na udzie. Mimo że gdzieś w głębi duszy pragnęła czegoś więcej, ciało żądało bliskości, rozsądek mówił za każdym razem: stop. Stanowili parę dobrych znajomych i za taką uchodzili w zaprzyjaźnionym gronie. Wiedziała, że niektóre koleżanki jej zazdroszą, sama też w jakiś sposób zazdrościła dziewczynom Tadka, bo nie krył,



że takie miał. Nie rozumiała do końca jego intencji, bo prowadził dość kolorowe, towarzyskie życie. Matka z ojcem wprawdzie coraz częściej zagadywali ją o zamążpójście i wytykali lecące kolejne latka, ale nie umiała sprostać ich wymaganiom.

Tadeusz zaprzyjaźnił się ze Staszkiem, pomagał mu w nauce i zaszczepił miłość do książek. Wpoił mu, że trzeba się uczyć, aby być kimś. Ta prosta filozofia poskutkowała, brat Stefki zdał maturę i dostał się na studia na wydział mechaniki pojazdowej. Zmężniał też i wyprzystojniał, zrobił się podobny do ojca z lat bujnej młodości. W tym czasie zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, spotykał się z przyszłymi krawcowymi, ekspedientkami, kucharkami, tancerkami i wieloma innymi, dopóki nie poznał Ewy. Ta młodziutka, niewysoka pucułowata pielęgniarzka przesłoniła mu świat. A wszystko zaczęło się od zapalenia płuc... Spiesząc się na zajęcia hydrodynamiki, Staszek spóźnił się na tramwaj. Najpierw biegł kilka minut, rozpiąwszy palto, luzując szal, potem stał na krańcówce, stygnąc i marznąc na przemian, na koniec moknąc w nagłej ulewie. Już na zajęciach, na których przesiedział kilka godzin w mokrych ubraniach, poczuł się źle. W domu dopadły go kaszel, duszności, katar, wysoka gorączka. Przeleżał kilka dni pod pierzyną, matka nacierała mu plecy wodą z octem, ale to nic nie dało. Postawiła więc bańki, które przyssały się do jego pleców, zostawiając na skórze koliste, fioletowe ślady. Dni mijały, a duszności nie ustępowały. Pojawiła się też sinica w postaci zabarwionej skóry i paznokci. Chcąc nie chcąc, trzeba było wezwać doktora. Ten po zbadaniu stetoskopem, opukaniu i zajrzeniu w gardło zawyrokował: ropne zapalenie płuc. Trzeba do szpitala. Matka załamała ręce, ojciec popadł w przygnębienie. Wtedy na wysokości zadania znów stanął Tadeusz, który wykorzystał wszystkie swoje znajomości, by załatwić Stachowi fachową opiekę w szpitalu klinicznym imienia Norberta Barlickiego. Tam pracował kolega jego ojca, który zajął się chłopakiem osobiście. Jego asystentką była wówczas Ewa Bracka. To ona pojawiła się pewnego razu w drzwiach szpitalnej sali, w białym fartuchu i jasnych włosach przykrytych czarno-białym czepkiem pielęgniarzkim. Poranne promienie słońca oświetliły jej postać od stóp do głów, co sprawiło, że w żyłach Stacha stężała krew. „Anioł” – pomyślał wtedy, choć

przebudził się kilkanaście minut wcześniej. Zdążył już nieco poukładać myśli i otrząsnąć się z resztek niezbyt przyjemnego snu. Dziewczyna anioł uśmiechnęła się ciepło, omiotła salę leniwym spojrzeniem, po czym rzuciła krótkie:

– Dzień dobry, przyszedłam zmierzyć temperaturę.

Staszek nie przestawał na nią patrzeć, wodził wzrokiem po jej krągłej sylwetce, alabastrowej, lekko różowawej skórze, która przywodziła mu na myśl porcelanowe lalki na wystawie w sklepie, jaką mijał każdego dnia w drodze na zajęcia. Tymczasem jego muza zbliżyła się do niego, podała mu termometr i poprawiła koc, który ześlizgnął się z metalowego łóżka.

– Panu jeszcze nie wolno wstawać – oznajmiła, jakoś dziwnie sztywno dzieląc wyrazy. – Zaraz przyjdzie salowa i zmieni pościel. Jest cała mokra.

Potem pojawiła się z ogromną strzykawką na srebrnej tacy i ampułką z lekiem. Był zmuszony obrócić się na bok i wystawić twardy pośladek, w który dziewczyna wbiła ostrą, długą igłę, najpierw dezynfekując to miejsce nasączonym spirytusem gazikiem. Może właśnie ta osobliwa chwila intymności sprawiła, że chłopak zadrżał pod wpływem dotyku jej rąk i poczuł, jak coś w nim pulsuje. Od tamtej chwili nie był w stanie zapomnieć o dziewczynie, wykreślić jej obrazu z pamięci, radował się za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, a ona pojawiała się w nich taka rozświetlona, nieziemska i zupełnie nieoczywista.

\*\*\*

Odwiedzali Staszka niemal codziennie. Stefka gotowała mu rosół na kurze i krupnik. Matka piekła ciasto drożdżowe, do niego dokładała słoik słodkiej konfitury i miodu. Tadeusz przynosił książki i podręczniki, które chłopak pilnie studiował. Po dwóch tygodniach nareszcie został wypisany do domu. Przez ten czas robił wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę pielęgniarki, ale ta poza kontaktami wynikającymi z charakteru pracy nie skłaniała się ku bliższej znajomości. Serce Stacha zostało złamane. Już kiedy wychodził ze szpitala, odgrażał się, że jeszcze tu wróci, co też się stało. Czekał na ukochaną, wystając przed szpitalem czasem długimi godzinami. Potrafił wrę-

czyć jej bukiet kwiatów i odejść. Ewa zbywała go bowiem przelotnym uśmiechem, chłodnym słowem czy standardową wymówką o braku czasu. Po dwóch miesiącach zorientował się, że miłość, która nim zawładnęła, nie została niestety odwzajemniona. To odkrycie sprawiło, że Staszek zamknął się w sobie, spoważniał i posmutniał. Przestał jeździć pod szpital, ale ku rozpaczy jego wielbicieli, przestał też umawiać się z innymi.

– Ona kocha się w doktorze Lubańskim.

– Co? – Stefka przewróciła oczami, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o czym mowa. – Kto?

Wracali właśnie z kina, Tadek trzymał ją pod ramię. W Zachęcie grali ponownie *Zakazane piosenki* z Danutą Szaflarską – wschodzącą gwiazdą i Jerzym Duszyńskim – największym amantem dużego ekranu. Stanowili wspaniałą parę. Zaczynała się wiosna pięćdziesiątego trzeciego roku.

Piątego marca zmarł towarzysz Józef Stalin, w kraju ogłoszono żałobę narodową. Dla jednych wielki wódz, genialny kontynuator dzieła Lenina, dla innych zbrodniarz odpowiedzialny za śmierć milionów istnień. Większość ludzi odetchnęła z ulgą, choć została zmuszona do oplakiwania największego zbrodniarza w dotychczasowej historii ludzkości. Uroczystości pogrzebowe transmitowane były przez Polskie Radio, na ich czas zawieszono naukę i pracę. Ludzie zbierali się przy głośnikach, wyły syreny, a nawet biły kościelne dzwony. Sowiecka propaganda szerzyła kult Stalina, posuwając się do takich absurdów, jak zmiana nazwy Katowic na Stalino-gród. Zabalsamowane ciało dyktatora spoczęło na placu Czerwonym w Moskwie, tuż obok Lenina. To było jedno z najważniejszych wydarzeń początku roku, które w następnej kolejności przyniosło tak zwaną odwilż polityczno-gospodarczą.

Stefka i Tadeusz mijali drewniane, niskie budynki pokryte papą z oknami usytuowanymi niemal przy samej ziemi, często z wybitymi szybami, za którymi hulał wiatr. Niektóre z nich groziły zawaleniem i czekały właśnie na rozbiórkę. „Nie wchodzić! Grozi zarwaniem!” – krzyczały ogromne napisy na elewacjach, a podparte stemplami rozdarte stropy nie zachęcały do wycieczek wewnątrz. Na ich miejscu miały powstać nowe, be-

tonowe bloki z balkonami, miejskim ogrzewaniem i kanalizacją. Mieszkania, o których marzyła wciąż napływająca do Łodzi ludność. Oszronione korony drzew ożywiały widok szarych wybrukowanych kamieniem ulic i chylących się ku ziemi, kostropatych domów.

– No, ta cała Ewa, w której podkochuje się twój brat.

– Skąd wiesz?

Tadeusz przystanął, pstryknął palcami, zaglądając jej z uśmiechem w twarz. Miała na sobie rozkloszowany płaszcz z brązowej wełny, ściśnięty w talii szerokim paskiem. Szyję obwiązała kolorowym szalem pochodzącym z garderoby babci, włosy zaś ułożyła w wysokie fale nad czołem i puściła swobodnie na ramiona. Jej wygląd ściągał uwagę, przechodnie raz po raz oglądali się za nią, rowerzyści gwizdali z zachwytem. Ta sytuacja imponowała Tadeuszu, któremu przecież też niczego nie brakowało. Można było nawet pokusić się o stwierdzenie, że był najprzystojniejszym kawalerem w mieście.

– Widziałem ich kiedyś razem. Wyglądali na... – chrząknął wymownie – bardzo zaprzyjaźnionych...

– Przecież... pan doktor ma podobno rodzinę, ta Ewa mogłaby być jego córką – odparła wzburzona.

– Jak widzisz, miłość nie zna konwenansów... – zauważył kąśliwie.

– Przestań! To obrzydliwe!

– Zaraz obrzydliwe! – mruknął z przekąsem.

– A jego żona o tym wie?

– Nie wydaje mi się. To wyjątkowa kobieta, choć... niestety, mało urodziwa.

– Uroda! – krzyknęła Stefka obruszona. – Przereklamowany towar! Uroda mija, zostaje po niej jedynie wspomnienie. Najważniejsze jest to, co się ma w środku!

– Co z tego? – Wzruszył obojętnie ramionami. – Powiedz to doktorowi Lubańskiemu.

Z przeciwka szły trzy młodziutkie elegantki. Loki, fale, pomalowane na czerwono usta. Do tego ładne płaszcze, wpięte w klapy kołnierza broszki i buciki na niewysokim obcasie. Na widok Tadeusza zrobiły maślane oczy, zachichotały wymownie, a potem długo się jeszcze za nim oglądały. On odwrócił się także i machnął im zawadiacko na pożegnanie.

– Widzę, że sam nie masz nic przeciwko – syknęła wściekle.

Zaśmiał się.

– Czyżbyś była zazdrosna?

– Ja? No, wiesz? Dobrze sobie! Za kogo się uważasz?

Kiwnął głową zrezygnowany. Długo się nie odzywał, myśląc o czymś intensywnie.

– Tak długo już smalę cholewki do kobiety, którą kocham... – odezwał się ponuro. – Lecz na niej nie robi to najmniejszego wrażenia. Co byś uczyniła na moim miejscu? Poddała się?

– Jaa???

Stefania poczerwieniała. Poczuli się w tym momencie oszukana i zdradzona.

– Skoro tak... – zaczęła się jąkać ze zdenerwowania. – To co tutaj robisz? Po co marnujesz swój cenny czas? – Zatrzymała się, odwracając wzrok. Pod powiekami zaczęło piec. – Idź sobie do niej! Nie musisz być przy mnie! – burknęła, odruchowo zakrywając twarz. Zrobiło jej się dziwnie przykro, ukłucie zazdrości zabolęło, czego się kompletnie po sobie nie spodziewała.

– Stefka, no co ty? – bąknął zdezorientowany. Podszedł bliżej i odciągnął rękę z jej twarzy. – Spójrz na mnie! Naprawdę niczego nie zauważyłaś?

Chodnikiem raz po raz ktoś przechodził, zerkał w ich stronę albo robił wymowne miny.

– Rzuć się pan na kolana! – zawołał jakiś chłystek. – To naprawdę działa!

– Czego? – wychlipała. – Czego nie zauważyłam?

– Że cię kocham, Stefka, jak głupiec jakiś! Nie widzisz tego?

– Mnie? – Otworzyła usta, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– A kogo? Znasz drugą taką? – Potrząsnęła odruchowo głową, prychnęła z niedowierzaniem. – Chciałbym, żebyś została moją żoną. Jeśli się zgodzisz, pojedziemy razem do Kalisza. Przedstawię cię mojej rodzinie. Zgadzasz się?

Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Pokiwała tylko twierdząco głową, on chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Zaprowadził do najbliższej bramy i tam, w cuchnącym wilgocią i uryną wnętrzu, po raz pierwszy pocałował.

\*\*\*

Pani Ludmiła nastawiła gramofon, cieniutka igła poszła w tan po winylowej płycie, a wraz z nią popłynęły dźwięki symfonii Beethovena.

– Moja ulubiona, *Sonata księżycowa* – powiedziała, spoglądając na gości przy stole pijących herbatę i likier.

Ludmiła Toporska była kobietą po siedemdziesiątce, ale mimo to pełną wigoru i dziewczęcego uroku. Wciąż miała apetyt na życie, czego nigdy nie ukrywała. Uwielbiała wyjścia do teatru, kina, kawiarni, paliła papierosy, a czasem nawet lubiła potańczyć. Kręcił się koło niej pewien elegancki, starszy pan, który oprócz kwiatów przynosił jej kremówki i pączki z nadzieniem z róży. Spędzali razem długie wieczory na słuchaniu ulubionych kompozytorów, a także na picciu likieru, co stało się w pewnym sensie ich wspólnym rytuałem. Ludmiła używała w tym celu swoich ulubionych kryształowych kieliszków na wysokich nóżkach, które otrzymała w prezencie od ucznia jeszcze przed wybuchem wojny.

– To był największy łobuziak w klasie! – wspominała te czasy z rozrzewnieniem. – Kiedyś spalił dziennik, bo wystawiłam mu dwójkę na półrocze. Dzieciak! Myślał, że jak spali dziennik, pozbędzie się kłopotu. Żal mi się go zrobiło i nie doniosłam o tym dyrekcji. Powiedziałam, że dziennik został ukradziony, winnych nigdy nie ujawniono i nie ukarano. Tymczasem Hejniutek, bo tak miał łobuziak na imię, z wdzięczności wziął się do pracy. W ciągu kilku miesięcy wyciągnął się z dwójki na czwórkę.

– Ładnie to tak okłamywać dyrekcję? – zakpił pan Włodek. – Narozrabiał i powinien za to ponieść konsekwencje!

– Oj, Włodziu, Włodziu! Te twoje zasady! Czasem trzeba ludziom dać szansę! Gdybym wtedy na niego doniosła, dostałby dwóję ze sprawowania i zostałby na drugi rok. A tak, zaczął się uczyć, szkołę skończył z wyróżnieniem. A mnie – podniosła w górę małe, oszlifowane naczynie – pozostała pamiątka w postaci tych kieliszków. Poza tym... – uśmiechnęła się tajemniczo – do dziś się przyjaźnimy.

– Niesamowita historia! – zawtórowała Józia. – Aż miło posłuchać. Następną ocaloną jestem ja, prawda? Gdzie bym teraz była, gdyby nie odwaga Ludmiły? O ile jeszcze bym żyła... – dodała z trwogą w głosie.

– Za zdrowie naszej gospodyni! – rozległ się niski, tubalny głos pana Włodka. – Za jej odwagę i dobre serce!

– Zdrowie! – krzyknęli pozostali i opróżnili szkło.

– Dziękuję, kochani, za wszystko. Bez was to życie i tak nie miałoby sensu... – Następnie zwróciła się do Józki: – będzie mi was brakowało, zwłaszcza Rozalki. Po co wam ta Warszawa? Źle wam tutaj?

Stefania westchnęła głośno. Ją również przygnębiła ta wiadomość. Dowiedziała się o tym dopiero wczoraj. Pan Kazimierz otrzymał atrakcyjną propozycję pracy. Stały angaż w teatrze.

– Na razie na rok, a później się zobaczy – odparła Wróblewska, obracając w palcach kieliszek. – Ja też będę tam śpiewać. Otrzymaliśmy przydział na mieszkanie, Rozalka trafi do dobrej szkoły. Warszawa odradza się z ruin niczym Feniks z popiołów. Ludzie po latach wracają do swoich domów, choć nierzadko już ich nie zastają, zaczynają nowe życie.

– Ech! – Stefania westchnęła kolejny raz.

– Nie wzdychaj tak! – Józia się zaśmiała. – Będziesz mogła nas odwiedzić, oczywiście razem z Tadeuszem. Może już jako państwo Ostrowscy, kto wie?

– Może... – potwierdziła tajemniczo, uśmiechając się kącikami ust. – Niedługo jadę do Kalisza, poznać jego rodzinę.

– No, no! – Józka gwizdnęła. – Sporo słyszałam na temat Ostrowskich. Ale najlepiej, jak Tadeusz sam ci wszystko opowie.

– Co takiego? – nalegała Stefka.

– Nie mogę, wybacz. Na pewno wkrótce się wszystkiego dowiesz...

– Zdrowie, kochani! – wtrąciła się do rozmowy pani Ludmiła. – W moim wieku to najcenniejszy skarb. Same się o tym przekonacie, jak dożyjecie tych lat!

– Chciałabym mieć te lata i tak wyglądać! – Józia zaśmiała się, biegnąc z papierosem w stronę uchylonego okna. Jak zawsze wyglądała znakomicie.

Wieczór rozgościł się po drugiej stronie, ruch na ulicach zmałał. Z parapetu zeskoczyła szara kotka, wyprężyła grzbiet, miauknęła krótko, demonstrując swoje niezadowolenie. Ktoś śmiał zakłócić jej spokój. Niewiele myśląc, wdrapała się na pustą sofę i tam znów umościła sobie miejsce. Potem zwinęła się w kłębek i nie zwracając uwagi na przekrzykujących się gości, ponownie zasnęła.

\*\*\*

Kończyła zmianę, kiedy do środka kawiarni wsunął się młody mężczyzna w podartej marynarce i czapce konduktorce. Gwaro było tego dnia w lokalu, właśnie minęły święta Bożego Narodzenia pięćdziesiątego trzeciego roku. Po spotkaniach w otoczeniu rodziny przyszedł czas na życie towarzyskie. Ożywione rozmowy trwały, dym z papierosa jak zawsze unosił się w powietrzu, tworząc pod sufitem gęstą, drapiącą zawiesinę. Tymczasem człowiek z dziwną, poruszoną miną zatrzymał się na środku lokalu, zdjął z głowy nakrycie, uklonił się i ku zdumieniu gości, wyrecytował:

*Miłość mi dałeś, młodość górna*

*Dar ładu i wysokie żądze.*

*I jeszcze na uciechę durniom,*

*Raczyłeś dać mi, i pieniądze.*



Wszyscy obecni otworzyli szeroko usta, ale zanim ktokolwiek zabrał głos, mężczyzna pochylił się, wsunął na powrót czapkę na głowę, następnie energicznie skierował kroki do wyjścia.

– Julian Tuwim zmarł – rzucił lakonicznie, odwracając się na moment, zanim wybiegł na pustoszejącą o tej porze Piotrkowską.

Po kawiarni przebiegł szmer.

– To wiersz poety: *Do losu* – wykrztusiła wzruszona pani Teresa, która stanęła obok Stefanii niemal w skamieniałej pozie.

– Nie miałam pojęcia, że zmarł... – bąknęła Rudzka, przyglądając się oszołomiona wnętrzu Łodzianki.

Goście nagle zamilkli, zrobiło się jakoś śmiertelnie cicho.

– To prawda – odezwał się po chwili mężczyzna siedzący najbliżej baru. – Rano czytałem w gazecie. – Wylew krwi do mózgu.

– Ale jak to, gdzie? – wtrąciły się zdumione głosy.

– W Zakopanem. Tam spędzał święta z żoną i przyjaciółmi. Ostatnie zdanie, jakie napisał, brzmiało: *Ze względów oszczędnościowych polecam zgasić światłość wiekuistą...*

– Zupełnie jakby przeczuwał własną śmierć – szepnęła bojaźliwie kierowniczką i odruchowo chwyciła się za serce.

Tymczasem miejsce przy fortepianie zajął jakiś mężczyzna w garniturze i zaczął grać *Marsz pogrzebowy*. Muzyka Chopina uniosła się nad stolikami i wypełniła wnętrze lokalu, pogrążając wszystkich tu obecnych w refleksji i zadumie nad mijającym życiem. Siedzieli cicho zasłuchani w rwące serce brzmienie, spoglądając na siebie spod przymkniętych powiek.

## Rozdział 9

Oczom Stefanii ukazał się długi korytarz wyłożony czerwonym, zdeptanym chodnikiem, pokrytym plamami, wyschniętym błotem i piachem. Pomieszczenie było wysokie, obite do połowy drewnem, z wieszakami na ścianach zawieszonymi stertą wielorakich ubrań. Weszli do ogromnego salonu, w którym królował rzeźbiony kredens zastawiony przypadkowymi przedmiotami, dalej stała sofa obita pluszem w kolorze butelkowej zieleni, okrągły stół z koronkowym obrusem, na podłodze wyłożonej parkietem leżał perski dywan. Duszność w powietrzu sprawiła, że uderzyła ją fala gorąca, policzki rozkwitły rumieńcami, a pod pachami poczuła nieprzyjemną wilgoć. Z pomieszczenia obok wyszła tymczasem wysoka, szczupła kobieta w fioletowej sukni, z twarzą, na której zatrzymały się jeszcze ślady wielkiej urody, z okręconym wokół szyi sznurem koralu, upiętymi nad czołem ciemnymi włosami.

Za jej plecami ukazała się sylwetka znacznie niższa, tęższa, za to o wiele młodsza i ubrana zgodnie z najnowszymi trendami, w rozpinany sweter narzucony na elastyczny golf i rozkloszowaną spódnicę z zakładkami.

– Tedi? Wróciłeś! – wykrzyknęła ta z tyłu i podbiegła do mężczyzny, rzucając mu się radośnie na szyję.

– Wypiękniałaś, moja kochana siostrzyczko! Czyżbyś się zakochała? – zawołał, cmokając ją w czubek głowy. Potem oderwał się od jej krągłych ramion i zbliżył do matki. Objął mocno i pocałował w oba pokryte różem policzki. Przewyższał ją o głowę. – Mamo, tak się cieszę, że cię widzę w pełnym zdrowiu!

– Witaj, synu! – odparła sztywno, jednocześnie omiotła uważnie jego sylwetkę od stóp do głów. – Zmizerniałeś, biedaku. A mówiłam, żebyś został w Kaliszu. Pracy tutaj nie brakuje... a ciebie nosi po świecie, oj, nosi... – dodała karcącym tonem.

– Mamo, to jest Stefania, moja narzeczona. Pisałem ci o niej w listach. Poznajcie się.

Zrobił szeroki ruch ramieniem zachęcając kobiety do wymiany uścisków.

– Narzeczona? – W ciężkim, zakurzonej powietrzu zawisł ociekający lekką drwiną głos.

Irena Ostrowska wyciągnęła wprawdzie rękę na powitanie, ale jednocześnie dziewczyna poczuła na sobie twarde, niechętne spojrzenie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej obecność tutaj nie jest mile widziana.

– Proszę, to dla pani. – Odważyła się wreszcie wyciągnąć z torebki niewielki pakunek. – To ciasto mojej mamy, mam nadzieję, że się nie pokruszyło.

– Leon! – wykrzyknął Tadeusz na widok pędzącego w jego stronę ogromnego psa, który rzucił się na młodego pana i okazywał radość lizaniem jego rąk. – Stary przyjacielu, jak się masz?

Dziewczyna pochyliła się nad zwierzakiem i pogłaskała po grzbiecie.

– Witaj Leon, jestem Stefania.

Pies szczeknął krótko, przylgnął do niej, potem stanął na tylnych łapach, a przednimi oparł się o jej piersi. Rozwarł pysk i wywalił jęzor, okazując tym samym wielką radość.

– Wpadłaś mu w oko! Już go kupiłaś! – Młody Ostrowski roześmiał się, nie ukrywając zadowolenia. – On nie wszystkich tak wita!

Pani Irena uśmiechnęła się tymczasem kącikami ust. Zrobiła wymowny gest ramieniem.

– Ciasto? Wspaniale! Napijemy się w takim razie herbaty. Urszulo, zaparzysz?

Spojrzała wymownie w kierunku córki, która tylko fuknęła z niezadowoleniem, zrobiła zwrot i oddaliła się do kuchni.

Tadeusz tymczasem wyjął z kredensu cztery talerze i malowaną w kwiaty porcelanową paterę, na którą wyłożył pokrojony drożdżowiec ze śliwkami.

– Wygląda apetycznie – mruknął. – Pani Krystyna piecze wspaniałe ciasta! A jej drożdżowe to już majstersztyk! Będzie ci smakowało, mamo.

Ułożył naczynie na okrągłym stoliku, uprzątnąwszy wpierw z niego zbędne przedmioty w postaci popielnicy z petami, książek i brudnych szklanek po kawie. Wyciągnął też z szuflady serwetę i rzucił na pokryty kurzem, inkrustowany w motywy roślinne blat. Stefania obserwowała jego poczynania zdumiona. Matka nawet się nie ruszyła z fotela, siedziała tam wyprostowana jak struna z rękami na kolanach, z lekkim powściągliwym uśmiechem na twarzy.

– A tata gdzie, jeszcze w pracy? – spytał, przenosząc wzrok na rodzicielkę.

– Jak dobrze pójdzie, wróci koło siedemnastej... Narzucili im dodatkowe normy. Taka to już jest ta robota w fabryce – skonkludowała cicho, z cichym żalem tłącym się w głosie. – A panna Stefania czym się zajmuje w Łodzi? – dodała po chwili, mierząc ją wzrokiem.

– Pracuję w kawiarni – odparła zapytana, ożywiając się nieco. – To miejsce z tradycjami, przychodzi tam wielu znanych ludzi, ostatnio nawet gościł sam Julian Tuwim...

– Ooo! To wspaniale! – skwitowała Ostrowska, częstując się kawałkiem ciasta. – Wybornie smakuje! – dodała, próbując pierwszy kęs.

– Dziękuję, przekażę mamie. Na pewno się ucieszy.

– Jak pracowała u nas pani Wanda, też wspaniale piekła ciasta. Niestety, musieliśmy ją zwolnić. Po tym, jak zostaliśmy okradzeni. – Wstrzymała oddech i nabrała kilka haustów powietrza.

– Mamo! – wtrącił się Tadeusz. – Nie wracajmy do tamtych wydarzeń. To stare dzieje!

Właśnie do pokoju weszła jego siostra. Trzymała na tacy cztery szklanki herbaty. Mętna woda i fusy pływające na wierzchu świadczyły o tym, że herbata została zalana nieprzegotowaną wodą.

Mężczyzna westchnął ciężko, wstał i pomógł dziewczynie rozstawić naczynia. Uwadze Stefki nie uszły poplamione krawędzie szklanek, jednakże postanowiła udawać, że tego nie dostrzega.

– Stare dzieje, stare dzieje! – syknęła pani Ostrowska, nie kryjąc żalu. – Przez te dzieje nie stać nas na pomoc domową, żyjemy jak dziady!

– Nie przesadzaj, mamó! Żyjemy jak większość ludzi, musimy się tylko dostosować do nowych okoliczności, to wszystko. Teraz przyświeca wszystkim etos pracy na rzecz budowy nowego, lepszego jutra, walki z ukrytym wrogiem ludu. A kto jest wrogiem ludu? Pan, wyzyskiwacz? – mruknął kwaśno. – Nie ma sensu wracać do tego, czego już nigdy nie będzie. Tamto myślenie to już utopia! Teraz mamy równość i klasę robotniczą.

– Równość – zadrwiła kobieta. – To jest dopiero utopia. Nigdy nie było równości i nie będzie! Zapamiętaj to sobie! To tylko puste haselka dla tych, którzy chcą się wznieść na plecach innych. Nie rozumiesz?

– A co tu jest do rozumienia? – sarknął Tadeusz. – Niech już mama da spokój!

Pani Ostrowska poruszyła się w fotelu, zagryzła wargi i nerwowo zapłótła palce dłoni leżących na kolanach.

– Wybacz, drogie dziecko... – zwróciła się do Stefki. – Czasem mamy z Tadeuszem całkiem odmienne zdania... No cóż... – Ściągnęła usta, robiąc wymowną minę.

– Rozumiem... – odparła dziewczyna, uśmiechając się oszczędnie. – Mój tata z bratem też często się sprzecząją, przyzwyczałam się do tego.

– A co robi twój tata? – spytała matka Tadeusza, nachylając się lekko nad stolikiem. Podsunęła bliżej krawędzi szklankę i sięgnęła po cukiernicę. Zamieszała rytmicznie, uważając jednocześnie, aby łyżeczka nie uderzała o ścianki naczynia. – Urszulo, mówiłam ci tyle razy, że woda powinna się

zagotować – zwróciła się nagle do córki, podnosząc twarz i mierząc ją surowym wzrokiem.

Leon leżący u nogi Tadeusza podniósł z zaciekawieniem łeb. Dziewczyna poczerwieniała. Niemal jednocześnie poderwała się z miejsca.

– Całkiem zapomniałam, muszę was niestety opuścić!

– Ale dlaczego? Mamy gościa! – zaprotestowała pani Irena, mierząc ją ostrzegawczym spojrzeniem.

– Gość z pewnością mi wybaczy – odparła lekko sardonicznym tonem. – Będzie jeszcze niejedna okazja do rozmowy, prawda, braciszku?

Mężczyzna spojrzał na nią rozczarowany i jęknął bezradnie.

– Skoro musisz... – Wzruszył ramionami. Chwycił demonstracyjnie kawałek placka i włożył go sobie do ust, aby nie pokusić się o dalsze dygresje. Pies prychnął i zrezygnowany położył łeb na przednich łapach, zupełnie jakby rozumiał ciężką atmosferę tego domu.

\*\*\*

Niecałą godzinę później wyszli na miasto. Oboje byli już głodni, dlatego najpierw postanowili coś zjeść. Zajrzeli do niewielkiego baru na tyłach rynku, gdzie serwowali kapuśniak, pomidorówkę i leniwe z sosem. Stefania nareszcie poczuła się swobodniej, musiała przyznać, że przebywanie w towarzystwie matki Tadeusza należało do czynności niezwykle męczących. Nie sądziła, że pozbawi ją to resztek energii. Ostrowska wciąż ją wypytywała o rodzinę, wykształcenie, pochodzenie, plany na przyszłość. Nie kryła zawodu, dowiedziawszy się, jakim zajęciem para się jej ojciec. Dziewczyna mogła pochwalić się studiującym bratem, ale to i tak nie zmieniło nastawienia do jej osoby, nie przyćmiło niskiego statusu społecznego, który dla matki Tadeusza miał ogromne znaczenie.

– Łatwo nie będzie – analizowała, połykając kolejną łyżkę pomidorówki z makaronem.

Jej narzeczony pochłaniał talerz zupy, nie mając nawet czasu na rozmowę. Zdenerwowanie próbował ukryć pod pancerzem milczenia i nad-

miernego apetytu.

Nie pytała go o nic, doszła do wniosku, że sam powie, jeśli się na to zgodzi. Coś w tej rodzinie nie grało. Ten rzucający się w oczy bałagan, brak organizacji w domu, problem z gotowaniem, podaniem... i pretensje. Nie tak wyobrażała sobie to spotkanie. „Może przyszedł teść mile mnie zaskoczy” – pocieszała się w myślach.

– Wybacz mojej matce – zdecydował się wreszcie na wyznanie. Przełknął ostatnią łyżkę zupy, odstawił talerz i wytarł usta chusteczką. – Ona wiele przeszła, poza tym... inaczej jest, kiedy się niewiele ma. – Zerknął na nią, a widząc jej konsternację, od razu dopowiedział: – Moi rodzice byli obrzydliwie bogaci i... wszystko stracili przez własną głupotę i naiwność. No, może jeszcze przez okropne, niesprzyjające czasy.

Przełknął ślinę, zamyślając na dłużej.

– Co to znaczy, że dużo przeszli? Czy ja, Józia, moi bliscy... nie przeszliśmy dużo? Jesteśmy ulepieni z gorszej gliny? – sarknęła gniewnie. – Mam wrażenie, że ktoś tu cierpi na przerost formy... Nie sądzisz?

– Sądzę... – przytaknął ciężko. – Tutaj muszę ci przyznać rację...

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy.

– Wybacz... – zaczęła po chwili. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ja nie mam pretensji, tylko trochę idiotycznie się czułam. Jak jakiś intruz...

– Wiem... Strasznie mi głupio. Nie przypuszczałem, że siostra tak zareaguje... Przerosło ją nawet zrobienie czterech herbat. – Chwycił ją za rękę. – Dopiero teraz dostrzegam różnicę. Jesteś zupełnie inna... taka zaradna, gospodarna, czysta... Jestem z ciebie taki dumny.

Uśmiechnęła się ledwo zauważalnie.

– Nie powiedziałaś, co się wydarzyło, dlaczego twoja mama...

– Ech! – Machnął ręką. – To się wydarzyło wiele lat temu, moja cała rodzina mieszkała wówczas we Lwowie. Mieliśmy tam piękne mieszkanie przy Łyczakowskiej, a w zasadzie całą kamienicę. Połowa mieszkań należąca do Ostrowskich była wynajmowana, z zajmujących lokale lokatorów ludzie mojego ojca ściągali czynsze. Ponadto byliśmy właścicielami kasyna

i odcinka kolejowego. Posiadaliśmy wszelkie dobra: grunty, dzieła sztuki, złoto, biżuterię... Pieniądze nie stanowiły wówczas żadnego problemu. Mieliśmy w domu służbę, w tym kucharkę, lokaja, guwernantkę, nianię... Przemieszczaliśmy się po mieście samochodami, moja mama była przynajmniej kilka razy w tygodniu u fryzjera. Siostrę czesała opiekunka, a moja mamka przez wiele lat czytała mi bajki. – Zaśmiał się gorzko.

Stefania otworzyła usta i przewróciła oczami, następnie posłodziła herbatę i nasłuchiwała z coraz większym zainteresowaniem.

– Mama miała mnóstwo kreacji, drogie futra, biżuterię, perfumy, buty, torebki, kapelusze, rękawiczki z cielęcej skóry... Wyliczać można bez końca. Wiodła bardzo barwne życie, niczym egzotyczny ptak. Kochała teatr, muzykę, tańce. Nieustannie spotykała się ze znajomymi, odwiedzali Operę Lwowską, grała w karty, chodziła na potańcówki. Tata tymczasem egzystował po swojemu, trochę na odległość, z wygody, nudy, a trochę z wyboru. Kręciło się wokół niego mnóstwo kobiet. A on... nigdy nie odmawiał. Nie umiał. Mama nie pozostawała mu dłużna. Lista jej kochanków powiększała się z miesiąca na miesiąc. Cały Lwów o tym mówił, choć ona udawała, że jej to nie dotyczy. Ludzie podśmiewali się, wytykali palcami. Czasem myślałem, że zapadnę się pod ziemię. W szkole chłopaki wciąż mi dokuczali, nie wiedziałem, jak się bronić. Wielokrotnie widziałem matkę w towarzystwie obcych mężczyzn, którzy ją obściskiwali. To nie było przyjemne, zapewniam cię.

– Wierzę – przytaknęła.

– Właśnie! – Westchnął ciężko kolejny raz.

– Mama nie wiedziała, co to jest praca, jej dzień wypełniało myślenie o strojach, spotkaniach z przyjaciółmi, rozrywkach i oddawaniu się cieleśnym uciechom. Nawet zapomniała, że ma dzieci. Mieliśmy opiekunki, nianie, które owszem – były bardzo miłe i empatyczne... Zawsze jednak to obce osoby, które za swoje obowiązki otrzymywały wynagrodzenie. Jedną z nich naprawdę bardzo kochałem, swoją osobistą nianię. Miała na imię Wera. To ona czytała mi bajki na dobranoc, tuliła, rozpieszczała, opowiadała przeróżne historie, czasem bardzo zabawne. Kiedy byłem mały, ką-



pała mnie, wycierała, ubierała... Siostrę również. Prawdziwa matka nie miała dla nas czasu. Nie nauczyła nas niczego, szacunku do pracy ani do drugiego człowieka. Nie potrafiliśmy nic koło siebie zrobić. – Urwał i zapalił kolejnego papierosa. Po dłuższej chwili kontynuował: – Pamiętam naszą piękną jadalnię z ogromnym, owalnym stołem i marmurową podłogą, dania podawane były przez służbę, zawsze w porcelanie i obowiązkowo z zestawem srebrnych sztućców. Tego wymagała matka, strasznie przywiązywała wagę do etykiety, ale poza wspólnym jedzeniem posiłków nie poświęcała nam ani krztyny więcej czasu. W salonie stały kamienne posągi. Jeden z nich był mężczyzną, całkiem nagim, z obnażonym przyrodzeniem. Przyglądałem mu się często, będąc chłopcem, i zastanawiałem się, czy moja męskość jest odpowiedniej wielkości. Kiedyś Wera przyłapała mnie, jak gapiłem się na tę rzeźbę, a nawet wodziłem po niej palcem. Zwierzyłem jej się wówczas ze swoich rozterek. Przygarnęła wtedy do piersi i zapewniła, że wszystko jest u mnie w porządku i żebym się więcej nie martwił. To mnie uspokoiło.

Dziewczyna zaczerwieniła się ze zmieszania. Wreszcie odważyła się zapytać:

– Co się z nią stało?

– Została zwolniona, gdy podrosłem na tyle, że już nie potrzebowałem niani. Często ją odwiedzałem w jej ciemnym ponurym mieszkaniu przy Pasicznej, gdzie częstowała mnie słodką herbatą i pączkami obsypanymi cukrem pudrem. Ich smak prześladuje mnie do dziś.

– A ojciec?

Z nim było podobnie, choć zdarzało się, że zabierał mnie ze sobą na kolej. Stąd moje zamiłowanie do pociągów.

– Rozumiem... Do kasyna też?

– Nie, broń Boże! Tamten obszar był dla nas zabroniony! Nie wolno nam tam było wchodzić pod żadnym pozorem. Zresztą... nikt by nas tam nie wpuścił. Byliśmy wtedy nieletni. Wiele razy wyobrażałem sobie tamto życie. Ogromna sala z drewnianymi schodami pnącymi się w górę, wypełniona dymem z papierosów i luksusowymi perfumami. Mężczyźni pałący

cygara, piękne kobiety w wyszukanych kreacjach, alkohol, ruletka, krupierzy... i ogromne pieniądze. To musiałyby być fascynujące!

– Pewnie tak... – przytaknęła w zamyśleniu. – Nie spodziewała się takiej prawdy o swoim narzeczonym. – I co było dalej?

Tadeusz podniósł się, odsunął krzesło, na którym siedział, po czym wymownie zerknął w jej stronę.

– Chodźmy stąd! Zmienimy lokal i opowiem cię resztę. Mam ochotę na kieliszek wiśniówki.

Podał jej rękę, pomógł wstać i założyć płaszcz. Następnie troskliwie objął ramieniem, kiedy opuszczali bar, i przytuleni skierowali się w stronę Głównego Rynku. Wieczór już zapadł, gdzieniegdzie rozbłysły latarnie, chodnikiem przemieszczały się roześmiane grupki dziewcząt, zakochane pary, podchmieleni panowie. W kawiarniach i barach usytuowanych tuż przy głównym placu wrzało nocne życie, raz po raz jakieś podniesione głosy niczym armatnie pociski przeszywały ciszę. Mijające ich kobiety taksowały zalotnym spojrzeniem Tadeusza, który w ciemnym płaszczu, białym szalu przerzuconym przez ramię, filcowym nakryciu głowy zakrywającym błyszczące, czarne włosy wyglądał nie tylko jak prawdziwy dżentelmen, ale co najmniej jakiś filmowy amant. On, czując na sobie ten wzrok, uśmiechał się jeszcze szerzej, czasem jak mały chłopiec – rozbrajająco, czasem jak łobuziak – szczerząc zęby i spoglądając zalotnie spod runda kapelusza. Stefka mimo woli czuła w środku narastające i kłujące uczucie zazdrości. Na szczęście i ona ściągала uwagę swoim wyglądem niepozabawionym wyjątkowego uroku. Panowie uchylali czapki na jej widok, ci młodszy cmokali z uznaniem. Odwzajemniała to zainteresowanie ledwie widocznym grymasem twarzy, na co z kolei jej towarzysz reagował złośliwym sarknięciem albo mocniejszym uściskiem ramienia. Zupełnie jakby w ten sposób chciał dać innym do zrozumienia, że ta kobieta należy wyłącznie do niego.

Wreszcie znaleźli zaciszne miejsce w pewnej mało zaludnionej kawiarni i zaczęli czekać, aż ktoś do nich podejdzie. Kelnerka, która pojawiła się, aby ich obsłużyć, nie spuszczała rozanielonego wzroku z Tadeusza. Ten tymczasem rozsiadł się wygodnie w szerokim fotelu i szarmanckim gestem wycią-

gnął z kieszeni marynarki pudełko z papierosami. Zamówił po dwa kieliszki wiśniowej nalewki, następnie zaciągając się z lubością i wypuszczając z ust kłęby dymu, posłał drobnej, ładnej dziewczynie figlarny uśmiech. Stefkę nieco to rozzłościło, jednak postanowiła nie okazywać emocji. Z pokerową twarzą wypila pierwszy kieliszek i natychmiast poprosiła o drugi.

– Więc jak to się stało, że trafiliście tutaj? – ponowiła pytanie.

Westchnął.

– Jak pewnie wiesz, wrzesień trzydziestego dziewiątego roku przyniósł lwowiakom bolesne rozczarowanie. Zaczęło się od klęski kampanii wrzesniowej. Najpierw atak Hitlera, a potem stalinowska okupacja. – Chrząknął, mnąc w palcach końcówkę papierosa. – Nie wiadomo, co gorsze.

– Wojna zakończyła pewną epokę, z czym do dziś ciężko jest się pogodzić.

Zaciągnął się głęboko, by po chwili wypuścić z ust kłęby siwego dymu.

– Władze sowieckie zamierzały doprowadzić do zniszczenia całej polskości, zaczęło się piekło, jakiego świat nie widział. Zaczęto masowo wysiedlać ludzi, którzy coś we Lwowie znaczyli, zwłaszcza polską inteligencję. Całymi rodzinami wywozili ich w głąb Rosji, na tereny Syberii czy Kazachstanu. Masowe deportacje budziły strach i przerażenie. Sowietci przejmowali mienie, grabili, pozbawiali stanowisk, domu, pracy. Zaczął się czas psychozy strachu. Każdy najmniejszy opór był natychmiast tłumiony, więzienia się zapełniły, budziły grozę opowiadania o przesłuchaniach i torturach. Dochodziło do masowych mordów, jak chociażby likwidacja więzienia Łąckiego, gdzie tuż przed wkroczeniem wojsk niemieckich do miasta przebywali głównie więźniowie polityczni.

Moi rodzice raz na zawsze musieli zapomnieć o wystawnym, zbyt frywolnym życiu i zastanowić się nad tym, jak ocalić to, co pozostało. Musieli się gdzieś ukryć, bo prawdopodobieństwo aresztowania i deportacji było właściwie przesądzone. Na szczęście ojciec miał wiele różnych znajomości i dopóki płacił odpowiednim osobom na ważnych stanowiskach, czuliśmy się w miarę bezpiecznie. Rodzice podjęli natychmiastową decyzję o przeprowadzce, a dzięki zaradności taty przenieśliśmy się do innego mieszka-

nia, dużo mniejszego, z jedną tylko osobą do pomocy. A potem do Lwowa znów wkroczyli Niemcy i na chwilę odetchnęliśmy.

Zgniółł papierosa w popielniczce, odwrócił wzrok w stronę okna.

– Już w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, kiedy zaczęły się czystki etniczne organizowane przez bandy UPA, docierały do nas informacje o brutalnych napaściach na ludność polską w okolicy Lwowa i nie tylko... – mówił powoli. – Polacy masowo opuszczali miasto, w którym przestali się czuć jak u siebie. Kolejny rok nie uspokoił nastrojów, rzeź wołyńska wstrząsnęła opinią publiczną, zmusiła do podjęcia szybkich decyzji. Szok, niedowierzanie towarzyszyły nam każdego dnia, nie byliśmy w stanie zrozumieć okrucieństwa organizacji nacjonalistycznych wspieranych często przez samą ludność ukraińską. Kolejne miesiące nie przyniosły zmian na lepsze. Hitler przegrywał wojnę, do miasta nieuchronnie zbliżał się front wschodni, znów pojawił się strach przed terrorem stalinowskim. Kamienica przy Łyczakowskiej została w większej części ostrzelana, na szczęście rodzice zdążyli ją opróżnić z co cenniejszych dóbr. Ukryli to wszystko w piwnicach w nowym miejscu zamieszkania, w wiklinowych koszach i drewnianych kufrach. Było tego bardzo dużo – sarknął gorzko. – Kasyno już dawno przestało funkcjonować, kolej straciliśmy. Rodzice już wcześniej myśleli o wyjeździe ze Lwowa, a kiedy zrobiło się tak niebezpiecznie, nie było sensu dłużej zwlekać. Podjęli decyzję o ucieczce, którą zorganizowali dzięki różnym kontaktom i niemałym funduszom. W Kaliszu mieliśmy ukochanego wujka Leona, brata ojca mojej mamy. Nie miał własnych dzieci, a do matki czuł szczególną słabość. Mnie i Urszulę traktował jak wnuki. Bywał częstym gościem w naszym dawnym domu przy Łyczakowskiej, wspólnie jadaliśmy posiłki, rozmawialiśmy, wspominaliśmy, a wieczorem udawał się z ojcem do kasyna. Uwielbiał grę w ruletkę, hmm... myślę nawet, że był uzależniony od hazardu. To on w tych niepewnych czasach zaproponował pomoc, która została ochoczo przyjęta. Był właścicielem dużego mieszkania w Kaliszu przy Głównym Rynku, niestety zadłużonego. Rodzice spłacili dług, jeszcze zanim zostali okradzeni, dlatego przed

śmiercią wujek spisał testament. Zmarł dwa lata po wojnie na raka płuc. Za życia wypalał ogromne ilości papierosów. To był kolejny jego nałóg.

– Co za historia! – jęknęła zaintrygowana Stefka. – Niesamowita!

– To jeszcze nie koniec... – oznajmił zrezygnowanym głosem. – Nie powiedziałem ci, jak zostaliśmy dziadami.

– Dziadami? Dlaczego tak mówisz?

– Ktoś musiał się dowiedzieć, gdzie zostały ukryte kosztowności. Mieszkaliśmy w tym czasie u znajomych ojca, od których wynajęliśmy to mieszkanie. Tak jak wspomniałem wcześniej, wszystkie dobra były przechowywane w piwnicach budynku, do których tylko my mieliśmy dostęp. W dzień przeprowadzki do Kalisza pod dom zajechały wozy zaprzężone w konie. Opłacony ludzie pomagali nam wynosić to, co ocalało. Gdy dotarliśmy do piwnic, okazało się, że ktoś je wcześniej niemal w całości opróżnił! Zostały srebra wsunięte pod derki, kilka obrazów schowanych za kominem, porcelanowa zastawa, rzeczy osobiste i pamiątki rodzinne, do których złodzieje nie przywiązywali wagi. Znajdowało się tam złote jajo robione na wzór kolekcji cara Piotra, które kiedyś ojciec wylicytował na aukcji. Posiadało swoją wartość, ale sprzedanie go w szybkim czasie w tak niesprzyjających okolicznościach okazało się karkołomnym wyzwaniem. Poszło za bezcen, nie było jednak wyjścia. Rodzice potrzebowali pieniędzy na przetrwanie. To, co zostało, zapakowali do jednego wozu i odjechali. Ktoś musiał dobrze wiedzieć, co znajdowało się w piwnicach, rodzice byli zbyt ufni, i co tu dużo mówić... – mruknął – niefrasobliwi.

– Aż trudno w to wszystko uwierzyć.

– Po przeprowadzce do Kalisza zaczął się w ich życiu nowy rozdział. Mama po tych wszystkich przejściach, po utracie niemal całego majątku przeżyła załamanie nerwowe. W ciągu kilku lat podupała na zdrowiu i już nigdy nie wróciła do dawnej formy. Tata początkowo nie mógł sobie znaleźć miejsca, wreszcie zatrudnił się w Calisii – słynnej fabryce fortepianów. Praca, system, fabrykę znacjonalizowano, dały mu nowe siły, postanowił wbrew wszystkiemu odnaleźć się w obecnej rzeczywistości. Ja ukończyłem jedną szkołę, zacząłem drugą. Ta sytuacja okazała się na szczęście sprzyja-

jąca dla dwojga ludzi, którzy przez lata nie umieli już ze sobą rozmawiać. Kryzys zbliżył moich rodziców do siebie, relacje małżeńskie zostały odbudowane, pomimo nadszarpnięcia ich w jeszcze w czasach dobrobytu. Postanowili dać sobie drugą szansę. Straciliśmy więc jedno, a zyskaliśmy drugie. Najbardziej z nas wszystkich wyprowadzkę przeżyła Urszula. W Lwowie zostawiła przyjaciół i serce. Trudno jej było zaadaptować się w nowym miejscu, zaakceptować ludzi w gruncie rzeczy obcych, może dlatego mam do jej zachowań i wybryków wiele wyrozumiałości. Czasem próbuje coś zademonstrować, manifestuje to swoją wyniosłością i opryskliwością. Przyzwyczailem się... Mam tylko jedną siostrę... – Machnął ręką.

– Rozumiem... – Stefka chrząknęła, przykrywając palce Tadeusza swoją drobną dłonią. Uścisnęła ją mocno. – Twoja rodzina bardzo wiele przeszła... Szczerze współczuję, choć z drugiej strony najważniejsze jest to, że przeżyliście wspólnie ten okropny czas, nadal żyjecie i jesteście razem. To o wiele lepsze niż pieniądze i dobrobyt.

Spojrzał na nią, zaskoczony tym, co powiedziała.

– Jesteś taka mądra! – wyznał poruszony. – Nie mogę się czasem nadziwić.

Ujął jej rękę i przyciągnął do warg. Musnął nimi skórę, aż poczuła rozkoszne drganie w dole brzucha. Na jej policzkach wykwitły rumieńce zakłopotania. Musiała przyznać sama przed sobą, że coraz częściej ogarniały ją zdradzieckie myśli o bliskości. Obecność tego mężczyzny pobudziła w niej dawno uśpione pokłady kobiecości, coraz częściej topiły ją żar i podniecenie.

– Twój tata już pewnie wrócił z fabryki, pójdziemy? Chciałabym go poznać.

Zmieszana wyrwała dłoń z uścisku i dopiła resztkę nalewki.

– Masz rację, czas wracać! – odparł lekko zawiedziony.

\*\*\*

Lucjan Ostrowski oderwał się od rzeźbionego kredensu, z którego wyjął butelkę z czerwonym winem.

– Napijecie się, moi kochani? Musimy uczcić takie zapoznanie!

Stefka musiała przyznać, że ojciec Tadeusza stanowił zupełne przeciwieństwo żony. Sympatyczny, otwarty i serdeczny, w dodatku nadal przystojny, o ciekawej, ujmującej aparycji. Ubrany w brązową kamizelkę z atłasowym przodem, spod której wystawała wykrochmalona w kant koszula, robił wrażenie niezwykle eleganckiego, światowego człowieka. Był sporo wyższy od syna, bardziej barczysty i mocniej zbudowany. Przyjemnie pachniał, kiedy podszedł i po ojcowsku ujął ją w silne ramiona.

– Bardzo miło mi cię poznać. – Uśmiechnął się życzliwie.

– Mnie również bardzo miło – rzuciła w odpowiedzi, kiedy omiółł ją spojrzeniem intensywnie niebieskich tęczywek.

Pani Ostrowska przyglądała się tej scenie znad stolika, na którym układała tarota. Karty formowały się pomyślnie, dlatego po kilku chwilach złożyła je w równą talię i schowała do szufladki pod blatem. Wstała. Leon leżący na dywanie również poderwał się z miejsca.

– Pomyślałam, że zagram coś dla was – oznajmiła niespodziewanie.

– Wspaniale! – odparł entuzjastycznie pan Lucjan, posyłając żonie czułe, pełne podziwu spojrzenie. – Ira cudownie gra! Tylko posłuchajcie! Zapraszam was, kochani, do stołu!

Stefania, kierując się w stronę sof, zatrzymała się przy ścianie, na której znajdował się zbiór fotografii oprawionych w ramki o różnych kształtach: kwadratowych, prostokątnych, owalnych. Na jednym ze zdjęć ujrzała piękną kobietę o zmysłowym, czarującym spojrzeniu w kapeluszu przystrojonym kwiatami i zwiewnej sukni odkrywającej gładkie ramiona. Nie trudno było zgadnąć, że to pani Irena jeszcze w okresie pełnego rozkwitu jej urody. Rudzka wpatrywała się w ten niewielki portret, nie kryjąc zachwyty, nie mogąc oderwać oczu od subtelnych rysów, zarysowanych pełną linią ust, zgrabnego nosa i pary błyszczących niebieskich oczu, dostrzegając w tej twarzy niezwykle podobieństwo do pierworodnego syna.

– Zapraszam na kieliszek wina! – zwrócił się w jej stronę pan Ostrowski, a zauważywszy zainteresowanie wizerunkiem żony, dodał: – Zrobione w trzydziestym piątym w zakładzie fotograficznym u Pelca. Wyjątkowo udane, też tak uważam.

Dziewczyna pokiwała twierdząco głową, po czym oderwała wzrok od zdjęć i przyłączyła się do siedzących na sofie mężczyzn. Pies już tam był, zajął miejsce na dywanie i przysłuchiwał się odgłosom wydobywającym się z różnych części mieszkania.

Ojciec Tadeusza wstał, wyjął z witryny kieliszki i ustawił na serwecie. Lampa z miodowym abażurem z frędzlami na długiej drewnianej nodze rozsiewała wokół siebie przyjemne, ciepłe światło. Na komodzie paliła się świeca, odbijając się w tafli lustra w złoconej, bogato rzeźbionej ramie.

Pani Irena tymczasem usiadła do fortepianu, który usytuowany był pod ścianą dość przestronnego pomieszczenia, tuż przy ogromnym regale wypełnionym książkami. Wyprostowała plecy, podniosła podbródek i otworzyła klapkę, pod którą czekała już na nią dawno nieużywana klawiatura. Najpierw uderzała w klawisze niedbale, brzdąkając bez ładu i składu, dopiero po chwili spod jej palców zaczęły wydobywać się przepiękne takty walca. Muzyka rozbrzmiała w powietrzu nasycona nutami tęsknoty za czymś dawno utraconym i żalu.

– To Chopin! – zawołał Tadeusz, nie kryjąc zachwytu.

Stefania odwróciła się w stronę pianistki, rzewna muzyka spowodowała, że jakaś melancholia rozdarła jej duszę i przywołała dawne wspomnienia. Feliks stanął przed nią jak żywy, a ona doznała poczucia, że kolejny raz zdradziła ukochanego. Naszło ją przeświadczenie, że kompletnie nie pasuje do tej dziwnej rodziny. Bezradnie rozejrzała się na boki. Mimo sporej odległości, jaka je dzieliła, dostrzegła na policzkach Ostrowskiej łzy.

W drzwiach salonu stanęła Urszula. Oparła głowę o drewnianą futrynę i nasłuchiwała. Jej twarz była skupiona i poważna, a ściągnięte usta i błyszczące nienaturalnie oczy zdradzały głębokie emocje.

Walc tymczasem płynął, drapał dźwiękami serca i duszę, wywoływał dziwny niepokój i nostalgię. A pan Lucjan głąskał leżącego przy jego nodze



psa i zapatrzony w zasłuchaną Stefkę, uśmiechał się tylko pod nosem.

\*\*\*

Wizyta u przyszłych teściów była niezwykle wyczerpująca. Narazona na nastroje obu kobiet, siostry i matki, musiała uważać, aby swoim niestosownym zachowaniem nie sprowokować konfliktowych sytuacji. Pilnowała też języka, niezwykle trafnie dobierała słowa, ale i tak miała wrażenie, że obie mają ją za prostytutkę, miejską dziewczuchę bez krzty ogłady i dobrego smaku. Kiedy zachwyciła się gobelinem na ścianie przedstawiającym wazon z kwiatami, obie uznały, że to zwykły regionalny wyrób, a nie dzieło sztuki. Takich odniesień do jej mieszczańskiego gustu było znaczenie więcej, dlatego im dłużej przebywała w tym domu, tym częściej upewniała się, że nie ma tam dla niej miejsca. Dla odmiany pan Ostrowski ujął ją ciepłym, otwartym usposobieniem i życzliwością. Jako człowiek pracy, wspierający aktyw robotniczy, odnoszący się do ludzi jej pokroju z szacunkiem – zakarbił sobie u niej ogrom sympatii i wdzięczności. Przy tym wszystkim ważne było wsparcie Tadeusza, który nie odstępował jej na krok, pomijając noce, kiedy to kładła się spać w oddzielnym pokoju. Panował tam jakiś ponury nastrój, okno od strony podwórza nie wpuszczało żadnego światła, jak się później okazało, szyby pokryte były warstwą brudu. Firanki ściemniały od kurzu, a stare tapety zwisały płatami ze ścian. Stało tam jedno wąskie łóżko z drewnianym, rzeźbionym oparciem i kompletem bawełnianej pościeli haftowanej na rogach. Nowym, jeszcze nieużywanym, wyjętym z szafy na tę specjalną okazję. Jakie to wszystko było dziwne. Otaczały ją piękne, niepowtarzalne rzeczy, niestety jednak – całkowicie zaniedbane. Wszędzie dostrzegała rozrzucone ubrania i drobne przedmioty codziennego użytku, a obicia mebli oraz piękny perski dywan pokrywała sierść ich ukochanego psa – Leona. Niezwykle wiernego, cierpliwego staruszcza, który spędził z rodziną Ostrowskich wiele dobrych i złych chwil. To właśnie to zwierzę – wyżeł z grupy psów myśliwskich o błyszczącej, brązowej sierści – okazało się bardzo przychylnie narzeczony Tadeusza, leżało przy jej nodze, domagało się pieśszczot, w tym drapania po grzbiecie i między

uszami. Podobno jeszcze za dobrych czasów uczestniczył w polowaniach, które uwielbiał pan Lucjan, a nawet raz uratował mu życie.

– To było w lasach pod Chmielnickim, kumple pogonili za sarną, a ja znalazłem się sam na sam oko w oko z dzikiem. Dzieliło nas zaledwie kilka metrów, pamiętam jego górne fajki, musiał być stary, ale wciąż jeszcze silny i groźny. Wydawał mi się taki ogromny!

– Tato! Słyszeliśmy już tysiąc razy tę opowieść! – wtrąciła się niecierpliwym głosem Urszula.

– Ale Stefcia jeszcze jej nie słyszała – zaproponował wówczas jej brat. Prawda, że jesteś ciekawa, co było dalej? – zwrócił się do narzeczonej z czułością.

– Tak, bardzo! – odparła, czując, jak płoną jej policzki. To wszystko za sprawą świdrującego i niechętnego wzroku siostry Tadka.

Pan Lucjan nie przejął się sugestią córki, zaaferowany kontynuował opowieść o tym, co się następnie wydarzyło.

– Strzeliłem raz, pudło! Strzeliłem drugi, pudło! Wybuch tylko mnie oślepił. Zwierzę zaryczało i rzuciło się w moją stronę. W ułamku sekundy ujrzałem już własną śmierć. Życie przemknęło mi się przed oczami, gdy sobie uświadomiłem, że zostanę rozszarpany przez kły tego potwora. Chciałem wystrzelić kolejny raz, kiedy okazało się, że skończyły mi się naboje. Wtedy zobaczyłem Leona. Rzucił się z wściekłością na dzika, zatopił zęby w jego gardle. Widziałem jego wytrzeszczone ślepia, pianę spływającą z pyska. I wtedy... głupio się przyznać, ale zemdlałem. Kiedy się obudziłem, mój kochany Leon lizał mnie po policzkach, dzik leżał obok z poszarpanym gardłem, szablami na wierzchu, rozwartymi ślepiami utkwionymi we mnie. Mój kochany Leon! Gdyby nie on...

Pies, słysząc swoje imię, podniósł się ze swojego miejsca i poczłapał w stronę gospodarza. Ten przygarnął go do siebie i poklepał po grzbiecie.

– Nie dziwię się, że jest pan do niego tak przywiązany. To przyjaciel, właściwie członek rodziny – poprawiła się szybko, znów czując rumieńce na policzkach. Spojrzenie Urszuli wprowadziło ją w stan niepewności.

Potem doszły jeszcze zaręczyny. Przy ostatniej kolacji, którą przygotowała wspólnie z panem Lucjanem, Tadeusz wręczył jej pierścionek. Był to piękny, okazały koral osadzony w złotym koszyczku, misternie splecionym, jak się okazało, ulubiony pierścień jego babci Weroniki. Przyjęła go wzruszona, nie kryjąc zaskoczenia. Nie spodziewała się takiego gestu ze strony narzeczonego. W dodatku znów ujrzała utkwione w sobie niechętnie spojrzenia obu kobiet. Zarazem gdzieś na dnie serca wyczuła niepokój. Zdradzieckie myśli przywołały obraz Felka, jego mądrych szarych oczu, w których kiedyś zatraciła się bez reszty. „Nie można bez końca żyć wspomnieniami” – uznała wtedy na swoje usprawiedliwienie, próbując ukrytą w sercu tęsknotę zagłuszyć nowo wyklutą radością. Przyglądała się wielokrotnie pierścionkowi, przesuwając go na palcu, pieszcząc muśnięciami kunsztowną robotę jubilera. Był nieco za luźny, ale postanowili, że już w Łodzi dadzą go do zmniejszenia.

Po trzech dniach z ulgą podziękowała za gościnę i opuściła progi mieszkania rodziny Ostrowskich. Nawet przychylność pana Lucjana niczego tu nie zmieniła. Cieszyła się, że nareszcie wraca do domu.

## Rozdział 10

**W** bramie natknęła się na syna Marii, Romana. Wracał właśnie z pierwszej zmiany z fabryki Marchlewskiego, w której był magazynierem. Ogromnie zmienił go ten czas. Z wychudzonego, ważącego niespełna czterdzieści kilogramów chłopaka, zamienił się w mężczyznę okazałej postury, z podwójnym podbródkiem i lekko wystającym brzuchem.

– Witam cię, Stefanio! – powitał ją jak starą dobrą znajomą, choć nigdy szczególnie za sobą nie przepadali, nie łączyła też ich jakaś bliższa relacja.

– Witaj, Romku! Nie poznałam cię, będziesz bogaty! – odparła z lekkim sarkazmem w głosie.

– Masz na myśli moją tuszę? – Zaśmiał się. Najwyraźniej miał dystans do samego siebie. – To prawda, przytyło mi się trochę. Po powrocie nie byłem w stanie myśleć o niczym innym jak o jedzeniu. A mama wciąż mi dogadza, sama wiesz, jak to jest... – zachnął się.

– Wiem, niestety, wiem... Od tego są w końcu matki. Pani Maria jest taka szczęśliwa... Nie ma jej się co dziwić. Myślę jednak, że powinienes pomyśleć o młodej pani Kawce. Tyle dziewczyn wodzi za tobą oczami. Mamie byłoby lżej, a i wnuków pewnie wygląda...

Roman wsadził ręce do kieszeni spodni i przyglądał jej się z zainteresowaniem. Miał na sobie długą jesionkę, szal przerzucony wokół szyi, czapkę konduktorkę na głowie.

– Gdyby nie kręciło się koło ciebie tylu adoratorów, to kto wie?

– Oj, Roman, Roman! – Zaśmiała się szeroko, robiąc zwrot na pięcie.

Miała przed sobą widok na podwórko, na którym krzątał się już pan Antoni. Rąbał drzewo i układał je na taczce. Drzazgi sypały się spod siekiery, kiedy rozłupywał kolejne szczapy. W głębi, pod rzędem komórek, pracowała Józwiakowa. Starym zwyczajem rozpiniała na drzwiach budynków ob-rusy, firany i serwety. Podśpiewywała sobie pod nosem, nie zwracając na nikogo uwagi.

– Miłego popołudnia! – dodała jeszcze Stefka, kierując się w stronę mieszkania.

– Wzajemnie! – odparł mężczyzna, uchylając czapki. – Szkoda... Gdybyś jednak zmieniła zdanie... – Uśmiechnął się chytrze.

– Zapamiętam to sobie! – rzuciła przez ramię.

Powitał ją ojciec. Wyszedł z warsztatu, kiedy usłyszał hałas.

– Jesteś, nareszcie! Martwiłem się o ciebie. Tyle dni! – rzucił z przyganą, patrząc, jak stawia na drewnianej podłodze tekturową walizkę.

– Cieszę się, że wróciłam. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. – mruknęła pod nosem, rozpinając płaszcz. Rozsupłała apaszkę zawiniętą wokół szyi, zdjęła skórkowe mokasyny, zamieniając je na pantofle.

– Napijemy się herbaty, zrobię sobie małą przerwę. Chyba że jesteś głodna?

– No pewnie, tatko, zaraz coś sobie przygotuję. Dużo masz pracy?

– Cała masę! – odparł wesoło. – Zelówek i fleków do nabicia. Do końca życia się chyba nie wyrobię. Wciąż ludziska znoszą jakieś buty...

– To chyba dobrze, prawda? – zawołała wesoło, odwieszając płaszcz i zdejmując z głowy beret. – Póki jest praca, mamy co jeść. Mama w domu?

– Nie, poszła do Ziębatych szyć poszewki. Zaproponowali jej robotę na pół etatu. Zgodziła się. Stwierdziła, że dodatkowych parę groszy się przyda. Weselicho się szykuje, wyprawę trzeba zrobić, wydatków nie brakuje...

– Oj, tato! Czy ja wiem? Potrzebne to wesele komu? Może wystarczy ślub i obiad dla najbliższej rodziny? – Weszła do kuchni, na płycie stał gar z ciepłą jeszcze zupą. Podniosła pokrywkę. – Kapuśniak?

– Na żeberkach. Mamie udało się ostatnio kupić – pochwalił ślubną.

– Tato, też ci nalać, bo ja jestem głodna jak wilk...

– Nalej, pogadamy. Mamy o czym – mruknął Bronisław, myjąc ręce w blaszanej misce stojącej na wodniarce. Wytarł je ścierką wiszącą nad szafką, zlał wodę do wiadra na zlewki i podszedł do stołu.

Stefania rozstawiła talerze, ukroiła kilka kromek chleba, którym ojciec zagryzał każdą zupę.

– To powiesz w końcu, jak było? – rzucił niecierpliwie.

Zaczerpnęła łyżkę zupy i spróbowała.

– Mama naprawdę wspaniale gotuje, palce lizać! – rzekła w zamyśleniu. Mimo woli wróciła pamięcią do minionych wydarzeń. Rzuciła okiem po pomieszczeniu, gdzie wszystko miało swoje miejsce i lśniło czystością.

– Nawet nie wiesz, tato, jaki skarb masz w domu! – parsknęła niespodziewanie, częstując się pajdą chrupiącego pieczywa. – Nie uwierzysz, jak ci to wszystko opowiem!

\*\*\*

Pani Stroińska-Boczek wyszła z kuchni z paterą pachnącego, dobrze wyrośniętego ciasta drożdżowego. Miała na sobie brązową sukienkę z kołnierzykiem, ściągniętą w talii materiałowym paskiem. Przybrała na wadze, zaokrągliła się na twarzy. Najwyraźniej małżeństwo z panem Wackiem jej służyło.

– Minęło już tyle lat, straciłam nadzieję, Stefcu... Gdzie ja nie byłam, kogo nie pytałam...

Westchnęła ciężko, pochyliła się nad stołem rozkładając porcelanowe talerzyki w drobne różyczki.

Dziewczyna wsypała do szklanki dwie łyżeczki cukru i mieszała ją w zamyśleniu, patrząc, jak zaparzone liście wirują na dnie naczynia.

– A ten jego przyjaciel, który pojawił się w mieście? Naprawdę niczego nie wie? – spytała głosem przepelnionym niedowierzaniem, podnosząc głowę i zerkając z ukosa na wpatrzoną w nią matkę ukochanego.

Kobieta chrząknęła, siadając przy stole. Jej ładna twarz spochmurniała.

– Ostatni raz widział go w sierpniu w czterdziestym piątym. Ukrywali się w lasach, działał w grupie ruchu oporu. Mówił, że zorganizowano na nich obławę. Ten chłopak został schwytany, aresztowany. Przetrzymano go na Rakowieckiej. Cudem przeżył ubeckie przesłuchania, wyrokiem sądu najwyższego został skazany na śmierć. Ostatecznie ulaskawiony przez Bieruta po podpisaniu prośby o prawo łaski. Podejrzewa, że Felek został stracony bez sądu i wyroku. Jak większość jego kolegów. Pochowany w masowym grobie...

Przełknęła głośno ślinę, a potem zamilkła, wpatrując się w okno, na parapecie pojawił się gołąb. Nastroszył piórka, zastukał dziobem w szybę, przewrócił oczkami, świdrując wewnątrz pomieszczenia.

– Nie wiem, co robić – jęknęła nagle Stefania, wbijając wzrok w obrus, na którym stała posrebrzana cukiernica w roślinne motywy.

– Nie rozumiem... – Gospodyni potrząsnęła głową, przenosząc spojrzenie od okna przed siebie.

– Z jednej strony nie mogę o Felku zapomnieć, nie mogę również pogodzić się z jego śmiercią, choć minęło tyle lat. A z drugiej... – Urwała, jednocześnie splonęła rumieńcem zakłopotania. – Z drugiej... chciałabym już mieć rodzinę, dzieci... Rozumie pani? Czas płynie, a ja... robię się coraz starsza. Wszyscy wokół mi dogadują, wie pani jak to jest.

– Ależ bardzo! – zgodziła się natychmiast pani Stroińska. – To zrozumiałe, że myślisz o przyszłości, zwłaszcza że nasz kraj potrzebuje nowych synów i córek. Musi się odbudować, podnieść z kolan, a jak to zrobić, nie stawiając na nowe pokolenie? Poza tym... zasługujesz na miłość, kochana moja. Nadszedł czas schować żalobę, wyjąć z serca cierń i zaleczyć ranę. Jeśli nie uczuciem, to czym? – spytała, patrząc jej ze zrozumieniem w oczy. Nikt nie będzie miał do ciebie żalu, córko. Masz prawo do szczęścia jak każdy inny. Powiem ci coś więcej... – Ponownie spojrzała jej w oczy, w których dostrzegła ogromny ból. – Felek też by tego chciał. Jestem tego pewna.

Na dźwięk tych słów w oczach dziewczyny zakołowały łzy. Chciała coś jeszcze dodać, ale nie była w stanie. To ciche przyzwolenie jej niedoszłej te-

ściowej, innymi słowy – błogosławieństwo – wzruszyło ją, a jednocześnie dodało sił. Była jej wdzięczna za to poparcie.

– A co u pani? Nowy związek, nowe życie? – wykrztusiła po chwili, zmieniając temat.

– Dobrze... – odparła rozmówczyni. – Nawet bardzo... Kochamy się, i to wystarczy. Jesteśmy jak dwa bieguny, ogień i woda, zupełne przeciwieństwa. A mimo to... te różnice nas do siebie przyciągają, uzupełniamy się w ten sposób. Może o to właśnie chodzi? – zadała sobie pytanie, uśmiechając się tajemniczo.

Stefania poderwała się od stołu, kiedy spojrzała na okrągły zegar z podstawką stojący na komodzie. Z niemałym zaskoczeniem stwierdziła, że jest już bardzo późno, a ona obiecała mamie pomoc przy praniu pościeli.

– Ale się zasiedziałam! – zawołała. – Muszę już wracać!

– Nie musisz, mam dużo czasu – zaprotestowała gospodyni, próbując ją przekonać, aby jeszcze została.

– Proszę mi wybaczyć. Obiecałam mamie, że wrócę wcześniej... Nie chce jej zawieść.

– Oczywiście... – Pani Helena pokiwała głową ze zrozumieniem. – W takim razie nie będę cię zatrzymywać. Wpadnij niebawem.

– Dziękuję za pyszne ciasto i słowa pociechy. Bardzo ich potrzebowałam, bardzo...

– To ja dziękuję za wizytę, za twoje serce i uczciwość. Żałuję, że nie zostałam moją synową – dodała, uśmiechając się życzliwie.

Potem wstała i odprowadziła dziewczynę do przedpokoju. Ta założyła płaszcz i już miała wyjść, ale zatrzymała się w drzwiach i zaczerpnęła głęboki haust powietrza.

– Czasem ogarnia mnie poczucie, że go zdradzam, że... nie powinnam tak postępować.

– Czyli jak? – Pani Helena zdumiała się. – Masz sobie coś do zarzucenia, drogie dziecko?

Rudzka podniosła twarz i zajrzała jej odważnie w oczy.



– Jest ktoś, kto chce, abym została jego żoną. Zgodziłam się, ale wciąż nie mogę opędzić się od poczucia, że robię źle.

– A więc nie kochasz go?

– Nie, to nie tak! Wydaje mi się, że go kocham. Wprawdzie nie tak mocno jak Felka, ale..

Pani Stroińska podeszła bliżej i objęła ją ciasno ramionami.

– Nie powinnaś w ten sposób myśleć. Feluś chciałby, abyś była szczęśliwa, dlatego musisz dać sobie szansę. Innym też.

Tym razem Stefania potrząsnęła głową, pocałowała kobietę w policzek i bez słowa opuściła mieszkanie, ruszając z impetem w dół drewnianych, skrzypiących schodów.

\*\*\*

Zaledwie kilka tygodni później, zaraz po powrocie z pracy, starsza pani Rudzka przekazała córce, że w południe była u nich Helena Stroińska. Podobno jakaś roztrzęsiona, prosiła, aby Stefka zajrzała do niej możliwie jak najszybciej.

– Nie powiedziała, co się stało? – drążyła dziewczyna, czując narastający w środku niepokój.

– No, nie... – Mama podniosła głowę znad stołu, przy którym ubijała masło. – Ale coś ją gryzło, to pewne – dodała powściągliwie.

– W takim razie zjem później! – oświadczyła stanowczo Stefka i niewiele myśląc, chwyciła zawieszoną na krześle torebkę. – To na pewno dotyczy Felka! – dodała, rzucając przez ramię wymowne spojrzenie, a po chwili wybiegła z kuchni.

Matka odprowadziła ją wzrokiem do drzwi i z niepokojem pokiwała głową. „Kiedy ta miłość wywietrzeje jej z głowy?” – przemknęło jej przez myśl. Jak wszyscy, i ona miała nadzieję, że pojawienie się w życiu córki przystojnego Tadeusza przyćmi wszystkie wspomnienia związane z Felkiem. Nigdy nie sądziła, nawet kiedy przychodził do ich domu czy wystawał pod bramą, że tych dwoje połączy coś tak silnego.

Tymczasem Stefka biegła przed siebie, nie zważając na padający rzęście deszcz i ogromne kałuże na drogach, w które raz po raz wpadała, mocząc sobie buty i pończochy. Z tego wszystkiego nie wzięła parasola, jednak nie to było teraz najistotniejsze. W głębi duszy czuła, że stało się coś strasznego.

Pani Helena już na nią czekała. W czarnej, prostej sukience, z włosami związanymi w kok, z pochyloną głową wciśniętą bezradnie w ramiona. Dopiero teraz Stefka zauważyła połyskujące w nich siwe pasma i zwisające na kościach żuchwowych policzki. Wcześniej nie dostrzegła tych zmian. Stroińska siedziała pochylona nad stołem w pustym mieszkaniu, spowitym jakimś niepokojącym półmrokiem. Na środku blatu paliła się świeczka. Na widok dziewczyny podniosła głowę, wskazała na krzesło i przeniosła wzrok na szare, zniszczone pudełko. Obok leżał jutowy, poszarpany sznurek, którym najwyraźniej paczka była zawiązana.

– Przyniósł to listonosz, dziś rano – odezwała się łamiącym głosem. – Nie chciał nic mówić, uciekł po tym, jak zaczęłam go wypytywać. – Paczka została nadana w Kotłasie.

– Ach! – Stefka odruchowo zakryła dłonią usta. – Gdzie to jest?

– Syberia – odparła matka Felka ponurym głosem.

Dziewczyna z niezrozumienia potrząsnęła głową.

– Ale jak to? – bąknęła, nie mogąc znaleźć w tym momencie odpowiednich słów. – Dlaczego aż stamtąd?

Nagle ciszę rozdarł szloch, pani Stroińska rozplakała się, ukryła twarz w dłoniach i jakiś czas jej ciałem wstrząsał spazm rozpacz. – To wszystko, co zostało po moim najdroższym, jedynym synku! Boże, dlaczego nas to spotkało? Ile musiał wycierpieć, znieść, zanim... – Urwała przyglądając się z przerażeniem tej niepozornej na pierwszy rzut oka przesyłce.

– Mogę? – Stefka wyciągnęła rękę w stronę skromnej zawartości ukrytej we wnętrzu pakunku. Przysunęła go bliżej i otworzyła. Oczom jej ukazał się żaloszny widok. Dziurawy, wełniany strzęp swetra należący do ukochanego, skórzany pasek z metalową sprzączką, podarta, poplamiona książeczka do nabożeństwa... i jej zdjęcie, które mu niegdyś podarowała. Pa-

miętała, gdzie je wykonano, u starego Mincla, który również nie przeżył wojny. Miała na sobie szarą sukienkę z białym kołnierzykiem, czarne włosy zaczesana na bok, wydatne usta pośliniła tuż przed jego wykonaniem. Oczy jej błyszczały, śniade policzki rumieniły się, co widać było nawet na czarno-białej fotografii. Teraz jej twarz była wytarta, zupełnie jakby ją ktoś nieustannie pocierał opuszką palca. Na odwrocie widniał napis: *Kochanemu na zawsze Felkowi – Stefcia.*

Chwyciła podarty sweter i przycisnęła do nosa. Pachniał potem, krwią i syberyjskim wiatrem. Gorycz zdusiła jej gardło, piersią targnęła rozpacz. Dociskając do ust ostatnią pamiątkę po ukochanym, zdała sobie sprawę z tego, że właśnie w tym momencie umarła w niej ostatnia nadzieja.

# CZEŚĆ DRUGA



## Rozdział 11

Leżała w błocie, zanurzona w nim po samą szyję, a szpetna Berta spoglądała na nią z góry. Trzymała w ręku gruby kij, którym wymachiwała tuż nad jej głową. Jej wstrętna, ropusza twarz wykrzywiła się w szyderczym grymasie, gdy Stefania ostatkiem sił zrobiła unik, aby uchronić się od ciosu. Z boku, śmiejąc się pogardliwie, przyglądała się tej scenie Anita. Była podparta o szpadel, zupełnie jakby chciała zadać nim ostatni, śmiertelny cios. W tle ujadały psy, wydawało jej się, że są coraz bliżej, że zaraz dopadną do niej, rozszarpią gardło i wypatroszą jak kaczkę. Szpetna Berta otworzyła usta, jej oczom ukazały się czarne kikuty zębów i pokrwawione dziąsła. Nagle jej twarz zaczęła się kurczyć, po chwili była pomarszczona jak rodzynek, czarna i przerażająca. Jakaś więźniarka pochyliła się, aby ją chwycić za rękę, tymczasem Anita powstrzymała ją kopniakiem buciora. Życzliwa, pomocna dłoń pofrunęła w nieznane, nie było dane jej dotknąć i poczuć. Przecież to Kazia! Dziewczyna wzdrygnęła się, z jej ust wyrwał się krzyk przerażenia, a otwarte szeroko oczy napotkały ciemność. Gdzie jest?

Powoli zaczęła odzyskiwać świadomość, co sprawiało coraz większą ulgę. Nie była tam, w obozie, była tu, w mieszkaniu na Piotrkowskiej. Mężczyzna śpiący obok chwycił ją za ramię i przytrzymał.

– Znów ten sen? – spytał z troską w głosie. – No już, kochana, już. Jestem tutaj, jestem przy tobie... – dotarł do jej uszu głos pobrzmiwający czułością i troską.

– Przytul mnie mocno, Tadku – poprosiła, kiedy uświadomiła sobie, że obok leży jej mąż, a straszna blokowa to tylko natrętne, wracające jak bu-merang wspomnienie. – Tak się boję...

– Nie bój się, nie trzeba. Wojna się już skończyła, jesteśmy wolni.

Pozwoliła się szczerzej objąć i wcisnąć w ramiona. Znajomy dotyk mężczyzny, jego głos, zapach powoli zaczęły ją uspokajać.

– Kocham cię, Stefcu – szepnął do jej ucha. – Moja najdroższa...

Położył rękę na jej zaokrąglonym brzuchu i nasłuchiwał, aż zacznie spokojnie oddychać.

– Już dobrze, już dobrze, śpij, kochana...

Znów wtuliła skroń w poduszkę i spróbowała zasnąć. Przed oczami miała obrazy z minionych lat. Niczym filmowe kadry przemieszczały się i mieszały ze sobą. Korowód myśli, kalejdoskop wydarzeń. Felek, rodzice, brat, obóz, ucieczka, Kazia, pan Will... Usiłowała zasnąć, co nie było proste. Twarze, dziesiątki twarzy tłoczyły się we wspomnieniach, tworząc w głowie labirynt pokrzyżowanych, nieprzebytych ścieżek. Pomyślała o tym, że dawno nie modliła się za dusze zmarłych, którzy byli jej kiedyś tacy bliscy. Powinna to zrobić jak najszybciej. Może to ją uspokoi, pozwoli wrócić do równowagi, której jej ostatnio brakowało.

Tyle się wszak wydarzyło! Ślub, wesele, początki bycia razem, dzieci... Uczyli się nawzajem swojej obecności, choć czasem bywało trudno. Tadek okazał się strasznym bałaganiarzem. Na początku jej to nie przeszkadzało, z czasem coraz trudniej znosiła jego dość frywolny stosunek do ładu i porządku. Pierwsze miesiące jeszcze pod dachem rodziców, którzy odstąpili im swój pokój, a sami ulokowali się w kuchni. I... pierwsze zbliżenie, które zamiast oczekiwanego podniecenia, podniosłych chwil – przyniosło rozczarowanie. Nie tak to sobie wyobrażała. Nie sądziła, że będzie bolało, że zacznie krwawić, a wreszcie... że dłonie męża będą jakieś szorstkie i nieporadne. Zbyt chaotyczne, zbyt porywcze. Wciąż myślała o skrzypiącym łóżku, bracie za ścianą, który pewnie słyszał te pojękiwania, i było jej strasznie wstyd. Zaspokojenie Tadka przyniosło jej jedynie ulgę. Będzie miała spokój do kolejnego wieczora, ale może wtedy coś wymyśli, aby uniknąć zbliżenia. Ale jak wytłumaczyć świeżo poślubionemu małżonkowi, że jej ochota na seks zakończyła się po pierwszych dniach współżycia?

A potem był następny raz i następny. Dopiero po dwóch tygodniach, kiedy postanowiła zmienić pozycję, poczuła coś w rodzaju słodkiego liźnięcia w dole brzucha. To ją pchnęło do większej aktywności, dlatego z każdym ciepłym, niepokojącym ukłuciem przejmowała kontrolę nad własnym ciałem. Efekt przeszedł jej najśmielsze oczekiwania, nie dość, że przez moment poczuła się wyuzdaną grzesznicą, to jeszcze przeszył ją na wskroś dreszcz rozkoszy, a z jej gardła wyrwał się stłumiony krzyk.

Opadła na łóżko obok Tadka, wtuliła się w jego tors i zaczęła się śmiać.

– Czemu ci tak wesoło? – spytał, nie kryjąc zdumienia.

Opanowawszy pierwszy atak śmiechu, szepnęła mu do ucha.

– Było cudownie, kochany... Jutro musimy to powtórzyć!

Oparł się wtedy na łokciu, odgarnął jej włosy i spytał:

– Ale dlaczego nie możemy powtórzyć tego jeszcze dziś?

Już trzy miesiące później zorientowała się, że jest w ciąży. Najpierw wzięła ją ochota na słone śledzie, później na ogórki kiszzone. Z rana zaczynały się nudności, wymioty, zrobiła się senna i jakaś słaba. W pracy z trudem wytrzymywała osiem godzin na nogach, jak tylko nie było gości, najczęściej przed południem, i mogła przez chwilę usiąść – od razu zasypiała. Kierowniczką przyłapała ją kilka razy na drzemce i zaczęła się domyślać przyczyny.

– Powinnaś iść do lekarza – stwierdziła chłodno. – Nie możesz spać w kawiarni, jeszcze nas ktoś kiedyś okradnie. Poza tym... co sobie o nas ludzie pomyślą?

– Ale po co? – wybąkała. – To już się więcej nie powtórzy, pani Tereso. Obiecuję.

– Nie sądzę – odparła kobieta kwaśno. – Wygląda na to, że spodziewasz się dziecka. Nie wiem, czy dasz radę pracować dalej. Już żałuję, że zwolniłam tę pyskącą Kryśkę.

– Ja dziecka? – powtórzyła zdumiona. – To niemożliwe!

Rozmówczyni wzięła się na te słowa pod boki i rzuciła kpiąco:

– A śpisz z mężem w jednym łóżku? A robicie to od czasu do czasu?

– Czyli co? – wymamrotała.

– Jak to co? Wyszłaś za mąż i udajesz cnotkę. Stefka, co z tobą? Nie wyglądasz mi na taką niedouczoną!

– Dobrze, pani Tereso, przebadam się... – odparła zmieszana, z trudem wyobraziwszy sobie siebie jako matkę. Z drugiej strony, miała już dwadzieścia dziewięć lat. Najwyższy czas – jak to mawiała jej rodzicielka.

Wizyta u doktora tylko potwierdziła przypuszczenia.

Od tamtej pory minęły następne cztery lata. Wiele się w tym czasie wydarzyło. To właśnie Józia wpadła na pomysł, aby Ostrowscy zameldowali się w ich mieszkaniu. Biorąc pod uwagę kolejny wyjazd rodziny Wróblewskich do Warszawy, tym razem raczej na stałe, szkoda by było, aby tak atrakcyjnie położone, przestronne lokum zajął ktoś inny, zwłaszcza że Stefka spodziewała się dziecka.

Tak też uczynili, propozycja Józii i Kazimierza spadła im wręcz z nieba. Tadek, zanim się ożenił, podnajmował pokój u pewnej rodziny adwokatów i czekał cierpliwie na swój lokatorski przydział. Życie dodatkowej dwójki, a w niedalekiej przyszłości – trójki w mieszkaniu rodziców Stefki, na dwóch pokojach i kuchni, wydawało się rozwiązaniem ostatecznym, choć mało komfortowym. Był przecież Stachu, który już jako dorosły mężczyzna potrzebował odrobiny prywatności. Miał już za sobą cztery lata studiów, został mu ostatni rok i egzamin. Po nieszczęśliwym zakochaniu długo nie mógł sobie znaleźć odpowiedniej dziewczyny. Wreszcie przyprowadził do domu poukładaną, ładną, krągłutką Honoratkę, do której rodzice od razu zapalali sympatią. Panna pracowała w piekarni, sprzedawała rumiane, pachnące bochny chleba, które często przynosiła do domu Rudzkich. U rodziców niewiele się zmieniło, poza tym, że przybyło im lat, zmarszczek, siwych włosów, a ubyło zdrowia. Coraz częściej matka narzekała na kręgosłup, kolana, a także dolegliwości kobiece. Nie zaniechała jednak pracy, która, cokolwiek by powiedzieć, dawała jej wiele powodów do aktywności towarzyskiej. Ojciec dalej kleił zelówki, nabijał fleki, reperował skórzaną galanterię. Jego system pracy nie uległ zmianie, wciąż przychodzili stali klienci, znosili obuwie, wieści ze świata, gawędzili, czas mijał.



Wesele Tadka i Stefci odbyło się w mieszkaniu Rudzkich. Zjechało się sporo gości, wśród nich rodzice i siostra pana młodego, Józia z mężem, pani Helena z Wacławem, sąsiedzi, znajomi.

Podobno panna młoda wyglądała zjawiskowo w koronkowej, rozkloszowanej sukni, upiętych fantazyjnie włosach i tiulowym welonie do pasa, ozdobionym z tyłu głowy stroikiem z sztucznych konwalii. Na nogach miała białe buciki ze szpicem na niewysokim, wygodnym obcasie, wykonane specjalnie dla niej przez ojca. Wiązanka z białych róż dopełniała całości stroju, a trzymając ją, dziewczyna czuła, że drżą jej ręce. Widok pana młodego wchodzącego do bramy prosto z bryczki zaprzężonej w dwa siwe konie oszołomił niektóre panie. Dziewczyny z sąsiedztwa wzdychały na jego widok, posyłały zalotne spojrzenia, uśmiechały się spod przymrużonych powiek, ale na próżno. Ten upatrzył sobie tylko jedną kobietę, którą po błogosławieństwie wyprowadził od rodziców i zawiózł do pobliskiego kościoła, aby przed Bogiem złożyć przysięgę małżeńską. Moment ten okazał się dla obojga niezwykle wzniosły i wyjątkowy. Obiecali sobie miłość do grobowej deski, wierność i posłuszeństwo. Panna młoda przyjęła też nazwisko męża. Od tej pory nazywała się Stefania Ostrowska.

Matka Tadeusza, ubrana w piękną, elegancką suknię w kolorze starego złota, wydawała się nieco rozluźniona, a nawet można by się pokusić o stwierdzenie – odmieniona. Jeszcze przed ceremonią zaślubin dała się namówić przez Bronisława na kieliszek bimberku, dlatego lekko zarumieniona, uśmiechnięta patrzyła na syna i synową z większą życzliwością i zrozumieniem. Uwieszona na ramieniu przystojnego męża, kiwała się lekko na boki, dyskretnie rozglądała dookoła, chłonąc jak nastolatka pełne podziwu spojrzenia. Już dawno nie czuła się tak młodo, atrakcyjnie i kobieco. Nieustanne komplementy gości dodały jej pewności siebie. Nie pamiętała, kiedy usłyszała tyle pięknych słów na temat swojej urody. W Kaliszu usychała, brakowało jej aprobaty, uwagi skierowanej w jej stronę, do której przez wiele lat przywykła. Tutaj odżyła, mężczyźni nie odrywali od niej zachwyconego wzroku, próbowali czerpać radość z jej towarzystwa, a kobiety z zazdrością patrzyły na jej strój. Niektóre komentowały

z podziwem. Wreszcie poczuła się doceniona, nieważne, że w Łodzi, wśród prostych ludzi nieznanymi manier, wielkopańskiego stylu życia, nieważne...

Choć... ten Kazimierz Wróblewski, no, no... Artysta i dżentelmen w pełnej krasie. Już dawno kogoś takiego nie spotkała. Warto by było się nim zainteresować. Podobno w stolicy otrzymał intratną posadę. Wielki świat, może wreszcie zaświeci dla niej słońce... może wróci na salony, znów zacznie brylować, cieszyć się życiem jak niegdyś. Gdyby tylko Lucjan nie był taki poważny i zachowawczy... Gdyby chciał namówić się na odrobinę szaleństwa, a nawet zapomnienia. Koniecznie musi bliżej poznać tę Józję, której podobno zaproponowano posadę śpiewaczki w cieszącym się sławą lokalu, a także przekonać się do jej przyjaciółki – Stefci, czyli nie lubianej dotąd synowej.

Z takimi postanowieniami trwała w swojej pozie, patrząc z dumą na syna składającego przysięgę małżeńską. „Może to i dobrze – nasunęło jej się w pewnym momencie na myśl – że żeni się z prostą dziewczyną z ludu. W dzisiejszym świecie to jedyna słuszna droga”.

Tylko Urszula przyjechała jakaś naburmuszona, nie kryjąc swojej frustracji, niechęci do bratowej i jej rodziny. Kręciła nosem, okazując niezadowolone. Nawet Staszek, który próbował ją jakoś rozbawić, poddał się, nie widząc w tych zabiegach żadnej nadziei. Przez całe przyjęcie siedziała nadąsana za stołem, odmawiała tańców, nie brała udziału w pogawędkach, za to z pewnością nie wylewała za kołnierz. Czasem rzuciła jakieś słowo, zaśmiała się przez moment, wzniosła sztuczny toast za nowożeńców i na tym poprzestawała. Ostatecznie tuż po oczepinach podniosła się z trudem ze swojego miejsca, chwiejąc się na nogach, przeniosła się do pokoju obok, gdzie we wnęce obok spiżarni przygotowano dla niej spanie.

Po przyjęciu weselnym wszyscy udali się na odpoczynek. Rodzice Stefy poprosili sąsiadów o dodatkowe miejsca noclegowe, dzięki czemu teściowie mogli spędzić resztę nocy w godziwych warunkach. Pokoju użyczyła im Gilowa, sami mieli dwa, więc jeden wysprzątała, wymienili pościel, wy-

wietrzyli. Dla nich zaszczytem było gościć w swych skromnych progach takie wielkie państwo jak Ostrowscy.

Następnego dnia urządzono poprawiny, znów bawiła się cała kamienica. Pogoda dopisała, było ciepło, słońce strzelało z góry radosnymi refleksami. Stoły i krzesła tym razem wyniesiono na podwórko, ustawiono jadło, napoje, trzech lokalni grajkowie zajęli miejsce przy oddzielnym stole. Tańce i śpiewy trwały do rana. Grano oberki, walczyki, a także najnowsze szlagiery. Towarzystwo piło, śmiało się, dyskutowało głośno, tylko Stefkę ogarniało już ogromne znużenie. Marzyło jej się wygodne łóżko i odpoczynek. Przygotowania do przyjęcia pochłonęły ogrom czasu i pracy, ona też angażowała się w sprzątanie, strojenie domu czy gotowanie ogromnej ilości jedzenia. Teraz dziwnie się czuła ze świadomością, że nie jest już Stefką Rudzką, a Stefanią Ostrowską, żoną najprzystojniejszego kawalera w mieście. Starala się zwłaszcza tej nocy odrzucić wszystkie myśli o Felku, ale wciąż było to trudne, zwłaszcza gdy dziewczyna patrzyła na jego roztańczoną matkę w objęciach niższego od niej małżonka, która tak bardzo jej go przypominała.

\*\*\*

Zajmowanie przez nowożeńców pokoju w mieszkaniu Rudzkich miało swoje wady i zalety. Z jednej strony Stefka mogła spokojnie kontynuować pracę, mama pomagała jej w prowadzeniu domu, młodzi też mieli okazję odłożyć jakiś grosz na przyszłe wydatki. Trochę już mieli, biorąc pod uwagę czepkowe, które otrzymali od weselnych gości. Prócz kopert znaleźli się w posiadaniu elektrycznego prodiża, dwóch zmian pościeli, a także zestawu srebrnych sztućców i porcelanowego serwisu do kawy rodem z Chodzieży. A także obrazu ze Świętą Rodziną i kryształowego wazonu.

Z drugiej strony, doskwierała im ciasnota i brak intymności. Mieszkanie nie miało łazienki, mycie się w kuchni odpadało, więc została im miednica i raz w tygodniu kąpiel w cynkowej wannie. Poza tym młoda pani Ostrowska miała wyrzuty sumienia z powodu rodziców, którzy spali na łóżku przy piecu pod oknem, za to brat Staszek wrócił do swoich dawnych zamiłowań,

co chwila przyprawdzał do domu nowe panienki, a te systematycznie obmacywał. Szukał kształtów odpowiednich dla jego zgrabnych dłoni, dlatego też wciąż zmieniały mu się gusta, od szczupłej do puszystej, od niskiej do wysokiej, od rudej po brunetkę.

Dopiero kiedy pojawiła się na jego drodze Honoratka, złapał przynętę. Od tej pory w ich domu zapanował względny spokój, dziewczyna okazała się miłą i ciepłą osobką, zaangażowaną w sprawy rodzinne, chętną do pomocy. Udzielała się przy większych pracach domowych, takich jak pranie, prasowanie czy nawet mycie okien. „Będzie z niej dobra żona. Pilnuj jej, Staszek, nie wypuszczaj z garści” – pouczała matka. Chłopak przytakiwał wesoło, ale na pytanie o zaręczyny nabierał wody w usta.

Póki Stefka pracowała w kawiarni, dni jej mijały jeden za drugim. Od czasu do czasu spotykała się z Józią, która zdawała jej bieżące relacje. Właśnie szykowali sobie nowe lokum w stolicy, duże, bo sześćdziesięciometrowe, z widokiem na Wisłę. „Wspaniałe miejsce!” – piszcziała z zachwytem na każde zapytanie o przeprowadzkę.

– Nie żal wam? – dopytywała przyjaciółka, nie wierząc jeszcze w to, co się dzieje.

– Nie! – odpowiadała stanowczo młoda kobieta. – Nie mam czego żałować. To miejsce źle mi się kojarzy, poza tym... w Warszawie życie wygląda zupełnie inaczej. Tam tyle się dzieje!

– Rozumiem – przyznawała Stefka z żalem. – A jednak trochę mi smutno... Wiem, że tam jest inny świat, jednak Łódź bez ciebie, Rozalki i Kazimierza nie będzie już taka sama.

– Kochana jesteś, ale się nie martw! Będziemy się regularnie odwiedzać! – pocieszała przyjaciółka. – Na razie musicie się przeprowadzić, jakoś urządzić, a potem czekać na przyście na świat tego maleństwa. – Józia z czułością pogłaskała Stefkę po brzuchu, potem oprowadziła ją po mieszkaniu, wskazując na istotne szczegóły dotyczące użytkowania. – Chcieli nam tu wprowadzić kilka osób w ramach rozporządzenia o zagęszczaniu powierzchni. Na szczęście Kazimierz znalazł na to sposób – oznajmiła z dumą, spoglądając na dojrzałego, przystojnego mężczyznę stojącego przy

oknie w towarzystwie Tadeusza. Obaj palili papierosy i rozprawiali głośno, gestykulując przy tym obficie. – Będzie wam się dobrze mieszkało, zapewniam. Tylko uważaj na tę spod siódemki!

– Dlaczego? – zdziwiła się Stefa.

– Ona jest jakaś... dziwna – dokończyła, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia. – Mówią, że w czasie wojny kolaborowała z Niemcami. Nasi z podziemia zrobili jej nową fryzurę – zachichotała.

– Ach tak... – Ostrowska pokiwała głową, przewracając oczami. – Ale może zrozumiała swój błąd? Nie można przecież kogoś przekreślić na zawsze.

– Jak ją zobaczysz, to sama zrozumiesz... Takim nie można ufać. Wraca do domu nad ranem, włóczy się po nocach, prowadzi z różnymi typami i...

– Iiii?

– Nadużywa alkoholu – dodała konspiracyjnie.

Stefka nie skomentowała tych informacji, przeszły do obszernej kuchni, gdzie znajdowała się również spiżarnia.

– Tutaj masz miejsce na słoiki, przetwory, narzędzia... Przyznam szczerze, że ktoś to sobie idealnie przemyślał. Taki schowek to skarb.

Następnie przeszły do kolejnego pokoju, w którym sufity udekorowane były gipsowymi rozetami i gzymsami. Dwuskrzydłowe, drewniane drzwi ozdobił rzeźbiony cokół.

– Uwielbiam ten pokój! – zawołała entuzjastycznie Stefka, robiąc na środku skrzypiącego parkietu pełny obrót.

– Ja też! – przyznała przyjaciółka. – I jeszcze to. – Wsunęła się do przeszklonego wykuszu, skąd roztaczał się widok na ulicę Piotrkowską. – Wspaniały widok, nie sadzisz?

– Zachwycający! – zaszczębiotała przyszła matka, spoglądając na tętniący życiem deptak. Oświetlony latarniami, spowity jesienną mgłą, przypominał parkową aleję w czasie długich spacerów. – Jak pomyślę, że niedługo tu zamieszkamy! – pisnęła, nie kryjąc euforii, i niewiele myśląc, rzuciła się na szyję przyjaciółce. – Nie wiem, jak ci dziękować! Ostatnio mia-

łam już dość życia na kupie! Nie to, że narzekam, ale sama wiesz jak to jest... A tutaj... centralne ogrzewanie, woda w kranie, łazienka, dwa duże pokoje i kuchnia. W dodatku ten wykusz, balkon i widok z okna! Tyle szczęścia na raz! Nie wiem, czy mi się to śni, czy to się dzieje naprawdę!

Rozbawiona Józia uszczypnęła ją w ramię. Następnie spojrzała jej w oczy, uśmiechając się łobuzersko.

– Wystarczy, że obiecasz mi, że będziesz tutaj obrzydliwie szczęśliwa.

Stefcia mrugnęła porozumiewawczo, podniosła w górę palec, przyrzekając uroczyście:

– Obiecuję.

\*\*\*

Na pożegnalny spacer wybrały się dwa dni później. Józia potrzebowała kolejny raz zmierzyć się z przeszłością. Zaczęły od żydowskiego cmentarza na Dołach, gdzie znajdował się skromny grób jej mamy. Wśród szumiących cicho żałobnie drzew pełno było pokrytych symbolicznymi reliefami i inskrypcjami macew, często porośniętych mchem czy oplecionych bluszczem.

– Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym jej tu nie przeniosła... – odezwała się po chwili głębokiej zadumy. – Godny pochówek to coś, co należy się każdemu człowiekowi – dodała, kładąc na wierzchu płyty zwykły szary kamień.

– Zawsze zastanawiałam się nad tym, dlaczego układacie kamienie na płycie... – szepnęła Stefka, przyglądając się uważnie przyjaciółce.

Józia wyprostowała plecy, uśmiechnęła się ledwie kącikami ust.

– Naród żydowski wywodzi się z pustynnych terenów, zmarłych grzebano najczęściej w piachu. Z obawy przed tym, że wiejący wiatr odsłoni szczątki, nakazano każdemu odwiedzającemu grób położenie kamienia, który jest jednocześnie wyrazem szacunku dla zmarłego.

– Ach, tak! Teraz rozumiem...

Drobna mżawka zaczęła oblepiać ich palta, dlatego zmuszone zostały do rozłożenia parasola. Stały jeszcze chwilę w miejscu pochówku, potem,

przecinając zarośnięte wysokimi trawami ścieżki, skierowały kroki w stronę głównej alei. Dawnym zwyczajem zajrzały do kaplicy Izraela Poznańskiego, gdzie pochowana została również jego małżonka, chcąc podziwiać wspaniałą mozaikę na sklepieniu mauzoleum.

– Chodźmy już! – zdecydowała Ostrowska, szarpiąc koleżankę za rękaw. Ta, uczepiona kraty, wpatrywała się z zaciekawieniem we wnętrze budowli.

– Najbogatszy łódzki fabrykant! Podobno sam zaprojektował sobie grób, dasz wiarę?

– A kto bogatemu zabroni? – skwitowała ironicznie Stefka. – Na szczęście nam to nie grozi, nieprawdaż?

Józia westchnęła i dołączyła do koleżanki, wsuwając się delikatnie pod rozłożony parasol.

Autobusem przedostały się na krańcówkę przy Północnej, gdzie w sąsiedztwie zlokalizowany był park Śledzia. Znow weszły na dawny teren getta. Brama kamienicy przy kościele była zamknięta, co mogło oznaczać, że budynek został już w pełni zasiedlony. Za to cały parter kamienic na odcinku od Nowomiejskiej do Rynku Bałuckiego zajęty był przez małe sklepiki i punkty usługowe. Roilo się tutaj od pracowni krawieckich, zakładów fryzjerskich, sklepów ze skórzaną galanterią, piekarni i drobnej spożywki.

Józia rozglądała się na boki, co jakiś czas podnosząc ramię i wskazując poszczególne budynki.

– Tutaj mieszkał Josza, pamiętasz? Ten z ostatniej ławki?

– Pamiętam. – Stefka spojrzała chmurnie na szary, dwupiętrowy budynek.

– Wiesz co się z nim stało? Został zastrzelony podczas Wielkiej Szpery. Usiłował wyrwać gestapowcowi swojego młodszego brata. Zginęli obaj...

– Wiem, słyszałam o tej tragedii... to musiało być straszne...

Józia nic nie powiedziała, tylko skrzyła w bok, wkrótce znalazły się na terenie dawnego placu Strażackiego, niedaleko zbiegu ulic Zachodniej

i Lutomierskiej. Zatrzymała się na pustym terenie, porośłym gdzieniegdzie chwastami, i wskazała punkt u podnóża chropowatej kamienicy.

– To tutaj – chrząknęła wymownie – przewodniczący starszizny, Chaim Rumkowski, wygłosił swoje słynne przemówienie. Niektórzy do dziś nie mogą mu wybaczyć zdrady wobec narodu żydowskiego. Wydał na śmierć tysiące dzieci i starców. – Urwała, przelykając ślinę, a potem wyrecytowała jednym tchem: *Ponury podmuch uderzył getto, żądają od nas, abyśmy zrezygnowali z tego, co mamy najlepszego – naszych dzieci i starszych. Nie mogłem mieć własnych dzieci, więc oddałem swoje najlepsze lata dzieciom. Żyłem i oddychałem z dziećmi, nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę musiał uczynić tę ofiarę na ołtarzu własnymi dłońmi. Muszę rozłożyć ręce i błagać: Bracia i siostry, oddajcie mi je! Ojcowie i matki, dajcie mi swoje dzieci! Wczoraj po południu dali mi rozkaz wysłania więcej niż dwudziestu tysięcy Żydów poza getto. Muszę przygotować tę trudną i krwawą operację, muszę odciąć gałęzie, aby ocalić pień. Muszę zabrać dzieci, ponieważ jeśli tego nie zrobię, inni mogą być także zabrani...* Ludzie nigdy nie zapomną tych okrutnych słów – oświadczyła gorzko.

Stefcia jęknęła tylko, nie kryjąc oburzenia.

– Nie wyobrażam sobie, aby oddać własne dziecko, męża, ojca czy matkę... Wysłać ich na pewną śmierć...

– Ja też nie... aż do tamtej chwili... Nikt nie chciał zrobić tego dobrowolnie, więc odrywano dzieci od matek siłą, rozdzielano długoletnie małżeństwa, zabierano schorowanych staruszków... A kiedy ktoś próbował uciec, natychmiast strzelano. Krzyk przerażenia niósł się echem ponad ulicami miasta, nie ustawały szlochy, błagania o litość, jęki, nawoływania, a także żarliwe słowa modlitwy. W tym całym upiornym krajobrazie rozgrywały się dramaty tysięcy ludzi, którym jakiś owładnięty szaleństwem człowiek zgotował taki los. A po wszystkim... – zawiesiła głos – nad gettem zawisła śmiertelna cisza.

Przestało padać, Stefania zwinęła parasol i postąpiła parę kroków do przodu. Wyciągnęła rękę w stronę przyjaciółki, której piękna twarz zastygła w jakimś beznamiętnym grymasie. Chwyliła ją i uściśniła mocno. Józia otrząsnęła się z zamyślenia.



– Wracajmy do domu – oznajmiła cicho.

\*\*\*

Dwa tygodnie później państwo Wróblewscy zapakowali w wypożyczone auto ostatnie rzeczy, pożegnali się czule i odjechali. Dla Ostrowskich nastał wtedy nowy czas.

## Rozdział 12

**L**eż, kochanie, nie wstawaj! Sam sobie zrobię kanapki do pracy – szepnął mąż, nachylając się, by pozostawić na jej policzku pożegnalnego całusa. – Antoś jeszcze smacznie śpi.

– Tylko pamiętaj o przyjęciu u moich rodziców! – Stefka podniosła głowę, patrząc, jak w półmroku spowijającym pokój Tadeusz stąpa delikatnie po dywanie i próbuje cicho zamknąć drzwi.

– Pamiętam, kochanie! – rzucił przez ramię. – Uważaj na siebie, najlepiej nie wychodź z domu!

– Po południu pójde do nich z Antkiem. Tam na ciebie zaczekamy, dobrze?

– Dobrze, skarbie!

Przez kilka minut słyszała, jak krząta się w kuchni, nastawia czajnik z wodą, otwiera chlebak, szafki i zalewa kawę wrzątkiem. Potem stuknęły wyjściowe drzwi i zapadła cisza. Przyłożyła głowę do poduszki, sen jednak nie przychodził. Mogła być dopiero szósta, miasto spowijał gęsty mrok, rozświetlany przez gdzieś palące się latarnie. Wstała, narzuciła na siebie szlafrok. Podeszła do szafy, otworzyła drzwi, które od wewnętrznej strony miały zamontowane lustro, spojrzała na siebie. Jak na piąty miesiąc, brzuch miała dość spory, twarz jej się zaokrągliła, a nogi nieładnie opuchły. Wzruszyła ramionami, krzywiąc się złośliwie do swojego odbicia. Zajrzała do dziecięcego pokoju, który w ostatnim czasie wydzielili dodatkową ścianką, następnie poszła do łazienki. Pęcherz domagał się opróżnienia. Warunki obozowe, a później przemarznięcie w stawie doprowadziły do ostrego zapalenia, którego efektem było niemal nieustanne pieczenie tej

części ciała i częste siusianie. Jak tylko trochę zaleczyła problem, wracał po kilku tygodniach jak bumerang. Nauczyła się z nim żyć, zwłaszcza teraz, kiedy jej sytuacja bytowa uległa zmianie na lepsze. Łazienka okazała się rajem. Wanna, toaleta, umywalka i bieżąca woda w kranie. Czegóż chcieć więcej?

W kuchni dostrzegła ślady niedawnej obecności męża. Pokruszony chleb na blacie, brudna szklanka, popiół z wypalonego na szybko papierosa na parapecie okna, zarzucona na oparcie krzesła męska koszula, skarpetki rozrzucone na podłodze. Westchnęła głośno na ten widok. Tadeusz był okropnym bałaganiarzem. Starła się zrozumieć, że kiedyś miał służbę, przywykł do innego życia, ale sytuacja uległa zmianie, czas wydorosnąć. Nie był w końcu małym chłopcem, któremu trzeba odstawić i dostawić. Wiele razy sprzeczali się na ten temat, choć za każdym razem ponosiła klęskę. To ona zbierała po nim ubrania, bieliznę, skarpety, cierpliwie zanosila wszystko na swoje miejsce, składała w łazience ręczniki, które pozostawiał zmoczone na podłodze, zmywała naczynia, prała, gotowała, sprzątała. Czasem posługiwała się młotkiem i śrubokrętem, bo jej mąż nie miał pojęcia, do czego służą te narzędzia. W sytuacjach kryzysowych prosiła o pomoc ojca, który przychodził, naprawił coś, zawiesił, udroźnił rury. Do tego wszystkiego zajmowała się dzieckiem. Na szczęście Antek nie sprawiał problemów wychowawczych, od początku słuchał, co się do niego mówi, wykonywał polecenia, nie wrzeszczał i nie tupał nóżkami jak inne dzieciaki, kiedy chciał coś wyegzekwować. Synek kończył niedługo trzy latka i musiała przyznać, że odkąd się pojawił na świecie, zawładnął jej sercem bez reszty. Często zastanawiała się nad tym, jak to będzie, gdy niedługo urodzi się kolejne dziecko. Czy posiadzie umiejętność dzielenia tej miłości pomiędzy tych dwoje, co robi, jeśli się okaże, że więcej słabości będzie miała dla Antosia? Potem odrzucała te głupie myśli. Mama jej powtarzała, żeby się nie obawiała, że kocha się obydwójce tak samo mocno. Zresztą – będzie miała okazję wkrótce przekonać się o tym sama.

Właśnie zamierzała przygotować śniadanie, gdy zaterkotał dzwonek. Nie było jeszcze siódmej, kamienica nadal spała. Po chwili do skrzeku tego

sprytnego urządzenia dołączyło dość natarczywe pukanie. Ciaśniej zawiązała pasek szlafroka, przyspieszając kroku i kierując się do korytarza.

W drzwiach ukazała się wysoka, szczupła kobieta po czterdziestce, z tlenionymi, potarganymi włosami, z twarzą pokrytą rozmytym makijażem, papierosem między uszmkowanymi na czerwono wargami. Również była w szlafroku, atlasowym, z wywijanymi mankietami i szalowym kołnierzem wokół szyi. Gołe stopy wsunięte były w rozdeptane kapcie, w rękę trzymała pustą szklankę.

– Dzień dobry, ma pani może cukier? – rzuciła ochryłym głosem. – Właśnie mi się skończył, chciałam pożyczyć, tak w ramach sąsiedzkiej przysługi.

– Mmmam... – wydukała Stefka na jej widok. Przed sobą miała lokatorkę spod siódemki, o której kiedyś wspominała Józia.

– Nie znoszę kawy bez cukru – dodała sąsiadka, usprawiedliwiając niespodziewaną wizytę.

– Ja też nie – bąknęła Ostrowska, uchylając szerzej drzwi. Odbezpieczyła je, zdejmując z uchwyty srebrny łańcuszek. – Proszę, niech pani wejdzie.

Wyciągnęła rękę, sięgając po puste naczynie. Nagle coś jej przyszło do głowy.

– A może napijemy się razem kawy?

Kobieta przestąpiła niepewnie próg.

– Naprawdę? Nie będę przeszkadzać?

– Nie, skąd... Mąż niedawno wyszedł do pracy, a synek jeszcze śpi. Mamy czas. Proszę wejść i się rozgościć, wstawię wodę! Zapraszam do kuchni! – mówiąc to, Stefka usunęła się na bok, a kobiecie wskazała kierunek.

Poranny gość rozejrzał się po pomieszczeniu, rzucił przelotnie okiem na ściany, umeblowanie, po czym ostrożnie zajął miejsce przy owalnym stole. Gospodyni podała jej popielnicę, w której ta zgasła końcówkę papierosa.

– Przepraszam, nie przedstawiłam się. Jestem Renata Gajewska. Możesz mi mówić Rena.

– Stefania, dla najbliższych Stefka! – Wyciągnęła rękę i uścisnęła mocno dłoń sąsiadki. Ta odwzajemniła uścisk.

– Kiedyś mieszkało tutaj takie państwo, ona taka dama, bardzo wyniosła. Chyba się nie polubiłyśmy – powiedziała cierpko Renata. – Panie się znały?

– To musiała być Józia – podchwyciła Ostrowska, stawiając przed kobietą zaparzoną kawę i kryształową cukiernicę. – To moja przyjaciółka.

– Naprawdę? Z całym szacunkiem do przyjaciółki, ale jesteście zupełnie inne.

Stefka zaśmiała się, postawiła na stole paterę z pokrojonym ciastem, które upiekła zaledwie dzień wcześniej.

– Proszę się częstować. Biskopt z jabłkami.

Tamta wzięła talerzyk i położyła nań trójkącik wypieku.

– Bardzo smaczny – dodała, kosztując pierwszy kęs. – Nigdy nie jadłam nic równie dobrego.

– Ależ to przecież zwykły biskopt z jabłkami! Najprostsze ciasto na świecie.

Sąsiadka upiła łyk gorącej kawy, skubnęła kolejną porcję.

– Do każdej potrawy dodana szczypta serca powoduje niezapomniany smak – podsumowała enigmatycznie.

– Ach, dziękuję! Bardzo pani miła! Ogromnie się cieszę, że pani smakuje!

Kobieta uśmiechnęła się kącikami umalowanych ust, prześlizgnęła się wzrokiem po sylwetce siedzącej Ostrowskiej i zatrzymała spojrzenie na zaokrąglonym brzuchu.

– Który miesiąc?

– Piąty.

– Pani mąż to ten wysoki brunet w popielatym płaszczu? – zagadnęła rzeczowo.

– Wygląda na to, że tak... – odparła, wyczuwając w tonie nowo poznanej nutę drwiny.

W tym samym momencie w drzwiach kuchni ukazała się rozczochrana głowa malca. Miał na sobie flanelową piżamę w kratkę, w ręku trzymał brązowego misia z opadłym uszkiem. Widząc w towarzystwie mamy nieznaną osobę, zerkał w jej stronę nieufnie.

– Mamo, kto cio?

Stefka wstała, podeszła do synka, przytuliła i pchnęła lekko w stronę wnętrza pomieszczenia.

– Dzień dobry, skarbie, chodź, przywitaj się! To nasza sąsiadka!

– Ta pani teś dopiero wstała, bo ma potargane włosy – zauważył bystro malec.

Rena prychnęła rozbawiona.

– Antek! Tak nie można! – zaprotestowała Ostrowska.

– Proszę się nie przejmować, w końcu dziecko ma rację. Mogłam się chociaż uczesać. Nie spodziewałam się zaproszenia. W takim razie ja już sobie pójdę, proszę do mnie wpaść któregoś dnia. Będzie mi bardzo miło!

– Mnie też! – odparła Stefka, odprowadzając kobietę do drzwi. Uścisnęły dłonie na pożegnanie, Rena zabrała szklankę z cukrem i uśmiechając się pod nosem, wróciła do siebie.

\*\*\*

– Jak to możliwe? To już trzydzieści pięć lat razem! – Krystyna Rudzka z westchnieniem pochyliła się nad zaczerwienioną płytą pieca, pod którą buchało palenisko. Chwyciła za ucha garnka, przykryła pokrywkę ścierką, chcąc odcedzić ziemniaki.

– Mamo, usiądź, proszę! Dziś wasze święto. Ja się tym zajmę, na pewno Honorata też mi pomoże.

– No, nie wiem... Nie było jej kilka tygodni. Aż dziwne.

– Może się pokłócili?

– Może... – mruknęła matka.

– Dużo gości zaprosiłaś?

– Bez was będzie jakieś osiem osób – odparła, sięgając po wazę na zupę.

– Mamo, proszę! Usiądź!

– To ty usiądź, jesteś w ciąży. Powinnaś na siebie uważać.

– Nic mi nie będzie – mruknęła, biorąc pęto wiejskiej kiełbasy pachnącej czosnkiem, którą pokroiła w ukośne paski i położyła na półmisku. Dołożyła kawałki kaszanki, leberki i plastry salcesonu.

– Gdzie Tadeusz? – spytała naraz Rudzka lekko zaniepokojonym głosem. – Nie powinien tu być z tobą i Antosiem?

– Niedługo do nas dotrze, wziął dodatkowy dyżur. Teraz, kiedy nie pracuję, przyda się każdy grosz.

– Ach tak – mruknęła Krystyna, spoglądając z ukosa na córkę. – Dobrze się czujesz, nic ci nie dolega? Mam wrażenie, jakbyś trochę opuchła. Powinnaś odwiedzić pana doktora, słyszałaś o zatruciu ciążowym?

– Mamo, nie wywołuj wilka z lasu, proszę! Nic mi nie jest. Pokroić już ten pasztet?

– Mam nadzieję, że nie obeschnie – odparła matka, odwiązując troki fartucha. – No dobrze, pójdę się przebrać. Specjalnie na tę okazję Maria uszyła mi sukienkę. Piękna, sama zobaczysz!

Akurat do kuchni wszedł pan Bronisław, trzymając za rękę wnuczka.

– Antek mówi, że też będzie szewcem. Pokazałem mu warsztat i jak się klei zelówki. Twierdzi, że najbardziej podoba mu się imadło. Smyk ma wyczenie, sam podkręcił korbę do końca!

– Będziesz miał godnego zastępcę – oznajmiła żona. – A teraz idź się przebrać, goście za chwilę zaczną się schodzić! Garnitur wisi na wieszaku, a koszula na kłamce.

– Dobrze, już dobrze, jest jeszcze kupa czasu!

– Kupę to zaraz będziesz miał w spodniach! – stwierdziła złośliwie żona. – Jak nie pójdziesz się przebrać, wyglądasz jak smotek na targowisku!

– Tylko nie smotek! Jeździł taki jeden kiedyś po wsi, jak byłem jeszcze dzieckiem. Skupował stare szmaty i gary! – Zaśmiał się rubasznie. – Przy

jubileuszu takie wyzwiska, po latach wspólnego pożycia? – Mąż udał obruszenie, po czym jak gdyby nigdy nic podszedł do krojącej wędliny córki i podkradł plasterek czarnego. Drugi wziął dla wnuka. Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem, zerknęła przez ramię na ojca, który przez ostatnie lata nieco się postarzał. Plecy miał już zgarbione od wiecznego siedzenia nad pozdzieranymi damskimi obcasami. Tych było najwięcej, choć oczywiście zdarzały się męskie podeszwy, a także paski i torebki.

– Chodź, Antoś! Nie będziemy kobietom przeszkadzać! Bo jeszcze się zdenerwują i nas przepędzą!

– Dziadku, a co będziemy teraz robili? – spytał malec, zadzierając brodę do góry. – Pójdziemy na strych?

– Na strych dziś już nie – odpowiedział Bronek strapionym głosem. – Zraz zejda się goście, muszę się przebrać.

– Święte słowa! – potwierdziła starsza Rudzka i odprowadziła ich wzrokiem do drzwi.

– Pójdę zobaczyć, czy wszystko na stole jest jak trzeba – oznajmiła Stefka i pobiegła do największego pokoju, w którym ustawiony był długi, nakryty białym obrusem stół, krzesła i drewniana ławka.

Tak naprawdę chciała wyciągnąć prezent, który schowała w korytarzu za zasłonką, i przenieść go do pokoju. Nie był objętościowo wielki, kupiła rodzicom komplet pościeli. Specjalnie na tę okazję zamówiła haft w punkcie przy Obrońców Stalingradu. Zleciła wyszyć na poszwie napis: „Krystyna i Bronisław – niech nam żyją sto lat!”. Uznała, że to będzie piękny i oryginalny podarek. Wracając, zerknęła na skrzynkowy zegar z wahadłem wiszący na ścianie. Najpóźniej za piętnaście minut mieli się schodzić goście, a Tadeusza ciągle nie było. Staszka z Honoratką też nie. Ogarnął ją lekki niepokój, który szybko minął, gdy weszła do kuchni. Zostało jeszcze tyle do zrobienia!

\*\*\*



Chwilę później w korytarzu zrobiło się zamieszanie. Mama poszła się przebrać, w związku z tym honory domu przejęła Stefania. Kiepsko jej szło, choć wystarczyło przecież ładnie się uśmiechać i rozciągnąć szeroko ramiona. Jej jednak nie było do śmiechu, gdzieś z tyłu głowy krążyła myśl, że Tadeusz powinien już być. Przecież obiecał. Zawsze powtarzał, że punktualność jest domeną królów. Więc gdzie te zasady?

Właśnie weszli Gilowie. Z bukietem różowych goździków, flaszką zytnej i zapakowanym w szary papier prezentem. W duchu przyznała, że żona dozorczy bardzo się posunęła w latach. Wychudła, zapadła w sobie, jej twarz poszarzała. Dalej jednak była miłą, życzliwą kobietą, co stanowiło wartość największą.

– Niewiele przytyłaś, kochana! Musisz więcej jeść, za dwóch! Pamiętaj!

– Nie przytyłam? Wiem, że stara się być pani miła, ale widzę się w lustrze. Wyglądam jak słonica z warszawskiego zoo.

– Od razu słonica. Nie przesadzasz, dziecko? – zachnęła się.

– Takie są wszystkie kobiety – zauważył rzeczowo pan Gil. – Zawsze niezadowolone ze swojego wyglądu.

– Proszę wchodzić, rodzice zaraz przyjdą, właśnie się przebierają!

Ostrowska szerzej otworzyła drzwi do pokoju i wskazała na zastawiony jadłem stół. Zaraz też rozległ się głośny dzwonek i nadeszli kolejni goście. Tym razem koleżanki mamy z pracy. Rozchichotane, elegancko ubrane, z doskonałymi fryzurami, wkroczyły z jednym dużym pakunkiem na rękach.

Kobiety nie zdążyły dobrze przekroczyć progu gościnnego pokoju, kiedy w korytarzu pojawił się Stachu. Twarz miał dziwnie zmieszana, policzki zarumienione od chłodu, szyję okręconą wełnianym szalem. Zasłonił sobą przejście, ukrywając kogoś z tyłu.

– No nareszcie, gdzieście się podziewali tak długo? – rzuciła siostra głosem pełnym udawanej pretensji, kiedy zza jego szerokich pleców wyłoniła się niewysoka, zgrabna sylwetka ładnej dziewczyny.

Stefkę zatkało z wrażenia. Otworzyła usta, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Chciała zapytać o Honoratę, ale szybko wycofała się z tego zamiaru. Uznała, że byłoby to nietaktowne. Zamiast tego wyciągnęła nieznacznie rękę, witając przybyłą powściągliwym uśmiechem.

– To jest Ewa! – oznajmił Stach z dumą, jakby w tym momencie chciał pokazać, że świat należy wyłącznie do niego.

– Miło mi – wykrztusiła Ostrowska, odwzajemniając delikatny, pielęgniarski uścisk.

\*\*\*

Przyjęcie dobiegało końca, kiedy pojawił się Tadeusz. Stefka w tym czasie zdążyła już uspić Antosia w sąsiednim pokoju, nakryła go kocem, a sama położyła się obok. Czuła się okropnie zmęczona, dziecko w brzuchu dokażywało, rozpychając się na wszystkie strony, jakby wyczuwało jej stan niepokoju. Jednak nie to było najgorsze, zewsząd wciąż dopytywano o męża. Nie umiała powiedzieć, co się stało, wołała więc myśleć, że wszystko jest w porządku. Od czasu do czasu nerwowo spoglądała na zegar, na którym kilka minut wcześniej wybiła godzina dwudziesta trzecia. Brat pocieszał, żeby się nie martwiła, bo na pewno nic się nie stało. Próbowala mu wierzyć. Siedział przy stole w towarzystwie Ewy, nie wypuszczając z ręki jej dłoni. Wciąż na nią zerkał, uśmiechając się czule, na co ona odpowiadała tym samym. Musiała przyznać, że ładną tworzyli parę, choć brakowało jej Honoraty, jej pomocnej ręki i zaangażowania w sprawy rodziny. Nowa dziewczyna Stacha nie miała zamiaru nikomu nadskakiwać. Już od pierwszej chwili, kiedy usiadła za stołem, dała do zrozumienia, że to jej powinno się usługiwać. Pani Krystyna robiła od czasu do czasu niezręczne miny, nie kryjąc zmieszania i zawodu. Nie śmiała zapytać, skąd ta zmiana. Honoratka przypadła jej do serca, a Ewa... no cóż. To się dopiero miało okazać.

Tymczasem zza ściany docierały do niej tubalne głosy rozbawionych uczestników uroczystości. Niektórzy mieli już porządnie w czubie. Kobiety darły się wniebogłosy, podśpiewywały *Hej, sokoły*, a mężczyźni wtórowali gremialnie, popisując się raz basem, raz tenorem. Przyjęcie się udało, tak

stwierdziła jubilatka, kiedy mijaly się w kuchni. Z zaczerwienionymi policzkami, lekko potarganą fryzurą, w błękitnej, dopasowanej sukience z krempliny, przypominała roztargnioną nastolatkę. Stefka ze zdumieniem dostrzegła, że matka ma wciąż niezłą figurę, a jej skronie, czoło i policzki nadal są gładkie. Jak ona będzie wyglądała, mając tyle lat co matka? Biorąc pod uwagę nieustanne stresy, pewnie zdąży się zestarzeć przed czterdziestką.

Zdążyła zapaść w krótką drzemkę, gdy obudził ją znajomy dotyk.

– Przepraszam, skarbie – przebił się przez ciszę ociekający czułością głos.

Drgnęła, otworzyła szeroko oczy. Tadeusz pochylał się nad nią, gładził ręką jej włosy, poczuła jego przesiąknięty nikotyną oddech.

– Jesteś! Nareszcie! Co się stało?

Dźwignęła się z trudem na łóżku, przenosząc ciało do pionowej pozycji.

– Wybacz, cholerny pech! – przeklął siarczyście. – Awaria na odcinku. Kolega, który miał po mnie zmianę, nie przyszedł do pracy. Musiałem go zastąpić... Już ja mu w poniedziałek nagadam, nie stawić się bez słowa wyjaśnienia! – ciągnął tonem pełnym żalu i pretensji.

– Tak się martwiłam, Tadku... Bałam się, że coś mogło się stać.

Pozwoliła, aby usiadł obok i przytulił mocno do siebie.

– Nie miałem możliwości, by cię powiadomić. Wybacz mi, kochanie.

Przytuliła głowę do jego ramienia, chwyciła dłoń męża i położyła sobie na brzuchu.

– Dziś kopie jak szalone, czujesz?

– Biedactwo... – szepnął, gładząc ręką wypukłość pod materiałem luźnej sukienki. – Nie wiem, jak ci to wszystko wynagrodzić.

Westchnęła głośno.

– Nie trzeba... rozumiem... Następnym razem nie zostawiaj mnie samej na tak długo, dobrze?

– Oczywiście, skarbie, obiecuję. Następnego razu już nie będzie! – zadeklarował uroczyście.

Potem wstali, przenieśli się do pokoju obok, gdzie jeszcze wciąż trwało świętowanie koralowych godów. Niektórzy panowie mocno już zaciągali, kobiety śmiały się coraz głośniej, a Staszek ze swoją dziewczyną gdzieś zniknęli. Tadeusz przeprosił wszystkich za swoje spóźnienie, wypił kilka szybkich za zdrowie jubilatów i przekąsił śledziem w occie.

Stefania poczuła, że schodzi z niej cały niepokój, a błoga ulga rozplywa się gdzieś w środku. Mimo zmęczenia cieszyła się, że jest jeszcze przed nimi cały wieczór i kolejny dzień, czyli niedziela. Po śniadaniu pójdą we trójkę do kościoła, potem przespacerują się ulicą Piotrkowską aż do placu Wolności, następnie odwiedzą Łodziankę, zamienią kilka słów z panią Teresą, a po deserze i herbacie wrócą na obiad do domu. Jakże lubiła ten wspólnie spędzany czas.

## Rozdział 13

**K**ilka dni później otrzymała pierwszy list od Józi.

*Kochana Stefcu,*

*nie widziałyśmy się całe wieki. Tak nie może być! Koniecznie musimy się zobaczyć. Wiem, że podróże w Twoim stanie są niewskazane, dlatego też jak tylko pojawi się sposobność, zajrzemy do Łodzi. Mam nadzieję, że niedługo.*

*Muszę się przyznać do tego, że jestem taka szczęśliwa. Urządziliśmy nasze mieszkanie na tyle, że żyje nam się całkiem wygodnie. Rozalka jest zachwycona! Zaprzyjaźniła się z dziewczynką po sąsiedzku, Kasią. Jej tata jest budowniczym, a mama redaktorką w gazecie. Chodzą do tej samej klasy. Tyle się tutaj dzieje, Warszawa tętni życiem! Wciąż się odbudowuje, rośnie na naszych oczach, co tak cieszy. Niedawno oddano do użytku Pałac Kultury i Nauki, Trasę Mostową i wiele innych. Jeszcze będzie pięknie, zobaczysz! Wspólnie z Kaziem koncertujemy w teatrze. Wciąż poznajemy kogoś nowego, byłam na kawie z Mieczysławem Foggiem i Barbarą Połomską. Wspaniali ludzie! Tak bardzo chciałabym, abyście kiedyś przyjechali na nasz recital. Byłoby cudownie! Mamy swój własny repertuar, napisałam kilka tekstów, a Kazik stworzył muzykę. Słuchaczom się bardzo podoba. Jak ja uwielbiam te klimaty! Widownia, scena, światła reflektorów i my. Dla tych chwil warto żyć. Wybraliśmy się też na kilka pokazów mody. Cóż to było za wydarzenie! Te modelki takie zgrabne! A jakie ubrania? Jedno sobie nawet zakupiłam. Płaszcz z kołnierzem z lisa. Jest obłędny!*

*A teraz z innej beczki. Nie uwierzysz, matka Tadeusza przyjechała do stolicy. Korrespondowała z moim mężem od waszego wesela, aż wreszcie postanowiła nas odwiedzić. Co to za kobieta! Chłonie tę atmosferę jak stare dobre wino. Jest czarująca,*

*a w dodatku taka obyta ze światem. Wiele można się od niej nauczyć. Ja wiem, że nie podzielasz tego zdania, ale ona naprawdę jest ciekawą osobą. Przypomina trochę zakurzony, rozstrojony fortepian, na którym zresztą cudnie gra. Zwłaszcza Beethovena. Twój teść nie przyjechał, podobno jest obarczony obowiązkami i pracą. Ktoś musi zarobić na dom.*

*Mam nadzieję, że mieszka Wam się dobrze i wszystko u was w porządku. Czekam szczęśliwego rozwiązania. Uściskaj ode mnie Antosia, a Twojemu przystojnemu mężowi przesyłam całusa. Uważaj na niego. Wiem, że jest w Ciebie wpatrzonej jak w święty obraz, ale mężczyznom nie można do końca ufać. Przynajmniej nie takim jak Tadeusz. Pamiętaj o tym.*

*Do zobaczenia wkrótce!*

*Józia*

Złożyła list, wsunęła go od koperty i westchnęła głośno.

\*\*\*

Wdrapywała się na pierwsze piętro kamienicy, dzierżąc w rękach siaty z zakupami, posapując jak krowa podczas trawienia, kiedy na półpiętrze minęła się z postawnym mężczyzną w popielatym płaszczu i kapeluszu. Na górze schodów pojawiła się tymczasem Rena. Była w długim do kostek szlafroku, w kąciku ust trzymała papierosa, jej blond włosy swobodnie opadały na ramiona. Pomachała schodzącemu na pożegnanie, rzuciła czułe słówko w stylu „Do zobaczenia, kochanie”, a następnie zagała do sąsiadki:

– Dzień dobry, pani Stefanio! Jak miło panią znów wiedzieć. Zapraszam do siebie na herbatę. – Wykonała zamaszysty ruch ręką, wskazując ciężkie, drewniane drzwi.

– Dzień dobry – odparła młoda matka, zatrzymała się na półpiętrze, zrobiła kilka krótkich wdechów, następnie postawiła torby na zimnej posadzce.

„Właściwie, dlaczego nie” – pomyślała, zanim zdecydowała się przyjąć zaproszenie. „Antek u dziadków, obiad dla męża gotowy do odgrzania, po-

sprzątane, poprane”.

– Z miłą chęcią – powiedziała jeszcze bardziej zdziwiona, kiedy Rena schyliła się po zakupy i wtaszczyła je do swojego mieszkania. Umieściła na szafce w korytarzu, po czym szerokim gestem zaprosiła gościa do środka.

– Proszę nie zdejmować butów! – oświadczyła stanowczo.

Znalazła się w długim, mało doświetlonym korytarzu, z drewnianą podłogą przykrytą wzorzystym chodnikiem, nieco wydeptanym, z naniesionym nań wyschniętym błotem. Odurzył ją lekko wsiąknięty w tapety i ubrania dym z papierosów, od których właścicielka mieszkania nie stroniła. Następnym pomieszczeniem był prostokątny pokój z wysokimi oknami ubranymi w koronkowe firany i kotary w kolorze miodu oraz okazałym piecem z porcelanowych kafli zamontowanym w przeciwległym rogu. Obok stał głęboki, gobelinowy fotel z zarzuconym niedbale na oparciu kocem. Wylegiwał się na nim kot. Ogromny, czarny, z błyszczącą sierścią i zielonymi oczami, którymi lypał co rusz nieprzyjaźnie w stronę Stefki. Na środku królował okrągły, drewniany stół z sześcioma krzesłami obitymi wzorzystą tkaniną, na którym stała cukiernica z mosiądzu, filiżanka z porcelany z niedopitą kawą, leżały druciane okulary i gazeta. Temu eleganckiemu meblowi towarzyszyła przeszklona serwantka wyposażona w kryształowe, rżnięte kieliszki i karafkę wypełnioną czerwoną ciecżą.

– To moje królestwo! Proszę siadać. Herbaty, bawarki, kompotu z jabłek?

Stefka zdumiona uniosła brwi. Nie spodziewała się po sąsiadce takiej gościnności.

– Chętnie napiję się kompotu albo samej wody. Zmęczyły mnie te zakupy.

– Nie dziwię się! – prychnęła przez ramię, kierując kroki do kuchni. Po chwili wróciła, niosąc w rękach dwie szklanki z napojem. Kocisko mruknięło w tym czasie, podniosło się leniwie i wyprężyło grzbiet. – Złości się, kiedy widzi obcych. Przepraszam, pani nie jest obca, tylko pierwszy raz w tym domu... – wytłumaczyła się niemal natychmiast, podchodząc do serwantki. Wyciągnęła z niej karafkę i kieliszek.

– Zdaję się, że przeszliśmy już dawno na ty – bąknęła śmieiej Stefka.

– Oj, tak... zapomniałam – przyznała gospodyni. – Ciebie niestety nie po-  
częstuję. Dopiero jak urodzisz...

– Ooo! Brzmi obiecująco! – prychnęła kpiąco młoda Ostrowska – Na ra-  
zie wstrzeźliwość na wszystko! – zaśmiała się wymownie.

– Z tymi sprawami też? – podjęła chytrze nowa znajoma. – Mąż nie na-  
rzeka?

Musiała przyznać, że kobieta coraz bardziej ją zaskakiwała. Ta jej otwar-  
tość i bezpośredniość miały w sobie jakiś niezwykły urok.

– Pyszny kompot – odparła, upijając kolejny łyk. – No cóż... Trochę na-  
rzeka, tak to już jest z tymi chłopami. – Skrzywiła się wymownie. – Żeby  
wyładować nadmiar energii, zapisał się na boks. Trenuje dwa razy w tygo-  
dniu, przygotowuje się do pierwszej walki. Wraca wyczerpany, ale zadowo-  
lony.

– Boks? – rzuciła sąsiadka, nie kryjąc zdziwienia. – Jak boks, to w po-  
rządku...

– Nie rozumiem...

– A co tu jest do rozumienia. Pracuję w SPATiF-ie, to swoje wiem. Ko-  
biety i mężczyźni niezależnie od tego, czy w związku, czy nie, wciąż szu-  
kają przygód. Tak to już jest w tym życiu. Od nas samych zależy, na ile so-  
bie możemy pozwolić, na ile nie.

– Naprawdę tak myślisz? To jakieś czarnowidztwo jest! Nie zgodzę się  
z tym. Mój mąż jest inny. Uczciwy, prawdomówny, oddany...

– Brawo, tylko pogratulować! – podsumowała ironicznie Rena. – Tade-  
usz to porządny gość, jestem tego pewna.

Stefania nie skomentowała tego sarkazmu, tylko spytała zaciekawiona.

– Jesteś kelnerką? Tak się składa, że ja też.

– Naprawdę, gdzie pracujesz?

– Pracowałam... w Łodziance.

– Wiele dobrego słyszałam o tej kawiarni. Jednym słowem mamy ze sobą  
sporo wspólnego. – Uśmiechnęła się delikatnie, przyglądając się Stefci  
lekko zmrużonymi, błękitnymi oczami z szarą obwódką.



Ostrowska zwróciła uwagę na pozostałości po wielkiej urodzie sąsiadki. „Musiała być kiedyś bardzo piękna” – przeszło jej przez myśl. Przypominała jej niemiecką przedwojenną sławę, Marlenę Dietrich. Dwa zarysowane cienką linią łuki brwiowe, wykrojone usta, trójkątna twarz z uwydatnionymi kośćmi policzkowymi i pofalowane włosy do ramion. Do tego szczupła, słusznego wzrostu sylwetka. Sposób, w jaki się nosiła, charakteryzował kogoś ze sfery artystycznej. Nie ulegało wątpliwości.

– Wygląda na to, że tak – bąknęła, zdumiona własnym odkryciem. Poprzednio nie zwróciła uwagi na te detale w wyglądzie.

– Gdzie wcześniej pracowałaś? – drażyla, nie kryjąc już ciekawości. Sąsiadka coraz bardziej ją intrygowała, pomijając informacje przekazane niegdyś przez Józję. – SPATiF, zdaje się, powstał niedawno.

– Ach, tak! – przyznała rację. – No, cóż... To długa historia. Koniecznie chcesz jej wysłuchać?

– Jeśli to nie tajemnica, to czemu nie?

Sąsiadka wzniosła w górę kieliszek, upiła łyk nalewki.

– Chciałam kiedyś zostać wielką gwiazdą kina – zaczęła opowieść. – Takiego formatu jak Greta Garbo czy Marlena Dietrich. Do tej drugiej byłam zresztą bardzo podobna. Tak przynajmniej wszyscy twierdzili.

– Bo to prawda! – wtrąciła pospiesznie Stefka. – Od razu spostrzegłam podobieństwo.

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

– Początkowo występowałam w rewii. Okazało się jednak, że taniec nie jest moją mocną stroną. Zaczepiłam się w wytwórni filmowej Urania Eugeniusza Bodo, zagrałam w kilku jego produkcjach. Nie były to wielkie role, ale zawsze.

– Eugeniusz Bodo? Naprawdę? Uwielbiałam go! Praca u jego boku musiała być fascynująca! – wyrwało się Ostrowskiej, która już nie kryła podniecenia. Poprawiła się na krześle, nie spuszczając oczu z rozmówcy.

– Owszem... choć Bodo był wymagający i perfekcyjny we wszystkim. Wciąż miał mi coś do zarzucenia. Widocznie nie byłam w jego typie – prychnęła gorzko. – Walczyłam o coś ważniejszego, ale zawsze ktoś inny okazywał się ode mnie lepszy. Zula Pogorzelska, Mira Zimińska, Jadzia Smosarska... Nora Ney... A wreszcie Loda Halama.

– Ze wszystkimi romansował?

– Z większością – mówiąc to, upiła kolejny łyk. – Do szaleństwa zakochał się w Reri, tancerce o egzotycznej urodzie, którą obsadził w filmie *Czarna perła*. Niestety, i ten związek nie przetrwał próby czasu. Podobno dziewczyna nadużywała alkoholu, a Bodo od słynnego wypadku, kiedy to prowadził auto po pijanemu, a w którym zginął jego przyjaciel, stronił od napojów wysokowych. W kularach mówiono też, że dziewczyna zwyczajnie mu się znudziła. – Znów prychnęła lekceważąco. – O jego licznych roman-sach było głośno. Zresztą... Mniejsza o to.

Stefania żałowała trochę, że Rena nie zamierzała więcej mówić o takim bożyszczu kina jak Bodo, nie chciała jednak nalegać. Słuchała dalej.

– Aż pewnego dnia do mojej garderoby wszedł człowiek, który zaproponował mi udział w niemieckim filmie. Poczułam wtedy, że pojawia się szansa jedna na milion. Miałam zagrać wyczekiwaną latami główną rolę w szpiegowskim serialu. Podpisałam kontrakt. Zachwycona, w ciągu kilku dni spakowałam manatki i wyjechałam do Berlina. Nie interesowałam się wówczas polityką, nie zwracałam uwagi na nazistów, antysemityzm i związane z tym bezpośrednio niepokojące nastroje.

Wypiła zawartość kieliszka i wstała, aby go uzupełnić. Wróciła do stołu, usiadła, znów upiła łyk. Z okna służywało do środka popołudniowe światło. Położyło się na dywanie jasnym pasmem, odsłaniając wszelkie pyłki i zabrudzenia. Nie miało to jednak w tej chwili żadnego znaczenia. Stefkę ogarnął żar, jakiego dawno nie czuła.

– I co było dalej? – drążyła, nie kryjąc ciekawości.

– Dalej! – sarknęła Rena. – Dalej było pięknie! Zdjęcia, plan, znani aktorzy. Zwrócił na mnie uwagę pewien operator, Olaf. Zakochaliśmy się w sobie bez pamięci. Spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Chciał się ze mną oze-

nić, ale najpierw... musiał rozwieść się z żoną, z którą miał troje dzieci. Był na to gotów, a ja głupia, zaślepiona uczuciem, nie mogłam się doczekać chwili, kiedy staniemy na ślubnym kobiercu. Kręciliśmy już trzeci odcinek, gdy zadzwoniła do mnie ciotka Klara, siostra matki. Poinformowała mnie, że stan mojej mamy jest bardzo ciężki, muszę natychmiast wracać do Polski. Poprosiłam więc o krótki urlop, w tym czasie planowano kręcić sceny, w których nie brałam udziału. Mój ukochany odprowadził mnie na dworzec. Powiedział, że jak wrócę, on już będzie po rozwodzie.

Znów się napiła i wstała kolejny raz, aby uzupełnić kieliszek. Tym razem wzięła karafkę ze sobą i ustawiła ją na środku koronkowego obrusa.

– Moja mama zmarła, zanim dotarłam do kraju. Zajął się więc pogrzebem i wszelkimi formalnościami. Zdążyłam się ze wszystkim uporać, gdy wybuchła wojna. Dowiedziałam się, że Olafa powołano do armii, zdjęcia przerwano. Nie miałam do czego wracać. Zostałam tutaj... Eugeniusz Bodo wraz z innymi aktorami wyjechał do Lwowa, gdzie grywał w teatrze z orkiestrą Tea Jazz utworzoną przez Henryka Warsę. Potem nagle zniknął. Mówią, że wykończyli go Niemcy, choć wtajemniczeni w jego bliższe losy nie dają wiary w te pogłoski. Wojna się skończyła, a jego wciąż nie ma. – Ściszyła głos. – Mój Olaf zginął na froncie, choć kilka razy udało nam się spotkać. – Zatrzymała się, zapatrzyła w okno. Uśmiechnęła się do własnych myśli. – Przyjechał do Łodzi specjalnie dla mnie, pojawiał się tutaj pod byle pretekstem. On naprawdę mnie kochał... – powiedziała z głośnym westchnieniem, wzruszając ramionami. – Niestety, dostał kulę w samo serce podczas wycofywania się niemieckiej armii z Polski. Już nic nie było takie jak dawniej. – Urwała na chwilę. – Zostałam tutaj, przy mojej rodzinie, ciotce Klarze, siostrzeńcu Julianie... – dodała na koniec.

– Zdaje się, że teraz rozumiem... – mruknęła bezwiednie Stefania.

– Co takiego?

– Oskarżenie o współpracę z Niemcami.

– To już wiesz? – Renata ściągnęła brwi i wydeła usta. Po chwili machnęła ramieniem, jakby odpędzała natrętne muchy. Nalała sobie kolejny kieliszek. Policzki miała mocno zaczerwienione, ale umysł nadal trzeźwy. – Ja-

kie to ma teraz znaczenie? W obliczu samotności i wylanych łez? Moja wielka kariera zakończyła się bezpowrotnie. Po niemieckim epizodzie nikt nie chciał ze mną współpracować. Uważają mnie za zdrajczynię. Dobrze chociaż, że dostałam to zatrudnienie w SPATiF-ie. Pracuje tam przyjaciółka ciotki Klary, to właśnie jej zawdzięczam tę ciepłą posadkę – rzuciła kpiąco. – Nie mam już nic do ukrycia. Czasem spotykam się z kimś dla czystej przyjemności. Ot, to wszystko. – Opuściła głowę, zatopiła wzrok w pustym kieliszku. – Życie jest przewrotne, moja kochana. Czasem zabija cię swoją własną bronią.

– Oj, jest! To prawda – przytaknęła Stefka. – Kiedyś wyszłam na spotkanie z ukochanym, a trafiłam do obozu. Już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Nie było nam to dane – spuściła głowę gorzko.

– Opowiesz mi o tym?

– Następnym razem, Rena. Teraz muszę iść. Niedługo wróci mąż. Antoś jest u dziadków. Pewnie też niedługo go przyprowadzą... Sama widzisz. – Podniosła się niechętnie. – Miło mi się z tobą rozmawiało. Koniecznie musimy to powtórzyć.

– Koniecznie! – potwierdziła Rena, zrywając się z krzesła. Kot miauknął niechętnie, ktoś zakłócił mu spokój. Tymczasem gospodyni zachwiała się lekko nad podłogą, przytrzymując mebla. Szybko jednak złapała pion i ruszyła w ślad za sąsiadką. Czarny zeskoczył z fotela i podreptał jak gdyby nic za nimi.

## Rozdział 14

**K**iedy w październiku pięćdziesiątego szóstego roku, w wyniku przewrotu, stanowisko pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przejął Władysław Gomułka, został entuzjastycznie przyjęty przez naród. Próbował dokonać zmian, zamieniając ludową przaisną ojczyznę w inny kraj. Pokładano też nadzieję, że uniezależni Polskę od Związku Sowieckiego. Na początku zliberalizował cenzurę, do kin weszły amerykańskie filmy, nie dopuścił też do kolektywizacji rolnictwa. Zmienił się też stosunek do Kościoła, przywrócono lekcje religii jako zajęcia nadobowiązkowe, a co najważniejsze – zwolniono z internowania kardynała Wyszyńskiego, który dla narodu był bohaterem. W ten sposób usiłował uspokoić nastroje społeczne. Ten czas rządów nazwano wkrótce odwilżą gomułkowską. Niestety, już po kilku miesiącach okazało się, że towarzysza „Wiesław”, jak zwano Gomułkę, niczym nie różni się od swoich poprzedników, a odwilż była jedynie chwilową zasłoną dymną dla jeszcze większych represji i twardych rządów totalitarnych.

\*\*\*

Jakoś w końcu stycznia pięćdziesiątego ósmego przyjechali państwo Wróblewscy. Pojawili się na podwórku przy Piotrkowskiej osiemdziesiąt siedem wielkim, czarnym autem, które miało błyszczący lakier i srebrne błotniki nad kołami. Na widok tak rzadkiego cacka zbiegli się miejscowi chłopcy, otoczyli ich kołem, dyskutowali żywo z daleka, cmokali z niedowierzaniem, nie śmiać podejść bliżej. Elegancja nie była tutaj rzadkością, jednakże w takim wydaniu należała do wyjątkowych przypadków. Józefa

w futrze z norek, gustownym nakryciu głowy, z prostokątną torebką z ciężej skórki przeparadowała przed zaciekawionym wzrokiem mieszkańców oficyny, którzy przylegli do szyb okiennych. Przesłała im pozdrowienia w stylu angielskiej królowej i zniknęła we wnętrzu klatki schodowej, zostawiając za sobą chmurę egzotycznych perfum. Towarzyszący jej mężczyzna w brązowym, baranym kozuchu wciąż trzymał się prosto, choć włosy mu zrzedły i posiwiały, a pociągłą twarz ozdobiły dwie podłużne głębokie bruzdy. Tylko Rozalka nie spieszyła się z wejściem na górę, kręciła się, nie reagując na ponaglenia rodziców. Najwyraźniej miała ochotę na pogawędkę z dawnymi kolegami, którzy na widok wyrośniętej, uroczej panny z czarnymi warkoczami gwizdali wręcz z zachwytem. Każdy chciał na nią popatrzeć z bliska, usłyszeć jej głos, porozmawiać chwilę, a wreszcie zapytać o stolicę.

Tymczasem Ostrowscy lekko podenerwowani zapowiedzianą wizytą czynili ostatnie poprawki przed wejściem gości do mieszkania. Wystający brzuch, nadmierna opuchlizna nóg nie pozwalały Stefce na wykonanie podstawowych czynności w domu, takich jak zmywanie, odkurzanie czy chociażby pranie. Teraz musiała prosić o pomoc męża, którego przez większość dnia nie było w domu. Nadrabiał w soboty, choć i to nie zawsze, za to niedziele należały wyłącznie do nich. Teraz też Tadeusz pomógł jej ustawić stół, naszykować spanie dla gości, zmienić pościel i wiele innych.

– Usiądź, kochanie, ja się tym zajmę – prosił żonę po raz kolejny, kiedy znów podrywała się do pracy, nie mogąc usiedzieć beczynnym na miejscu. Antek stał na krześle przy oknie i obserwował, co się dzieje na dole. Raz za razem wykrzykiwał, że ciocia z wujkiem zaraz będą. Na widok Rozalki zapukał w szybę, ale ta, zajęta paplaniną z chłopakami, nie zauważyła malca.

Stefka co rusz spoglądała na stół, sprawdzając, czy wszystko stoi na właściwym miejscu. Rosół grzał się na kuchni, schabowe dochodziły w piekarniku. Makaron zrobiła mama już wcześniej. Pokroiła w wąskie paseczki, wysuszyła i przyniosła córce do ugotowania. Upiekła też blachę ciasta drożdżowego, na które miała swój sekretny przepis, dzięki czemu nie było suche, jak większość ciast z cukierni. Wkrótce pierwsze zdenerwowanie

minęło, a po czułym, wylewnym powitaniu nadszedł czas na rozmowy przy zastawionym suto jadłem i alkoholem stole.

\*\*\*

– Najpierw odwiedzimy Ludmiłę, zostaliśmy zaproszeni do niej na kolację, dopiero następnego dnia zagramy koncert w teatrze – ekscytowała się Wróblewska, będąc już po wieczornej toalecie. Siedziała na łóżku w szlafroku, bez grama makijażu i rozpuszczonych blond włosach opadających luźno na ramiona. Znalazły się w sypialni, podczas kiedy panowie w pokoju obok raczyli się wciąż wiśnióweczką. Józia czesała Rozalię, która kuciała u jej stóp, a Stefcia, głaszcząc po głowie syna, usiłowała namówić go do spania.

– Nie cię jeszcze! – protestował malec. – Chce się bawić z Rozalią!

– Jest już późno. Nie ma mowy! Jutro będzie cały dzień na zabawę!

– To jeszcze chwilkę, małą chwilkę! – nalegał syn, nie mogąc opanować emocji.

Tymczasem dziewczynka podtrzymywała dzielnie ten entuzjazm.

– Ciociu, pozwól Antosiowi zostać. Obiecujemy, że nie będziemy wam przeszkadzać. Prawda, Antoś?

Malec przytaknął z powagą, na co Ostrowska tylko się zaśmiała.

– No, dobrze, najwyżej pół godzinki.

– Zgadzą się, dziękuję, ciociu! Opowiem Antosiowi bajeczkę o rybaku i złotej rybce! – zawołała uradowana.

– Cudownie, w takim razie będziemy was miały na oku! – stwierdziła Józia, mrugając porozumiewawczo w stronę przyjaciółki. – A my sobie trochę z ciocią porozmawiamy. Tak długo się nie widziałyśmy.

Chwilę później Rozalka i Antoś siedzieli na drugim łóżku i rozprawiali o czymś zawzięcie. Miło było popatrzeć na tych dwoje, choć dzieliła ich spora różnica wieku.

– Ta twoja córka jest taka rezolutna – zauważyła Stefania. – Ułożona i dobrze wychowana.

– Dziękuję, twój synuś też jest grzeczny. Cóż... wygląda na to, że dzieci nam się udały. – Wróblewska zachichotała wymownie. Ostrowska jej zawtórowała.

Zegar na ścianie wybijał północ, kiedy obie, na wpół leżąc, zwierzały się sobie z najbardziej intymnych szczegółów. Dzieci już spały, a zza ściany nadal dochodził brzdęk szkła wymieszany z męskimi głosami. Tymczasem Stefka i Józia niczym nastolatki wymieniały się wrażeniami i spostrzeżeniami. Co chwila wybuchały gromkim śmiechem bądź dla odmiany prychały ze zdumienia. Dla nich w tej chwili czas się zatrzymał. Obie pragnęły, aby ta noc nie miała końca.

Wróblewscy gościli u nich całe trzy dni, potem spakowali się i odjechali do stolicy, gdzie według ich relacji tyle się działo. Koncert najpierw w teatrze, następnie w Łodziance zaliczyli do bardzo udanych. Kawiarnia pękała w szwach, zaś oni mieli okazję na spotkanie się z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi. Zaciemniona sala, dym z papierosów, pianino i głęboki jak studnia głos pięknej Józefy – to było to, na co niecierpliwie czekało wielu łodzian. Na koniec kwiaty, owacje, poczęstunek, podziękowania. Wszystko, co państwo Wróblewscy uwielbiali. Ponadto Stefka doprowadziła do bliższego poznania się przyjaciółki z sąsiadką. Chciała oczyścić Renę z zarzutów, przywrócić jej dobre imię, na co w gruncie rzeczy kobieta zasługiwała. Spotkanie odbyło się w jej mieszkaniu bez świadków, za to w towarzystwie nalewki z wiśni i szarlotki. Ostrowska nie piła rzecz jasna, za to Józia opuściła lokum lekko wstawiona, z kolorami na policzkach, roześmianą twarzą i pozytywnym nastawieniem do kobiety, którą dotychczas postrzegała jako wroga. A o to przecież Stefce chodziło.

Łzawe pożegnanie odbyło się na podwórku, znów pod czujnym okiem lokatorów kamienicy, którzy nie kryjąc zaciekawienia, wyłonili się z czeluści klatek schodowych i spoglądali w stronę eleganckiego pojazdu i nie mniej eleganckich właścicieli. Rozalkę przyszli pożegnać koledzy, jeden z nich wręczył dziewczynce glinianego kogucika z ułamanym ogonem, na co ona zareagowała zakłopotaniem wymieszanym z radością. Ten podwórkowy ptak bez ogona, odpustowy, uszkodzony fajans, od dziś na zawsze



będzie kojarzył jej się z tym dniem, i poczuciem, że stała się dla kogoś bardzo ważna. U jej boku plątał się Antoś, chcąc w tych ostatnich chwilach dać z siebie najwięcej. Skończyło się to niegroźnym upadkiem, zadrapaniem, a także potokiem dziecięcych łez.

– Teraz kolej na was, moi kochani! – rzucił Kazimierz, zanim wtopił się w czeluść wypielegnowanego auta.

– Jak tylko Stefka się rozsypie i dojdzie do siebie! – odparł Tadeusz lekko rozbawiony, bo nadal wczorajszy. – Na pewno przyjedziemy, dziękujemy za zaproszenie!

Józia ze Stefką zegnały się najczulej. Nie obyło się bez szlochów, uścisków, obietnic. Potem samochód ruszył, a oni zostali znów sami na środku opustoszałego podwórka.

## Rozdział 15

Śnieg prószył, palące się latarnie rzucały na chodnik słupy rozproszonego światła. Dzień się kurczył w kolejnym zmierzchu, zachęcając mieszkańców miasta do powrotu w domowe, ciepłe zacisze. Do ostatecznego rozwiązania zostały jej jeszcze niepełne dwa tygodnie. Czuła się coraz gorzej, z trudem przemieszczała po mieszkaniu, zbierała rozrzucone przez męża koszule i skarpetki. Na szczęście Antos zabawki sprzątał po sobie sam. Teraz też siedział nieopodal kaflowego pieca i konstruował z drewnianych klocków ogromną wieżę.

– Kiedy wróci tata? – pytał raz za razem, spoglądając tęsknie w stronę drzwi. – Mieliśmy razem zbudować zamek.

Stefania powiodła wzrokiem po mieszkaniu, kierując go w stronę bawiącego się synka.

– Na pewno niedługo wróci! – rzuciła przez ramię, wracając do prasowania rozstawionego na środku pokoju. Na stole rozłożony był ręcznik, a na nim stało rozgrzane, ciężkie żelazko. W metalowej misce leżały rzeczy do prasowania, zaś na krześle poskładane w kostkę ubrania. – Nie jesteś głodny? Może zjemy kolację? Usmażyć ci naleśniki?

– Nie, nie jestem. – Chłopiec pokręcił głową. – To znaczy jestem, ale zaciekam na tatę. – poprawił się po chwili.

Ścisnęło ją w piersiach na te słowa, zrobiło jej się jakoś przykro i smutno. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale z minuty na minutę ogarniał ją coraz większy niepokój. Tadeusz powinien wrócić co najmniej dwie godziny temu. Co się stało? Ostatnio wciąż miał problemy w pracy, nadgodziny, awarie, kłótnie z podwładnymi...

Westchnęła ciężko, odłożyła na chwilę składanie ręczników.

– Wiesz co, Antoś? A może porysujemy trochę? Namalujesz mi zwierzaka, którego chciałbyś dostać na urodziny. Co ty na to?

Chłopiec ożywił się na sekundę. Podniósł ładną, okrągłą buzię o ciemnej karnacji, przewrócił ze zdumienia ogromnymi niebieskimi oczami.

– Będę mógł mieć psa? – wykrzyknął, nie kryjąc zachwytu.

– Jeszcze nie teraz, dopiero jak urodzi się dzidzius i trochę podrośnie. Ale najpierw musisz mi go narysować, dokładnie opisać, dobrze?

– No, dobrze... – mruknął zawiedziony i pacnął ze złością w wieżę, która rozpadła się na drobne części. – Nie chce mi się dalej budować! – zawołał i wstał nagle. Niespodziewanie ruszył w jej stronę, przeciął prostokąt dywanu i znalazł się tuż przy stole. Nie zdążyła zareagować, kiedy dzieciak zawadził o ciągnący się od gniazdka do żelazka kabel. Metalowy, ciężki przedmiot zachwiał się na krawędzi blatu i runął z impetem w dół, uderzając Antosia w palec u nogi. Wrzasnął, w sekundzie zrobił się czerwony, tymczasem stopka urządzenia zatopiła się w dywanie, co potwierdził niemal natychmiastowy smród tłęcej się wełny. Kobieta zdążyła tylko chwycić za rączkę, ustawić je do pionu, po czym porwała malca i odciągnęła na bok. Szarpnęła go przy tym z całych sił, czując jednocześnie ogromny ból w dole brzucha. Usadziła drące się dziecko na krześle, zsunęła z nogi skarpetę. Duży palec drobnej stópki był czerwony i napuchnięty.

– Ałć, boli! – jęknął.

– Już, skarbie, mamusia zrobi ci opatrunek. Zaraz ci przejdzie, obiecuję...

Znów się zerwała, ostatkiem sił przemieściła się do łazienki, zamoczyła tam ręcznik i przybiegła z powrotem do pokoju.

– Już dobrze, już dobrze... – szeptała, owijając małą stópkę zimnym okładem.

Antoś płakał już coraz mniej, przytuliła więc synka do siebie z całych sił. Potem dźwignęła malca i przeniosła na łóżko.

– Poleż trochę, zaraz przestanie boleć... – Głaskała go po włosach, całowała po policzkach i zaciśniętych w piąstki rączkach. – Przepraszam, skarbie, powinnam bardziej uważać...

Chłopiec popłakiwał nadal, choć nieco ciszej, tymczasem Stefka poczuła ostry, rwący ból w podbrzuszu. Zaraz też zauważyła mokrą plamę na sukience, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że właśnie zaczęła się poród. Przerazona rozejrzała się po mieszkaniu. Co robić? Jest przecież sama, z dzieckiem, w dodatku ten wypadek... W tym momencie pomyślała o sąsiadce. Może jakimś cudem będzie w domu? Może jeszcze nie wyszła do pracy?

– Poleż chwilę, mamusia zaraz wróci – zwróciła się do pojękującego coraz słabiej synka. – Poproszę ciocię Renę, aby tu przyszła.

– Ale po co? Tatuś nie lubi cioci Reny! – zaprotestował malec. – Zdenerwuje się, jak ją zobaci.

– Naprawdę? Tak ci powiedział? – Nie kryła zdumienia, choć w tej chwili ten problem przyćmił inny. Był nim kolejny, silny skurcz. Zaciśnęła zęby, chwyciła się za brzuch i resztką sił niemal wyczołgała się z mieszkania. Dotarła do znajomych drzwi i nacisnęła przycisk dzwonka.

– Jesteś! Co za ulga! – zawołała uszczęśliwiona na widok sąsiadki ubranej w elegancką sukienkę z głębokim dekoltem. – Chyba zaczęłam rodzić, pomóż mi, proszę...

– Jesteś sama? – spytała rzeczowo Rena, której twarz w sekundzie zrobiła się biała jak ściana. – Co mam zrobić?

– Zajmij się Antkiem, trzeba zadzwonić po pogotowie!

– Dobrze, zaraz to zrobię! Najpierw zaprowadzę cię do mieszkania!

Kiedy dotarły, kazała się Stefce położyć i głęboko oddychać.

– Zejdę na dół. U Zalewskich jest telefon! – krzyknęła i wybiegła.

Kilka minut później była z powrotem. Pomogła rodzącej się przebrać, spakowała do podróźnej torby najpotrzebniejsze rzeczy: koszulę, szlafrok, pantofle, szczotkę do zębów... Pogotowie przyjechało po kilkunastu minutach.

– Rozwarcie na cztery palce! – oświadczyła tęga pani doktor po pierwszym wstępnym badaniu. – Chłopcy, dawajcie nosze! – zawołała dziarsko w stronę dwóch młodych w białych fartuchach. – Pospieszcie się, bo inaczej urodzi nam w karetce!

– Mamuś, mamuś! Nigdzie nie pojedziesz! Nie zostawiaj mnie samego! – zaczął protestować Antek, widząc, jak obcy mężczyźni układają matkę na wznak i wynoszą z mieszkania.

– Synku, wróć niedługo. Ciocia się tobą zaopiekuje, tylko nie płacz, proszę! – jęknęła bezradnie.

– Nie cię z ciocią, chcę z tobą!

Rena uścisnęła jej rękę.

– Nie martw się, Stefcu, zaopiekuje się małym. Wszystkim się zajmę, będzie dobrze...

– Dziękuję, kochana... – Urwała, bo kolejny, jeszcze silniejszy skurcz pozabawił ją głosu.

\*\*\*

Tadeusz znów przeproszał. Tym razem zasiedział się z kolegami przy wódeczce. Romkowi, kumplowi od boksu, urodził się syn. Nie mógł odmówić. W końcu pierworodny.

Podobno mocno się zdziwił, kiedy po powrocie zastał w domu obcą kobietę, w dodatku nielubianą sąsiadkę. Ta chłodnym tonem oświadczyła, że jego żona zaczęła rodzić, zabrało ją pogotowie, a Antek ma opuchnięty od uderzenia ciężkim żelazkiem palec. Potem, robiąc wymowną minę, wyszła. Nawet jej nie podziękował, choć powinien. Te wszystkie wieści wprawiły go w osłupienie. Może trochę nim wstrząsnęły, kto wie? Fakt był taki, że następnego dnia przybiegł pod szpital położniczy z bukietem kwiatów i pilną wiadomością do żony, którą chciał przekazać przy pomocy młodej pielęgniareczki. Ta oczywiście mu nie odmówiła. Urok Tadeusza wciąż działał na kobiety. Pisał w liście, jak bardzo ją kocha, jaka jest ważna dla

niego i niezwykła. Od tej pory będzie już posłuszny, oddany, nie będzie się spóźniał. I w ogóle – będzie pięknie!

Tak przynajmniej obiecywał, kiedy po tygodniu odbierał ją ze szpitala z nowo narodzoną córeczką.

– Jak jej damy na imię? – spytała.

Milczał dłuższą chwilę.

– Może Weronika? Po babci i niani?

– Dobrze, niech będzie Weronika – zgodziła się bez słowa sprzeciwu. To imię wydało jej się interesujące i nawet bardzo piękne.

Potem wrócili do poprzednich spraw. Tadeusz zaczął się znów kajać i wyjaśniać. Stefania przyjęła przeprosiny, nie zastanawiając się dłużej nad przyczynami jego zachowania. Miała teraz ważniejsze sprawy na głowie. Małeństwo domagało się ciągłego zainteresowania, a Antoś coraz częściej okazywał zazdrość.

– Nie lubię jej!

– Kogo nie lubisz?

– Mojej siostry, a kogo? – fuknął, rzucając w kierunku kołyski nienawistne spojrzenie.

– Dlaczego, co ona ci zrobiła? Zobacz, jaka jest maleńka i bezbronna. Ty przy niej jesteś dużym chłopcem, powinienes się nią opiekować. – próbowała tłumaczyć mama, nie rozumiejąc w pełni zachowania syna.

– Musisz z nim porozmawiać – zwróciła się do męża, kiedy byli już sami, a dzieci spały. – Antek stał się zaborczy i zazdrosny. To nie jest normalne. Myślę, że on prosi w ten sposób o uwagę.

– Też wymyśliłaś! – mruknął Tadeusz, odwracając się na drugi bok. – Może trzeba mu dać porządnego klapsa w tyłek? Chłopak w tym wieku, a tak się mazgai. Co to ma znaczyć?

– Ciągłe nie masz na nic czasu, na wychowanie syna też nie – odparła, nie kryjąc złości. – Coś mi kiedyś obiecałeś, zapomniałeś już?

– Co takiego? – wymamrotał, ziewając szeroko. – Masz mi coś do zarzucenia? Nie zarabiam na dom?

– Nie o to chodzi – odparła z naciskiem. – Przecież wiesz... Mam wrażenie, że zaniedbujesz nas... Ciągłe ciebie nie ma, spóźniasz się, nie dotrzymujesz słowa...

Mąż nie odpowiedział. Pomyślała, że szuka odpowiednich słów, aby się wytłumaczyć, tymczasem do jej uszu po chwili dotarło głośnie pochrapywanie.

– No, to sobie porozmawialiśmy – skonkludowała cicho i bezradnie. Nie mogła jednak zmrużyć oka, wstała i poszła do kuchni napić się wody. Po drodze nachodziły ją różne myśli. Między innymi ta, że jej małżeństwo przeżywa trudny czas.

\*\*\*

Następnego dnia ponownie nawiązała do wcześniejszej rozmowy. Tadeusz wrócił tym razem zgodnie z planem, zjadł przygotowany przez nią obiad i zagłębił się w fotelu z gazetą. Z radia cicho sączyła się muzyka, Antoś malował swojego upragnionego psa przy stole, sapiąc przy tym i robiąc śmieszne miny, zaś Weronika, najadłszy się wpierw do syta, smacznie spała. Pochylając się nad łóżeczkiem, sprawdzając, czy nic jej się nie ułalo, Stefka myślała o swoich obawach sprzed kilku miesięcy. Jak mogła sądzić, że nie pokocha tego maleństwa równie mocno. Ależ była głupia! Uśmiechając się do własnych rozważań, przeniosła się do pokoju, w którym odpoczywał jej mąż. Zanim usiadła obok, przymknęła wielkie, dwuskrzydłowe drzwi łączące dwa pomieszczenia.

– Tadeusz... zrobić ci coś do picia? – zaczęła ugodowo.

– Tak, poproszę – mruknął pod nosem, nie przeczuwając podstęp.

Wstała i poszła do kuchni, by po chwili wrócić ze szklanką świeżo zaparzonej herbaty. Znała już jego nawyki, wiedziała, że najbardziej lubi mocną, czarną, osłodzoną dwiema łyżeczkami cukru.

– O, dziękuję, kochanie! – Oderwał wzrok od stronicy „Głosu Robotniczego” i uraczył ją łaskawym spojrzeniem.

– Chciałabym cię o coś zapytać, wcześniej nie było możliwości, dlatego chcę wykorzystać moment, że jesteś – odezwała się po chwili, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Poruszył się nieznacznie w fotelu, zamknął świeżo zadrukowaną prasę i odłożył na bok.

– Zapalę sobie – bąknął, pochylając się ku leżącej na blacie stołu paczce papierosów.

– Dlaczego nie lubisz naszej sąsiadki, Renaty? – przystąpiła do ataku. – Co ona ci złego zrobiła?

Odpalił mocnego i zaciągnął się nim głęboko. Przysunął bliżej popielnicę z grubego szkła.

– Przecież wiesz! – sarknął gniewnie. – To kolaborantka, zdrajczyni narodu, łajdaczka i degeneratka. Mało ci jeszcze?

– Kto ci tych głupot naopowiadał? Jak możesz tak kogoś oczerniać, nie mając podstaw?

– Ja nie mam podstaw? – zaśmiał się lekceważąco. – A nasi chłopcy z podziemia też ich nie mieli? Za co wykonali na niej wyrok? Jak sądzisz?

– Została niesłusznie oskarżona! – Stanęła dzielnie w obronie kobiety. – Poznałam jej historię i troszkę już wiem... Nawet Józia myliła się co do niej.

– No, proszę! – Podniósł głos. – Nawet twoja wspaniała Józia! I do niej nie masz jakoś pretensji?

– Nie, bo Józia nie nastawia przeciwko niej dzieci. Dbą o swój dom, nie spóźniają się wiecznie i kochają swojego męża! – wyrecytowała jednym zdaniem.

Strzepnął popiół do wnętrza naczynia, tym razem jakoś nerwowo, palce mu zadrżały.

– Chcesz powiedzieć, że nie dbam o dom, o ciebie, o dzieci? – syknął oburzony i zerwał się gwałtownie z fotela. Przemierzył pokój kilka razy, zatrzymał się przy oknie i przez dłuższą chwilę obserwował ulicę.

– Chcę powiedzieć, że ostatnio czuję się zaniedbywana. Nie tylko ja, ale także maluchy. Wciąż cię nie ma, znikasz na całe wieczory, nie masz



ochoty ze mną rozmawiać, rozwiązywać problemów. Po prostu cię nie ma. Nawet jak jesteś, to jakiś nieobecny. Kiedyś byłeś zupełnie inny. Chciałabym, aby tamte czasy wróciły.

Wciąż stał w oknie, odwrócony do niej tyłem.

– Czy mógłbyś na mnie spojrzeć, kiedy do ciebie mówię? – warknęła, tym razem nie panując już nad złością.

– Ale po co? – rzucił przez ramię. – Skoro tylko mnie oskarżasz! Jest chociaż jedna pozytywna rzecz w moim zachowaniu? – sarknął nieprzyjaźnie.

– Może to – odparła zdławionym głosem – że wciąż jesteś ojcem naszych dzieci, a moim mężem, którego kocham... Chciałabym, aby wrócił Tadeusz sprzed kilku miesięcy. Czy to aż takie trudne? Jeśli nie masz ochoty się zmieniać, to chociaż powiedz, co się dzieje. Czy ja jako żona cię rozczarowałam? Nie staram się tak, jak powinnam?

– A kiedy się ostatnio kochaliśmy? – ryknął wściekle. – Myślisz, że jestem z kamienia?

Najpierw zapadła cisza, Stefka myślała o czymś intensywnie, potem wstała, podeszła do męża i przykryła dłonią jego ramię.

– Nie sądziłam, Tadek, że o to chodzi. Mogłeś mi o tym powiedzieć. Przecież wiesz, że lekarz zabronił w ostatnim trymestrze...

– No, właśnie! Zabronił! I co by ta rozmowa pomogła?

– Jesteś niesprawiedliwy! – zaoponowała. – Mogliśmy przecież zrobić to inaczej. Rena mi powiedziała, jak ten problem rozwiązać. Nie wiedziałam, że to takie proste...

Szarpnęła go lekko, chcąc spojrzeć mu w twarz, jednak on oderwał się od okna, wyminął ją i jak szalony rzucił się ku drzwiom.

– Znów ta Rena! Jak mogłaś opowiadać jej o naszych intymnych sprawach? I to komu? Tej ladacznicy? To obrzydliwe! – ryknął i wypadł jak huragan z pokoju.

Nie zdążyła go zatrzymać, zresztą nie miała już na to sił. Klapnęła przy stole zrezygnowana, nasłuchując jeszcze, jak trzaskają drzwi wyjściowe.

Miała w tej chwili ochotę rozszlochać się na dobre, kiedy do pokoju wsunął się Antoś, trzymając w ręku kartkę z namalowanym na niej psiakiem.

– Dokąd poszedł tata? – spytał, krzywiąc buzię do płaczu. – Obiecał mi, że zbudujemy pociąg. – Znów go nie ma, a przecież przed chwilą mówił, że zaraz... – dodał, chlipiąc z żalem.

Podbiegła do malca, kucnęła przy nim i przytuliła z całych sił.

– Niedługo wrócił, zapomniał kupić papierosy. Ale jak chcesz, to ja zbuduję z tobą pociąg. Z całym ogromnym składem. Zgoda?

– No, dobrze... – chlipnął ponowie, kładąc twarzyczkę na jej ramieniu. – Wolałbym z tatą, ale skoro jego nie ma...

Odetchnęła z ulgą, dziękując Bogu za to, że obdarzył ją takim rozsądnym dzieckiem.

\*\*\*

Krystyna Rudzka przyszła w piątek, czyli dzień targowy. Przytargała ze sobą bochen świeżo upieczonego chleba i słoik ubitego, pachnącego masła.

– Dziękuję, mam, jesteś kochana! – zawołała córka na widok podarzków. – Tak się cieszę, że nas odwiedziłaś!

– Pomyślałam dziecko, że zajmę się wnukami, a ty wyjdź z tego domu i ochłoń trochę. Takie zamknięcie się i obarczenie obowiązkami nikomu jeszcze na dobre nie wyszło. Wzięłam sobie dzień wolnego w robocie, więc się nie spiesz. Ja chętnie posiedzę z dziećmi. Stęskniłam się już za nimi!

– Dobrze, w takim razie pójdę na rynek, kupię warzywa, jajka, ser... – ucieszyła się córka wyliczając kolejno. – Może zajrzę jeszcze do Łodzianki. Zobaczę, jak sobie radzi ta nowa.

– Lepiej sobie coś kup albo idź do fryzjera – zwróciła jej uwagę nieco uszczypliwym tonem. – Od dawna nie masz nic nowego, wciąż donaszasz stare rzeczy po babce. Nie stać cię? To wstyd przecież! Żona takiej szychy na kolei powinna wyglądać szykownie.

– A nie wyglądam? – zdziwiła się Stefka, podchodząc do lustra w korytarzu i przyglądając się z obawą swojemu odbiciu.

– Oj, córuchna! Nie zastanawiaj się, tylko słuchaj starej, doświadczonej matki. Już ona wie, co mówi! – Roześmiała się na jej widok, głaszcząc główkę malca, który podbiegł do babci, domagając się uwagi.

Stefania nie skomentowała tych słów, tylko w pośpiechu przekazała rodzicielce najważniejsze informacje dotyczące opieki nad dziećmi, spięła włosy w kok, ubrała się i wyszła. Chwilę później chłonęła piątkową atmosferę miasta. Mijały ją głośnie, cmokające furmanki, rozpędzeni rowerzyści, posapujące auta, obładowane zakupami kobiety. Kurz unosił się nad gwarną ulicą tonącą we wczesnopołudniowym słońcu. Otwierała się już pijalka po przeciwległej stronie, a spragnieni amatorzy napojów wysokowych z dodatkiem śledzia, porcji tataru i pieczonego dobijali w pośpiechu do drzwi. Na narożnikach odrapanych kamienic, pod łukowatymi sklepieniami, siedziały kwaciarki z wiadrami pełnymi tulipanów, których soczyste kolory przypominały jej ogródek ciotki Reginy, kuzynki mamy ze wsi pod Łodzią. Jeszcze przed wojną spędzała u niej niemal każde wakacje. Teraz wspomniała spacer po łące, bieganie na bosaka w deszczu, wyprowadzanie krów na pastwisko czy smak świeżo wydojonego mleka. Wszystko miało tam swój czas, rytm i miejsce. Noc i dzień, dni tygodnia, pory roku, wschody i zachody słońca... Westchnęła cicho na samą myśl.

Poczłapała dalej, w stronę najbliższego targowiska u zbiegu Zielonej i Żeromskiego. Plac powstał w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku na terenie włączonej do Łodzi dzielnicy Wiązowej, był wtedy nazywany Wiązowym Rynkiem. Od tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku nazywany był Zielonym Rynkiem, a w dziewięćset trzydziestym czwartym roku zyskał imię Ignacego Boermera, które po wojnie zmieniono na imię socjalistycznego działacza, przywódcę partyjnego Norberta Barlickiego.

Przemieszczając się w tamtą stronę, stukając niskimi obcasami po kocich łbach, mijała drewniane chałupy, w których od frontu mieściły się małe sklepiki i punkty usługowe. Zaglądała w brudne, zakurzone witryny, przeglądając się w nich mimo woli. Nie była tak piękna jak kiedyś, choć na-

dal niebrzydka. Mogła się podobać, ale mijały ją ładnie ubrane, zadbane kobiety, które wyglądały o niebo lepiej niż ona. Zasmuciła ją nieco ta konkluzja, przełknęła ją niczym gorzką pigułkę. Droga już ją zmęczyła, niepotrzebnie się tak wystroiła, założyła za szczupłą sukienkę i skórzane czółenka, które cisnęły ją w palce. Za karę, gdyż pierwszy raz nabyła buty w sklepie, a nie wykonał ich jej tatko. Gdyby tylko się dowiedział! Podobały jej się, miały zgrabny nosek i srebrną klamerkę na wierzchu. Za tę próżność musiała teraz cierpieć, myśląc już tylko o tym, aby ściągnąć z siebie to wszystko, założyć luźny strój, w którym zwykle poruszała się po mieszkaniu.

„Trudno, będę musiała to jakoś znieść” – pomyślała. Zacisnęła zęby ze złości na samą siebie. Nabrała ciała, a jeszcze niedawno była taka szczupła, miała wąską talię, której zazdrościły jej wszystkie koleżanki w szkole. „Może jednak powinnam skorzystać z tramwaju?” – przemknęło jej przez głowę. „Nie, przejdę się, dobrze mi to zrobi na cerę, na figurę też. Jest taka ładna pogoda, słońeczko świeci” – stwierdziła, spoglądając na czyste niebo pozbawione niemal chmur.

Kilka minut później znalazła się na targowisku. Czegóż tam nie było! Gdaczące kaczki, piejące koguty, kwiczące różowe świniaki, popiskujące, maleńkie kociaki ułożone na dnie wiklinowych koszyków, wreszcie chłopcy z furmankami, chłopcy z dwukólkami sprzedający garnki, kotły, miednice, mioty, a także sprzedawcy warzyw, owoców... Barwna, wrzeszcząca, ruchliwa masa wypełniała ziemisty teren przeznaczony na wymianę towaru, cieszący się w mieście ogromną popularnością. Na brudnych, materiałowych płachtach leżały wszelakiej maści fajanse, książki, kubki, porcelanowe figurki, sztuce, a nawet obrazy. Niepozornie wyglądający koneserzy znający się na sztuce przychodzili i podpatrywali, zaglądali w narożniki dzieł, obracali nimi na wszystkie strony, ustawiając pod światło, pod różnym kątem, szukając prawdziwych perełek zawieruszonych w czasie wojny. Konie rżały i prychały, trzęsąc łbami, niecierpliwie przydeptyjąc z nogi na nogę, dźwięcząc podkowami i uprzężą. Krzyki, nawoływania wypełniały gęste powietrze unoszące się nad tym osobliwym miejscem. Stefka

chłonęła ten klimat, zapominając naraz o wszelkich niedogodnościach, szybko znalazła swoją ulubioną handlarzkę i podeszła do niej, z marszu decydując się na świeży twaróg, mleko i mendel jaj.

– Jak tam mąż? A dzieciątka zdrowe? Mała chowa się dobrze? – pytała raz za razem kobieta, kiedy kolejno wyciągała jaja z wiklinowego koszyka, owijając je podartą gazetą. Siedziała na niskim zydlu, tuż przy ziemi, z ramionami zakrytymi wielką, kraciastą chustą. Z błyszczącego czoła kapały grube krople potu, jej twarz okolona garstką siwych włosów była wysuszona, wyżłobiona kilkoma bruzdami, usta wąskie, z opuszczonymi kącikami ust próbowały wygiąć się w życzliwym grymasie.

– Dziękuję, wszystko dobrze – odpowiadała Ostrowska, zmuszając się do uprzejmego tonu. Zwykle była wygadana, zamieniała z handlarzką niejedno zdanie, w którym opowiadała o swoich dzieciach, małżeństwie, najbliższych. Ona też chętnie dzieliła się swoim życiem, tym znacznie cięższym, na wsi, gdy będąc już wdową, miała na wychowaniu czwórkę jeszcze nieletnich dzieci. Wyglądała staro, choć podobno nie przekroczyła pięćdziesiątki. Stefka zawsze się temu dziwiła, patrząc na tę steraną, zaniedbaną kobietę. Kiedyś nawet doszła do wniosku, że postarzał ją brak przednich zębów, i jakby na tej konkluzji zaniechała dalszych dochodzeń. Wtedy przestała się dziwić i zastanawiać. „Jest tak jak jest, inaczej nie będzie. Każdy jest przecież kowalem własnego losu” – podsumowała filozoficznie, zostawiając ten temat za sobą.

– Sama paniusia będzie wszystko tachać? – drążyła niemłoda kobieta, rącząc ją bezzębnym uśmiechem.

– A co tu tego jest? Nie dam rady? – spytała lekko. – Kilka jajek, kilo sera i litr mleka?

– Tylko się tak wydaje, a paniusia przecież świeżo po porodzie... W dodatku taka śliczna, taka elegancka, aż miło popatrzeć... Drugiej takiej w okolicy nie ma.

– Ależ co pani wygaduje, jak nie ma? Wystarczy się rozejrzeć! – zaprotestowała, udając oburzenie, ale zaraz spłonęła rumieńcem. – Ale dziękuję, to

bardzo miłe... Co do porodu, to nie tak niedawno, już ponad cztery miesiące będzie.

– Niech panusia uważa, żeby się nie oberwała. Wiem coś o tym! – Zerknęła na nią z ukosa, mrugając porozumiewawczo. – My, kobiety, nie dbamy o siebie. Myślimy, że uroda i zdrowie dane nam są na zawsze. A tu bęc, i już! Nie ma! A mężowie na baby łasi! – Zachichotała wymownie, podając jej szklaną butelkę wypełnioną białą cieczą.

– Ano – potwierdziła młoda kobieta, nie siląc się na bardziej rozbudowaną odpowiedź. – Ech, życie!

– Sama kiedyś byłam ładna, aż się patrzy, najśliczniejsza we wsi. Nie było kawalera, który by ze mną nie chciał iść do ołtarza – podjęła temat rozmówczyni, wprawiając Stefkę w niemałe zdumienie. Patrząc na tę brzydką, pozbawioną wszelkiego uroku postać, aż trudno było w to uwierzyć.

– No, co? Dziwi mi się panusia? – prychnęła tamta zaczepnie. – A było tak, było. Przebierałam, wybrzydzałam i... wybrałam największego łajdusa we wsi. W dodatku hulakę i awanturnika. I co z tego, że gładziutki był, ładniutki, panny się za nim oglądały? – Machnęła zrezygnowana ręką. – A że się oglądały, to i on nie umiał odmówić. Ileż ja łez wylałam ze zgrzyoty i upokorzenia, sam Pan Bóg wie najlepiej. Ale co tam złe wspominać? Było, minęło... Niech mu ziemia lekką będzie! Już dziesięć lat na jesień minie, jak kwiatki gryzie od spodu. Zostałam sama z dzieciaczkami, choć wcześniej i tak liczyć na niego nie mogłam. Ale, jak to mówią, lepszy taki niż żaden – skwitowała cicho.

Ostrowska przysłuchiwała się tym zwierzeniom ze smutkiem, ogarnęła ją empatia i zrozumienie na krzywdę drugiej osoby. Zaczekała cierpliwie, aż tamta zakończy swój gorzki wywód.

– Dziękuję, niech Bóg pani darzy! Przyjdę za tydzień! – Pożegnała się, podziękowała i poszła dalej, niosąc zakupy w szmacianej torbie, a w szczególności uważając na jaja, by się nie potłukły. Wkręciła się w nawołujący tłum. Ktoś krzyczał, że ma do sprzedania nioski, ktoś inny, że mąkę ze młyna, a ktoś jeszcze, że świeży brzuszek i żeberka. Różne typy kręciły się

po okolicy, drobni złodzieje, handlarze, lokalne cwaniaczki, a także stare Cyganki w długich kwiecistych sukniach. Te zagadywały najczęściej młode kobiety, zastępowały im drogę, namawiając nachalnie na wróżbę, obiecując zwykle świetlaną, usłaną różami przyszłość. Pod nogami prześlizgiwały się bezdomne, wychudzone koty, psy, a nawet króliki. Pomyślała wtedy, że może czas przygarnąć do domu jakiegoś zwierzaka, Antoś oszalałaby ze szczęścia. Jednak w tym momencie uwagę jej przykuły zwisające na rozciągniętych sznurkach i powiewające niczym ulańskie chorągwie płachty materiału. Kolorowe, kwiatowe wzory kusiły i przyciągały wzrok. Podeszła bliżej, wyciągnęła rękę i pomacała rąbek tkaniny. Była szorstka, choć mięsiasta. Chwilę ważyła myśli, nie mogąc się zdecydować na odpowiedni wzór, wreszcie podjęła decyzję.

– Poproszę ten. – Wskazała palcem kupon zielonej, cienkiej żorżety pokrytej polem czerwonych maków.

Zanim się obejrzała, już miała w torbie kolejny pakunek. Zakupiła jeszcze kiszoną kapustę i czerwone buraki, a potem zadowolona opuściła targowisko.

W pewnej chwili dobiegł do jej pleców męski, znajomy głos.

– Stefania?

Zaskoczona odwróciła głowę.

– Roman? Co tutaj robisz?

Miała przed sobą postawnego, wysokiego mężczyznę, syna krawcowej – Marii Kawki.

– Ja? Dopiero co skończyłem zmianę w fabryce. Wracam do domu. A ty?

– Jak widzisz... wybrałam się na zakupy. Też wracam do domu.

– W takim razie pomogę ci. – Pochylił się i odebrał z jej rąk ciężkie siatki.

– Nie trzeba, Roman! – zaprotestowała, ale już było za późno.

– Oj, Stefka! – Zaśmiał się. – Gdybyś mnie chciała, nie musiałabyś teraz dźwigać tych tobołów.

– Czyżby? – zadrwiła. – Jaka to wielka rzecz w porównaniu z całą resztą? Po tym, co oboje przeszliśmy, nie powinieneś nawet mówić w ten sposób.

Taczki z kamieniami, worki na plecach, nieustanny głód, strach... Czy to się da porównać z tymi kilkoma kilogramami w torbie?

Spojrzała mu w zawstydzoną mocno twarz. Usiłował schować gdzieś wzrok, ale bez powodzenia. Przyglądała mu się wnikliwie i nieco oskarżycielsko.

– Chciałem dobrze... – wybąkał.

– Chciałeś, abym poczuła, że źle wybrałam – odparła twardo, nie spuszczać zeń wzroku. – Dziękuję, Roman, dalej poniosę tę torbę sama.

Odebrała siatki z jego rąk, nie zważając na otwarte z zaskoczenia usta.

– Bądź zdrow! – rzuciła na pożegnanie.



## Rozdział 16

**P**racownia pani Marii należała do maleńkich pomieszczeń, z jedynym oknem od ulicy, pod którym usytuowana została maszyna do szycia marki Singer i stół do krojenia tkanin, zarzucony szablonami, kawałkami materiałów i ogryzkami kredy. Obok stała szafka z szufladami, w której krawcowa trzymała najpotrzebniejsze przybory: nici, nożyce, guziki, igły, i wiele innych szpargałów. Pod ścianą okazałe miejsce zajmował stary, wypłowiały manekin, zwykle zawieszony nieskończoną częścią garderoby, zarzuconą po odwrotnej stronie z poprzetykaną na szwach białą fastrygą. Słup światła, w którym migotały odrobinki kurzu, wlewał się przez mały kwadracik szyby, oświetlając plecy kobiecej, wyprostowanej sylwetki, zwróconej przodem do drzwi, i tej drugiej – pochylonej, w granatowym fartuchu i rozdeptanych, upstrzonych nićmi kapciach.

Stefania stała boso na środku pomieszczenia wyłożonego drewnianą podłogą, w samej halce i pończochach zaczepionych na pasku z żabkami. Czowała się nieco skrepowana, kiedy starsza kobieta, dzierżąc w ręku miarę krawiecką, sprawnie obmierzała obwód jej piersi, talii i bioder, stwierdzając następnie bez zahamowania, że przybyło jej tu i ówdzie po kilka centymetrów.

– Nie martw się, Stefciu, po porodzie zawsze tak jest! – pocieszała ją potem, widząc jej zafrasowaną minę. – Nic na to nie poradzisz. Ale w końcu, czym ty się zajmujesz? Mężczyźni wolą pełniejsze kobiety, nie wiedziałas?

– Taa... – potwierdziła rozmówczyni głosem nasyconym powątpiewaniem. – A potem oglądają się za szczupłymi – skonkludowała gorzko.

– Nie masz innych zmartwień? – zgromiła ją natychmiast. – Najważniejsze jest zdrowie!

Nieco zawstydziła młodą Ostrowską, która nagle zrobiła się czerwona na twarzy, chwyciła zawieszoną na oparciu krzesła spódnicę i zaczęła się ubierać.

Pani Maria miała w końcu rację. Czym to wszystko było wobec nie-szczęść tego świata? Kilka centymetrów w tę, kilka w tę stronę? Jakie to miało znaczenie, jeśli się kogoś kochało?

– To prawda – zgodziła się po chwili, spoglądając na stare dłonie krawcowej, pokłute szpilkami, z plamami wątrobowymi, z długimi szczupłymi palcami wykończonymi krótko przyciętymi paznokciami.

– To jak kroimy? – spytała rzeczowo starsza pani. – Z kloszem na dole czy na prosto?

– A jak będzie lepiej, jak pani myśli?

– Jak dla mnie, to z kloszem. Towaru nam wystarczy, a będzie bardziej szykownie, teraz tak się noszą wszystkie elegantki w mieście – stwierdziła stanowczo. – Weźmy nawet samą Grzelakową – oznajmiła, stawiając jako wzór kierowniczkę sklepu chemicznego przy Bazarowej, która była jej koleżanką. – Poza tym... – tu zatrzymała się na chwilę – w sam raz na wesele. Dotarły do mnie słuchy, że mały Rudzki już w drodze... albo mała... Wesele tuż, tuż... – Zachichotała wymownie.

– O, tak! – potwierdziła Stefka. – Zaskoczył nas ten Stachu, nie powiem! Najpierw zamienił Honoratę na Ewę, a teraz dziecko. Jeszcze niedawno zarzekał się, że potomstwo dopiero po ślubie. Widzi pani, jak to jest?

– Najwyraźniej wcześniej nie trafił na swoją! – odparła rezolutnie pani Maria, wyciągając z materiałowej poduszeczki kilka szpilek. Włożyła je sobie do ust, po czym rozłożyła zwój tkaniny na stole, zrobiwszy na nim uprzednio dostatecznie dużo miejsca.

– Ładny towar, piękny wzór... – mruknęła pod nosem krawcowa, pochylając się nad kuponem materiału.

– To prawda – zgodziła się smętnie Stefania, kiwając głową z powątpiewaniem, nie zwracając uwagi na rzucony przez panią Marię komentarz. Nie miała zaufania do Ewki, przez te kilka miesięcy znajomości jakoś się nie polubiły, a co gorsza, odniosła wrażenie, że dziewczyna nie jest szczerą wobec nikogo. Jej zakochany bez pamięci, zaślepiony brat nie dostrzegał złośliwego charakterku przyszłej żony, zmiennego nastroju, którego następstwem były liczne fochy, kaprysy i roszczenia. Do tego kompletnie nie interesowały jej dzieci, na siostrzeńców narzeczonego spoglądała z niechęcią, nie siląc się nawet na jakikolwiek czuły odruch czy zwykły uśmiech.

– Oj, nie będzie lekko miał z nią Staszek, nie będzie – potwierdziła z obawą sąsiadka, zupełnie jakby przejrzała jej myśli na wylot.

– Dajmy temu spokój! – Ostrowska zmieniła front. – Jak sobie wybrał, tak będzie miał, nam nic do tego! – zaśmiała się, chcąc zburzyć wybudowany przed chwilą mur uprzedzenia do przyszłej bratowej.

Wróciły więc do rozmów znacznie miłszych, takich jak stroje, trendy mody, ostatnie wydarzenia w Łodzi. Pani Maria wspomniała jeszcze o synu, Romanie, że pewnie wkrótce się będzie żenił, bo ostatnio przyprowadził do matki przyszłą narzeczoną. Kolejny raz dała też upust swojej radości, wspominając jego powrót z obozu.

– Całkiem miła dziewczuszka, ta Halinka. – Uśmiechnęła się kącikami ust, w których tkwiły szpilki, po czym pochyliła się nad stołem, kreśląc na tkaninie szarym mydłem kontury poszczególnych części sukienki. Wysupłane z wsuwek kosmyki siwych włosów opadły na czoło, które zmarszczyło się naznaczone skupieniem i uwagą.

Stefka towarzyszyła jej, wierząc się na krzesło obok, spoglądając na te wszystkie czynności z zaciekawieniem. Wiedziała, że jak tylko krawcowa skończy kroić i sfastryguje wszystkie części, wtedy odbędzie się pierwsza miara, na którą z niecierpliwością czekała.

## Rozdział 17

**P**ierwszomajowy pochód dotarł już do placu Wolności, następnie Piotrkowską zmierzał w stronę placu Zwycięstwa. Tam ustawiono przyczepę traktorową, na której miały się odbyć pokazy tańca ludowego, oraz prowizoryczną trybunę udekorowaną kwiatami i zwojami biało-czerwonej tkaniny. Mieli się tam zjechać przedstawiciele władzy państwowej, ci z najwyższych szczebli, którzy po wygłoszeniu kwiecistego przemówienia wręczali nagrody przodownikom pracy oraz tym najbardziej zasłużonym działaczom partii. Po tej części uroczystości odbywały się pokazy artystyczne, w tym tańce, śpiewy, a także uczniowskie popisy recytacji patriotycznych wierszy. Powiewały flagi, fruwały w powietrzu balony. Nad ulicą rozwieszono transparenty, krzyczały z nich propagandowe hasła typu: „Niech żyje pierwszy maja!”, „Niech żyje klasa robotnicza!”, „Naszym celem pokój i socjalizm!”.

Niektórzy skandowali, powtarzali za innymi, śpiew niósł się ponad głowami uczestników pochodu. Dzień wcześniej w wielu zakładach pracy odbyły się uroczyste akademie, na których wyróżniono zasłużonych. Niektórzy otrzymali premie, inni podwyżki, awanse, listy pochwalne, w zależności od zasług i przywilejów. Takim dodatkowym ekwiwalentem mógł się pochwalić Tadeusz, otrzymał podwyżkę płacy i lepsze, bo dyrektorskie stanowisko. Jako żona przyszłego dyrektora mogła być tylko dumna, towarzyszyła mu więc w marszu, parując w zielonej sukni w maki uszytej przez panią Marię i trzymając za rękę Antosia. Zaraz obok w spacerowym wózku pchanym przez małżonka kręciła się na wszystkie strony Weronika. Wykrzywiła głowę to w prawo, to w lewo, machała rączką, w której trzymała

kwiatek wykonany z kolorowej bibuły. Tyle się tutaj działo, było tak gwarno i kolorowo. Na chodnikach stali sprzedawcy waty cukrowej i nawijali białą jak chmurka słodycz na długie patyki. Tymczasem na przodzie pochodu maszerowały dziewczynki w biało-granatowych mundurkach, zaplecionych w warkocze włosach, ozdobionych białymi wielkimi kokardami. Wszystkie śpiewały, niosły też chorągiewki i wymachiwały nimi nad głowami w rytm znanych melodii. Dalej szli sportowcy, szerocy w barach sztangiści, siatkarze, kolarze, drobniutki, śliczne łyżwiarki. Za nimi ciągnęły się tłumnie grupy z łódzkich zakładów robotniczych, farbiarze, włókiennicy i inni. Wśród nich także kolejarze. Ona z mężem i dziećmi szli na przodzie kolumny jako ci bardziej uprzywilejowani, z tyłu maszyniści i pozostali robotnicy. Antoś dzielnie dotrzymywał im kroku, choć w pewnym momencie musieli zjechać z trasy i posilić się szklanką wody z saturatora. Wreszcie doszli do placu Zwycięstwa, gdzie na trybunach zasiedli miejscowi notable. Towarzyszyły im żony, które na tę specjalną okazję wystroili się, nie szczędząc na ten cel ani złotówki. Do tego obowiązkowo pyszne fryzury utrwalone mocnym lakierem, doczepiane rzęsy i pełny makijaż. Stefka uznała, że niektóre z nich wyglądały zbyt przesadnie, z czym także zgodził się mąż. Pogoda dopisywała, z nieba lała się struga światła, za to nad placem unosiły się tumany kurzu. Z boku, na traktorowej przyczepie, kilku chłopaków ubranych w góralskie stroje wywijało z ciupagami, ćwicząc zbójnickiego, zbite w ciasny krąg rumiane dziewczyny w kolorowych spódnicach, białych koszulach i serdakach podskakiwały w rytm tego samego utworu. Na nogach miały kierpce sznurowane nad kostką i skarpety. Wszystkie były śliczne i świeże.

W pewnej chwili, zanim jeszcze zaczęła się oficjalna przemowa, dołączyło do nich dwoje ludzi, jak się okazało – znajomych z pracy Tadeusza. Jedną z nich była niewysoka, szczupła brunetka z burzą czarnych jak heban włosów upiętych wysoko nad czołem. Twarz miała charakterystyczną, bo zaznaczoną dwoma krzaczastymi łukami brwi, prostym nosem i wykrojonymi jak z kartki papieru usteczkami pomalowanymi czerwoną szminką. Policzki też miała pąsowe, skórę twarzy przy tym bladą jak u bajkowej Śnieżki. Ubrana była w czerwoną sukienkę w różyczki, odciętą w pasie

i rozkloszowaną u dołu, z wyciętym w serek dekoltem i lekko przymarszczonymi rękawkami. Coś zakłuło Stefkę na jej widok, może nawet zaniepokoiło. Trzymała pod rękę wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w popielatym garniturze i rozpiętej pod szyją beżowej koszuli w pionowe prążki.

– Witajcie, kochani! – Ostrowski ożywił się na ich widok. – Poznajcie się. To moja żona Stefania, moje dzieci, a to... – zawahał się na moment, mierząc wzrokiem znajomą – Hanna Rozenberg, dla wszystkich: Bajeczka. A to jej narzeczony Witold Różycki.

– Bajeczka – powtórzyła Stefka, taksując nowo poznaną uważnym wzrokiem. – Co za osobliwe przezwisko.

– Prawda? – podchwyciła tamta i wyszczerzyła nierówne, lekko żółtawe zęby. – To dlatego, że kojarzę się wszystkim ze Śnieżką, prawda, kochanie? – zwróciła się do mężczyzny obok, na co on przytaknął, prychając pobłaźliwie.

– Oj, Hania, Hania... – mruknął tylko i sięgnął do kieszeni po paczkę sportów. Następnie wyciągnął ramię w stronę żony kolegi.

– Dziękuję, nie palę – odparła Stefka, nie mogąc oderwać oczu od nowo poznanej. Może nie była uderzającą pięknoscią, ale miała w sobie coś wyjątkowego. Jakiś osobliwy urok, którego nie mogła rozszyfrować. Tadeusz skorzystał i zapalił papierosa, dołączyła do nich również panna Rozenberg. Nawet kiedy paliła i wypuszczała z ust kłęby dymu, robiła to jakoś zmysłowo i prowokacyjnie. Coraz mniej jej się to podobało, dlatego ucieszyła się nawet, kiedy Weronika zaczęła popłakiwać, a Antoś skarżyć, że bołą go nogi.

– Wracajmy już do domu! – zaproponowała.

Mąż wzruszył zrezygnowany ramionami, zgasił papierosa pod podszwą buta i po krótkim pożegnaniu podążyli w stronę przystanku tramwajowego.

– Ładna ta Bajeczka – zagadnęła go po drodze. Zrobiła to umyślnie, czekając na reakcję ślubnego.

– Jaka tam ładna? Taka mała, z krzywymi nogami... – Wyciągnął z kieszeni papierosa i pudełko zapalek.

– Nie zauważyłam... – odparła bez emocji, spoglądając z ukosa na Tadeusza.

Odpalił sporta, robiąc to jednak jakoś nerwowo, zupełnie jakby gdzieś się spieszył. – Ty jesteś ładna – dodał, zaciągając się jednocześnie głęboko dymem.

Potem jednym ramieniem objął ją i mocno zacisnął w ramionach.

– Nie podoba ci się? – drążyła uparcie.

– No pewnie, że nie. Nie rozumiem, dlaczego pytasz – mruknął z pretensją w głosie.

– Tak po prostu. Chciałam się tylko upewnić – dodała nieco spokojniejsza, choć wątpliwości nadal jej nie opuszczały.

## Rozdział 18

**P**rzygotowania do wesela trwały, kiedy z dnia na dzień pan Bronisław Rudzki zaniemógł. Kaszel męczył go od dawna, każdego dnia około czwartej nad ranem miewał ataki, które bagatelizował i zrzucał na karb palenia papierosów. Żona coraz częściej utyskiwała, kiedy ją budził tymi potwornymi dźwiękami, przypominającymi strojącą się do koncertu orkiestrę, tym bardziej że do szóstej, o której wstawiała, nie mogła zmrużyć oka. Próbowwała namówić go na wizytę u doktora, czym nie był w ogóle zainteresowany.

– Tyle hałasu o parę kaszlnięć – burczał pod nosem, kiedy gderanie ślubnej wyprowadzało go z równowagi. Wychodził wtedy na podwórko, tam pozwalał odegrać się swoim płucem, później oczywiście dawał upust wiekuistym nawykom i wyciągał z wymiętolonej paczki mocnego. Wypalał go w spokoju, obserwując budzący się świat z perspektywy niewielkiej przestrzeni, dochodząc jednak czasem do całkiem niegłupich wniosków. Na przykład takich, że na niebie też toczy się życie, że ludzie są wszędzie, a świat w swojej nieskończoności jest niezwykły. Czasem towarzyszył mu pies Antoniego Gila, gagatek nauczył się sam wychodzić z domu i sikać pod płotem. Zatrzymywał się wówczas przy nogawce sąsiada, obwąchiwał ją, warczał, domagając się uwagi. Następnie zniechęcony wracał do siebie, zostawiając mężczyznę samego, z jego przemyśleniami. Bronisław obserwował też mieszkańców, rytm ich dnia, o której wstawali, rozpalali światła, wychodzili do roboty czy wylewali pomyje do rynsztoka. Taka niepozorna chwila, a tyle wносиła w jego życie, które stawało się coraz bogatsze o nowe wnioski i konkluzje. Ostatnio zaczął się jednak martwić. Czuł, że coś nie-



dobrego dzieje się w jego organizmie. Nieustający ból w klatce piersiowej, ucisk, brak tchu powodowały, że spał coraz mniej, a tym samym palił więcej. Rozumiał już, że wizyta u doktora staje się nieunikniona. Myślał też o dzieciach, wnukach, narzeczonej syna, mężu córki. Gdzieś w jego ojcowskim sercu tlił się niepokój o ich przyszłość, jak sobie poradzą, kiedy go zabraknie, czy udźwigną ciężar życia, które z każdej strony nieustannie zaskakiwało. Często też jego myśli szybowały ku żonie, wspaniałej towarzysze i opiekunce, wciąż przecież apetycznej, ładnej i zdrowej. Zadawał sobie po wielokroć pytanie, czy dostatecznie ją zabezpieczył i uposażył. Samej wdowie na świecie źle, a nie miał pojęcia, czy może liczyć na Staszka i jego przyszłą żonę, bo przecież to oni mieli zająć się domem, zapewnić byt rodzinie, starszemu i młodszemu pokoleniu. Wreszcie, co z warsztatem, na syna liczyć nie mógł, ale może któryś z wnuków, Antoś chociażby... Zanim to jednak nastąpi, upłyną lata. Czy zawód szewca ostatecznie się do tej pory? Może powstaną wielkie fabryki, które zaczną masowo wyrabiać obuwie, fleki będą plastikowe, a podeszwy z twardej gumy, którą trudno będzie zedrzeć? Taki rzemieślnik jak on nikomu nie będzie już potrzebny, kto wie, dokąd zmierza ten świat? A na razie w kolejce czekały mokasyny profesora Górskiego, fleki doktorowej Barskiej, czółenka piekarni Bogackiej i wiele innych. Na szczęście, bo póki miał jeszcze siłę, zamierzał kleić zelówki i nabijać obcasy.

Jednak pewnego przedpołudnia zaraz po śniadaniu chwyciły go takie duszności, że trzeba było wezwać pogotowie. Na szczęście w domu była Krystyna i dopilnowała, aby jej mąż trafił pod właściwą opiekę. Sama, biedaczka, nie mogła patrzeć na męczącego się Bronka, który na jej oczach zaczął sinieć i sztywnieć. Zaalarmowała sąsiadów, przybiegł dozorca i pani Maria, ale niewiele mogli pomóc, zwłaszcza że w płwocinach dostrzegli z przerażeniem wielkie skrzepy krwi.

Po kilku kolejnych nerwowych dniach, gdy to na zmianę biegali wszyscy do szpitala, okazało się, że senior Rudzki dorobił się raka płuc. Nowotwór był nie tylko złośliwy, ale też zaawansowany, trzecie stadium, rozsiany po całym układzie oddechowym. Sama Ewa, przyszła synowa, wyprosiła

u swojego profesora, znamienitego fachowca w tej dziedzinie, fachową poradę i pomoc. Mimo szczerych chęci na tę ostatnią było już za późno.

– W najlepszym układzie... trzy, cztery miesiące – zabrzmiał wyrok, który usłyszała tylko ona. Musiała tę wiadomość przetrwać jakoś, zatrzymać dla siebie, nie zamierzała tej okropnej informacji przekazywać rodzinie. Próbowwała rozmawiać o tym jedynie ze Staszkiem.

– Dopóki żyje, jest nadzieja – skwitował jej przyszły mąż, kiedy usiłowała sklecić słowa w taki sposób, aby najmniej zaboląły. – W twoim stanie przebywanie w szpitalu jest niewskazane. To może zaszkodzić dziecku – uznał, prześwietlając wzrokiem jej sylwetkę.

Nie podejmowała więcej tej rozmowy, choć powinna. Myślała samolubnie, bo o weselu, które zaplanowane było za kilka miesięcy, wydanych pieniądzech i zaangażowaniu wielu osób. W kościele wisały już zapowiedzi, ślub był opłacony, wódka kupiona, jej sukienka się szyła, a brzuch rósł. A co, jeśli pan Bronisław umrze przed wyznaczonym terminem? Co wtedy? Czy to nie będzie zły znak, który rzuci cień na ich przyszły związek? Zależało jej na tym małżeństwie, miała już swoje lata, ciąża była coraz bardziej widoczna, a dawne zakochanie w doktorku wywietrzało jej z głowy po tym, jak wrócił do żony i zafundował jej kolejnego bachorka. Ewa nie spodziewała się takiego afrontu, zwłaszcza że obiecywał jej ślub i miłość do grobowej deski. „Żałosny drań!” – pomstowała w duchu. Dobrze, że pojawił się na horyzoncie Staszek. Okazał się całkiem miłym, charakternym chłopakiem, w dodatku przystojnym i urodziwym. Tyle razy zachodził do niej w konkury, przynosił kwiaty, bombonierki, zebrał o jedno spojrzenie, czułe słowo, wystawał pod szpitalem. Zawsze go zbywała, robiła to czasem w sposób nieuprzejmy, że w końcu zniechęcił się na dobre. Musiało minąć kolejnych kilka lat, musiała przewartościować swoje życie, aby dojrzeć do nowych związków i pogodzić się z faktem, że nie zostanie panią doktorkową. Jak na złość nikt się nie trafiał, a latka leciały. Miała już za sobą dwadzieścia sześć wiosenek. W otoczeniu szeptano: stara panna.

Pewnego zimowego popołudnia spotkała go ponownie. Wychodził z kina w towarzystwie uwieszanej na nim dziewczyny, całkiem niebrzyd-

kiej, okrągłej i rumianej jak dojrzała brzoskwinia. Wracała z dyżuru, zmęczona i sfrustrowana, kiedy nagle dostrzegła, że jej niedawny adorator obejmuje czule kobietę ubraną w barani kożuszek i szepcze jej coś do ucha. Wtedy ją zakłóło, może to była zazdrość, może coś innego, może wreszcie zrozumiała, że zaprzepaściła szansę na bycie u boku kogoś, kto na nią zasługuje. Wymienili się spojrzeniami, w jego oczach coś zaiskrzyło i zgasło. Minęli ją, obściskując się w dalszym ciągu, a ona stała na ubitym śniegu, wodząc za nimi wzrokiem. Pusto się jakoś zrobiło, choć wokół pełno było ludzi, którzy śmiejąc się, dzieląc wrażeniami opuszczali wieczorny seans w Zachęcie. Tego dnia postanowiła odzyskać to, co utraciła. Szybko ustaliła adres uczelni, gdzie studiował ostatni rok, po czym udała się tam następnego tygodnia. Niby przypadkiem przechodziła obok, gdy kończył zajęcia, niby przypadkiem poślizgnęła się na chodniku i skręciła kostkę, niby przypadkiem musnęła go wargami w policzek, kiedy się nad nią pochylał, aby zobaczyć, co się stało. Znów spojrzeli sobie w oczy, tylko tym razem dłużej, a potem pomógł jej wstać i odprowadził do domu. Pozwoliła zaprosić się następnego dnia na herbatę, a już po tygodniu wylądował u niej w mieszkaniu. Byli sami, mama kończyła zmianę w szpitalu. To jedno popołudnie wystarczyło, aby Stasiek zapomniał o Honoracie raz na zawsze. Rudzki okazał się o wiele lepszy od doktorka, do którego nabrała z czasem większej niechęci, a nawet pogardy. Poprosiła też przełożonych o przeniesienie do innego szpitala, a dyrekcja wyraziła na to zgodę. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie ku ich szczęściu.

Staszek bardzo przeżywał chorobę ojca, choć do końca wierzył, że Bronisław z niej wyjdzie. Senior Rudzki uznał, że bez względu na okoliczności ślub i wesele muszą się odbyć. Wszystko było już gotowe, a jego stan nie miał tu nic do rzeczy. Wkrótce na świat miał przyjść kolejny wnuk, na co bardzo liczył, bądź wnuczka. Chłopak przedłużyłby ród Rudzkich na kolejne pokolenie, na co miał nadzieję. Chciał doczekać tej chwili, chwycić maleństwo za rączkę, przekazać mu parę cennych, życiowych mądrości, choć zdawał sobie sprawę z tego, że jego marzenia są zbyt wygórowane. Ból nie ustępował, momentami nasilał się nie do zniesienia, brakowało mu powietrza, więc łapał je płytkimi oddechami, patrząc z żalem na świat,

który pędził dalej, nie oglądając się na niego. Schudł, postarzał się, poruszał z trudem. Musiał zapomnieć o warsztacie, całe dni spędzał w łóżku, a wychodził z niego jedynie za potrzebą. Doktorzy zabronili mu palenia, bał się, że nie sprosta tym wymaganiom, ale okazało się, że papierosy prze-  
stały mu smakować. Tylko kaszel stawał się coraz bardziej uporczywy, roz-  
rywał mu płuca, a w zasadzie resztkę, jaka po nich pozostała.

\*\*\*

Tymczasem wesele odbyło się zgodnie z planem, w listopadzie pięćdziesią-  
tego ósmego roku. Zjechało się sporo gości, zarówno ze strony pana mło-  
dego, jak i panny młodej. Padał gęsty śnieg, choć od czasu do czasu słońce  
próbowało przebić się przez mleczone, zawiesiste niebo. Ewa Warska wy-  
szła z kościoła Świętej Teresy już jako Ewa Rudzka, w białej, długiej sukni  
z tiulu, pod którą ukryła spore wybrzuszenie, futerku z lisa na ramionach  
i pysznym powłóczystym welonie. Obok niej kroczył Staszek, szczęśliwy  
jak nigdy, w smokingu, eleganckim płaszczu i lakierowanych butach, które  
zdążył mu jeszcze przed chorobą sprawić ojciec. Wyglądali wspaniale, go-  
ście otoczyli ich kołem, obrzucili groszem, a potem ustawili w kolejce do  
składania życzeń. Bronisław był słaby, ale trzymał się jakoś. Nie wyobrażał  
sobie nie być świadkiem tego wydarzenia, Krysia wspierała jego ramię, jak  
zwykle wyglądała ładnie i elegancko, choć jej twarz się ostatnio wydłużyła  
ze zgryzot i spochmurniała. Stefania z dziećmi stała obok, towarzyszyła jej  
Helena Stroińska-Boczek z mężem, która zaoferowała, że zajmie się Wero-  
niką. Wiele razy przychodziła do niedoszłej synowej i pomagała jej, jak mo-  
gła, twierdząc, że w tych dzieciakach upatruje swoich wnuków, których ni-  
gdy się nie doczekała. Słodkie to było wyznanie i takie poruszające. Kobiety  
zawsze do siebie lgnęły, ale teraz połączyło je coś zupełnie odmiennego.

Tadeusz dołączył do nich w ostatniej chwili, tłumacząc się awarią  
w pracy. W tłumie zaproszonych można też było dostrzec rodziców  
Ostrowskiego i jego siostrę. Urszula dotarła do Łodzi z nowym narzecz-  
onym, szczęśliwa i zadowolona częstowała wszystkich przyjaznym uśmie-  
chem. Pani Irena wyglądała bardzo sztywnie w futrze z norek, toczku na

upiętych fantazyjnie włosach i wystającej spod nakrycia zielonej, długiej do kostek sukni. Przyjęcie odbyło się w mieszkaniu panny młodej, gdzie rozstawiono długie stoły i ławy. Jej mama Wioletta, wdowa po nauczycielu geografii, przygotowała wszystko jak się patrzy. Ta niewysoka korpulentna kobieta w kwiecie wieku emanowała urokiem i radością. Nowa rodzina córki przypadła jej do gustu, szybko nawiązała relacje z panią Rudzką, ustawiły sobie wspólne cele względem przyszłego potomka i przeszły na „ty”. Orkiestra przygrywała, tańce trwały do rana, jedzenia i wódki nie zabrakło. W niedzielę odbyły się poprawiny, a pięć dni później odszedł na zawsze Bronisław Rudzki.

\*\*\*

Wchodziła do tego pomieszczenia wiele razy, znała tu niemal każdy kąt, każdą rzecz, jednak po śmierci taty nabrało ono dla niej zupełnie innego znaczenia. W jednej chwili stało się jakieś mistyczne, kultowe, z cechami ludzkiej nieśmiertelności, jaką człowiek zostawia po sobie poprzez rzeczy, które stworzył. Nadało innego, wręcz boskiego wymiaru, choć nie zmieniło się ani trochę. Na regałach stały nadal pary zniszczonych butów, których klienci nie zdążyli odebrać z różnych przyczyn. Tatko twierdził, że nie ma prawa ich wyrzucać, bo może ktoś się kiedyś o nie upomni, dlatego zajmowały miejsce, obrastały kurzem, czekając w milczeniu na swoich właścicieli. Pomazana smarem skrzynia zawierała piłki, młotki, noże, blaszane pudełka z ćwiekami, wszelkiej maści smarowidła i kilka par drewnianych prawideł. Obrzucone brudnym tynkiem ściany zawieszane były płatami gumy, różnej wielkości, z których ojciec wycinał zwykle fleki, zelówki i podbicia. Z sufitu zwisały smętnie strzępy czarnej pajęczyny, niezgarnianej przez lata, będącej nieodłącznym elementem całego wystroju. Centralne, najważniejsze miejsce warsztatu stanowił okaleczony czasem, drewniany stół upstrzony narzędziami, kawałkami skór, skrawkami wyciętej gumy, puszkami śmierdzącego kleju, z zamontowanymi na krawędzi imadłem oraz szlifierką. Pod nim stał samotnie stary wytarty zydeł, niemy świadek, na którym ojciec przesiedział długie godziny swojego życia. Jego

widok sprawił jej przykrość, znów uzmysłowił, że coś zakończyło się bezpowrotnie.

Przez małe kwadratowe okno wpadała niewielka ilość światła, jednak na tyle wystarczająca, aby ożywić to lokum grą cieni i jasnymi plamkami wędrującymi nie tylko po ścianach, ale wszystkich przedmiotach leżących tylko pozornie w nieładzie. Czas zatrzymał się w miejscu, modlitewna cisza wypełniała ciasną przestrzeń, nasuwając skojarzenie ponurego obrazu z martwą naturą. Stefka odwróciła za siebie szklany wzrok, nie mogąc dłużej znieść tego widoku, gdy jej spojrzenie natknęło się na wiszący od wewnętrznej strony drzwi znajomy, roboczy fartuch. Niby zwyczajny, długi, poplamiony, z dwiema kieszeniami po bokach, zwykle wypełnionymi rzeczami pierwszej potrzeby, ale na jego widok ścisnęło ją w środku, zapiekło w gardle. Łzy same popłynęły z oczu, kiedy pogładziła jego rękaw, wtuliła nos w tkaninę, odnajdując w tym kontakcie bliskość z osobą, którą tak bardzo kochała.

## Rozdział 19

**K**ilka tygodni po pogrzebie ojca Stefkę odwiedziła mama. W zasadzie to weszła do mieszkania sama, bo miała dodatkowy klucz. Ostrowska akurat kończyła pranie, które starannie rozwieszała na sznurkach w łazience. Od kiedy miała do dyspozycji pralkę o wdzięcznej nazwie Frania, ta czynność nie pochłaniała już tyle czasu co kiedyś. Urządzenie miało funkcję podgrzewania wody, a także wyżymarkę na korbkę – wspaniały wynalazek umożliwiający dokładne wyżęcie ubrań z wody. Wyżymarka zafascynowała również Antosia, na początku dzielnie się z nią mocował, lecz po kilku chwilach znudził się i uznał, że woli coś namalować. Weronika zdążyła zjeść i zasnąć.

– Babcia! – Malec wybiegł na powitanie Krystyny, kiedy ujrzał ją w korytarzu z wypchaną torbą. – Co nam dziś przyniosłaś?

– Nic takiego – odparła zasapana. – Pączki i bułki drożdżowe. Chcesz? – spytała, a potem szybko dodała: – Byłeś grzeczny, nie dokuczałeś mamie i siostrze?

– Byłem, babciu – odparł chłopiec z powagą. – Pomagałem nawet robić pranie.

– Naprawdę? – Nachyliła się i objęła wnuka ramionami. – Kochany jesteś! Zasłużyłeś na największego pączka z marmoladą!

Po czułych powitaniach wyprostowała się, zdjęła wełniany płaszcz, zsunęła obuwie i nałożyła na stopy filcowe kapcie. Chwyciła wnuka za rękę i razem podążyli w stronę kuchni.

– Jak się czujesz, mamó? – zapytała córka, wychodząc jej naprzeciw. Zdążyła już uporać się z praniem, zrzucić z siebie mokry fartuch i założyć

luźną sukienkę, w której czuła się najwygodniej.

– A jak mam się czuć? – Rudzka z westchnieniem pokiwała głową. Pochyliła się nad stołem i rozłożyła na talerzu świeże, polane lukrem ciastka.

– W domu wszystko w porządku? – rzuciła mimochodem Stefka, widząc niezadowolenie na twarzy matki. Nastąpiła chwila ciszy. – Mamo, jesteś tam?

Antoś wdrapał się tymczasem na krzesło i nie czekając na niczyją zgodę, wpychał w siebie miękka, ociekającą topionym cukrem słodkość.

– Ale pychota! – zdążył powiedzieć, zanim na dobre zatopił zęby w nadzieniu, oblizał wargi, a jego buzia za chwilę umazana była białą polewą.

– Staszek chce przerobić warsztat ojca na łazienkę – wyrzuciła z siebie Rudzka, po czym bez słowa zabrała się do obierania ziemniaków do obiadu. Usiadła na krześle, ustawiła przed sobą gar z wodą, a obok wiadro na obierki.

– Jak to? – Stefania zakryła usta, nie kryjąc zaskoczenia. – A co ty na to?

– Ja? A cóż mogę zrobić? – zachnęła się zrezygnowana Krystyna. – Dziecko urodzi się na dniach, poza tym nie znam nikogo, kto mógłby przejąć fach po ojcu.

– To prawda... – zgodziła się córka – Jednakże jakoś żal... To miejsce było niczym sanktuarium... Największe świadectwo jego istnienia.

– Tylko ty tak rozumujesz, no... może jeszcze ja – odparła matka, próbując jakoś wytłumaczyć decyzję syna. – Zawsze to dodatkowe, niewykorzystane metry, nie sądzisz?

– Tak, sądzę... – przytaknęła bez słowa sprzeciwu, choć gdzieś w środku bulgotał gniew. – Ale tak poza tym... wszystko w porządku?

Rudzka milczała, obierając w dalszym ciągu ziemniaki. Robiła to jednak jakoś nerwowo i niezgrabnie.

– Czy ja wiem? – odparła. – Ewa jest dziwna... Trudno mi się z nią porozumieć. Raz jest miłutka, innym razem chimeryczna. Czasem czuję się tak, jakbym nie była u siebie... Może to wszystko wina ciąży? Kobieta jest wtedy zmienna, nerwowa. Jak chyba też taka byłam. – Zamyśliła się, usiłując wró-



cię wiele lat wstecz. – Może nie aż tak impulsywna, ale też mnie wszystko irytowało... – Podniosła w górę nóż i utkwiała spojrzenie gdzieś na ścianie.

– I ja, mamó – dodała Stefka, usiłując uspokoić rodzicielkę. – Daj jej trochę czasu, niech się dziewczyna oswoi.

– Pewnie tak – mruknęła Krystyna bez przekonania.

Córka wstawiła wodę i sięgnęła po puszkę z kawą. Zasypała dwie szklanki i ustawiła na szklanych podkach.

– Widzę, mamó, że coś cię jeszcze gryzie...

Widok zamyślanej matki z zaciśniętymi ustami stał się nagle nieprzyjemny, niemal irytujący. Stefka odniosła wrażenie, jakby Rudzka coś w sobie dusiła i nie miała odwagi tego z siebie wyrzucić.

Podsunęła jej pod nos zalaną, dymiącą kawę i zapytała wprost:

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Kobieta wzruszyła ramionami. Skończyła obierać kartofle, które pokroiła w kostkę i zaczęła opłukiwać pod zlewem. Stojąc tyłem do kuchni, pochylając nad garnkiem, wymamrotała półgębkiem:

– Kazała mi zdjąć wszystkie krzyże i obrazki ze ścian.

Zapadła grobowa cisza, Antek skończył jeść i pobiegł do łazienki umyć ręce.

– A co na to Staszek?

– Nic...

## Rozdział 20

**P**ostanowiła zrobić mężowi niespodziankę. Tego dnia ubrała się ładniej niż zwykle. Wprawdzie nadal nosiła żałobę, czerń stała się nieodłącznym elementem jej każdego stroju, przełamała ją jednak kilkoma jasnymi detalami, dzięki czemu od razu poczuła się lepiej. Znow była wiosna, świeża, pachnąca, obrzucona kwieciem. Założyła czarny żakiet z białą lamówką, czarną spódnicę z zakładkami na przodzie i białą bluzkę w groszki, którą sobie ostatnio sprawiła. Na nogach miała czółenka zrobione jeszcze przez ojca, z czarnej skórki, okrągłym noskiem i paseczkiem wokół kostki. Miały swoje lata, ale były najwygodniejsze ze wszystkich butów, jakie dotychczas miała. Z dziećmi tym razem została jej niedoszła teściowa, Helena Stroińska-Boczek. Zajrzała z samego rana z ciastem i kawą do zaparzenia i zaproponowała, że chętnie z nimi posiedzi. I tak nie ma nic lepszego do roboty, jej mąż Wacek, odkąd zaczął się udzielać w partii, wciąż nie miał na nic czasu, a do domu wracał późnym wieczorem. Jakos kłóciła jej się ta działalność z ideami, w które niegdyś wierzyła, za które oddali życie jej mąż i syn, jednak starała się nie łączyć uczucia i małżeństwa z polityką. Przynajmniej wtedy mniej rozmyślała i mniej bolało.

– Jak to dobrze, Stefcu, że twój mąż nie dał się wciągnąć w te partyjne rozgrywki – powiedziała, kiedy siedziały przy kawie. – To bardzo niebezpieczna gra, w dodatku naznaczona krwią niewinnych – dodała jeszcze ciszej, rozglądając się bojaźliwie dookoła. – Człowiek nawet nie wie, do czego może być zdolny w imię swoich idei, nie jest mu obce świętokradztwo i śmierć bliźniego.

– Dlaczego pani tak mówi? – Młoda Ostrowska zdziwiła się, nie rozumiejąc do końca słów matki Felka, która w ostatnim czasie stała się jej jeszcze bliższa niż dawniej.

– Nie wiem... Czuję tylko żal do losu... O to, co mnie spotkało jako matkę, jako żonę, a wreszcie... – Urwała. – Nie wiem, czy dobrze wybrałam, stawiając na Wacka. Nigdy nie sądziłam, że tak bardzo zaangażuje się w te wszystkie sprawy. Niepokoi mnie to i... przerasta – wyznała ze smutkiem. – Czasem, kiedy patrzę na portret syna, jest mi potwornie wstyd. Zaprzedałam się, zaprzedałam jego ideały... Gdybym mogła odkupić wszystkie winy i zrobić coś szlachetnego? – Spojrzała z nadzieją i wyczekiwaniem na młodą matkę.

– Może jeszcze przyjdzie na to czas... trzeba poczekać – odpowiedziała ostrożnie Stefania. – Przyszłość sama upomni się o sprawiedliwych tego narodu i postawi im jeszcze pomniki, proszę się nie martwić, pani Heleno.

– Tak myślisz? A co będzie z tymi, którzy zblądzili?

– Nie wiem... czas pokaże...

Miała nadzieję, że historia sama zapisze na swoich kartach to, co dobre, i co złe. Biorąc pod uwagę to, co spotkało ją, Kazię i miliony ludzi, a nawet Willa... Ostatnio rzadziej do niej pisał, choć ona sama regularnie wysyłała listy. Niedawno pochwaliła się narodzinami córki, wysłała mu nawet fotografię, na której utrwaleni zostali we czworo: ona, Tadeusz, Antoś i Weronika. Zdjęcie wykonane zostało w zakładzie fotograficznym, w niewielkim, zagraconym pomieszczeniu, pełnym przedmiotów używanych do dekoracji. Za ich plecami tryskała piętrowa fontanna, stał kamienny amarek z łukiem, pięła się po spękany murze kwitnąca, rozłożysta róża. Ładnie na nim wyszła, szczupło i zdrowo, dzieciaczki też. Tylko mąż był jakiś zamyślony, jakby nieobecny.

Teraz biegła chodnikiem, stukając obcasami, chcąc wyjść mu naprzeciw, kiedy będzie opuszczał zakład pracy. Ostatnio trochę się między nimi poprawiło, kochali się kilka razy, częściej rozmawiali, a Tadeusz wracał do domu niemal punktualnie, i jak twierdził, zrezygnował dla niej z boksu. Kilka siniaków pod okiem, obite plecy i skronie wystarczyły, aby wyleczył

się z tej pasji raz na zawsze. Wiosna budziła wszystko do życia, tak w niej odżyły uczucia i nowe pragnienia. Miała jeszcze tyle marzeń, chciała wrócić do pracy, pojechać do Warszawy na koncert Józii i Kazimierza, spotkać się z Willem Ritterem, zostać matką chrzestną nowo narodzonego bratanka Jasia... posłać Antoniego do szkoły... i wiele innych. Wdychała powietrze nasycone wilgocią pełną pierśią i czuła się naprawdę szczęśliwa.

Budynek biurowy mieścił się przy dawnej ulicy Przejazd, od pięćdziesiątego czwartego roku przemianowanej na Juliana Tuwima. Kadry znajdowały się w zabytkowym pałacyku należącym niegdyś do jednego z łódzkich fabrykantów. Dochodziła piętnasta, gdy dotarła na miejsce, zatrzymała się przy dorodnym klonie, jednym z wielu okalających plac, i czekała, spoglądając niecierpliwie w kierunku szerokich schodów. Wreszcie otworzyły się drzwi wejściowe i ze środka zaczęli wychodzić pracownicy przedsiębiorstwa. Pojedynczo i w grupkach, poważni i roześmiani, kobiety i mężczyźni w różnym wieku. Na zewnątrz zrobiło się gwarno i tłoczno, padały krótkie pożegnania, jedni biegli w kierunku przystanku tramwajowego, inni wsiedali do zaparkowanych przed budynkiem aut, najczęściej były to warszawy – garbusy, rzadziej radzieckie wołgi czy wschodnioniemieckie trabanty. Domyślała się, że to ci najbardziej uprzywilejowani, zajmujący wysokie stanowiska albo działacze partyjni. Jej mąż też marzył o aucie, wspominał, że istnieje szansa na otrzymanie talonu, jednakże warunkiem było zapisanie się do partii, na co wciąż nie chciał się zdecydować. Była tego samego zdania, uznała nawet, że samochód nie jest im potrzebny, mieszkają w centrum miasta, wszędzie mają blisko. Tymczasem tłumek na schodach zaczął rzednąć, kiedy dostrzegła męża. W prochowym płaszczu, kapeluszu, ze skórzaną teczką, w której nosił wszelkie dokumenty i kanapki osobiście przez nią przygotowywane. Chciała biec do niego, już wyciągnęła ramię na powitanie, otworzyła usta, aby wykrzyknąć jego imię, kiedy znieruchomiała w tej pozie. Cofnęła się parę kroków, chowając za pień szerokiego drzewa. Tadeusz stanął na szczycie schodów, odwrócił twarz w stronę drzwi, jakby na kogoś czekał. W tej samej chwili ze środka wysunęła się niewielkiego wzrostu, o szczupłej sylwetce znajoma kobieta, z burzą czarnych, kręconych włosów, trapezowym, jasnym płaszczyku do kolan. Bajeczka. Mimo

wysokich obcasów poruszała się z gracją, dołączyła do Ostrowskiego, chwyciła go za ramię i razem zeszli po stopniach schodów. Chwilę stali na dole, patrząc sobie w oczy, coś sobie tłumaczyli, bo kobieta wykonała dziwny ruch ręką, jakby się odgrażała. On złożył błagalnie obie dłonie, potem chwycił za ramiona i przytulił. Następnie musnął jej oba policzki, znów na dłużej zatopił wzrok w jej twarzy, zanim puścił jej ręce i rozeszli się w przeciwne strony. Jakiś mężczyzna krzyknął w kierunku Tadeusza, na co on tylko się roześmiał. Stała jak skamieniała, przytwierdzona do podłoża, nie mogąc wykonać żadnego ruchu ani wydać żadnego dźwięku. Czy to się działo naprawdę, czy śniła? Otrząsnęła się z nedorzecznych myśli, nagle przed jej oczami stanęły wszystkie spóźnienia męża, nieobecności w domu, awantury, pretensje, chłód i obojętność. Zrozumiała wszystko. Tylko co teraz? Czy będzie w stanie wybaczyć zdradę? A jeśli nie, co zrobi sama z dwójką dzieci? Myśli cisnęły jej się do głowy i rozsadały czaszkę, łupiąc bólem. Zaczekała, aż pod budynkiem zrobi się luźno, aż wszyscy się rozejdą, dopiero wtedy zdecydowała się wyjść z ukrycia. Tak naprawdę pragnęła podążyć gdziekolwiek, choćby na koniec świata, byleby tylko nie wracać do domu i nie spotkać w nim Tadeusza. Nie wyobrażała sobie momentu, kiedy spojrzy mu w twarz, zażąda wyjaśnień, a on wszystkiemu zaprzeczy.

\*\*\*

– Nie chciałam ci mówić, ale widziałam ich razem w SPATiF-ie już jakiś czas temu – oznajmiła pewnego przedpołudnia Rena.

Postanowiła jej się zwierzyć, nie miała zamiaru swoimi problemami obarczać pogrążonej w żałobie mamy ani pani Stroińskiej, do Renaty miała natomiast zaufanie.

– I nie powiedziałaś ani słowa... – spytała z wyrzutem, na co sąsiadka spochmurniała.

– To nie takie proste, jak sądzisz... Nie chciałam mieć na sumieniu twojego małżeństwa, poza tym nie byłam pewna. Wprawdzie siedzieli we dwoje przy stoliku, trzymając się za ręce i spoglądając sobie czule w oczy,

to jednak nie jest dostateczny dowód. Zniosłam im dwa kieliszki wina, które zamówili. Tadeusz otaksował mnie wzrokiem, coś sobie uzmysławiając. Myślę, że wtedy przestał mnie lubić, stałam się mimowolnym świadkiem jego zdrady wobec ciebie. – Podparła się na łokciach i patrzyła na sąsiadkę ze szczerym współczuciem.

– Teraz zaczynam wszystko rozumieć... – bąknęła Stefka, skubiąc obrus. – Jak mogłam być aż tak naiwna?

– Nie obwiniaj siebie, to nie twoja wina! Ty robiłaś, co mogłaś, to on nie sprostał ojcostwu i małżeństwu. Powinnaś to sobie uświadomić.

– Był tam raz czy kilka razy? – drażzyła dalej Ostrowska.

– I po co ci to wiedzieć? – mruknęła Rena, dopijając kawę. Smoliste fusy osiadły na dnie szklanki, którą z hukiem odstawiła na bok. Dźwięk sprawił, że kot zerwał się z parapetu okna i zeskoczył na podłogę. Podniósł ogon, wyprężył grzbiet i czmychnął do drugiego pomieszczenia.

– Tylko co ja mam z tą prawdą zrobić? – jęknęła kobieta, opierając głowę na zgiętych łokciach.

– Może to tylko przelotny romans albo nic takiego, o czym my myślimy... – rzekła Rena głosem pozbawionym emocji. – Teraz pewnie żałuje i próbuje nadrobić swoje zaległości. Sama powiedziałaś, że stał się przykładowym mężem, wraca punktualnie z pracy... Może to nie jest właściwy moment na podejmowanie radykalnych działań.

– Ale jak to? Mam tak udawać? Chyba nie potrafię...

Sąsiadka zaśmiała się wymownie.

– Umiesz, umiesz... Zapewniam cię. A swoją drogą... załatw sobie opiekunkę do dzieci i idź do pracy. To ci dobrze zrobi.

Stefka podniosła głowę i spojrzała na nią zaskoczona. „Może Rena ma rację?” – przemknęło jej przez myśl. „Muszę to przedyskutować z mamą. Czy zgodzi się przypilnować dzieci?”

– Każdy ma na swoim sumieniu jakieś grzeszki i słabostki, ty też – ciągnęła bezlitośnie Renata. – Jeśli on żałuje tego, co zrobił, to walcz o swoje małżeństwo. Macie dwójkę dzieci.

– Masz luźny stosunek do wierności, Rena... – mruknęła z wyrzutem Stefania. – Sama już nie wiem co jest prawdą, a co kłamstwem. Mam nad czym myśleć. Lecę, mama niedługo musi wyjść. Dziękuję za kawę!

Podniosła się, odsunęła filiżankę z fusami na dnie, po czym dostawiła krzesło do okrągłego stołu. Wpadająca przez okno smuga światła odsłoniła warstwę kurzu na kredensie, ale w tej chwili ten drobiazg nie miał dla niej żadnego znaczenia.

Sąsiadka odprowadziła ją do drzwi milczącym, współczującym wzrokiem.

\*\*\*

Chłodny wiatr trącał listki przekwitłego bzu, rosnącego tuż przy wejściu na podwórko. Zawsze go mijala w drodze do rodzinnego domu, na jej oczach zmieniał się, w zależności od pory roku, choć wiadomo, że najbardziej lubiła go w maju. Wtedy kwitł na fioletowo, zasypywał się kiśćmi drobnych kwiatuszków, które wydzierały z siebie niebiański, intensywny zapach.

Stukając obcasami po kocich łbach, wsunęła się w ciemną czeluść bramy. Znów poczuła znajomy, swojski zapach rynsztokowych ścieków, suszącego się prania i kociego moczu. Na podwórku sąsiadka po staremu ramowała pranie, zupełnie jakby nic się nie stało w ostatnim czasie, świat toczył się swoim rytmem, nie robiąc sobie nic z czyichś łez, tęsknoty czy smutku. Dwóch chłopców od Zawadzkich w przykrótkich spodenkach kopało piłkę, a trzy dziewczynki na ławce pod murkiem bawiły się szmacianą lalką. Tylko córki Józwiakowej, Hania i Romka, towarzyszyły dzielnie kobiecie przy robocie, pomagając jej napinać koronkowe firany. Cierpliwie znosiły utyskiwania matki, która co jakiś czas sztorcowała je bezlitośnie, często wała kuksańcami i dyrygowała, jak mają dobrze wykonać swoje zadanie. Czasem zerkały w stronę bawiących się beztrוסko koleżanek, potem rzucały ku sobie pełne żalu spojrzenia.

– Julek! – wrzasnęła naraz – Przynieś mi tytkę z gwoździakami i młotek! Znów jakiś gałgan mi tu nabroił! Już jak go dorwę, to mu pokażę! – Odwróciła się i pogroziła pięścią, zanim ponownie schyliła się do balii pełnej

krochmalu i zanurzyła w niej ręce po łokcie. Nic nie zmieniły ją te lata. Nadal była chuda, brzydką kobietą.

– Już lecę, matko! – odkrzyknął chłopak, poprawiając odruchowo szelki.

Stefania rzuciła z daleka krótkie pozdrowienie, po czym skierowała kroki w stronę znajomych drzwi, znad których zniknął szyld z napisem: „Szewc”. Zostało po nim jedynie puste jaśniejsze miejsce i cztery otwory w murze. Smutek ponownie wtargnął w jej myśli.

W mieszkaniu zastała jedynie rodzicielkę, która pochylona nad stołem ugniatała ciasto na pampuchy. Ręce miała ubielone od mąki, rękawy koszuli zawinięte, fartuch w groszki opinał się na wystającym brzuchu. Na dźwięk kroków zaskoczona podniosła głowę. Właśnie wtedy Stefka zauważyła łzy w kącikach jej oczu. Odruchowo zakryła oczy przedramieniem, odwróciła twarz w stronę okna, wtrąciła coś o hałasujących dzieciakach, próbując odwrócić uwagę córki. Potem jednak podeszła do miski, opłukała dłonie i wytarła je ręcznikiem. Następnie przywitała się, rozkładając szeroko ramiona.

– Jesteś sama, mammo?

– Tak, Stasiak jeszcze nie wrócił z pracy, a Ewa z małym poszła do koleżanki. Mieszka dwie ulice dalej... – Sapnęła ciężko. – Czego się napijesz, córeczko?

– Herbaty – odparła, podchodząc do kuchni. – Ja zrobię, ty sobie nie przeszkadzaj.

– Mnie też możesz zaparzyć, zaraz skończę ciasto i nastawię do wyrośnięcia. Posiedzimy sobie... pogadamy... – rzuciła jakoś smutno.

– Mammo, co się dzieje? – Stefka w pewnym momencie nie wytrzymała. Piły herbatę, siedząc naprzeciwko siebie, ale wyczuła w powietrzu ciężką atmosferę.

– A co się ma dziać? – prychnęła Rudzka na odczepne.

– Przecież widzę.

– Ech! – Krystyna machnęła zrezygnowana ręką. – O czym tu gadać, życie jak życie... Moja synowa to wielka, wykształcona pani z miasta, a ja...



prosta baba, niemająca pojęcia o życiu...

– Tak ci powiedziała?

– Nie, skąd... tak wprost to nie, ale w domyśle wiele razy.

– Dokucza ci? – drążyła córka.

– Bo ja wiem... – Starsza kobieta zamysliła się. Podniosła brwi i zmarszczyła czoło. – Odkąd pojawiła się w tym domu, czuję się jak niepotrzebny, zużyty grat. Wszystko robię źle. Sprzątam, prasuję, gotuję... tak bez końca.

– Ty, mamó, źle gotujesz? – Stefka nie kryła zdumienia.

– Ano... podobno za tłusto. Przez to dorobiła się drugiego podbródka i powiększył jej się obwód w pasie.

– To niech sama gotuje, do diabła! – warknęła ze złością. – A co na to Staszek?

– On? Wpatrzony w nią jak w święty obraz, nie da powiedzieć złego słowa o swojej żonie. Nawet się nie odezwał, jak wyniosła nasz ślubny portret do komórki. Bronek pewnie się w grobie przewraca, jak to widzi.

– Pozwoliłaś jej na to? Przecież zawsze wisiał nad waszym łóżkiem? Co jej do tego?

– Ano... – przytaknęła znów chmurnie. – Łóżko kazała przestawić i odgrodzić zasłonką. Tam teraz moje miejsce. Nawet okna nie ma... – Westchnęła ciężko, nie kryjąc żalu. – Człowiek wychowywał tyle lat, niańczył, chuchał, a teraz przyszło takie i przerobiło mi syna na swoją modłę. Rządzi się jak u siebie. Ja już nic do powiedzenia nie mam w tym domu.

– Może powinnam porozmawiać z bratem, wytłumaczyć mu, że tak nie można?

– To nic nie da, próbowałam. Wytknął mi, że jak wy tutaj mieszkaliście, to nasze łóżko stało w kuchni. Teraz, kiedy na świecie pojawił się Janek, potrzeba więcej miejsca i wygody. To zrozumiałe.

Stefka zagryzła wargi, nie komentując tych słów. Prawdą było, że wówczas rodzice przenieśli się do kuchni, jednakże zrobili to na własne życzenie. Pamiętała, jak prosiła ich, by zostali we własnej sypialni. Nie chcieli słyszeć, uznali, że młodym potrzebna jest przestrzeń, w dodatku Staszek

wciąż szukał kobiety swojego życia. „I znalazł” – podsumowała gorzko. Jednocześnie ciepło i z nutą nostalgii pomyślała o Honoratce. Ta dziewczyna była niczym złoto, taka miła, radosna, dobra... Brat jednak wolał Ewę i tyle z tej dobroci zostało.

– Mamo... więc jak mogę ci pomóc?

– Ach, dziecko! – Rodzicielka wzruszyła ramionami. – Nic na to nie poradzimy, tak już musi być.

Podniosła się z trudem z krzesła i przeszła do okna, gdzie na parapecie stała miska z wyrobionym ciastem.

– Będzie już. – Uznała, podnosząc lnianą ściereczkę.

Córka objęła ją spojrzeniem, westchnęła cicho i dopiła ostatni łyk herbaty.

– Pomogę ci, mam trochę czasu. Dzieciaki są z panią Heleną. Uwielbiają ją. Mam nadzieję, że nie jesteś zazdrosna. – Zachichotała wymownie.

– Ja, skąd? – zachnęła się matka. – Żal mi tej kobiety, straciła jedyne syna...

– Dasz mi jakiś fartuch? – przerwała jej natychmiast córka.

– No pewnie! – pospieszyła z odpowiedzią pani Rudzka i z zadowoleniem sięgnęła do szuflady. Po chwili obie stały nad stołem i formowały okrągłe kluski.

## Rozdział 21

**K**oniec lutego sześćdziesiątego pierwszego roku zapowiadał się śnieżnie i mroźnie. Dnia przybywało, jednak nie na tyle, aby cieszyć się nim do późnego wieczora. Stefka podeszła do okna, odsunęła delikatnie firanę, chcąc zobaczyć wejście do bramy. Kilku przechodniów skulonych z zimna podążało wzdłuż Piotrkowskiej w stronę placu Wolności, na który w lipcu ubiegłego roku powrócił Tadeusz Kościuszko. W glorii i chwale jego odlany na nowo pomnik został posadowiony na środku placu, a wydarzeniu temu towarzyszyły tysiące gapiów. Westchnęła głośno na to wspomnienie. Ona też tam była z Antosiem, Weroniką i Tadkiem. Takiej uroczystości nie mogli przegapić. Pamiętała przecież, jak obelisk został zburzony przez faszystów, a Łódź długo czekała na pojawienie się narodowego bohatera we właściwym miejscu

Tadeusz znów się spóźniał. Tym razem nie tyle poczuła się zaniepokojona, co zawładnęła nią bez reszty fala zazdrości wymieszana z wściekłością. „O, nie! Już ja mu tym razem wygarnę! Już ja mu tę Bajeczkę wybiję z głowy! Niech tylko wróci, niech tylko przekroczy próg domu!” – pomstowała w myślach, kładąc dzieci do snu. Weronika marudziła, ostatnio stała się nadpobudliwa i kapryśna. Dokuczała Antkowi, jak tylko nadarzyła się okazja. To go uszczypnęła, to ugryzła, to pacnęła łyżką przy śniadaniu. Synek nie płakał, udawał twardziela, choć czasami w oczach pojawiały mu się łzy, a na ciele zostawały po tych atakach agresji ślady w postaci siniaków i zadrapań. Córnka właśnie kończyła trzy lata, była urocza, a przy tym nieznośna. Nie było miejsca, do którego by nie chciała wejść, łącznie z parapetem okna, gdzie czuła się najlepiej. Przystawiała taboret i wdrapywała się

nań po to, aby zaspokoić ciekawość. Interesowali ją ci wszyscy ludzie spacerujący w dole, krzyki, nawoływania, klaksony, klapanie końskich podkówek. Kiedyś trąciła doniczkę z paprotką, którą dostała od brata na imieniny. Oczywiście gliniane naczynie natychmiast rozprysło się na kawałki, ziemia rozproszyła się, a kwiat połamał. Czujność Stefki wzmogła się teraz dwukrotnie, już na samą myśl, że córka mogłaby wypaść z pierwszego piętra na bruk, dostawała palpacji serca. Niemal nie spuszczała jej z oczu, choć mała bestyjka nauczyła się wykorzystywać każdą chwilę nieuwagi.

Kiedyś weszła do kuchni, wyciągnęła z szafki mąkę, cukier, jajka i wszystko wymieszała na środku podłogi. Stefka okrzyczała ją wówczas, czego później długo nie mogła sobie wybaczyć. Mała płakała, robiąc słodkie minki, krusząc jej serce i wbijając w coraz większe poczucie winy.

– Nie radzę sobie, co ze mnie za matka? – mówiła do siebie wiele razy, zalewając się łzami bezradności.

– Powinnaś wrócić do pracy – wtrąciła się kiedyś jej rodzicielka. – Cały dom na twojej głowie, tak nie może być.

– A co z dziećmi? Kto się nimi zajmie? Weronika wymaga większej uwagi niż kiedyś.

– Nie martw się, jestem ja, pani Helena. Damy radę!

Ta rozmowa miała miejsce miesiąc temu, a Stefka wciąż do niej wracała myślami. Może powinna posłuchać matki? Istniało wiele powodów, aby podjąć taką decyzję, dlaczego więc wciąż się wahała? W dodatku w jej domu rodzinnym nie działo się dobrze, Ewa panoszyła się w nim coraz mocniej, za to Krystyna czuła się spychana na margines i wykorzystywana. Nie pomogła rozmowa Stefanii z bratem, wyśmiał ją i zakazał wtrącania. Nie miała takiego prawa. Skoro nie, to jak pomóc mamie? W sukurs przyszła jak zawsze Rena, która podczas jednego ze spotkań wpadła na pomysł, aby córka wzięła mamę do siebie.

– Upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu – podsumowała swoje rozważania. – I wreszcie będziesz mogła pójść do pracy. Zadbasz o siebie, może wtedy twój mężulek zrozumie, ile ma do stracenia – zadrwiła.

Stefania często wracała do tych rozmów, zwłaszcza tego wieczora, kiedy Tadeusz nie wracał. Teraz nabrały szczególnego znaczenia. Miotaly nią na przemian wściekłość i bezradność. Dzieci wreszcie zasnęły, złożyła na ich policzkach całusy, następnie przeniosła się do kuchni. Zegar na ścianie wybijał właśnie dwudziestą drugą. Usiadła w pustym pomieszczeniu przy sześciuosobowym stole i poczuła się nagle ogromnie samotna i nieszczęśliwa. Gdzie ten wspaniały mężczyzna, który obiecywał jej złote góry, zanim została jego żoną? Gdzie te wyśnione, wspólnie spędzane chwile, spacer, wyjścia do kina, teatru, kawiarni? Mąż nigdy na nic nie miał czasu, wciąż tylko tłumaczył się nadgodzinami w pracy. Upragniony segment, telewizor, samochód były ważniejsze niż ich wzajemne relacje. Miała przecież wszystko – tłumaczył jej zawsze. – Każda inna dałaby wiele, aby to mieć. Czego jeszcze chce?

Wstała, podeszła do okna. Piotrkowska była oświetlona rzędem wysokich latarni. Ściśnięte obok siebie fasady secesyjnych kamienic spoglądały w milczeniu na pustoszejącą ulicę. Gwar ucichł, ruch ograniczył się do pojedynczych przechodniów, miasto powoli kładło się do snu. Natłok myśli rozsadał jej głowę, ostatnio znów odważyła się pójść pod biura kolei. Stała z boku, czekając na męża, tak aby nie mógł jej zauważyć, jednak ona miała widok jak na dłoni. Niemal wszyscy kończący zmianę opuścili budynek, dopiero na końcu dostrzegła męża. Będąc już w dole schodów, zaważał się, zatrzymał, następnie odwrócił za siebie i podniósł ramię, kiwając komuś na pożegnanie. Wtedy dostrzegła w drzwiach Bajeczkę ubraną w czerwoną, prowokacyjnie obcisłą sukienkę, wykonującą w jego kierunku wymowne gesty, zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Tęsknię za tobą, kochanie”. Stefania poczuła, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Upokorzenie zachwiało jej wewnętrzną równowagę i poczuciem własnej wartości.

„Drań!” – cisnęło jej się na usta, choć jednocześnie ból wypełnił każdy zakamarek jej ciała. Nie umiała złością zagłuszyć tego wszystkiego, co się teraz w niej działo. Rozczarowanie, smutek, żal mieszały się z bezradnością i gniewem. Jednak i tego popołudnia nie zdobyła się na odwagę, aby porozmawiać szczerze z mężem. Najpierw odwiedziła ich matka, potem pani

Helena, a na koniec w telewizji nadawano mecz piłki nożnej. Mąż zatopił się w fotelu z ulubionym papierosem i szklanką mocnej herbaty, zapominając o całym świecie. Roztrzęsiona czekała na odpowiedni moment, a ten nie nadchodził. Następnego dnia obchodziła imieniny. Tadeusz wrócił punktualnie z bukietem czerwonych róż i sznurem kolorowych, szklanych koralików. Był miły, czuły, szarmancki. „Może mi się wydawało, może jestem przewrażliwiona?” – targały nią wątpliwości. „Jest tak przyjemnie, może nie warto tego psuć?” Kolejny czas nie przyniósł przykrych niespodzianek, wyszli nawet z dziećmi w niedzielę na spacer, a wieczorem na potańcówkę. Mama zajęła się wnukami, zostawszy u nich na noc. Wrócili grubo po północy, zmęczeni, ale szczęśliwi. Tadeusz miał trochę w czubie, ona zresztą też. Chwiała się, stąpając po kocich łbach, a on przytrzymał ją za ramię. Wyśpiewywał przy tym szlagier Marii Koterbskiej *Karuzela*. Właściwie to darł się na całe gardło, aż jedna mieszkanka kamienicy, którą mijali, zwróciła mu w niewybredny sposób uwagę, aby się zamknął. Ta sytuacja jeszcze bardziej ich rozśmieszyła. Wracali do domu w szampańskich nastrojach, nie mogąc powstrzymać się od chichotu. Towarzystwo, z którym się bawili, nie stroniło od napojów wysokowych. Paliło papierosy i wymieniało się w tańcu partnerami. Stefania poznała tych ludzi dzięki mężowi, okazało się, że są to kumple od boksu, ich żony i partnerki. Po powrocie do swojej sypialni kochali się namiętnie, aż wreszcie zmorzył ich sen. Myślała wówczas, że zły czas minął, że nie ma powodu do zmartwień.

Aż do dzisiaj, kiedy znów się spóźniał, a ona nie miała już żadnych złudzeń co do wierności swojego męża.

\*\*\*

Było dobrze po drugiej, kiedy usłyszała ciche skrzypnięcie drzwi. Nadal siedziała w kuchni i nasłuchiwała odgłosów. Nie mogła zasnąć. Nie wiedziała, co zrobić z głową, którą znów rozsadały natrętne, niedobre myśli.

W korytarzu rozblęsnęło światło, bo jasna smuga roztoczyła się po ścianach i podłodze, zaraz też do jej uszu dotarły znajome dźwięki i kroki. Szedł cicho, właściwie skradał się na palcach, dotykając palcami ścian,

kiedy zgasła żarówka i ponownie zrobiło się ciemno. Stefania podniosła głowę znad stołu, wyprostowała plecy, poprawiła włosy i poły atlasowego szlafroka. Wiedziała, że zaraz pojawi się w kuchni, mając nadzieję, że nikogo w niej nie zastanie. Nacisnął kontakt, w przestronnym pomieszczeniu zrobiło się jasno. Ich spojrzenia spotkały się natychmiast, pierwsze, na co zwróciła uwagę, to zmieszanie na jego twarzy wymieszane z zaskoczeniem. Był jakiś wymięty, zmęczony, oczy miał podkrążone, a włosy zmierzwiłone.

– Co tutaj robisz, kochanie, nie śpisz o tej porze? – wydukał nieporadnie.

– Siadaj! – rzuciła ostrym, rozkazującym tonem, nieznoszącym sprzeciwu.

Takiej jej jeszcze nie widział, dlatego wystraszył się nie na żarty.

Zrobił, co kazała, usiadł, zgarbił się, głowę wcisnął w ramiona. Nie wiedział, co począć z rękoma, dlatego położył je na blacie, zaplótł palce i zaczął je wyginać, strzelając kostkami.

– Długo to już trwa? Mów prawdę! – zagrzmiała.

– To nie jest tak jak myślisz... Nas nic nie łączy, jesteśmy tylko przyjaciółmi... – odparł, zacinając się na każdym słowie.

Roześmiała się drwiąco.

– Dlaczego kłamiesz? Nie stać cię na szczerść po tylu latach wspólnego pożycia? Nie zasługuję na to?

– Nie kłamię... – bąknął, po czym zawstydzony podniósł głowę. Chwilę ważył myśli, potem wykrztusił: – Z przerwami jakieś... cztery lata.

Zapadła cisza, Stefania przelknęła głośno ślinę. Znow zabolalo, i to tak bardzo.

– Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

– Zakończyłem to dawno temu... tylko, że... – Urwał. – Naprawdę chciałem to zrobić, ale zagroziła, że o wszystkim ci powie... Wystraszyłem się... Uwierz mi.

– Chciałabym, ale nie potrafię – odparła twardo, tamując w sobie wszystkie przeciwstawne emocje. Chciało jej się krzyczeć, wyc zarazem, śmiać

i płakać. Co on zrobił z jej życiem, jakim prawem?

– Jesteś taki sam jak twoja matka! – syknęła wściekle. – Genów nie oszukasz!

– Nie mów tak! – zaprotestował.

– Puszczala się nawet wtedy, kiedy ojciec zachorował. Nie ma żadnych zasad, ty też!

– A niby skąd to wiesz? – spytał, podnosząc głos. – Możesz obwiniać mnie o wszystko, ale osobą mojej matki nie wycieraj podłogi. Nie pozwolę ci na to! To babka naszych dzieci, chociażby przez szacunek do starszej osoby...

– Powiedz to swojemu ojcu, na pewno mu się poprawi! – sarknęła z pogardą. – Najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy!

– Kto ci tych głupot naopowiadał? Znowu Józka? Niech ona zajmie się sobą i swoim życiem, a moją matkę zostawi w spokoju!

– Czyżby? To dlaczego twoja mamusia chciała uwieść męża mojej przyjaciółki? A potem zaspokoila się jego kolegą muzykiem. To też pochwalasz? Nie wstyd ci za nią? Zresztą... – machnęła lekceważąco ręką – niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Mówiąc to, wstała energicznie. Krzesło nieprzyjemnie zgrzytnęło, a ona wyprostowana ruszyła w stronę sypialni.

– Jutro składam pozew o rozwód! – rzuciła przez ramię. – Tymczasem wynoś się do stołowego! Nie chcę na ciebie patrzeć, brzydzę się!

– Stefcia, nie rób tego! – zaskomlał, odwracając głowę i patrząc błagalnie w jej stronę. – To wszystko da się jeszcze naprawić, obiecuję!

Nie skomentowała jego słów, udała, że ich nie słyszy.

– Jeszcze jedno – oświadczyła, stojąc odwrócona do niego plecami. – Od następnego tygodnia zamieszka z nami moja mama. Będzie się zajmowała dziećmi, a ja wracam do pracy! Dość tego!

Nie powiedział już nic. Dalej splatał palce i zaciskał je, wywołując trzaskania kostek. Siedział zgarbiony przy stole w pogniecionej, miodowej koszuli, z wciśniętą w ramiona głową. Zerknęła na niego kątem oka, kiedy



wychodziła z kuchni, i nagle, ku własnemu zdziwieniu, poczuła się silniejsza.

\*\*\*

Wiedziała, że będzie źle, ale nie sądziła, że aż tak bardzo. Życie pod jednym dachem z wiarołomnym mężem doprowadzało ją do coraz większej frustracji. W powietrzu wisiała ciężka atmosfera, której nie był w stanie rozproszyć nawet dziecięcy śmiech. Spanie w oddzielnych łóżkach, posiłki o różnych porach dnia, unikanie wzroku i wzajemnej bliskości utrudniało normalne funkcjonowanie rodziny. Stefania zmuszała się do uśmiechu, choć jej serce było roztrzaskane na kawałki. Przed synem udawała, że wszystko jest w porządku, co było najtrudniejsze. Na szczęście Weronika nie rozumiała jeszcze problemów dorosłych. Tymczasem Tadeusz przeszedł jakąś niebywałą metamorfozę. Zaczął wreszcie udzielać się jako ojciec, bawił się z dziećmi, wychodził na spacer, spędzał z nimi każdy wolny czas. Zrobił też kilka razy zakupy, posprzątał mieszkanie, czym najbardziej zadziwił żonę. Zawsze przecież zbierała jego porzucone w pośpiechu rzeczy, prała je, układała w kostkę, cierpliwie porządkowała blat w kuchni po jego wyczynach, kiedy robił sobie kanapki do pracy. Teraz nagle wszystko uległo zmianie. Mąż stał się uległy, wyrozumiały, oddany w każdym możliwym założeniu.

„Trochę za późno” – konkludowała w myślach, patrząc na jego ostatnie dokonania. „A mogło być tak pięknie” – dodawała z jeszcze większym żalem, obserwując męża leżącego na dywanie i budującego z Antkiem wieżę z klocków.

– Daj mu szansę, wycofaj ten pozew! – wtrąciła się kiedyś matka, kiedy zostały same w kuchni, wałkując ciasto na kopytka. Tadeusz w tym czasie wyszedł z dziećmi na lody. Całkiem niedaleko placu Wolności otworzyli nową lodziarnię. – Widzisz, jak się stara, każdy przecież popełnia błędy...

– Jednorazowo tak, ale nie przez cztery lata! – jęknęła z wyrzutem. – Mamo, myślisz, że bym nie chciała? Tylko jak wybaczyć tyle kłamstw, obojętności, zdrad? Nie da się o tym zapomnieć ot tak.

– Pewnie masz rację – przyznała zrezygnowana Rudzka. – Nigdy nie miałam takiego problemu. Broniek był wierny jak pies, właściwie nie opuszczał swojego warsztatu na krok. A kiedy z niego wychodził, był już tak zmęczony, że marzył tylko o jedzeniu i wypoczynku.

– Drugiego takiego jak tata już nie znajdziemy, choćby ze świecą szukać – odparła Stefa z ponurą miną. – Mamo, pokroisz brzuszek? Usmażymy z cebulką, będzie na jutro jako omasta.

– Daj, no pewnie! – zgodziła się bez namysłu.

– A ty co byś zrobiła na moim miejscu?

– Sama nie wiem... Ty wiesz lepiej, czego chcesz, zrobisz, jak uważasz, twoje życie, córko – odparła sapiąc ciężko i uderzając szerokim ostrzem noża w surowe mięso. – Nikt nie powiedział, że będzie łatwo, jednak cokolwiek zrobisz, zawsze będę po twojej stronie. Zapamiętaj sobie!

– Dziękuję, mamo, to dla mnie wielka rzecz. Najgorsze jest to udawanie przed światem. Niedługo jedziemy do Kalisza, ojciec Tadka czuje się coraz gorzej. Podobno lekarze wykryli u niego raka trzustki. Nie jest dobrze... Jak w takiej chwili nosić w sercu urazy?

– Masz rację, musisz na pewien czas zapomnieć o tym, co cię gryzie. Wiem, że nie będzie ci lekko, ale zrób to dla teścia. Lepiej, jeśli się o niczym nie dowie.

– To prawda. – Westchnęła głośno i zaraz dodała: – Rozmawiałś ze Staszkiem na temat przeniesienia się tutaj?

– Tak, wspomniałam o tym.

– I co?

Wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to, że moja wyprawka byłaby im na rękę. Nawet nie zaprotestowali, choćby z czystej przyzwoitości.

– Przynajmniej nie będziesz miała wyrzutów sumienia. – Stefka roześmiała się kpiąco.

– Ech, łatwo powiedzieć! – Krystyna potrząsnęła otłuszczoną ręką. – Tyle lat życia w jednym miejscu, żal będzie. Tyle wspomnień, tyle zdarzeń... Co

powiedzą sąsiedzi?

– Nie muszą znać prawdy, a ty nie musisz się przed nikim tłumaczyć – odparła stanowczo córka.

– A mówią, że starych drzew się nie przesadza – sarknęła Rudzka. – Dlaczego mnie to spotkało, czym sobie na to zasłużyłam?

– Nie mów tak, bo się rozplączę. Dobrze ci będzie u nas, zobaczysz. – Podeszła do rodzicielki i objęła ją mocno ramieniem. – Dziękuję, Kocham cię, mamo.

– Ja ciebie też.

\*\*\*

Józia tym razem przysłała list i paczkę, w której Stefka znalazła kolorową apaszkę z jedwabiu, woreczek z suszoną lawendą, pachnące mydło, kostkę chałwy i kilka widokówek z pięknymi krajobrazami. Ostatnio koncertowali w Jugosławii. Przy okazji znaleźli parę dni, aby złapać oddech nad Morzem Adriatyckim, które, jak twierdziła przyjaciółka, jest zachwycające. „Nigdy nie widziałam piękniejszego miejsca” – donosiła w liście. „Gdybyś to, Stefciu, mogła zobaczyć! Te wyspy, góry, cykady i lazurowa woda”...

Józia pisała, że ich występ w Zagrzebiu spotkał się z owacją na stojąco. Stworzyli nowy utwór, który został tam odebrany z entuzjazmem, choć w rodzimym kraju przeszedł bez echa. Rozalką w tym czasie zajmowała się pani Ludmiła, którą państwo Wróblewscy ściągnęli do siebie. Staruszka wciąż była żywotna, pełna charyzmy, a stołeczna atmosfera tylko dodawała jej sił. Od czasu do czasu odwiedzał ją jej przyjaciel, pan Włodek. Razem chodzili na spacer, pili radziecki koniaczek i odwiedzali lokalne kawiarnie. Co prawda Rozalka była już niemal dorosłą kobietą, w tym roku kończyła siedemnaście lat, jednak to wciąż za mało, aby zostawić ją bez opieki, jak uzasadniała Józia w liście. Nigdy nie wiadomo, co takim młodym może przyjść do głowy.

„Tyle wdzięczności za pięć bochenków chleba” – skonkludowała w myślach Ostrowska, przeglądając podarki i zachwycając się nimi, każdym

z osobna. „To nie chodzi o pięć bochenków chleba!” – protestowała Józia za każdym razem z oburzeniem. „Wykazałaś się wtedy wielką odwagą, ryzykowałaś własnym życiem! Pokazałaś, ile jest warta prawdziwa przyjaźń”.

Niezwykłe było to, że wielka gwiazda, pani Wróblewska, nigdy o tym nie zapomniała. Nieustannie wracała pamięcią do tych strasznych chwil, kiedy to na czworakach niczym zwierzęta skradały się po przeciwnych stronach ogrodzenia. Stefka znalazła w nim większy otwór, przez który podawała przyjaciółce poszarpany chleb. Cały niestety się nie zmieścił. Józia upychała go w kieszeniach szerokiego fartucha, wszytych od wewnętrznej strony. Dzielił je tylko płot, a jakże różnił się ten świat po drugiej stronie, w ciągu kilku lat zamieniony w największy koszmar, jaki sobie można było wyobrazić. Głód, strach, choroby, robactwo, śmierć...

Stefka próbowała wówczas szeptem przekazać kilka marnych słów pociechy, które jej koleżanka łowiła zachłannie i chowała w sercu. „Nawet nie wiesz, jakie to było dla mnie ważne w tamtej chwili. Nigdy ci tego nie zapomnę” – obiecywała Józia. „I nie zapomniała” – pomyślała z czułością Ostrowska, chowając wszystko do pudełka i wracając do czytania listu.

*A teraz najważniejsze, to niesamowite! Kilka dni temu oglądałam program w telewizji. Patrzę i patrzę, i nie mogę uwierzyć własnym oczom. Widzę moją Różę. Śliczną jak zawsze, uśmiechniętą, ale już nie nastolatkę, tylko kobietę. Opowiadała jakiejś dziennikarce o okropieństwach wojny, o tym, jak udało jej się uciec z getta i wyjechać do Ameryki. Słucham, i nie wierzę. Ona żyje! Ona ocalała!*

*Mówiła, że jak wyszła po jedzenie, została schwytana przez czyścicieli. Prowadzili ją do transportu wraz z innymi uwięzionymi, kiedy rozpętała się jakaś strzelanina. Kilka osób w grupie zostało zabitych, kilka rannych. Wykorzystała okazję i uciekła. Schowała się w jakiejś piwnicy, a kiedy w mieście zrobiło się ciszej, przedostała na drugą stronę ogrodzenia. Odnalazła schronienie w kościele. Najpierw schowała się w konfesjonale, a kiedy ją tam zastał młody wikary, nie wydał jej, tylko zaproponował pomoc. Schował ją w podziemiach kościoła, gdzie znajdowały się krypty i grobowce zmarłych księży. Przynosił jedzenie, ubrania i ciepłe koce. Wiele musiała wtedy znieść, wszelkie niewygody, upokorzenie, a wreszcie strach.*

Bała się nie tylko o siebie, ale także o rodzinę, która została w getcie. Kiedy rozeszła się wieść o zbliżającej się sowieckiej armii, Niemcy zaczęli w pośpiechu opuszczać miasto. To oznaczało upragnioną wolność. Wielodniowe poszukiwania sióstr i matki nie przyniosły rezultatów, aż dotarła do niej wieść o formowaniu żydowskiej grupy ocalałych do wyjazdu za granicę. Niewiele myśląc, przyłączyła się do nich, a wkrótce z tobołkiem w ręku wyposażonym w wiktuały przez księdza wikariusza stanęła na pokładzie statku płynącego do Ameryki. Potem przez wiele lat usiłowała za pomocą Czerwonego Krzyża odnaleźć zaginioną rodzinę. Nie udało się.

Zadzwoiłam do tej dziennikarki, poprosiłam o kontakt do siostry. Była zdumiona i zaproponowała, że nakręci o nas program. Cudowne odnalezienie po tylu latach! Ludzie takie historie uwielbiają. Najpierw musiałam się zgodzić, potem przekazała mi namiary. Nawet nie wiesz, co czułam, kiedy wykręcałam do niej numer. Ręce mi drżały, wargi też, w piersiach tłukło się serce. Najpierw mi nie uwierzyła, twierdziła, że jej siostra nie przeżyła wojny... Dopiero kiedy wspomniałam o Mordce, naszym ukochanym piesku, który został zastrzelony przez niemieckiego gestapowca, ponieważ szarpał go za nogawki, kiedy przyszli do nas na rewizję, zaczęła płakać jak bóbr. Nikt inny nie mógł znać tej historii... Szybko nawiązałyśmy nić porozumienia. Opowiedziała mi o swojej tułaczce po Ameryce, o tym, jak spotkała swojego przyszłego męża, urodziła córkę, o tym, jak mnie szukała. Tylko okazało się, że szukała mnie pod naszym rodowym nazwiskiem Fogiel. A ja zaraz po wojnie wyszłam za mąż, i zrobiłam wszystko, aby zatrzeć w papierach żydowskie korzenie.

– Co za historia! – jęknęła Ostrowska, pochłaniając zachłannie każde słowo. – Spotkanie po tylu latach...

Obiecała, że przyleci do Polski. Najszybciej jak to będzie możliwe. Nie mogę się już doczekać. Mam nadzieję, że przyjedziesz wówczas do Warszawy i spędzimy ten czas we trzy. Trzy ocalone od śmierci. To będzie niezwykły czas.

Kończę, Stefcu. Napisz, co u Ciebie.

Ściskam mocno, ucałuj dzieci i swojego męża.

Józia

Odłożyła list do szuflady w komodzie drżącymi rękoma. Nie mogła powstrzymać łez. Pamiętała Różę – młodszą siostrę przyjaciółki. Była śliczną, drobną dziewczynką o anielskiej buzi, z parą wielkich czarnych oczu, okoloną drobnymi paciorkami ciemnych włosów. Obie zazdrościły jej urody, choć żadnej z nich niczego przecież nie brakowało. Podeszła do gramofonu i nastawiła płytę Nataszy Zylskiej. Piosenka *Kasztany* popłynęła zmysłowym głosem, przepelnionym emocjami i nostalgią. Nalała sobie kieliszek wina domowej roboty, usiadła przy stole i wsłuchując się w piękną melodię, odpłynęła myślami daleko, hen.

## Rozdział 22

**D**o Kalisza pojechali we czworo dopiero co nabytym przez Tadeusza autem. Wreszcie dostał upragniony talon, który niewątpliwie związany był z niedawnym awansem. Zaporoziec w dosłownym tłumaczeniu oznaczał Kozaka z Siczy Zaporoskiej, mieszkańca Zaporozża. Auto produkowała ukraińska fabryka ZAZ. Ten ich miał czerwoną karoserię, czterocylindrowy silnik i czarne, wygodne fotele ze skaju. Antek oszalał z radości, wciąż o coś pytał, siadał za kółkiem, a tata tłumaczył mu z dumą, do czego służą poszczególne przyciski i pokrętła.

– Tu jest dźwignia biegów – objaśniał, pokazując malcowi metalowy pręt przy kierownicy zakończony czarną gałką, a tu są światła, tutaj korbki do szyb.

Dzieciak chłonał każdy szczegół i nawet zażądał, aby zajrzeć pod maskę, gdzie znajdowało się serce pojazdu, czyli silnik.

Trasa przebiegła pomyślnie, Tadeusz wykazał się umiejętnościami dobrego kierowcy, czym zaskoczył ją kolejny raz. Przez całą drogę zerkał w stronę żony, posyłał wymowne uśmiechy, za którym kryły się niewątpliwie słowa: „Przepraszam, już nigdy tak nie postąpię, daj mi jeszcze jedną szansę, kocham cię”.

„Cynik” – przeszło jej trzeźwo przez myśl i zamiast wygiąć usta w ramach porozumienia, tylko się skrzywiła.

Termin pierwszej rozprawy został wyznaczony, tymczasem musiała udawać przed dziećmi, że wszystko między nimi jest w porządku. Nie miała zamiaru ustępować, na co wiarołomny mąż tak bardzo liczył, choć niejednokrotnie dopadały ją zwątpienie i żal za tym, co było dobre. Przez

całą podróż nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, na szczęście dzieci nie pozwoliły na całkowite milczenie. Wciąż o coś pytały, dokazywały albo dla odmiany dochodziło między nimi do drobnych sprzeczek. Tak na przemian. W tej sytuacji było jej to na rękę. Nie zniosłaby tej niezręcznej, grobowej ciszy, która zdawała się tylko pogłębiać ogromny dzielący ich dystans. Musiała jednak przyznać sama przed sobą, że małżonek wciąż był przystojny i pociągający. Nic nie stracił z dawnego czaru, mimo kilku siwych nitek we włosach i pierwszych zmarszczek na czole i rozchodzących się promieniście wokół oczu. Dziś ubrany był w kolorową koszulę w prążki, którą podarowała mu z okazji urodzin, jeszcze w ubiegłym roku, kiedy między nimi teoretycznie było wszystko w porządku. Okulary przeciwsłoneczne w szerokich oprawkach dodawały mu tajemniczości, a czarne, gęste, zmierzwiłone włosy chłopięcego uroku. Na jego opalonych, smukłych dłoniach zaciśniętych na kółku kierownicy mieniła się wciąż złota obręczka. „Gdyby tak można było cofnąć czas albo zemleć na popiół wszystko, co złe” – myślała rozgoryczona, patrząc na rękę, które tyle razy wędrowały po jej skórze, kreśląc na niej mapę miłości, dając jej tym samym nie tylko słodką rozkosz, ale poczucie, że stali się jednością. Niemal jednocześnie w głowie lotem błyskawicy pojawiała się myśl o zdradzie, o innej kobiecie, którą dotykał tak samo albo i z większym zapalem i gorliwością. „Nie! Kategorycznie, nie!” – krzyczał ze środka głos rozsądku, który kazał jej natychmiast wyrzucić z pamięci te obrazy. Zaciskała kłujące od łez powieki i odwracała głowę w drugą stronę, spoglądając na rozciągający się majestatycznie widok za oknem. Na szerokie pasy pól, dojrzewające łany zbóż, dorodne sady i rzędy siwych, kłaniających się brzoź – staruszek. Mijali to pasek wijącej się w dali, srebrzącej w promieniach słońca rzeki, to brodzące w stawach bociany. Czas płynął powoli, ciężar z serca nie ustępował i marzyła już tylko o tym, aby jak najszybciej dotrzeć do celu.

Było dobrze po dwunastej, kiedy dojechali na miejsce. Mąż zaparkował przed kamienicą, zabrał z bagażnika walizkę z rzeczami i zaniósł na górę. Obiecał, że zaraz po nich wróci. Ona zajęła się dziećmi. Wiedziała, że z teściem jest źle, dlatego próbowała jakoś przygotować syna i córkę na spotkanie z chorym dziadkiem. Było gorące lato sześćdziesiątego pierwszego



roku. Temperatury dochodziły nawet do trzydziestu stopni Celsjusza. Po kilku godzinach jazdy czuła się nieświeża. Bistorowa sukienka w kwiaty, którą założyła, nie przepuszczała powietrza. Teraz w duchu przeklinała pomysły założenia jej, marzyła o kąpieli i czymś zimnym do picia. Dawno niewidziane kąty mimo woli skłoniły do wspomnień, kiedy przyjechała tu pierwszy raz. Była wtedy oczarowana Tadeuszem, który nie szczędził sił, aby ją do siebie przekonać. Nagle żal jej się zrobiło na tę myśl. Co zrobili, aby to wszystko, co się między nimi zrodziło, zaprzepaścić? Może ona też zawiniła? Nie starała się, nie zabiegała o ich związek, ale przede wszystkim nigdy nie powiedziała mężowi, że go kocha. Rzadko też chwaliła go, a przecież mężczyźni są próżni i wciąż jak dzieci czekają na komplementy.

Kiedy wdrapywała się z dziećmi po schodach, targnęły ją wątpliwości i naszyły nowe refleksje. Może powinna jeszcze raz przemyśleć to wszystko? A co z dziećmi po rozwodzie, co z mieszkaniem, ich wspólnym dobytkiem? Nie umiała odpowiedzieć na te pytania, a na razie trzeba było jakoś wytrzymać u teściów i zachowywać pozory kochającego się małżeństwa.

Już w drzwiach powitała ją teściowa. Mimo malującego się na jej zmęczonej twarzy smutku w oczach Ireny pojawiły się na widok wnuków iskiereki radości.

– Moje kochane maleństwa! Jak ja dawno was nie widziałam! – Rozpostarła szeroko ramiona i pochyliła się nisko, aby móc wyściskać Antka i Werę.

– Już nie takie maleństwa – prychnęła Stefka, spoglądając na całą trójkę tulących się do siebie. – Rosną jak na drożdżach.

– Chodźcie, chodźcie! Tadek miał po was zejść, ale poprosiłam go, aby poszedł z ojcem do toalety. Wybaczysz, Stefciu?

– Ależ naturalnie – odparła młoda Ostrowska i spojrzała w oczy teściowej, dostrzegając w nich ból i cierpienie. Pierwszy raz poczuła w stosunku do niej coś więcej niż współczucie i zrozumienie. Ona naprawdę martwiła się o męża.

Zaskoczył ją półmrok i zapach starego kurzu zalegającego zakamarki mieszkania. Nic się nie zmieniło przez te wszystkie lata, nadal panoszył się tutaj brud, nic nie miało swojego miejsca, choć tym razem snuł się dodatkowo ciężki, żalobny wręcz nastrój. Na powitanie wyszedł Leon. Był już stary, niemal ślepy, ale gdy wyczuł swoich, podniósł się z legowiska i powlókł w stronę, skąd dochodziły głosy. Dzieci obległy go niemal natychmiast, wyściskały, wytargały za uszy, wygłaskały, na co on tylko z zadowoleniem merdał ogonem i wyciągał łeb w kierunku ich ciepłych rąk.

– Urszuli nie ma? – zdziwiła się Stefania, rozglądając się dookoła.

– Nie, wróci za kilka godzin, miała ważną sprawę do załatwienia na mieście – pospieszyła z odpowiedzią teściowa. – Rozgośćcie się, kochani, w swoim pokoju, a ja w tym czasie zaparzę kawę. Kupiłam ciasto, potem zjemy obiad. Sąsiadka ugotowała młodą kapustę i usmażyła kotlety. Wiesz, że ja nie potrafię – dodała na usprawiedliwienie, spoglądając na synową.

– Nie szkodzi, mamó. Zaraz się przebiorę i ci pomogę. Wezmę tylko szybką kąpiel, kleję się od potu. Ta sukienka to był najgorszy wybór z możliwych!

– Dobrze, kochanie, czuj się jak u siebie w domu. – odparła cicho i podeszła do stolika, na którym leżała paczka papierosów. – Ja sobie w tym czasie zapalę.

Antek zdążył pobiec do dziadka, a Weronika nie odrywała się od Leona. Teraz położyła się na jego grzbiecie i objęła ramionkami szyję.

– Weronika, zostaw psa! On jest już stary i słaby! – zaprotestowała matka, widząc dokonania córki.

– Daj spokój, Leon sobie poradzi. Idź się przebierz! – uspokoiła ją Irena, uśmiechając się kącikami ust. – Zajmę się małą. Możesz być spokojna. – To mówiąc, pochyliła się nad podłogą i zdjęła ostrożnie dziewczynkę ze zwierzaka.

– Chodź, Werka. Babcia ci coś pokaże! – Chwyciła małą za rękę i poprowadziła w stronę pianina. – Zagramy coś razem?

– Tak, tak! – Wnuczka zapiszczała z radości i pozwoliła się postawić na stolku, potem niecierpliwie położyła palce na klawiaturze i zaczęła brzdąkać.

\*\*\*

Widok chorego Lucjana wprowadził Stefanię w osłupienie. Nie widzieli się cztery miesiące, nigdy nie sądziła, że przez tak krótki czas można się tak bardzo zmienić. Wyglądał jak stary człowiek, przeraźliwie chudy, z zapadniętymi policzkami i nienaturalnie wystającym nosem. Twarz miał okrytą śmiertelną bielą, która nadawała mu woskowy, niemal sztuczny wygląd. Każdy oddech wydawał się mozolny, niezwykle trudny, dlatego samo patrzenie na niego wywoływało ból i żal za czymś utraconym. Sina pościel potęgowała poczucie triumfu choroby nad życiem, które z takim zapałem z niego uchodziło.

– Może przyniosę jeszcze jedną poduszkę, tato? – spytała, pochylając się troskliwie nad teściem. – Będzie ci łatwiej oddychać...

Nie zapytała, jak się czuje, bo uznała, że takie pytanie byłoby nie na miejscu. Już na pierwszy rzut oka widać było, jak cierpi.

– Tak, córko. Przynieś – wychrypiał.

Dzieci obsiadły go z dwóch stron i trzymały kurczowo za wysuszone dłonie. Z wrażenia niewiele mówiły.

Tadeusz stał z boku z zaciśniętym gardłem, w którym tłumił próbujący się wyrwać jęk rozpacz. Spoglądał też na żonę, pochylającą się troskliwie nad ojcem. Był jej wdzięczny za zimną krew, nieokazywanie emocji i czułość. Histeria nie była tacie potrzebna, teraz najważniejsze było trzeźwe, racjonalne myślenie.

– Tato, może chcesz coś zjeść? Ugotowałam rosół z lubczykiem. Taki, jak lubisz.

Mruknął w odpowiedzi i uśmiechnął się nieznacznie.

– Troszkę – wymamrotał.

– To dobrze, zaraz przyniosę – odparła, prostując plecy.

Po chwili wyszła do kuchni, gdzie przy stole ze zwieszoną głową siedziała teściowa.

– Trzy miesiące temu zdiagnozowano u niego raka trzustki. Jest już za późno na leczenie chemią. Lekarze dają mu najwyżej miesiąc, do dwóch... – rzekła cicho, nie patrząc na Stefkę. – Nie chce umierać w szpitalu, rozumiesz więc?

– Tak, doskonale – szepnęła synowa, kładąc rękę na jej ramieniu. – Mój tata też tego nie chciał... Zostaniemy tu kilka dni, a może nawet dwa tygodnie. Nie zostawimy cię teraz samej. Tadek wziął urlop, a ja do pracy wracam dopiero po wakacjach...

– Dziękuję, kochana – odparła zduszonym głosem, dotykając nieśmiało jej dłoni. – Tak bardzo pragnął jeszcze raz zobaczyć Lwów. Spotkać się z dawnymi znajomymi, przyjaciółmi... Pójść tam, gdzie kiedyś stał nasz dom. Może jeszcze stoi, kto wie? I kasyno... – Roześmiała się gorzko. – Byłam dla niego czasem okropna, a on wybaczał mi te wszystkie zdrady i kłamstwa. Sam też nie był bez winy, ale mężczyźnie to jakoś przystoi, a kobiecie?

– A jednak przetrwaliście razem wszystko. Dobre i złe czasy... To tylko znak, że naprawdę się kochacie.

– Tak myślisz? Może masz rację... – Zamyśliła się na chwilę. Jej twarz spochmurniała. – Wiesz, Lucjan był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu poznałam. Zawsze byłam o niego zazdrosna, kobiety lgnęły do niego jak muchy do miodu, a on... Cóż... – Machnęła ręką. – Postanowiłam nie być mu dłużna. Pewne rzeczy robiłam z premedytacją. I tak oto stałam się potworem.

– Nie mów tak, mamó! Jesteś przy nim, wspierasz go. Wciąż go kochasz. Skoro ci wybaczył, to nie ma do czego wracać...

Nakładła na talerz makaron i zalała gorącym rosołem. Niedużo, tak jak sobie życzył teść.

– Może chcesz mu zanieść? – zaproponowała, zatrzymując się w pół drogi. – Ja w tym czasie pozmywam naczynia.

– Daj! – Ostrowska wstała i wzięła od niej talerz, potem wyprostowana z podniesioną głową ruszyła do ich wspólnej sypialni. Stefka, odprowadzając ją wzrokiem, odniosła wrażenie, jakby teściowa odkryła w sobie nagle nową misję do spełnienia.

\*\*\*

Przez następne kilka dni Stefania skupiła się na odgruzowywaniu mieszkania, którego czystość pozostawiała wiele do życzenia. Pomyła okna, wyprała firany, zasłony, pościel, odkurzyła ściany, fotografie, obrazy i dywany. Poukładała na nowo bibeloty, książki, wyrzuciła stare, zużyte rzeczy, które nie przedstawiały żadnej wartości, zadbała też o kwiaty. Pokoje przejaśniały, nabrały świeżości i elegancji, kuchnia wydała się nagle większa. Uporządkowany przedpokój zyskał na przestronności.

– Też ci się chce! – skwitowała Urszula, stojąc nad szorującą podłogi Stefką w nowej, uprasowanej sukience. Właśnie wychodziła na randkę ze swoim kolejnym narzeczonym. Choroba ojca niewiele ją obeszczała, żyła w swoim świecie w poczuciu, że wszystko, co najlepsze, należy się wyłącznie jej. Niedawno skończyła studia i jakoś nie kwapiła się do podjęcia pracy, co nie podobało się ani matce, ani ojcu. Teraz, kiedy jedyny żywiciel rodziny leżał na łożu śmierci, liczyła się każda zarobiona złotówka. Dobrze, że Irena sprzedała ostatnio srebrny komplet sztućców. Mieli więc na podstawowe opłaty i wydatki. Odwiedziny brata z rodziną Ulka odebrała jako coś zakłócającego codzienny rytm, dlatego sytuacja nie była jej na rękę i nie miała ochoty poświęcać im swojego cennego czasu.

– A właśnie, że mi się chce! – odcięła się złośliwie Stefka, podnosząc głowę i spoglądając na nią spod ściągniętych brwi. – Mieszkanie od razu stało się przytulniejsze, nie zauważyłaś? Wystarczyło dobrze wywietrzyć, a teściowi od razu zrobiło się lepiej.

– Ciekawe, na jak długo? – sarknęła niecierpliwie, zrobiła zwrot na niewysokim obcasie i już miała wyjść, gdy bratowa zaczęła ją pytaniem.

– Nie jest ci głupio, kiedy przyprowadzasz tutaj chłopaków? Ja na twoim miejscu spaliłabym się ze wstydu. Wszystko aż kleiło się od brudu.

– A niby czego miałabym się wstydzić? To moja wina, że starych nie stać na sprzątaczkę? – Wydęła wargi i obrzuciła Stefkę wściekłym spojrzeniem. – My nie jesteśmy przyzwyczajeni do pracy. Jesteśmy stworzeni do wyższych celów.

– Ciekawe jakich! – zadrwiła, wyzymając ścierkę w wiadrze i rzucając ją gniewnie na podłogę. – Każdy tak może o sobie myśleć, bez wyjątku.

– I tu się mylisz! – syknęła Urszula, pochylając się nad szorującą na kolanach Stefką. – Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele! Cham na zawsze pozostanie chamem, nie wiedziałaś?

– Jasne! – skwitowała, nie kryjąc oburzenia. – W dzisiejszych czasach każdy jest równy, żyjemy w socjalizmie od wielu lat. Kapitalizm został wyparty, nie zauważyłaś?

– Kapitalizm można wyprzeć, ale urodzenia nikt mi nie odbierze! – burknęła przez ramię i wyszła, trzaskając drzwiami.

Młoda Ostrowska zaczerpnęła głęboki haust powietrza i wypuściła go z ulgą. Ta ostra, nieprzyjemna wymiana zdań rozjuszyła ją do granic. „Co ona sobie wyobraża, że kim jest? Królową Anglii?” – pomstowała w myślach. „Zarozumiała fleja i nygus!” – skwitowała po chwili i wróciła do mycia brudnego parkietu.

Na szczęście Urszula w domu bywała rzadkim gościem. Czas mijał jej na potańcówkach, spotkaniach towarzyskich i randkach z ukochanym. O ile kiedyś Stefka żywiła nadzieję, że nawiążą nić porozumienia, po ostatniej awanturze straciła na to całkowicie ochotę.

Ta bezczelna, mało urodziwa arystokratka budziła w niej skrajne uczucia. Z jednej strony było jej żal, z drugiej każde pojawienie się szwagierki powodowało złość. Nie miała zamiaru zwierzać się z tych problemów mężowi, niech będzie tak jak jest, nic na to nie poradzi. W tej chwili były tutaj ważniejsze problemy, choć teściowi naprawdę się poprawiło. Leżał na łóżku niemal w pozycji siedzącej, więcej jadł, rozmawiał z wnukami, a nawet się uśmiechał.

– Od razu w tym domu przejaśniało – twierdził za każdym razem, kiedy kuśtykał oparty na ramieniu syna, aby skorzystać z toalety. – Twoja żona to

prawdziwy skarb. Takich już nie ma na tym świecie – dodawał.

– Zgadzam się z tobą, tato – przyznawał smętnie Tadeusz, mając z tyłu głowy, że rozwód jest już za pasem, że nikt inny, tylko on sam zmarnował wszystkie dane mu szanse. „A może wycofa pozew, może zmieni zdanie?” – czepiał się desperacko tych myśli, nie tracąc jeszcze nadziei.

\*\*\*

Mijały kolejne dni. Aby ulżyć ojcu i zrobić mu przyjemność, Tadeusz pożyczł od niepełnosprawnej sąsiadki wózek, dzięki któremu mogli wychodzić z nim na spacer.

– Świeże powietrze dobrze ci zrobi – powtarzali, krocząc najpierw alejkami pobliskiego parku, a następnie zmierzając do centrum miasta, które stało się jeszcze cięższe od kurzu i gorącego powietrza. Drzewa nad ich głowami szumiały cicho, a kwitnące na środku klombu róże wydawały z siebie boski aromat.

– Piękny jest ten świat! – zauważył nagle senior Ostrowski. – Aż żał go tak zostawiać... Miałem jeszcze tyle marzeń, planów...

– Wyzdrowiejesz, tato, więcej wiary! Jeszcze będziesz tańczył na Antka weselu! – upomniął go syn, zerkając na bawiące się z Leonem dzieci. Co jakiś czas wpadały na trawnik, na którym wciśnięta była tabliczka z napisem: „Szanuj zieleni”. Co prawda trawa była żółta i wysuszona, jednak hasło swoje robiło.

– Nie depczcie trawnika! Nie widzicie co tutaj jest napisane?

– Najpierw wolałbym u Ulki... – bąknął Lucjan w zamyśleniu. – Mogłaby się wreszcie ustatkować i pójść do jakiejś roboty. Skaranie boskie z tą dziewczyną – jęknął teatralnie. – Ciekawe, jak sobie poradzi z nią matka, gdy mnie zabraknie...

– Tato! Nie mów tak! Poza tym wszyscy wiemy, jaka jest Ula. – Zaśmiał się wymownie, po czym znów huknął na syna depczącego trawę.

– Gdzie? – spytał rozkojarzony Antek, który dotychczas nie zwracał na nic uwagi.

– Pod twoimi nogami, nie widzisz?

– Daj mu już spokój! – wtrąciła się Stefania, która kucnęła, aby poprawić Weronice nową sukienkę w drobne kwiatuszki. – Spójrz, jaki jest szczęśliwy. Trawy i tak nie ma, wyschła...

Z przeciwka alejką szło dwoje ludzi z głębokim wózkiem z czerwonej cery. Rozmawiali o czymś, gestykulując żywo. Młoda kobieta trzymała w ręku wafel wypełniony lodem. W pewnej chwili mijający ich mężczyzna zatrzymał się i krzyknął zdumiony:

– Stefania? Ty tutaj?

Na dźwięk tych słów podniosła głowę, otworzyła szerzej oczy, po czym na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– Mirek? Na Boga, nie wierzę!

Wstała, nieruchomiejąc na chwilę. Chłopak, którego poznała wiele lat temu w pociągu, nieco się zmienił. Przede wszystkim zmężniał, wyprzystojniał.

– Ty mała oszustko! – Zaśmiał się, podchodząc bliżej. – Okłamałaś mnie!

– Ja? W jakiej sprawie? – Udawała, że nie rozumie.

– Już nie pamiętasz? A kto powiedział, że mieszka na Rzeźniczej?

Stefka parsknęła krótko.

– No, może troszkę – przyznała skruszona. – Nie sądziłam, że będziesz chciał mnie kiedykolwiek odwiedzić – odparła zgodnie z prawdą.

– A jednak... Ale dzięki temu poznałem swoją przyszłą żonę. To jest Bożena.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na towarzyszącą mu młodą, ładną kobietę. W dodatku ładną podobną do jej przyjaciółki Kazi. Już na samo wspomnienie jej serce przeszył ostry jak brzytwa ból.

– Pani jest siostrą Kazi? – spytała, poruszona uderzającym podobieństwem. – Zupełnie jakbym ją miała przed oczami.

– Tak, młodszą siostrą. Znała ją pani?



– Bardzo dobrze. Byłyśmy razem w obozie i razem stamtąd uciekłyśmy, tylko że...

– Niech pani nie kończy, wiem, co się stało... Rodzice mi powiedzieli. Biedna Kazia!

– Taak – przytaknęła ze smutkiem.

– A co tu robisz, Stefka? – wtrącił się ponownie Mirek, który najwyraźniej nie miał ochoty na rozpamiętywanie ponurej przeszłości.

– Chwilowo mieszkam, rodzina mojego męża żyje w Kaliszu, poznajcie się!

Nastąpiła krótka prezentacja, wymiana uścisków i spojrzeń.

– Niezwykły zbieg okoliczności – podsumowała to spotkanie Stefania. – Nigdy nie sądziłam, że nasze drogi jeszcze kiedykolwiek się zejdą. – Potem pochyliła się i zajrzała do wózka. – Ale słodkie maleństwo. Jak ma na imię?

– Joasia – odparła siostra Kazi, cmokając czule w stronę niemowlaka. – Ma dopiero trzy miesiące.

– Co za spotkanie! – powtórzyła śpiewnie, nie kryjąc emocji.

– Zgadzam się z tobą, dlatego nalegam, abyście wieczorem wpadli do nas na kieliszek nalewki. Mieszkamy nadal w tym samym miejscu, więc niedaleko stąd.

Ostrowska spojrzała pytająco na męża, na co on skinął głową.

– Czemu nie? Dziękujemy za zaproszenie, to o której?

– O dziewiętnastej?

– W takim razie do zobaczenia!

\*\*\*

Minął kolejny tydzień. Mieli już za sobą odwiedziny u rodziny Kazi, gdzie bardzo miło spędzili czas. Okazało się, że Mirek kilka miesięcy po powrocie do domu zatęsknił za Stefką, dlatego postanowił udać się do Kalisza pod wskazany adres. Co prawda dziewczyna o podanym imieniu tam nie mieszkała, za to drzwi mieszkania otworzyła pełna, świeża jak brzoskwinia

dziewczyna o imieniu Bożenka. To było jak strzał Amora w samo serce. Nogi się pod nim ugięły, przez plecy przeszły ciary, w lędźwiach wezbrało od napięcia. Jeszcze kilka razy przyjeżdżał do Kalisza, śpiąc gdzie popadnie, kupując parę bukietów z goździków, zabierając ukochaną do kawiarni, a potem nastąpiło kulminacyjne zespolenie, na które oboje z utęsknieniem czekali. Zanim się obejrzał, było już po zapowiedziach, a jego narzeczona tuszowała ubraniami rosnący z każdym tygodniem brzuch. Trzeba było coś zrobić, aby sekret nie wyszedł na światło dzienne. Odbyło się więc szybkie weselicho. Pierwszy syn urodził się cztery miesiące po ślubie, drugi trzy lata później. Ostatnio Bożenka powiła śliczną dziewczynkę, choć jak przyznali, nie planowali trzeciego dziecka.

– Jak wychowa się dwoje, to i na trzecie znajdzie się miejsce – podsumowała babka, widząc ich chwile zwątpienia.

To była najlepsza decyzja w ich życiu – orzekli zgodnie. Szczęście w ich domu kwitło. Dziadkowie cieszyli się z wnuków, próbując w ten sposób zrekompensować pustkę po śmierci pierworodnej córki.

Tymczasem nieuchronnie zbliżał się moment wyjazdu Ostrowskich. Tadeusz musiał wracać do pracy, urlop się kończył. Jakoś smutno było zostawić rodziców samych w takiej chwili. Tacie się wprawdzie poprawiło, a jego twarz nabrała od słońca kolorów. Najgorsze były jednak noce. Wtedy ból wracał podwójnie i nie pozwalał Lucjanowi spokojnie spać. Męczył się, niekiedy krzyczał, niekiedy jęczał, błagając o śmierć. Straszne to były dla wszystkich chwile.

Ostatniego wspólnego wieczora siedzieli na sofie we trójkę, radząc, co dalej. Okna były pootwierane na oścież, zasłonięte szczelnie firanki chroniły przed atakiem krwiożerczych komarów. Mimo późnej pory duszność była niezwykle dokuczliwa.

– Nie będzie mi łatwo samej... Na Ulkę nie mam co liczyć, nie umiem gotować, sprzątać...

Nastąpiła chwila ciszy, Stefką wezbrała fala współczucia.

– Mamo, w takim razie ja zostanę z tobą. Co ty na to? Niech Tadek wraca do pracy, a ty się zajmiesz wnukami, a ja domem. Damy sobie radę – do-

dała na pocieszenie.

– Naprawdę? – Irena nie dowierzała. Łzy zakręciły się w jej oczach, spojrziała na syna, który zrobił zafrasowaną minę.

– Jesteś pewna, Stefcu? – zapytał, prześwietlając żonę wzrokiem.

– Tak, czemu nie? – Uniosła brwi, sprawdzając jego reakcję. – Będziesz miał więcej czasu dla siebie, czyż nie?

Szarpnął się nerwowo w fotelu, chwycił kieliszek napełniony bimbrem i wychylił jego zawartość.

– Wszystko w porządku? – spytała teściowa, patrząc na nich podejrzliwie. – Dziwnie się zachowujecie, czy jest coś, o czym nie wiem?

– Nie, skąd... – bąknął syn, unikając jej wzroku. – Sprzeczki jak w każdej rodzinie...

– Ach, tak... – skwitowała, zwijając usta w dzióbek. Zawsze tak robiła, kiedy dopadały ją wątpliwości. – Podobno się rozwodzicie? To prawda?

Oboje drgnęli na swoich siedzeniach i oboje ze zdumienia otworzyli szeroko usta.

– My? Skąd miałybyś to wiedzieć?

– Dziecko mi powiedziało. Antek strasznie to przeżywa, wyplakał mi się któregoś dnia.

– To niemożliwe! – jęknęła Stefka, robiliśmy wszystko, aby się nie domyślili...

– A jednak.

Zapadła cisza, matka Tadeusza spochmurniała, spuściła wzrok, patrząc bezradnie na pustą szklankę po herbacie z opadłą na dnie warstwą fusów.

– Wiem, nie jestem autorytetem w tej dziedzinie, możecie mi oboje wiele zarzucić, ale... – Zacerpnęła głęboko haust powietrza. – Przemyślcie to jeszcze. Tworzycie taką udaną, zgraną parę... Macie dwoje wspaniałych dzieci, właściwie wszystko, o czym sobie może zamarzyć normalna polska rodzina w tych czasach. Czegóż chcieć więcej?

– Mamo! – wtrąciła synowa. – Rozumiem twoje dobre intencje, byłam jednak inaczej wychowana i mam nieco inny stosunek do zdrad niż wy... Wybacz mi, ale mąż, który okłamuje mnie przez cztery lata, spotyka się z inną kobietą w tym czasie, kiedy powinien być ze mną i dziećmi... – Tu zatrzymała się na chwilę, przełknęła głośno ślinę. W gardle jej zaschło. – Taki mąż nie zasługuje na to, aby być moim mężem. Ja nie potrafię tak szybko zapomnieć i... wybaczyć.

– To prawda, Tadek? – zwróciła się tym razem do syna, mierząc go pytającym wzrokiem.

Skinął twierdząco głową, wcisnął ją w ramiona, nie wiedząc, co powiedzieć. Na jego twarzy malowała się bezradność.

– W takim razie... – Podniosła się. – Wszystko jasne – powiedziała sztywno. – Nie sądziłam, że piętno moich grzechów rzuci cień na wasz związek, żywiłam nadzieję, że chociaż jedno dziecko uchronię przed błędami całej rodziny... Wierzyłam, że wam się uda. Początkowo nie byłam zadowolona z wyboru syna, brzydziłam się kołtuństwa i drobnomieszczaństwa. Z czasem pokochałam synową jak własną córkę, uważam, że Tadeusz nie mógł trafić lepiej. Ale życie potrafi dawać po tyłku z każdej strony, nawet z tej, z której się kompletnie tego nie spodziewamy...

Gorzki był to wywód, tym bardziej bolesny w tych okolicznościach. Dalej już nic nie mówiła, zagryzła usta, przemierzyła szybkim krokiem salon i zatrzymała się przy pianinie. Usiadła przy nim, otworzyła klawiaturę. Z jakąś niebywałą siłą uderzyła w klawisze instrumentu, próbując wyładować w ten sposób gniew wymieszany z bezsilnością, narastającą w niej tęsknotą za minionym czasem, niewykorzystanymi szansami i utraconą miłością.

Po chwili spod jej palców wypłynęły porywające takty walca wiedeńskiego. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, coraz mocniejsza, rwąc za słuchanych za serca, a jednocześnie ni stąd, ni zowąd dodając otuchy i pochrzepienia. „Jeszcze wszystko będzie dobrze, jeszcze wszystko się ułoży” – zdawały się wraz z nią wybrzmiewać w powietrzu ciche, niewypowiedziane słowa.

– W takim razie... – Tadeusz wstał, kiedy muzyka ucichła – zadzwonię do zakładu i poproszę Jurka o zastępstwo. Mam nadzieję, że się zgodzi. Zostanę z wami jeszcze kilka dni.

– Tata się na pewno ucieszy – skwitowała żona, nie patrząc w jego stronę.

– A ty nie? – rzucił zaczepnie.

– Ja też – odparła po długiej chwili wahania, czując na sobie błagalne spojrzenie teściowej.

## Rozdział 23

**W**rócili do Łodzi po dziesięciu dniach. W tym czasie zdążyli pochować Lucjana, który zmarł dwa dni później w okropnych bólach, jękach i krzykach. Leon leżał przy jego łóżku, nie ruszając się z miejsca ani na chwilę. Czasem tylko podnosił łeb i przeraźliwie wył. Zdechł, zanim Lucjan oddał ostatni oddech. To był najstraszliwszy czas w ich życiu od zakończenia wojny, dlatego w powrotnej drodze niewiele się do siebie odzywali. Nawet dzieci zrobiły się jakieś markotne, szczególnie Antoś, dla którego śmierć dziadka stała się traumatycznym przeżyciem. Weronika niemal cały czas spała na tylnej kanapie, przytulając się do smutnego brata i obejmując brązowego misia otrzymanego w prezencie od babci Ireny.

W takich nastrojach trudno było wrócić do rzeczywistości, dlatego Stefania szukała powodów do odkrywania uroków życia na nowo, spotykając się z rodziną, znajomymi i przyjaciółmi. Postanowiła wreszcie odwiedzić Józię i Kazimierza, miała też nadzieję, że planowana od dawna podróż w okolice Bremy, znajdującej się po podziale administracyjnym Niemiec na terenie Republiki Federalnej Niemiec, dojdzie wreszcie do skutku.

Dzieci zostawiła pod opieką mamy, która bardzo się za nimi stęskniła. Zdążyła już przenieść się na dobre do ich mieszkania, co podobno nagle wpłynęło pozytywnie na jej stosunki z synową.

– Dobra teściowa jest tylko na odległość – skwitowała gorzko.

Tadeusz wrócił do pracy, do swoich codziennych obowiązków, do jakich przywykł przez tyle lat w jednym zakładzie. Stefka pomyślała, że rozłąka wyjdzie im na dobre, zwłaszcza jej.

W Warszawie została powitana na dworcu głównym po królewsku. Kwiatami, serią uścisków i pocałunków. Następnie udali się na uroczysty obiad do ulubionej restauracji Józki, gdzie oczywiście wszyscy znali państwa Wróblewskich i nie ukrywali podziwu dla tej pary.

Ich czas wypełniały spacerunki po Starówce, Parku Łazienkowskim, wjazd windą na taras widokowy Pałacu Kultury i Nauki, posiadówki w popularnych lokalach oraz upragniony koncert w dawnym teatrze Roma przy Nowogrodzkiej. Na ten ostatni moment czekała szczególnie. Siedziała w pierwszym rzędzie, tuż przy drewnianej scenie, na której ustawiono fortepian i sprzęt nagłaśniający. Wkrótce pojawiły się tam gwiazdy wieczoru. Józka w zachwycającej odsłonie, na wysokich obcasach, w srebrnej, błyszczącej sukni do kostek, z rozcięciem do połowy uda, długim w szpic dekoltem i upiętymi fantazyjnie włosami. Jej mąż ubrany był w czarny smoking, lakierki, elegancką koszulę z usztywnianym kołnierzykiem i mankietami spiętymi kolorowymi spinkami. Musiała przyznać, że prezentowali się znakomicie. Towarzyszył im chórek czterech urodziwych dziewcząt, prezentujących się równie pięknie, które z mikrofonami w rękę, wysokimi głosami, stanowiły tło tej niezwyklej kompozycji. Na pierwszym planie czarny instrument, siedzący przy nim pianista, stojąca obok artystka, a w głębi rozśpiewana grupka kobiet. Do tego otaczająca ich gęsta czerń i słupy światła spadające z góry i boków, potęgujące odbiór tego niezwykłego widowiska. Stefania zatopiona w pluszowym fotelu chłonęła to wszystko, oddając się bez reszty muzyce, wdychając zapach zakurzonego wnętrza, przenikniętego perfumami, potem, dymem z papierosów i naftaliną. Widownia była zapchana po brzegi, a występ nagrodzono owacją na stojąco. Jakiś mężczyzna wręczył Józce bukiet kwiatów, ukłonem i bisem nie było końca.

– Piękny recital! – podsumowała z podziwem Ostrowska już po wyjściu z teatru, kiedy we troje stali przed gmachem i czekali na taksówkę. – Tak się cieszę, że wreszcie mogłam to zobaczyć na własne oczy. Dziękuję wam, kochani!

Warszawa już zasypiała, gdzieś palily się latarnie, okna były rozświetlone, z rzadka przejechało jakieś auto, rozdzierając ciszę warkotem. Od czasu do czasu podchodzili do nich zachwyceni występem ludzie i wręczali artystom drobne upominki. Józia wzruszona do łez ścisnęła się z fanami, a Kazimierz ze stoickim spokojem odbierał pełne zachwytów głosy od zauroczonych jego grą kobiet. Cóż to był za widok!

– Musisz przyjeżdżać częściej – stwierdził Kazimierz, gdy plac wokół nich wreszcie opustoszał. – Dzieci coraz większe, obowiązków mniej, a więcej okazji...

– O, gdyby tak było! Małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci, duży kłopot! – roześmiała się wymownie. – Wiecie, jak to jest!

– Tak, tak... – zgodziła się Józia, trzymając w rękach bukiet róż. – Rozalka też czasami daje popalić. Dorastanie jest okropne, a najbardziej dla rodziców. Ostatnio zapisała się do drużyny siatkówki i wyjechała na obóz sportowy. Tylko dlatego, że zakochała się w trenerze. Trochę się o nią martwię, nie jest przyzwyczajona do koczowania pod namiotem.

– Poradzi sobie, nie przesadzaj! – wtrącił się Kazimierz. – Nie jest już małą dziewczynką, tylko dorosłą pannicą. – Taki wyjazd dobrze jej zrobi, zapewniam cię, kochanie.

W odpowiedzi prychnęła tylko z powątpiewaniem. Właśnie wtedy nadjechała taksówka, więc wsunęli się do nagrzanego popołudniowym słońcem wnętrza pojazdu i przekazali kierowcy adres. Wieczór spędzili przy kieliszku koniaku, który przywieźli z trasy po Związku Radzieckim. Opowieściom i wspomnieniom nie było końca. Józia pokazała też aktualne zdjęcie siostry, które ta przysłała jej w ostatnim liście. Zapowiedziała w nim, że ma za sobą ogrom formalności i już kupiła bilet na samolot.

– Nie mogę się doczekać – wyznała po chwili Wróblewska, dociskając fotografię do piersi. – Mamy sobie tyle do powiedzenia!

– Trzy miesiące szybko miną – pocieszyła ją Stefcia. – Nawet nie zauważysz kiedy. Ja też chciałabym ją zobaczyć, dlatego przyjadę niezwłocznie. Zapamiętałam ją jako wiecznie zakatarzoną, potarganą smarkulę, a tu proszę! Taka piękność z niej wyrosła!



Tu znów popłynęły wspomnienia, jeszcze sprzed wojny, kiedy uczęszczały do tej samej klasy szkoły podstawowej. Śmiały się i płakały na przemian, przywołując kolejny raz obraz minionych dni, który tak mocno zarysował się w ich pamięci i sercach.

Stefka wróciła do domu zrelaksowana i spokojniejsza. Miała też w sobie mnóstwo energii i optymistycznych myśli związanych z przyszłością.

\*\*\*

Okazało się, że w Łodziance na dobre zadomowiła się panna Czesia. Dziewczyna była bystra i ładna, szybko wkradła się w łaski kierownictwa, które kilka miesięcy wcześniej uległo zmianie. Ukochana pani Teresa przeszła na zasłużoną emeryturę, natomiast jej miejsce zajęła niejaka Wanda T. Ta kobieta od początku nie przypadła Stefci do gustu, poza tym szybko okazało się, że w kawiarni brakuje miejsca na dodatkowe etaty.

W sukurs jak zawsze przyszła jej Rena. Zaproponowała, żeby przeniosła się do niej, czyli do SPATiF-u. Akurat poszukiwali kobiety do kelnerowania, z czasem może to stanowisko da się zamienić na coś bardziej intratnego. Restauracja jest duża, potrzeba ludzi do obsługi i mądrego zarządzania – zachęcała.

– Myślę, że nie mam nad czym się zastanawiać – odparła Ostrowska, zagryzając kolejnego herbatnika do porannej kawy. – Nie wiem, jak ci dziękować.

Sąsiadka prychnęła wymownie. Siedziała przed nią w zielonym szlafroku w czerwone kwiaty, lekko już spranym, ale wciąż efektownym. Rozjaśnione blond włosy miała zakręcone na grube wałki, twarz pozbawioną makijażu, paznokcie starannie opiłowane i pokryte czerwonym lakierem. „Wciąż jest ładną kobietą, nawet w takim wydaniu” – skwitowała w myślach Stefka, patrząc na nią przez pryzmat budzącego się dnia.

– Czy to prawda, że żeby tam wejść, trzeba mieć legitymację artysty? – spytała z lekkim niedowierzaniem.

– O, tak! – potwierdziła rozmówczyni, upijając łyk kawy. – Jedna osoba mająca legitymację może wprowadzić dwie osoby towarzyszące, za które odpowiada. Piękne, dobrze ubrane kobiety mogą czasem wśliznąć się bez dokumentów, niektórzy próbują przekupić szatniarza, dając mu dziesięć złotych. Ale ja oczywiście o niczym nie wiem! – Zaśmiała się lekko, ukazując w uśmiechu ładne, zdrowe zęby. – Lokal od zawsze miał swój prestiż. Cieszy się uznaniem wśród artystów, którzy przychodzą tu nie dla jedzenia, ale dla towarzystwa i długich rozmów przy kieliszku czajnikówki. A także dla pięknych wnętrz i zasady, że lokal jest czynny do ostatniego gościa.

– Czajnikówka? Co to takiego?

– Wódka! Leje się ją podgrzaną do wzmocnienia procentów wprost z czajnika. Ot, cały sekret, ale robi wrażenie na gościach. I dobrze łupie w głowę. Poza tym schodzą się tu same osobistości kina...

– Ach! – Ostrowska westchnęła głośno, słysząc słynne na całą Polskę nazwiska. – Zazdroszczę ci.

– Nie ma czego, ludzie jak wszyscy inni. Też piją, zasypiają przy stoliku albo haftują w toalecie... – Zachichotała. – Nie gniewaj się, ale zacznę się malować. Niedługo ma mnie odwiedzić pan Zbynio.

– Któż to taki? – wyrwało się Stefce, ale zaraz zakłopotana zakryła usta. – Przepraszam, nie powinnam pytać.

– Nie szkodzi... To mój stary znajomy, jeszcze z czasów przedwojennych. Spotkaliśmy się ostatnio w SPATiF-ie, okazało się, że mamy do obgadania wiele wspólnych tematów. – Znów zachichotała wymownie. – Całkiem ładny chłop z tego Zbynia, i taki elegancki, elokwentny... Można się zapamiętać, nie powiem...

– Ach, Rena, Rena... – rzuciła Stefka pobłaźliwie, po czym wstała od stołu, zabierając filiżankę po kawie. Poszła do kuchni, umyła naczynie i odstawiła na suszarkę. Czula się tu niemal jak u siebie, a gospodyni dała jej na to pełne przyzwolenie. Czasem nawet sama pozmywała naczynia i startła drewniane blaty ciężkich, kuchennych mebli. – To ja już sobie pójdę, nie chcę ci przeszkadzać.

Renata przeciągnęła się jak kocica, podniosła w górę ramiona, demonstrując nawet w szlafroku ich idealnie zgrabną rzeźbę. W pokoju pojawił się też czarny pupil, który niespodziewanie wskoczył jej na kolana.

– A gdzie ty się, Duszku, podziewałeś? – spytała właścicielka, gładząc lśniące futerko. – Pani się o ciebie martwiła.

Zwierzak mruknął i wyprężył grzbiet, lgnąc do jej ciepłych rąk.

– Przyjdź jutro do SPATiF-u, porozmawiamy z kierowniczką.

– Na którą?

– Szesnasta?

– Dobrze, w takim razie... do jutra! – Kiwnęła jej na pożegnanie i dodała konspiracyjnie: – Udanego spotkania z panem Zbyniem!

\*\*\*

Następnego dnia w godzinach popołudniowych znalazła się przed wzniesioną w tysiąc dziewięćset dwunastym roku secesyjną, dwupiętrową willą Wilhelma Lurkensa, właściciela fabryki trykotów, gdzie została ulokowana restauracja o nazwie SPATiF. Powstała w latach pięćdziesiątych jako siedziba Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. Zbierała się tu największa bohema artystyczna, nie tylko ze świata filmowego, ale także świata estrady.

Już w samym wejściu zatrzymał ją szatniarz, żądając od niej wspomnianej wcześniej legitymacji artysty. Wówczas powołała się na Renatę Gajewską, która na szczęście zdążyła ją wypatrzyć z drugiego końca pomieszczenia i przybiec na powitanie.

– Panie Zenku, niech pan przestanie! To moja przyjaciółka. Wszystko wskazuje na to, że będzie tu pracować. – Zaśmiała się, obejmując Stefkę i ciągnąc ją do wnętrza głównej sali.

Ostrowska musiała przyznać, że lokal zrobił na niej imponujące wrażenie. Zwisający z sufitu ogromny mosiężny zyrandol, eleganckie stoły nakryte białymi obrusami, tapicerowane krzesła, mięsiste tapety, lustro, obrazy, marszczone zasłony, rozety na suficie... oraz drewniany lakierowany

bar, za którym stał mężczyzna w białej koszuli i czarnej kamizelce. Zapach świeżych potraw unosił się w powietrzu, niektórzy goście pałaszowali z zacięciem serwowany tam befsztyk tatarski z sardynką i jajkiem przepiórczym, giczkę w sosie własnym czy kotleciki jagnięce w sosie kawowym. Kul-towym daniem były oczywiście podawane w śmietanie lub w oleju śledzie.

– Pięknie tutaj! – zdążyła bąknąć, urzeczona przepychem i elegancją, bo zaraz Rena pchnęła ją dalej, do pomieszczenia biurowego, gdzie urzędo-wała pani Wiesia – kobieta w średnim wieku, niska, okrągłej budowy, z kasztanowymi włosami po trwałej ondulacji. Podniosła głowę znad sterty papierów, taksując wzrokiem wchodzące.

– Pani Wiesiu, to jest właśnie Stefania, o której pani wspominałam. Wcześniej pracowała w Łodziance.

Ostrowska wyprostowała się na dźwięk tych słów i grzecznie dygnęła, uśmiechając się w stronę kobiety.

– Oo! W Łodziance! – podjęła tamta ożywiona. – Moja przyjaciółka pro-wadziła ten lokal przez wiele, wiele lat.

– Naprawdę? Pani Teresa jest pani przyjaciółką? Jaki ten świat mały! – Ostrowska nie kryła entuzjazmu. – Pani Teresa to wspaniała kobieta!

– Lepszych referencji nie potrzebuję. – Kierowniczka zaśmiała się, po czym kazała Stefce zająć miejsce przy biurku. – Myślę, że możemy poroz-mawiać o zatrudnieniu. Jest pani zainteresowana?

– O, tak! – podchwyciła natychmiast zapytana i podniosła w górę obie ręce. Złożyła je w akcie radości, jednocześnie wymownie spojrzała w stronę Reny.

– Wspaniale – zawyrokowała pani Wiesława. – W takim razie najpierw formalności, a później Renatka pokaże pani lokal.

Sąsiadka uśmiechnęła się z zadowoleniem, potem poprawiła obluzo-wane troki białego fartuszka i chwyciła za klamkę.

– Zostawię was w takim razie na chwilę same. Wrócę za kilka minut, go-ście już pewnie czekają! – Mrugnęła w stronę Stefanii i zniknęła za drzwiami.

\*\*\*

Ostatnie dni przyniosły wiele nieoczekiwanych zmian. Przede wszystkim Tadeusz zaskoczył ją ponownie swoją troskliwością i czułością. W dniu jej urodzin wrócił do domu z ogromnym bukietem kwiatów i złotym pierścieniem z modnym ostatnio piaskiem pustyni. Byli już po pierwszej rozprawie, która na razie niczego nie rozsądziła. Trudno było stać na sali sądowej po dwóch stronach barykady, mówić przed obcymi ludźmi o pożyciu małżeńskim, wspólnym gospodarstwie czy mężowskich zdradach. Wiele ją to kosztowało, Tadka też, bo oboje wrócili do domu w nie najlepszych nastrojach. W pewnym momencie uznała, że to wszystko nie ma sensu, że może powinna się ugiąć i wybaczyć.

– Wybaczyć tak, ale zapomnieć się nie da – powiedziała matce tuż po powrocie. – Sama już nie wiem, co mam ze sobą zrobić – jęknęła bezradnie.

– Usiądź dziecko, odpocznij. Nie myśl teraz o tym. Zawołajmy dzieci, Tadeusza i rozkroimy tort – zaproponowała.

– Tort? Na śmierć o nim zapomniałam! – przyznała ze skruchą. – Wołajmy dzieci i chodźmy w takim razie do kuchni – zdecydowała.

Chwilę później siedziała przy stole, a dzieci z mamą odśpiewały jej sto lat. Tadeusz dołączył do nich w ostatniej chwili, stanął w drzwiach dziwnie zmieszany i zakłopotany. Trzymał przed sobą bukiet czerwonych róż.

Serce Stefki podskoczyło na ten widok, zrobiła jednak obojętną minę, jakby ją to niewiele obeszło.

Kiedy ucichły toasty, rozkrojono tort, a kawałki przysmaku wylądowały na talerzykach, dzieci wręczyły mamie prezent. Były to laurki przez nie wykonane i sznurek koralu z kasztanów.

– Piękny! – zachwyciła się szczerze i założyła sobie kasztanowe korale na szyję. Wycalowała i wyściskała Antka i Weronikę, a ci rzucili się do pałaszowania ciasta.

Mama podarowała jej wełnianą chustę, którą sama wykonała na drutach. Stefka podziękowała jej ze szczerego serca, następnie zarzuciła prezent na ramiona i zaprezentowała go w całej okazałości.

Wtedy podszedł Tadeusz. Wręczył jej kwiaty i wyciągnął z kieszeni pierścionek.

– Przyjmij, proszę, ten drobny upominek, nie odmawiaj!

Pocałował ją przy tym w oba policzki, potem zawahał się i złożył krótkiego całusa na jej wargach. Dreszcz przebiegł po jej plecach, stłumiła w sobie emocje, które buchnęły gdzieś od środka niespodziewaną mocą, i spojrziała z lękiem na dzieci. Przyglądały jej się z wyczekiwaniem, przerwały jeżdzenie i rejestrowały z przejęciem każdy jej ruch.

Mama również spoglądała na nich w milczeniu i jakimś dziwnym napięciu, które miała wypisane na twarzy.

– Dziękuję – odparła chmurnie, odbierając pierścionek i kwiaty. – Miała ochotę powiedzieć mu, że tak się nie postępuje, że nie wykorzystuje się w ten sposób sytuacji, nie gra uczuciami najbliższych, jednak tego nie zrobiła. Chciała oszczędzić dzieciom takiego widowiska. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie takiej reakcji od niej oczekiwały.

Leżąc potem w łóżku, przewracając się z boku na bok, długo myślała o minionych chwilach. Dopadło ją zwątpienie, w dodatku ciało domagało się czułości i pieśczot. Słyszała, że mąż za ścianą tłucze się po pokoju, odpala kolejnego papierosa, wychodzi na balkon i wraca do łóżka. Potem znów wstaje i wychodzi, tak w kółko. Nie mogła zasnąć, pęcherz domagał się opróżnienia. Wstała i ona, zarzuciła na siebie szlafrok i podreptała do łazienki. Tam spojrziała w lustro. Zobaczyła nadal piękną twarz z rozognionymi oczami, otoczoną gęstwiną brązowych, potarganych włosów. Przygładziła je odruchowo, zwilżyła wargi i wróciła do sypialni. Po drodze natknęła się na męża. Najpierw w osnutym mroku pokoju usłyszała trzask zapalki, potem jej nozdrza wypełnił gryzący dym.

– Nie pal tyle! – rzuciła ze ściśniętym gardłem, zatrzymując się na środku pokoju, gdzie skrzyżowały się ich drogi.

– Nie mogę zasnąć – wyznał.

– Ja też – mruknęła tylko. – Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział zawiedzionym, cichym głosem.

Stała w miejscu, zawahała się, aż nagle zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego, zaskakując tym posunięciem samą siebie. Odwróciła się, wykonała kilka kroków w przód, zatrzymując się na wprost męża. Ku jego zdziwieniu wyjęła mu z ust papierosa, zgasiła w popielnicy stojącej na stole i chwyciła za połą rozpiętej do połowy góry pizamy. Musnęła palcami drugiej ręki odsłonięty tors, przysunęła się bliżej, czując na sobie jego męskość. Chwycił jej twarz w obie ręce, pochylił się nad nią głęboko i przylgnął wargami do jej ust. Chwilę stali złączeni tym żarliwym niespodziewanym pocałunkiem, wstrząśnięci lawiną szybujących na wskroś prądów, po czym nie przestając się całować i dotykać, ruszyli do sypialni, aby tam zaspokoić gorącą potrzebę duszy i ciała.

\*\*\*

Obudziły ją dźwięki szykującego się do pracy męża. Postanowiła wstać i pójść do kuchni, gdzie zastała Tadeusza w samotności pijącego kawę.

– Zrobić ci kanapki?

– Dziękuję, już sobie zrobiłem – odparł.

Zdziwiła się, blat kuchenny był czysty, nie znalazła na nim nawet jednego okruszka.

– Napijesz się ze mną kawy? – spytał.

– Chętnie.

Wstał, wyjął z szafki jej ulubiony kubek i nasypał do niej zmielonych ziaren.

– Woda dopiero się gotowała – dodał, zerkając na nią znad ramienia. – Pięknie wyglądasz, Stefcu.

Usiadła w milczeniu, nasypała do kubka dwie łyżeczki cukru, zamieszała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Ta noc zaskoczyła ich oboje. Znów było tak pięknie jak kiedyś, ale czy to oznaczało, że mu wybaczyła?

Jeszcze w korytarzu pozwoliła się objąć i pocałować.

– Jak wrócę, zabierzemy dzieci, mamę i pójdziemy do zoo. Co ty na to?

– Dobry pomysł – uznała, pozwalając mu na kolejne uściski i pocałunki. – Do pracy idę od początku miesiąca, więc jeszcze przez kilka dni będę mogła spędzać z wami popołudnia.

– Cudownie! – mruknął zadowolony i wyszedł.

Wróciła do kuchni, umyła kubki po kawie, starła ceratę, którą nakryty był stół, i poszła do sypialni zaścielić łóżko. W tym momencie do jej uszu dotarły jakieś dziwne odgłosy. Najpierw pisk opon, potem jakieś krzyki, stuki i nawoływania. Zaniepokojona wyszła na balkon. To, co ujrzała, sprawiło, że krew w jej żyłach zastygła. Na ulicy przed bramą zaparkowało krzywo jakieś obce auto. Kierowca tkwił w samochodzie, dopiero na widok dwóch mężczyzn w garniturach prowadzących szarpiącą się kobietę wyskoczył z wnętrza i otworzył tylne drzwi garbatego pojazdu. W kobiecie, ku swojemu przerażeniu, rozpoznała Renę. Była potargana, miała na sobie ten sam atlasowy szlafrok co ostatnio, co oznaczało, że nie planowała wyjścia z domu.

– Rena! – krzyknęła bezradnie, nachylając się przez poręcz. – Zostawcie ją, co ona wam zrobiła?

Sąsiadka podniosła w ostatniej chwili głowę, Stefka dostrzegła przerażenie na jej twarzy. Skinęła tylko bezwiednie w jej stronę, zupełnie jakby chciała powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że to jakieś nieporozumienie. Gajewska miała ręce nienaturalnie wygięte do tyłu, a dwaj mężczyźni w kapeluszach zmusili ją do skłonu, następnie wepchnęli brutalnie do wnętrza auta. Po chwili drzwi się zatrzasnęły, silnik warknął i auto mocnym zrywem ruszyło z chodnika.

Stefania wsunęła się do pokoju i opadła na najbliższy fotel. Jej serce tłukło jak oszalałe. „Czego od niej chcą te bandziory z esbecji? Przecież Rena jest niewinna!” – krzyczało w jej głowie. „Muszę coś zrobić, muszę jej pomóc. Nie mogę tak beczynnie tkwić w miejscu”. Jeszcze chwilę ważyła niepoukładane myśli, potem postanowiła się ubrać i jak najszybciej udać się do Heleny Stroińskiej. W tym momencie uznała, że tylko ona może coś zrobić, jej mąż był przecież wysoko postawionym partyjnym urzędnikiem.



\*\*\*

Pani Helena zmieszała się na jej widok.

– Usiądź, dziecko. Napijesz się wody?

– Tak, poproszę.

– Stało się coś?

Stefania potwierdziła, kiwając głową, potem w kilku zdaniach zrelacjonowała ostatnie wydarzenia. Od czasu do czasu zatrzymywała się, aby złapać oddech. Przez całą drogę niemal biegła, wpadła do mieszkania Stroińskiej zasapana, trzęsąca się, ze zlepionymi od potu włosami.

– Myślisz, że mój Wacek będzie w stanie coś zrobić?

– Jak nie on, to kto? – jęknęła Ostrowska, upijając ze szklanki kolejny łyk wody. Tylko pan Wacław ma znajomości na wyższych szczeblach...

– Ciii! – Kobieta przyłożyła palec do ust, nakazując jej milczenie. – Naprawdę myślisz, że ta Renata jest niewinna?

– Jestem tego pewna! – warknęła Stefka, nie kryjąc oburzenia. – Można jej wiele zarzucić, ale wiem z całą pewnością, że ma kryształowe serce. Nikogo by nie skrzywdziła, nawet muchy.

– Dobrze wiesz, dziecko, że tutaj dobre serce nie ma nic do rzeczy – skwitowała jej wywód Helena i dodała: – Zrobię, co w mojej mocy. Poproszę Wacława o pomoc.

– Dziękuję – wykrztusiła Stefania i zalała się łzami bezradności. – Naprawdę nie mam pojęcia, do kogo się zwrócić.

– Wiem, kochana, wiem... – przytaknęła, chwyciła ją za ręce i ścisnęła mocno.

Dopiero teraz Stefania podniosła powieki i spojrzała na matkę swojego dawnego ukochanego nieco inaczej. Tamta miała zaczerwienione oczy, zupełnie jakby płakała, włosy potargane, a policzki zarumienione.

– Stało się coś? – spytała, przyglądając jej się uważnie.

– Nie, dlaczego pytasz?

– Ma pani załzawione oczy...

– A, to! Nie, to od uczulenia. Niedługo mi przejdzie. – Machnęła lekceważąco ręką i odwróciła twarz w drugą stronę.

– To ja już pójdę w takim razie. – Stefania podniosła się, wygładziła fałdy spódnicy, zapięła guziki błękitnego, dopasowanego swetra. – Dziękuję, pani Heleno, nigdy tego pani nie zapomnę. Będę czekała na wieści. Mam nadzieję, że pomyślnie – dodała, stojąc już w wyjściu.

– Nie trzeba, dziecko moje, jeszcze nic nie zrobiłam, ale obiecuję, że wykorzystam wszystkie możliwe sposoby. Możesz być tego pewna. Dowiemy się, dlaczego ją aresztowali.

Uścisnęły się na pożegnanie i Stefania już nieco spokojniejsza ruszyła wolno w dół schodów.

## Rozdział 24

O koliczności spowodowały, że musiała pójść do pracy szybciej, niż było to zaplanowane. Miała zastąpić Renę, której nieobecność nieco komplikowała funkcjonowanie restauracji. Doświadczenie nabyte w Łodziance pozwoliło jej na szybkie dostosowanie się do nowych warunków. Wkrótce też przekonała się, że nowe zajęcie nie jest takie łatwe i przyjemne, jak dotychczas myślała. Wprawdzie na początku zachłysnęła się liczbą znanych osób odwiedzających to miejsce, jednakże po pewnym czasie oswoiła się z ich obecnością. Miewali różne nawyki żywieniowe i nie tylko. Jedni nie wylewali za kołnierz, inni ograniczali napoje wysokokowe. Jedni byli uprzejmi, szarmanccy, inni gburowaci. Czasem mama wypytywała ją o to, na co odpowiadała z przekąsem: „Cóż... Ludzie jak wszyscy inni”.

Prawdę powiedziawszy, głowę zaprzętały jej myśli o Renie. Nie była sobie w stanie wyobrazić, co teraz przeżywa ta kobieta, z czym musi się mierzyć, bez względu na to, ile w tym było jej winy. Stefania gorąco wierzyła w to, że aresztowano ją niesłusznie, co wkrótce się potwierdziło.

W sprawę tę, ku jej miłemu zaskoczeniu, zaangażował się sam Tadeusz. Wiedział, że Jurek, jego kolega z pracy, ma wielorakie znajomości. Znał kilku partyjnych towarzyszy, umocowanych na wysokich stanowiskach w urzędach państwowych. Dzięki temu szybko ustalili, że nie chodziło o samą Renatę Gajewską, ale o człowieka, z którym się ostatnio spotykała. Zbigniew Zarzewski był bowiem posądzony o współpracę z brytyjskim wywiadem. To była już niestety grubsza sprawa, dlatego wyciągnięcie przyjaciółki z łap bezpieczeństwa wydawało się dość karkołomnym wyzwaniem. Cho-

dziło o ustalenie pewnych faktów, przede wszystkim o zeznania obciążające tego obywatela, na co Renata nie chciała się podobno zgodzić. Mimo wielogodzinnych przesłuchań, podczas których stosowano przeróżne metody przekonywania, nie złamała się i nie uległa.

– Twarda sztuka z tej Reny – podsumował z podziwem mąż, kiedy przyniósł te rewelacje do domu.

Niewątpliwie jej przyjaciółka miała charakter, tylko Stefka wolą nie myśleć, co z nią zrobią, jeśli nie podpisze obciążających pana Zbigniewa zeznań. Na razie zastępowała ją w pracy i tęskniła za jej chrapliwym głosem i wspólnymi rozmowami przy kawie. Na początku sądziła, że to nie potrwa długo, dlatego wchodziła do jej mieszkania i dokarmiała jej pupila.

Po pewnym czasie, ku uciesze Weroniki i Antosia, zdecydowała się zabrać kota do siebie. Zwierzak na początku nie był zadowolony, wciąż uciekał, wysiadywał pod drzwiami mieszkania Renaty i przeraźliwie miauczał. Żal było na niego patrzeć, serce się kroilo, bo marniał i chudł w oczach. Potrzebował kilku tygodni na adaptację, wtedy nie uciekł jak zawsze, tylko został na noc w pokoju dzieci, które oszalały na punkcie Duszka.

Pojawiła się też Helena Stroińska. Jakaś inna, weselsza, choć z enigmatycznym wyrazem twarzy. Nie posiedziała u nich długo, spieszyła się. Przekazała konfidencjonalnym tonem, że Renata na razie ma kłopoty, że pana Zbigniewa też mają i szykują dla niego pokazową rozprawę. Wciąż szukają dowodów obciążających, a jeśli ich nie znajdą – zmuszą ludzi do fałszywych zeznań. Potwierdziło się więc to, czego dowiedzieli się już wcześniej, Helena oznajmiła jednak, że jest ktoś, kto może pomóc. Będzie potrzeba trochę pieniędzy, ale ona gotowa była dołożyć się do niemałej łapówki. Pierwsze spotkanie w tej sprawie miało się odbyć w najbliższy wtorek, na krańcówce tramwajowej przy placu Niepodległości. Do tej pory będą musieli zorganizować pierwszą transzę z pieniędzmi. Instrukcje poda później, gdy pozna więcej szczegółów. Wszystko to zakrawało na szaleństwo, ale Stefania gotowa była nawet podpisać pakt z diabłem, byleby tylko wyciągnąć przyjaciółkę z więzienia.

Tymczasem w lokalu wrzało, dochodziła ósma wieczorem. Czajnikówka jak zawsze cieszyła się wzięciem, więc biegła od stolika do stolika i uzupełniała kieliszki. Musiała się nauczyć tej czynności, aby robić to z gracją i nie rozlewać wódki dookoła. Niektórzy zaczepiali ją, proponowali, aby usiadła, ale zawsze z uśmiechem na twarzy odmawiała. W pewnym momencie wysłano ją do sali kominkowej. Miała tam zanieść dwie herbaty, śledzie w oleju i ogórka kiszzonego, oczywiście również uzupełnić procenty. Dwaj mężczyźni siedzieli w kącie przy ścianie, jeden z nich był odwrócony do niej plecami. Kiedy zbliżyła się do stołu, zauważyła kwiatek w jego butonierce – czerwoną ogrodową różyczkę. Jakoś nie pasował ten szczegół do wymiętej, zniszczonej marynarki, jaką miał na sobie, do zarośniętej twarzy z zapadniętymi policzkami, na której pojawił się błysk, kiedy pochyliła się nad blatem. Znieruchomiała, jej wyciągnięta ręka z talerzykiem zawisała w powietrzu. Para jasnych, zmęczonych oczu utkwiała w niej mocne, paraliżujące spojrzenie.

– To niemożliwe! – jęknęła bezradnie. – Ja chyba śnię...

Próbowała odwrócić wzrok, uciec nim gdzieś poza pole widzenia, ale bezskutecznie.

– Coś się pani stało? – zapytał ten drugi, znacznie tęższy. – Może pomóc?

– Nie, dziękuję... – wydukała z trudem, rozłożyła zamówienie i drżącą ręką połała wódki.

Wyprostowała natychmiast plecy, zrobiła obrót i ruszyła do baru. Jeszcze kątem oka rzuciła w kierunku wpatzonego w nią mężczyzny, jeszcze raz odrzuciła od siebie absurdalne myśli. „Tylko podobieństwo, uspokój się, Stefa” – przekonywała się w duchu, aby usprawiedliwić emocje, które nią targały.

– Co się z tobą dzieje, Stefania? – spytał w pewnym momencie Zygmunt, który stał za barem. – Wyglądasz jakbyś zobaczyła ducha. Jesteś blada jak trup.

– Bo zobaczyłam... – wyjąkała, z trudem przelykając ślinę.

Obsłużyła jeszcze kilkunastu gości, krążyła przy tym po lokalu, nie mogąc pozbyć się zdenerwowania, kiedy ponownie wróciła do sali kominko-

wej. Nie dała rady przestać myśleć o mężczyźnie ze stalowymi oczami, którymi przeszywał ją na wskroś. Musiała tam pójść jeszcze raz, stanąć przed nim i zapytać, kim jest. Musiała to zrobić, aby zaznać spokoju. Ale wtedy okazało się, że przy stoliku nikogo już nie było.

\*\*\*

Ostatni gość opuścił SPATiF grubo po dwunastej. Trzeba go było jeszcze skutecznie namówić, aby sobie poszedł. Kierowniczką stanęła nad pijanym mężczyzną i z lekką ironią w głosie stwierdziła:

– Mireczku, czas do domu. Jutro też jest dzień.

Ten podniósł głowę opartą na przedramionach, wybałuszył oczy, przewrócił nimi i zabelkotał:

– Co prawda, to prawda. Jak mus, to mus... Dobranoc, pani Wiesiu, całuję rączki... – Spróbował wstać i ucałować wierzch dłoni kierowniczką.

– Już dobrze, już dobrze... Nie trzeba! – Śmiała się, wyrywając rękę z uścisku.

Mężczyzna wreszcie się podniósł, założył kapelusz, chwycił wiszący na oparciu krzesła płaszcz i chwiejnym krokiem, śpiewając pod nosem, wyszedł. Stefka mogła wracać do domu. Właśnie wychodziła z bramy wprost na pustą o tej porze, skąpo oświetloną ulicę Kościuszki, kiedy do jej uszu dotarł znajomo brzmiący głos:

– Stefcia, zaczekaj!

Nogi się pod nią ugięły, znieruchomiła, za jej plecami rozległy się czyjeś szybkie kroki. Dokładając ogromnego wysiłku, odwróciła głowę. Z ciemności wyłoniła się wysoka, szczupła sylwetka w jasnym prochowcu. Zbliżała się do niej, powodując coraz szybsze bicie serca. Teraz już nie miała żadnych wątpliwości. Ten człowiek, ten chód, ten głos... To był na pewno on.

## Rozdział 25

**T**adeusz objął ją i przytulił, pocałował obnażoną szyję, ale ona nie miała ani ochoty, ani sił, aby odwzajemnić ten objaw czułości. Odwróciła się na drugi bok, odtrącając jego ramię.

– Jestem taka zmęczona, marzę już tylko o spaniu... – mruknęła i zaczęła, aż mąż zrezygnuje z dalszych umizgów.

Na szczęście wszystko poszło po jej myśli, bo przekreślił się na wznak i niemal natychmiast zasnął. Lekkie chrapanie wypełniło ciszę sypialni, ale w tym momencie jej to w ogóle nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Mogła teraz w spokoju rozpamiętywać minione chwile, przeżywać je kolejny raz minuta po minucie i karmić się nimi jak najlepszą potrawą.

– Jeśli to naprawdę ty, to gdzie byłeś przez te wszystkie lata? Po co wróciłeś, skoro było ci tam tak dobrze? – rzuciła tamtej nocy w jego mizerną twarz, nie kryjąc goryczy i wściekłości.

– Ja wiem, Stefcu, że to wszystko źle wygląda, ale pozwól mi wytłumaczyć...

– Wytłumaczyć? Po co? To już tylko wyłącznie twoja sprawa. Czekałam na ciebie bardzo długo, wreszcie dotarła ta cholerna paczka, moje nadzieje umarły razem z nią. Poukładałam sobie życie, mam męża i dwoje dzieci – oznajmiła cichym, słabym głosem, czując, jak nogi się pod nią uginają. Serce w piersi waliło jak oszalałe, ale ona chciała mu pokazać, że jego widok wcale jej nie wzruszył.

– Wiem... Mama mi powiedziała. Wspomniała też o paczce – przyznał ze skruchą, wciskając głowę w zgarbione ramiona. – Gdybyś jednak zechciała mnie wysłuchać... Mam ci tyle do powiedzenia...

Patrzyła na niego, oświetlonego częściowo słupem latarnianego światła. Zgarbionego, w beżowym prochowcu ściągniętym skórzanym paskiem, w filcowym kapeluszu zasłaniającym wysokie czoło i pogniecionych spodniach w kant. Było w jego postaci coś tragicznego, coś, co wstrząsało nią, powodując co chwila ścisk krtani.

Najgorsze, że chciała poznać tę prawdę, dzięki której będzie mogła zrozumieć jego decyzję o powrocie po tylu latach milczenia. Miała świadomość, że ta prawda mogła sprawić jej ból, ale wołała to niż życie w ciągłej niepewności.

– Muszę wracać do domu, jest już bardzo późno. Mąż i mama będą się o mnie martwili. Na pewno nie śpią i czekają na mnie – odparła stanowczo.

– Rozumiem... – Chrząknął i zakasłał, zakrywając dłonią usta. – W takim razie powiedz, kiedy będziesz mogła. Zaczekam...

– Jutro przed pracą w parku Staromiejskim?

– Dobrze... – zgodził się z ulgą w głosie. – Będę na ciebie czekał. Powiedz tylko, o której przyjdiesz.

– O dwunastej. Na czternastą idę do pracy.

– Oczywiście, Stefcu – odparł. – Czy mogę cię chociaż odprowadzić?

Podniosła głowę i spojrzała mu oczy, w których mimo mroku dostrzegła ten sam błysk co kiedyś.

Znów zadrżała.

– Chodźmy w takim razie.

\*\*\*

Następnego dnia chodziła po mieszkaniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Tadeusza na szczęście już nie było, natomiast mama przyglądała się jej, obierając ziemniaki do zupy.

– Usiądź wreszcie i powiedz, co się wydarzyło! – skarciła ją w pewnym momencie. – Kręcisz się po tej kuchni, jakbyś się czegoś najadła. Zaczyna mnie to denerwować! Nie zajmiesz się dziećmi ani żadną robotą, tylko



chodzisz w tę i we w tę – rzuciła z naganą w głosie. – Czy to z powodu sąsiadki? Już wiadomo, kiedy ją wypuszczą?

– Jeszcze nie – mruknęła pod nosem. – Ale łapówkę wzięli. Jest nadzieja.

– Skoro tak, to o co chodzi? – drążyła pani Krystyna.

– Felek wrócił – odparła głucho, decydując się na szczerość.

Kobieta zamarła w bezruchu, nożyk do obierania kartofli wypadł jej z rąk. Wyprostowała zgięte w pałąk plecy i spojrzała na Stefanię z niedowierzaniem.

– Ale jak to? Przecież...

– No właśnie – przytaknęła córka. – Wszyscy tak myśleliśmy. A teraz pojawił się jak gdyby nigdy nic i zatrzęsnał moim poukładanym światem!

Matka przetarła wierzchem zmoczonej dłoni czoło, spojrzała na Stefanię z niepokojem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja? Nic. Jestem wściekła, czuję się oszukana, zdradzona po raz kolejny! – wycedziła.

– Nie przesadzasz? To już nie twój problem. Bez względu na to, co robił przez ten czas, ciebie już to nie powinno obchodzić. Zrozumiałaś?

– Tak, mam, rozumiałam... – mruknęła, ale jakoś tak bez przekonania. – Chcę tylko usłyszeć, co się wydarzyło... Kilka słów wyjaśnienia chyba mi się należy?

– Wysłuchać możesz. Ale tylko tyle. Pamiętaj!

Stefania nie odpowiedziała, znów bezwiednie spojrzała na zegar, na którym wskazówki przesunęły się na godzinę jedenastą. Rzuciła okiem za okno, potem zrobiła kilka okrążeń po pomieszczeniu i wyszła do pokoju.

– Dam dzieciom jeść i zacznę się szykować do wyjścia. Mam jeszcze sprawę do załatwienia na mieście! – oznajmiła po chwili, wchodząc ponownie do kuchni.

Pani Krystyna Rudzka omiotła ją tylko milczącym wzrokiem, bezradnie opuściła głowę i zrezygnowana wrzuciła do wiadra obrany kartofel. Woda

chlupnęła głucho, obryzgując jej spódnicę. Nie zapytała o nic więcej, bo doskonale wiedziała, co planuje córka. Najgorsze, że nie było siły, która mogłaby ją w tej chwili zatrzymać.

\*\*\*

Kilkanaście minut później Stefania była już w parku. Ozłoczone korony drzew tworzyły dumny szpaler wokół głównej alei przecinającej dość rozległy teren. Tu i tam kręciły się psy, hasały dzieci w towarzystwie swoich opiekunów obserwujących ich poczynania. Dostrzegła go, siedzącego na ławce, z wystawioną do słońca podniesioną głową, zasłoniętą częściowo rondem kapelusza. Znów w niej wszystko zawrzało, kiedy na jej widok podniósł się i uklonił. Gdy podeszła, chwycił jej rękę. Nachylił się i musnął wargami wierzch dłoni. Dotyk jeszcze bardziej ją rozczulił, choć skóra jego palców była jakaś szorstka i twarda.

– Usiądziesz?

Skinęła głową, po czym przysiadła na brzegu pomalowanej na zielono ławki. Ubrana była w brązowy, prosty płaszcz zakrywający kolana, szyję miała okręconą kolorową apaszką, zaś jej ciemne, gęste włosy ozdobił filcowy берет przekrzywiony lekko na bakier. Czarne oczy podkreśliła ołówkiem, rzęsy wytuszowała. Cerę nadal miała świeżą i gładką.

– Pięknie wyglądasz, niewiele się zmieniłaś – stwierdził, zerkając na nią nieśmiało spod nakrycia głowy. – W dziennym świetle jeszcze lepiej niż wczoraj – dodał jakoś niepewnie, zacinając się przy każdym słowie, zupełnie jakby zapomniał własnego ojczystego języka.

– Dziękuję – odparła cicho, zastanowiła się, co powiedzieć na jego temat. Postarzał się, zmizerniał... Woląca więc przemilczeć swoje spostrzeżenia.

Zajął miejsce obok, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i skierował w jej stronę. Zaprzeczyła krótkim ruchem głowy.

– To dobrze! – westchnął. – W takim razie ja sam...

Chwycił jednego i próbował zapalić, pocierając łebkiem zapalki o draskę. Palce mu drżały, płomień co chwila gasł. Wreszcie nie wytrzymała i wyjęła

mu zapalki z ręki.

– Daj, pomogę ci – zaoferowała.

– Widzisz... kiedyś paliłem mniej, ale w więzieniu...

– A jednak byłeś tam, na Rakowieckiej? – stwierdziła bardziej niż zapytała. – Twój kolega tak twierdził... Nie pamiętam już nazwiska...

Kiwnął głową.

– Uznano mnie za element szkodliwy dla Polski Ludowej. Karę śmierci w ostatniej chwili zamieniono na dziesięcioletnią zsyłkę do syberyjskich łagrów. Sam nie wiem, co byłoby lepsze! – sarknął gorzko. – Po wielu tygodniach jazdy w bydlęcym wagonie znalazłem się w obwodzie archangielskim w Kotłasie. Wraz z innymi przydzielono nas do wyrębu drzew, od wczesnego świtu do zmierzchu, w pięćdziesięciostopniowych mrozach, nierzadko w przemoczonych ubraniach...

Tu zatrzymał się, zaciągnął głęboko, po czym wypuścił z ust chmurę gryzącego dymu.

– Nie pracujesz, nie jesz, brzmiało motto obozu. Pilnowali go strażnicy bydlacy. Inaczej o nich nie można powiedzieć. Głodowa racja chleba dziennie, jakaś wredna zupa... Chorowałem na zapalenie płuc, dezynterię wiele razy, cudem uszedłem śmierci. Myślę, że twoje zdjęcie dodawało mi siłę i nadziei. Nie rozstawałem się z nim aż do dnia, kiedy zaginęło. Ale o tym opowiem ci później... – Westchnął ciężko, znów zaciągnął się dymem. – Spaliśmy w drewnianym baraku ze szparami na wylot, na wąskich pryzkach jeden obok drugiego. Jeśli jeden chciał się odwrócić, wszyscy musieli zrobić to samo. Ci z brzegów nie dożywali rana, po prostu zamarziali. Robiłem wszystko, by nie wylądować na tym miejscu, choć patrzenie na śmierć kolegów... – sarknął, zrezygnowany zwiesił ramiona i wcisnął w nie głowę – Nawet nie można ich było godnie pochować, ziemia była zmarznięta na kość. – Zamilkł, chcąc przetrwać w sobie bolesne wspomnienia. Po chwili podjął opowieść: – Na jeden barak był tylko jeden blaszany piec. Wszyscy chcieli być najbliżej niego, ciepło oznaczało przeżycie kolejnego dnia. Ważne było posiadanie wełnianego płaszcza lub kozucha, butów, rękawic i czapki, dlatego nierzadko zdarzały się kradzieże tych cennych rzeczy...

Stefania słuchała z przejęciem, jej twarz zastygła. Wpatrywała się w pokrytą głębokimi bruzdami twarz ukochanego i jej serce raz po raz przeszywał ból.

– I co było dalej? – spytała cicho.

– Pewnego dnia do naszego baraku trafił niejaki Ignacy Matyrka. Z czasem zaprzyjaźniłem się z nim. Opiekował się mną, kiedy zachorowałem, organizował lepsze jedzenie i lekarstwa. Kiedyś opowiedział mi pewną niezwykłą historię. Okazało się, że był przy śmierci Eugeniusza Bodo w czterdziestym trzecim roku. Podobno aktor trafił do obozu, będąc już w bardzo złym stanie. Pół roku później zmarł z wycieńczenia i głodu. Pochowano go w bezimiennym grobie. Mało kto wówczas wiedział, że był wielką gwiazdą polskiego kina. Głód i choroby zmieniły go nie do poznania. Zanim jednak zmarł, zdążył przekazać Matyrce wiadomość. Była to właściwie prośba o ujawnienie prawdy o jego aresztowaniu. Błagał, aby przekazać list przyjaciołom z Łodzi lub jego matce mieszkającej w czasie wojny w Warszawie. Pragnął ze wszystkich sił, aby świat dowiedział się prawdy o jego losie, aby ktoś kiedyś pomścił jego śmierć. W tej krótkiej notatce zawarł całą przerażającą prawdę o działalności stalinowskiego systemu, a także o jego kuriozalnych decyzjach. Okazało się, że z racji podwójnego obywatelstwa został oskarżony przez NKWD o szpiegostwo. Najpierw był przetrzymywany w moskiewskim więzieniu, Butyrkach, gdzie okropne warunki osłabiły jego organizm na tyle, że z trudem zniósł transport do łagru w Kotłasie. A tam... było jeszcze gorzej. – Urwał, nabrał w płuca powietrza i kontynuował: – Niestety, krótko przed ogłoszeniem amnestii Ignacego przywaliło drzewo. Nie miał szans, biedak, zmiądzżyło go niemal jak muchę. Umierał na moich rękach, błagając mnie, abym zrobił wszystko, by ta wiadomość trafiła we właściwe ręce. Dowiedziałem się, że matka Bodo zmarła już w czterdziestym czwartym roku, musiałem więc odnaleźć właściwego człowieka... Chroniłem listu jak oka w głowie, aż do wczoraj... Dowiedziałem się, że do SPATiF-u przychodzi dawny przyjaciel Bodo. Mogłem wreszcie wypełnić swoją misję do końca, dlatego udałem się tam niezwłocznie po

przybyciu do miasta. Nie miałem pojęcia, że cię tam spotkam, mama zataiła przede mną ten fakt.

– Dlaczego w takim razie nie wróciłeś do domu od razu, gdzie byłeś przez tyle czasu? – wybuchła Stefania, nie kryjąc rozczarowania.

– Wypuścili nas wycieńczonych, głodnych i kazali iść do diabła. W połowie drogi do miasta, gdzie była kolej, zasnąłem, zapadłem się w śnieg i zasnąłem. Zrobiło mi się ciepło i błogo. Byłaś tam wtedy przy mnie. Leżałaś obok i ogrzewałaś mnie swoim ciałem. Pamiętam twój dotyk i bijące ciepło twych piersi.

Stefania poczuła łzy cisnące się do oczu, jej gardło zakleszczyło wzruszenie.

– I znów Bóg dał mi szansę. Kiedy się ocknąłem, okazało się, że znajduję się w jakiejś drewnianej chałupie, w glinianym piecu pali się ogień i żyję na przekór wszystkiemu. Byłem przykryty baranią skórą, czułem w nozdrzach jej smród. Zanim zdążyłem się rozejrzeć, do środka izby weszła wielka kobieta o czerwonej twarzy z szeroką szramą na czole i gęstymi, zrosniętymi nad nosem brwiami. To właśnie ona znalazła mnie w lesie, kiedy wracała z robót przy wycinie drzew. Zataszczyła na wóz i zawiozła do swojego domu. Ledwie żyłem, ale ona знаła jakieś sposoby na ozdrowienie, cudowne maści i zioła, które pomogły mi wyleczyć. Zanim wstałem z łóżka, minęło kilka dobrych tygodni, później próbowałem się odwdzińczyć. Jeździłem z nią do lasu, na targ, do sąsiednich wiosek, jednak nigdy nie chciała zabrać mnie do miasta. Doglądałem dobytku, dokonywałem drobnych napraw. Wiele razy prosiłem Olgę, aby wysłała listy, które napisałem do matki i do ciebie. Potem codziennie wyczekiwałem. Niestety, wiadomości zwrotne nie nadchodziły. Każdego wieczora pieściłem twoje zdjęcie, przesuwałem po nim palcem, szukając kontaktu duchowego. Wyobrażałem sobie twoją twarz blisko siebie, dotykałem twoich ust, oczu, nosa... Zawsze robiłem to w ukryciu, wtedy, kiedy Olga krzątała się na zewnątrz. Jednak pewnego dnia ktoś ukradł watówkę, w której ukrywałem twoją podobiznę. Zrobiło się cieplej, zdjąłem ją, będąc przy wyrębie drzew, i położyłem na wozie. Poszedłem ścinać gałęzie, a kiedy wróciłem, po watówce nie było

śladu. Wpadłem wtedy w rozpacz, zupełnie jakby mi ktoś wyrwał kawałek duszy i serca.

Pewnej nocy Olga przyniosła samogon, upiła mnie i zaciągnęła do łóżka. Nie broniłem się, potrzebowałem kobiety. Co prawda nie była w moim guście, była wielka, obła, zarośnięta jak zwierzę, pachniała kobietą, potem, wiatrem z pola – prychnął kpiąco. – Z czasem przyzwyczailem się do jej brzydoty. Straciła dla mnie głowę, stała się podejrzliwa i zaborcza. Bała się, że pewnego dnia odejdę, dlatego zażądała ślubu. Wahałem się, rozważałem wszystkie za i przeciw. Wreszcie wzięliśmy skromny ślub w obrządku prawosławnym, jako jej mąż miałem w wiosce więcej praw. I tak mijały lata na obrabianiu maleńkiego poletka, na zdobywaniu jedzenia, naprawianiu chałupy, przygotowywaniu się do długiej, ciężkiej zimy. Olga pragnęła mieć dziecko, ale nie mogła zajść w ciążę. Jej rodzice pomarli wiele lat wcześniej, rodzeństwa nie miała. Była sama, stałem się dla niej całym światem. Rozmawialiśmy po rosyjsku, choć nauczyła się mówić kilka zdań po polsku. Śmiesznie klęła, mówiąc *uwa mać* czy *szolera*.

Prychnął na to wspomnienie, potem sapnął ciężko.

– Zatraciłem się w tym życiu, zapomniałem, kim jestem... Dni mijały, a ja przestałem wracać wspomnieniami do przeszłości. Każdego ranka upewniałem się, że nie ma już nikogo z mojego przeszłego życia. Bo gdyby było inaczej, już dawno otrzymałbym list. Aż pewnego dnia Olga pojechała do miasta z kartoflami, a ja miałem naprawić dach. Zbliżała się zima, wiały coraz silniejsze wiatry. Ruszyłem lichą, spróchniałą krokwią, gdy nagle spod powały wysunęła się jakaś paczka. Upadła mi pod nogi. Schyliłem się, spojrzałem i zamarłem. To były wszystkie listy pisane do mamy i do ciebie. Nie wysłała żadnego. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że spakowałem swoje rzeczy w ciągu pięciu minut, zabrałem trochę jedzenia na drogę i uciekłem stamtąd, nie zastanawiając się, że zima za pasem. Zostawiłem wiadomość na stole, aby na mnie nie czekała, bo postanowiłem wrócić do swoich i sam przekonać się, czy ktoś tam na mnie jeszcze czeka. Teraz już wiem, że tę nieszczęsną paczkę z twoim zdjęciem i moim starym swetrem wysłała ona. Za wszelką cenę chciała mnie zatrzymać, uzależnić od siebie. Biedna, nie-

szczęśliwa kobieta... Wracalem do Łodzi kolejny rok, pociągiem, piechotą... na kipie ciężarówki. Ostatni odcinek pokonywałem niemal na skrzydłach. Kiedy tylko poczułem pod nogami ojczystą ziemię, nie posiadałem się ze szczęścia. Po tym, co przeszedłem, nie bałem się już nikogo, tylko jedna rzecz spędzała mi sen z oczu: Co z tobą? Czy wyszłaś za mąż, masz rodzinę, dzieci, jesteś szczęśliwa i spełniona?

Stefka zakryła twarz rękami, usiłując zwalczyć w sobie narastający ból. Łzy cisnęły jej się do oczu.

– Nie płacz, kochanie, nie płacz. Już wszystkie łzy zostały wylane, tyle bólu, tyle cierpienia, ale dość tego. Trzeba żyć, trzeba iść do przodu!

Chwycił jej dłonie i przyciągnął do swoich warg. Zajrzała mu głęboko w oczy.

– Kto więc obraca tym człowieczym kołem losu, jeśli nie sam diabeł? – spytała cicho, nie kryjąc żalu.

– A jednak wróciłem... I sam diabeł mi w tym nie przeszkodził!

– Wróciłeś, tylko co teraz?

Wciąż spoglądała mu w twarz, szukając w niej odpowiedzi. Pochylił się i dotknął spragnionymi wargami jej ust. Musnął ledwie, a ona poczuła, że grunt spod jej nóg się usuwa.

– Teraz będzie już tylko lepiej – odparł, uśmiechając się nieznacznie. – Bez względu na wszystkie okoliczności, mając tylko świadomość, że jesteś tuż obok... – Urwał.

Zwiesił głowę i długo patrzył pod nogi. Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy, w których rozpalila się na nowo miłość i nadzieja. Każda cząstka jej ciała i duszy krzyczała, rwąc się w ramiona mężczyzny, którego zawsze kochała. Tylko co z jej rodziną, dziećmi, mężem?

– Muszę już iść – szepnęła zrezygnowana, podnosząc się z ławki. – Dziękuję za te wszystkie słowa wyjaśnienia. Były mi potrzebne...

– Odprowadzić cię, Stefciu?

– Nie, pójdę sama – odparła mimo ściśniętego gardła i ruszyła przed siebie.

– Spotkamy się jeszcze? – rzucił do jej pleców.

Odwróciła się, mierząc się z jego rozpalonym wzrokiem, przepelnionym bólem i rezygnacją.

– Kto wie, w którą stronę pchnie nas los? Kto wie, czy to koło toczyć się będzie dalej, z nami, czy bez nas? Kto to wie? – odparła enigmatycznie.

Przełknął ślinę, która utknęła mu w przełyku.

– Bądź szczęśliwa, Stefciu! Nie oglądaj się na nic, bądź po prostu szczęśliwa! Zaslugujesz na to.

Odpowiedziała mu uśmiechem, lekkim, ale pełnym żalu o to wszystko, co ją spotkało.

– Ty też – odparła krótko, prostując ramiona, strzepując niewidzialny pyłek z płaszcza. Łzy nadal cisnęły jej się do oczu, ogromny ciężar siadł na jej piersiach i ścisnął gardło, kiedy coraz szybciej biegła przed siebie znaną już drogą w kierunku ciągnących się wzdłuż Piotrkowskiej kamienic.

KONIEC



# Podziękowania

**W**e wrześniu 2019 roku miałam przyjemność gościć w Kanadzie. Spotkałam tam wielu wspaniałych ludzi, których najbliżsi jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku zostali zmuszeni do emigracji w tamte strony. Pewna niezwykła kobieta – Blanka – wyznała, że marzy o tym, aby ktoś spisał dzieje jej rodziny. Obiecałam, że spróbuję podjąć się tego wyzwania, choć wówczas jeszcze nie do końca czułam tę historię i znałam ją tylko szczątkowo. Jednak dzięki współpracy z Blanką, jej zaangażowaniu i determinacji mogłam odtworzyć obraz dziejów aż trzech pokoleń. Przy okazji zderzyć się z jakże trudną, czasem tragiczną i bolesną rzeczywistością minionych lat i ze zmianami, jakie następowały w Polsce, a także spojrzeć na tamtych ludzi z obecnej perspektywy. Na początku nie było łatwo, kilka razy odkładałam pisanie na rzecz innych powieści, ale z czasem kontynuowanie tych losów stało się dla mnie ważnym, a także fascynującym doświadczeniem.

Dziękuję Wydawnictwu Skarpa Warszawska za zaufanie, opiekę i możliwość rozwijania skrzydeł.

Dziękuję Emmie i Andrzejowi Bagłajom za przyjaźń, wsparcie, a także za udostępnienie mi materiałów o starej Łodzi, które okazały się niezwykle przydatne.

Dziękuję moim najbliższym – kochanym dzieciom i Jarkowi, bez którego ta podróż nie byłaby możliwa – za obecność i wyrozumiałość. Siostrze Iwonce wdzięczna jestem za pierwsze czytanie, cenne uwagi i ogromne wsparcie.

Dziękuję Ewie Krawczyk za przyjaźń, doping i wiarę w moje możliwości pisarskie.

Dziękuję wszystkim moim Czytelnikom za to, że są. Bez nich nie byłoby mnie.

# Przypisy

[1] Niem. Stój! Stój!

[2] Niem. Rozejść się!

[3] Niem. Wynocha! Wynocha!

[4] Niem. Marsz do roboty!

[5] Niem. Złodziejka! Złodziejka!

[6] Niem. Zabij to ścierwo! Dalej! Dalej!

[7] Niem. Dostyc tego!

[8] Niem. Martwi są bezużyteczni!